

**JOSEPH
WAMBAUGH**

**TAJEMNICA
HARRY'EGO
BRIGHTA**



Joseph Wambaugh (ur. 1937) mieszka w Kalifornii. Przez kilkanaście lat był funkcjonariuszem w Departamencie Policji w Los Angeles. Wyniesiona stamtąd wiedza oraz znajomość amerykańskich realiów zaowocowały serią bestsellerowych pozycji, z których dwie – **THE ONIONFIELD** oraz **ECHOES IN THE DARKNESS** – zostały z powodzeniem zaadaptowane dla potrzeb kina.

☆☆☆

Wydawnictwo w tym celu zamówiło u autora Jacka Wambougha powieści „Opadły płonący smok” (Wykazpost z polski w t. 5). Powieściopisarza, który w latach 1970-1980 służył w policji kalifornijskiej, w ramach „inspekcji karabinów, samobójczych wystrzelań, śledztwa, obserwacji, przeszukał też szereg tajemniczych klubów gejowskich. Wymienić można również zbrodniczo-roman powieści „Opadły smok” (wyd. 1983) i „Opadły smok” (wyd. 1983). Powieściopisarza, który w latach 1970-1980 służył w policji kalifornijskiej, w ramach „inspekcji karabinów, samobójczych wystrzelań, śledztwa, obserwacji, przeszukał też szereg tajemniczych klubów gejowskich. Wymienić można również zbrodniczo-roman powieści „Opadły smok” (wyd. 1983) i „Opadły smok” (wyd. 1983).

ISBN 83-85150-96-X



JOSEPH
WAMBAUGH
**TAJEMNICA
HARRY'EGO
BRIGHTA**

przełożył Grzegorz Iwanciw



elliot

Bydgoszcz 1991

Tytuł oryginału: *SECRETS OF HARRY BRIGHT*

Okładkę projektował

SŁAWOMIR LASKOWSKI

Redakcja

MIROSŁAW ŻMUDZIŃSKI

Redakcja techniczna

KRZYSZTOF WIŚNIEWSKI

ISBN 83-85150-96-X

© Copyright by JOSEPH WAMBOUGH 1984

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Elliot, Bydgoszcz 1991

© Copyright for the Polish translation by GRZEGORZ IWANCIW, 1991

Wydawca: Spółka z o.o. TUREX,

Wydawnictwo Elliot,

85-737 Bydgoszcz,

ul. Łęczycka 6

Wydanie I

Ark. wyd. 18, ark. druk. 17,5

Druk i oprawa

Drukarnia Kujawska

w Inowrocławiu

PROLOG

Tajemnica

Jednosilnikowa Cessna 172 była zaledwie maleńkim punktem na ekranie radaru lotniska Lindbergh w San Diego. Kontrolerzy ruchu obserwowali ponadto jeszcze inny punkt świetlny - samolot linii PSA, lot 182 z Los Angeles. Nagle zdarzyła się rzecz nieoczekiwana: oba punkty zlały się w jeden.

Nie odebrano żadnego sygnału od Cessny. Spadła jak ustrzelona kaczką. Zaś ostatnia oficjalna wiadomość od pilota dużego samolotu brzmiała:

- Wieża! Spadamy! Tu PSA, lot 182!

Potem nastąpiła siedemnastosekundowa cisza, po czym automatyczny magnetofon zarejestrował ostatnie słowa pilota:

- No to po nas, kochani. Zapnijcie się.

„Czarna skrzynka”, którą odnaleziono owego feralnego poniedziałkowego ranka 1978 roku po największej w historii lotów krajowych katastrofie, zarejestrowała jeszcze coś. Zdanie często wypowiedane na łożu śmierci. Głos dziecka:

- Mamusiu, kocham cię.

Wielu mieszkańców North Park początkowo myślało, że to potężne trzęsienie ziemi. Z przerażeniem oczekiwali kolejnych wstrząsów. Pojawienie się po chwili słupa ognia i grzyba czarnego dymu zamieniło uczucie strachu w najwyższą trwogę. Niektórzy sądzili, że sprawdziła się koszmarna przepowiednia: San Diego znalazło się wśród pierwszych celów sowieckiego ataku atomowego!

Eksplozja z ogromną siłą rozrzucała ciała i strzępy ludzkie 144 pasażerów samolotu. Pierwszy policjant, który znalazł się na miejscu tragedii, nie miał pojęcia co zrobić wśród ogromu ludzkich krzyków, ognisk pożarów i kłębow gryzącego dymu. Później powiedział, że miał wrażenie jakby oglądał sceny ze starego filmu rysunkowego firmy Warner Brothers, w którym w ścianach budynków znajdowały się otwory w kształcie ludzkich sylwetek. Młody policjant wbiegł do parterowego domu osiągniętego przez jeden z ludzkich pocisków. Znalazł tam krzyczącego z przerażenia mężczyznę, pochylonego nad łóżkiem żony, na którym leżało nagie, pokrwawione i pozbawione głowy ciało kobiety. Kiedy ustąpiły objawy hysterii, mężczyzna wykrzyknął:

- To nie moja żona! Moja żona nie ma takich dużych cyców!

Miał rację. Były to zwłoki jednej z pasażerek samolotu, której ciało wyrzucone zostało z potworną siłą i przebiło ścianę budynku, lądując na łóżku opuszczonym chwilę wcześniej przez uciekającą w panice żonę.

Jedyną osobą, którą początkowo uznano za ocalałą z katastrofy była pewna kobieta. Znalaziono ją leżącą w kałuży krwi na miejscu masakry. Natychmiast odwieziono do szpitala. Kiedy zmyto z niej krew i strzępy ludzkich członków, a następnie podano leki uspakajające, wyjaśniła, że jechała samochodem w pewnej odległości od miejsca katastrofy, gdy nagle przednia szyba wozu została roztrzaskana przez trzy ciała wyrzucone przez potężną eksplozję. Udało się jej zatrzymać samochód i wydostać na zewnątrz z kłębowiska ludzkich torsów, pogruchotanych czaszek i eksplodujących organów. Pacjentka nie odniosła żadnych obrażeń fizycznych.

Policjant, który jako pierwszy pojawił się na miejscu tragedii, ujrzał wiele scen mających nawiedzać go później w nocnych koszmarach lub powracać w niechcianych wspomnieniach. Najgłębiej utrwalił mu się w pamięci widok klęczącego mężczyzny. Miał na sobie sportowe buty, obszerne spodnie w kolorze khaki i bawełnianą bluzę z nadrukiem nazwy klubu baseballowego San Diego Padres. Początkowo policjant sądził, że człowiek ten usiłował obrabować czyjeś zwłoki. Zmienił zdanie, gdy zauważył przypiętą do bluzy odznakę policyjną. Przyjął, że tamten jest nie będącym na służbie gliną, który przypadkowo znalazł się na miejscu katastrofy i usiłuje służyć pomocą. Młody funkcjonariusz zamierzał nawet poprosić go, aby sprawdził okoliczne zabudowania w poszukiwaniu dalszych ofiar, gdy dostrzegł, że tamten uważnie przygląda się czemuś leżącemu na ziemi. Mężczyzna miał na nosie dwuogniskowe okulary i pochyłał, to znów podnosił głowę, żeby lepiej widzieć.

Kiedy młody policjant podeszedł dość blisko by dojrzeć to, czemu tamten przyglądał się tak wnikliwie, krzyknął z przerażenia i odwrócił głowę. Po chwili opanował się jednak, rozejrzał dookoła i przywołał innego mundurowego, który zmagął się z płomieniami ogarniającymi pobliski budynek. Obydwaj ostrożnie podeszli do klęczącego. Tamten poruszył się, chcąc jak gdyby zasłonić im widok, chroniąc swoje znalezisko przed niepożądanym wzrokiem. Jednak policjanci ujrzeni je wyraźnie... Najpierw jeden, a po chwili następny zaczęli chichotać. Zgięci w pół dosłownie pokładali się ze śmiechu. W takiej właśnie pozie uchwycił ich na zdjęciu jakiś fotoreporter, zaszokowany zachowaniem stróżów prawa. Na szczęście późniejsze wyjaśnienia, złożone w policyjnym punkcie dowodzenia, dotyczące przyczyn niestosownego zachowania funkcjonariuszy, wstrzymały publikację fotografii.

Nie zdołano ustalić kim był ów klęczący mężczyzna. Policjanci nie byli bowiem pewni, czy odznaka na jego ramieniu była odznaką Wydziału Policji z San Diego. To, czego się dowiedział, pozostało jego tajemnicą.

ROZDZIAŁ I

Odważna jaszczurka

Wzdłuż kuli ziemskiej rozciągają się dwa wąskie pasy lądu, 25 stopni na północ i na południe od równika, gdzie ruchy wiatrów i oceanów praktycznie uniemożliwiają formowanie się deszczowych chmur, a co za tym idzie, opady atmosferyczne. Promienie słoneczne, pozbawione bariery chmur, bezlitośnie penetrują ziemię, wysysając wszelką wilgoć z gleby, roślin i zwierząt. Kiedy zapada tam noc, niebo jest czyste, a temperatura zaczyna gwałtownie spadać: nagrzana ziemia oddaje nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Gorączka za dnia i chłód w nocy powodują powstawanie silnych wiatrów. W terenie górzystym wymiana powietrza następuje jeszcze szybciej, a zimne wiatry smagają kotliny i wąwozy, bardziej przyczyniając się do wysuszenia gleby.

Niegdyś uważano takie miejsca za nie nadające się do zasiedlenia przez normalnych ludzi, ale przecież nikt nie twierdzi, że Hollywood zamieszkałe jest przez takich właśnie. Prawdopodobnie prosperity Hollywood w czasach Złotego Wieku wypchnęło ludzi poza jego obręb - zaledwie o dwie godziny drogi samochodem z Los Angeles, lecz do zupełnie innego świata.

Ludzie, którzy prowadzili życie zwariowane i zachowywali się w sposób nieobliczalny, nagle odkryli inny wymiar. Poddawali się magii pustyni.

Początkowo niektórzy z nich nie zwracali na nią uwagi. Sprawiała wrażenie posępnej i wrogiej, lecz wkrótce otaczające ją góry przestawały przypominać jedynie hałdy żużlu. Nabierały szlachetnych rysów i ciekawych krajobrazowo walorów. Gwiazdy kina rozprawiały z egzaltacją o subtelnym odcieniach barw pustyni i ciągle zmieniającym się oświetleniu: o nikłych cieniach rzucanych przez pierzaste kumulusy na zbocza gór i łagodnych wzgórz. Nowi mieszkańcy pustyni z trawników przy basenach, często zasilanych przez naturalne ciepłe źródła, mogli obserwować grę światła i cieni, wielobarwne kwiecie kaktusów czy dziko rosnące kwiaty. Podnóża gór dosłownie usłane były werbeną, dlatego też nazywano je Górą Purpurowymi. A podczas zimnych nocy gwiazdy kina mogły wpatrywać się w te prawdziwe: Wielka Niedźwiedzica

iskrzyła się na niebie jak diamenty rozsypane na czarnym atlasie. W ten sposób Palm Springs stało się azylem dla artystów w przerwach między kolejnymi filmami. Ściągali tu wszyscy: Gable, Lombard, Cagney, Tracy, Hepburn, bracia Marx, nawet Garbo. I niezależnie od tego jak bardzo obawiali się działania Czasu, ludzie ci - od których przecież wymagano by byli niezmiennie młodzi - wiedzieli, że pustynia ma także w tym względzie coś do zaoferowania. Gorący suchy klimat łagodził bóle artretyczne i choroby układu oddechowego, poprawiał samopoczucie i dodawał energii.

Pustynia zaskakiwała i roztaczała niezwykłą aurę. O zmierzchu szczyt San Jacinto oświetlony był promieniami słońca, skrywającego się powoli za falami Pacyfiku. Sprawiało to niesamowite wrażenie, jak gdyby zaraz na zachód od góry znajdowało się miasto, a reflektory iluminujące słynne hollywoodzkie teatry i premierowe kina, rozświetlały niebo. Wydawało się, że napierający tłum ciekawskich i łowców autografów, wyposażonych w notesy, ołówki i aparaty fotograficzne, znajdował się gdzieś niedaleko, tuż za górą. W takiej scenerii wypoczywały gwiazdy ekranu, oddając się beztrudnym, dziecinny zabawom. Szczyt został oświetlony dla nich przez samego Stwórcę. Byli bezpieczni. Mogli odpoczywać, świadomi, że w uspokajająco niewielkiej odległości zawsze oczekiwało ich skąpane w światłach Hollywood.

Z chwilą gdy świat filmowy odkrył dla siebie uroki pustyni, rozpoczął się prawdziwy najazd inwestorów na te tereny. Początkowo zagospodarowano Palm Springs, potem zaczęto rozbudowę w okolicach Cathedral City, Rancho Mirage, Palm Desert, Indian Wells i La Quinta. Błyskawicznie opanowano Dolinę Coachella.

Wydawało się, że nic nie jest w stanie zatrzymać strumienia pieniędzy na budowę nowych klubów i ośrodków uzdrowiskowo - rekreacyjnych. Budowniczowie chwalili się, że ich wielkie buldozery potrafią stawić czoła nawet Godzilli. Tymczasem jeden z młodszych „krewniaków” Godzilli opóźnił nieco tempo ujarzmiania pustynnych terenów. Jak się okazało, część Doliny Coachella była naturalnym środowiskiem jaszczurki grzebieniastej, gada będącego już na wymarciu. To niczym szczególnie nie wyróżniające się stworzenie o podwójnych powiekach, grubym podbrzuszu i połączonych błoną pazurach, stało się nadzieją ekologów na zahamowanie ekspansji mieszkańców Hollywood. Niestety. Wielu sławnych i równie bogatych ludzi nabyło prawa własności

terenów będących królestwem jaszczurki. Nie dawano jej zatem większych szans na przetrwanie.

Obecnie na terenie Doliny Coachella znajduje się przynajmniej pięćdziesiąt pól golfowych i ponad dwieście hoteli, a naturalny, suchy klimat został na zawsze zmieniony przez człowieka w wyniku nawadniania z obfitych pokładów głębinowych.

Są jednak miejsca w Dolinie, które nie poddają się łatwo zmianom. Jednym z nich jest miasteczko Mineral Springs, położone około dziesięć mil od Palm Springs. Powód jest prosty: wiatr. Pustynny wiatr, który mógłby utrzymać w ruchu dziesięć tysięcy turbin wiatrowych. Członkowie Izby, Handlowej z Mineral Springs nazywają go „lecniczą bryzą”. Mieszkańcy zazwyczaj mówią o nim: wichura.

Powiadają też, że w okolicach zostało już niewiele piasku. Został bowiem wywiany w stronę jeziora Salton Sea. Wichry te potrafią unosić nawet drobne kamienie, tak jak to się dzieje podczas pustynnej burzy piaskowej. Niektórzy mówią, że samochody pozostawione z otwartymi oknami muszą być potem odgruzowywane kilofem.

Niemniej, w 1978 roku zaci ni obywateli Mineral Springs zdecydowali, że bez względu na wiatr chcą mieć swój udział w boomie turystycznym ogarniającym sąsiednie miasta. Przecież ich woda mineralna o temperaturze ponad 80°C, tryskająca z naturalnych gorących źródeł, jest czysta i nie cuchnie jak zgniłe jaja, czego nie można powiedzieć o większości tego rodzaju wód. Była tak niezwykle czysta, że mieszkańcy ubiegali się o specjalny fundusz badawczy, mający pomóc w dokładnym zbadaniu zjawiska bezwonnych mineralnych źródeł, gdy ktoś złośliwie zauważył, że zapach jest prawdopodobnie rozwiewany przez wiatr, zanim zdąży dotrzeć do nozdrzy.

Ludzie uradzili, że po to, aby zaczęto traktować ich miasteczko z należywym szacunkiem trzeba między innymi stworzyć własny posterunek policji. Rada miejska zatem, po rozpatrzeniu wielu podań, na stanowisko posterunkowego przyjęła policjanta o czternastoletnim stażu w biurze szeryfa okręgowego. Jeszcze wcześniej Paco Pedroza był przez dziewięć lat sierżantem w Wydziale Policji w Los Angeles, a przeprowadził się w te gorące strony mając nadzieję na wyleczenie córki z chronicznego bronchitu.

Mieszkańcy Mineral Springs sądzili, że wystarczy im posterunek w sile trzech ludzi, lecz nowy szef zwrócił uwagę na ogrom zadań czekających policję na tym dziewiczym terenie. Mineral Springs, będąc miasteczkiem odosobnionym, choć jednocześnie łatwo dostępnym dla bogatych bywalców pustynnych kurortów, stało się siedzibą

sporej ilości „chemików”. Więcej niż było ich w całym Kalifornijskim Instytucie Techniki. Jednak wszyscy byli amatorami. Słabo zaludnione, chłostane wichrem pustynne kaniony, pełne były motocyklowych gangów, których członkowie trudnili się nielegalną produkcją amfetaminy. Jeśli na ziemi istniało idealne miejsce na umiejscowienie narkotykowego laboratorium, to właśnie było ono tutaj. Ulotny zapach „bzika” lub „kryształu” natychmiast po opuszczeniu laboratorium rozprasał się na silnym wietrze. Niebezpieczeństwo zdemaskowania „na węż”, co często skutkuje gdzie indziej, praktycznie nie istniało. Stąd też w mieście i w okolicy zawsze było pełno zwarowanych motocyklistów na harleyach i innych potężnych maszynach, którzy robili lepsze interesy niż klub rotariański.

Prócz nielegalnych fabryk narkotyków, Mineral Springs, dzięki relatywnie niskim cenom mieszkań, przyciągało tych wszystkich, którzy żyją z oskubywania bogatych turystów. W Mineral Springs znajdowało się centrum rehabilitacyjne dla byłych więźniów oraz dwie kliniki dla alkoholików i narkomanów z całej Doliny Coachella. Jedyna w mieście rezydencja z prawdziwego zdarzenia została zbudowana dla pewnego sutenera, który opiekował się trzynastoma dziewczynami pracującymi w szczytce sezonu w hotelach Palm Springs. Początkowa reputacja miasteczka jako oazy rozluźnionych obyczajów sprowadziła tam kolonię nudystów, a ci z kolei przyciągnęli za sobą hordy lotniarzy, którzy często roztrzaskiwali się na skałach wskutek zdradzieckich porywów wiatru. Nie było to łatwe miasto dla gliniarzy w tym sensie, że resocjalizowani przestępcy, motocykliści, handlarze narkotykami, włamywacze z Palm Springs, nudyści, rabusie i sutenerzy, lotniarze i pijacy niekoniecznie mieli ochotę na współpracę z jakąkolwiek policją.

Paco Pedroza potrzebował gliniarzy, którzy mieli nieco oleju w głowie i potrafiliby dać sobie radę w miejscu odległym o dziesięć mil od najbliższego posterunku.

Każdego zwerbowanego w ciągu lat policjanta napominał w ten sam sposób: „Potrzeba mi ludzi, którzy potrafią dać sobie radę na ulicy, ale prócz tego muszą mieć jeszcze coś, kto wie czy nie ważniejszego: talent dyplomatyczny. Kiedy jesteś tam, na ulicy, i znikąd nie możesz spodziewać się pomocy, musisz wiedzieć jak nakłonić ludzi, żeby robili to, czego od nich oczekujesz. Zapamiętaj jedną rzecz: nie masz do dyspozycji innych środków.”

Ponadto, Paco ostrzegał wszystkich przyjmowanych gliniarzy (z wyjątkiem Ruth Kosko, jedynej kobiety): „Nie robi mi różnicy jaką będziesz nosić broń. W samochodzie masz M-14 z 30-nabojowym magazynkiem, który można opróżnić w trzech równych seriach. Możesz nosić czterdziestkę czwórkę magnum lub czterdziestkę piątkę z takim rodzajem amunicji, jaki ci się spodoba. Możesz mieć schowaną dziewiątkę, jeśli uważasz, że może ci się przydać. Możesz nawet mieć coś większego i wsadzić sobie to w dupę, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. Nie będę ci zawracał głowy bez względu na rodzaj żelastwa, nawet jeśli będziesz wyglądać agresywnie. Poza tym, nie mam szczególnych wymagań jeśli chodzi o umundurowanie. Nie musisz pastować butów, bo i tak słońce roztopi pastę. Nie będę miał pretensji jeśli zdrzemniesz się nieco na nocnej zmianie, kiedy nie będzie nic lepszego do roboty. Dla moich gliniarzy mam tylko kilka prostych zasad: żadnych narkotyków, żadnych kradzieży - nigdy. Żadnej gorzały na służbie. I żadnych zboczonych zachowań seksualnych w granicach miasta z kimkolwiek poniżej czterdziestki, nawet po służbie. I to by było tyle, jeśli chodzi o zasady.”

To ostatnie zastrzeżenie pojawiło się z powodu 150-osobowej grupy kobiet samotnie wychowujących dzieci - wdów i rozwódek - które mieszkaly w przyczepach na parkingu nazywanym przez mieszkańców „Przystani Średniego Wieku”. Doprowadzały one szefa policji do szaleństwa. Co miesiąc przysyłały delegację na posiedzenie rady miejskiej i wręczały listę spraw do załatwienia, obarczając szefa policji winą za obecny stan rzeczy. Paco Pedroza, który otwarcie przyznał, że jest męską szowinistyczną świnią, wymyślił sobie, iż wszystkie te kelnerki i kosmetyczki, mieszkające w Mineral Springs i dojeżdżające do pracy w okolicznych kurortach, cierpią z powodu tego, że kobiety wolnego stanu znacznie licznie przewyższają mężczyzn - za wyjątkiem szczytu turystycznego, kiedy w pustynnych miastach organizowane są niezliczone ilości konferencji. Tak więc zachęcał swoich chłopaków do „roboty społecznej” w „Przystani Średniego Wieku.” Jednak jego gliniarze byli w większości młodymi gogusiami i kobiety z „Przystani” wydawały im się starsze, niż były w rzeczywistości. Kiedy prasa nazwała pewien niebezpieczny odcinek pustynnej autostrady Krwawą Aleją”, gliniarze zaczęli nazywać „Przystań Średniego Wieku” „Bezkrwawą Aleją”.

Gdy Paco Pedroza odebrał telefon z Wydziału Policji w Hollywood z informacją, że być może wznowione zostanie śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa na terenie Mineral Springs, przyrzekł swoim dawnym kumpłom pełną współpracę. Następnie odłożył słuchawkę i sporządził notatkę dla swoich ośmiu chłopów i jednej kobiety,

że będą mieli gości z planety Hollywood, po czym kazał sekretarce, Annie Paskiewicz, narysować na kartce wir pustynnego wiatru z podpisem: „Gównno nas obchodzi jak robią to w Los Angeles”. Zaraz przytwierdził kartkę do półki z segregatorami.

Paco Pedroza ciężko podniósł swoje otyłe cielsko i powłókł się na dach budynku posterunku policji, który był jednocześnie siedzibą rady miejskiej i więzieniem. Po drodze ściągnął z siebie hawajską koszulę i jęknął na widok swoich obwisłych, galaretowatych piersi, które, jak mu się zdawało, opadały o pół centymetra w ciągu roku.

- Powiniennem poprosić naszych gości z Hollywood, żeby przywieźli mi jakiś gustowny, koronkowy biustonosz od „Fredericksa” - odezwał Paco się do sierżanta. Ścisnął jedną ze swych owłosionych piersi, ciężko opadł na stare ogrodowe krzesło i dodał:

- No tak, biustonosz na nic się już nie zda. Muszę skończyć z tymi plackami od Meksykanina.

Coy Brickman miał czterdzieści jeden lat. Był o dziesięć lat młodszy od Paco i znacznie przewyższał go wzrostem, a granatowy mundur dodatkowo potęgował to wrażenie.

- Wydaje im się, że dwóch wielkomiejskich bubków może rozwikłać sprawę sprzed blisko półtora roku, sprawę pozbawioną poszlak i śladów? - Coy Brickman z obrzydzeniem wbił zęby w kanapkę z klopsiem, którą kupił w jedynym w mieście delikatesach, i popił sokiem pomarańczowym.

Paco usadowił się na krześle, wystawiając opasły brzuch na-promienie pustynnego słońca.

- Ciekawe czy przyślą kogoś, kogo znam? - odezwał się.

- Nieczęsto zdarza się doprowadzić do końca taką sprawę jak ta - sprzed półtora roku, bez poszlak i jakichkolwiek śladów - powtórzył Coy Brickman.

- No i co z tego? - Paco wzruszył ramionami i zamknął oczy.

- Wypoczną sobie chłopaki w sanatorium w Palm Springs. Pójdą na masaże, zdrowotne kąpiele, zaciupniają sobie. A jak tam dzisiaj wiatr?

- Lecznicza bryza - powiedział Coy Brickman, patrząc na piaskowe wiry formujące się na ulicy.

Paco Pedroza westchnął.

- Bryza w tym pieprzonym mieście mogłaby z powodzeniem oderwać jaja ziemnej wiewiórcy. Jak będziesz przejeżdżał obok „Humberta” kup mi coś na ząb.
- Trzy czy cztery placki z kurczakiem?
- Niech będą cztery - wymamrotał szef, nie otwierając nawet oczu, po czym dodał: - Ten wiatr ma swoje pozytywne strony. Jak się nauczysz cicho pierdzić, to nikt się nawet nie zorientuje.

Podczas gdy Paco drzemał, a jego sierżant jadł wczesną kolację na dachu posterunku policji, pewien włóczęga i pijak, niejaki Bobrowy Ogon Bigelow, został wyrzucony z knajpy za sprowokowanie bójkę. Był brudnym i pomarszczonym szczurem pustyni wyglądającym jak postać żywcem przeniesiona z westernu. Ludzie mówili, że wypija buteleczkę ginu każdego dnia, kiedy w miasteczku nie pada śnieg i nigdy nie słucha policjantów, gdy ci każą mu wynosić się do domu.

Gliniarze mieli nadzieję, że pewnego dnia podczas snu na polu biwakowym zaskoczy sukinsyna nagła powódź i poniesie do Indio. Ale on był prawdziwym szczurem pustyni. Nienawidził ludzi, lecz świetnie dawał sobie radę w nieprzyjaznych warunkach.

Bobrowy Ogon Bigelow miał sześćdziesiąt lat, ważył niespełna sześćdziesiąt kilogramów, pozbawiony był podbródka, a jego oczy były zawsze mętne. Mówiono, że ma ramiona jak Reagan. To znaczy, Nancy. Jego przezwisko pochodziło od gatunku płaskiego, owalnego kaktusa, których mrowie porastało Dolinę Coachella, a który - pomimo, że wyglądał niegroźnie - uzbrojony był w cienkie jak włos i ostre kolce.

Gdy zapadła noc, także zapadł w sen Bobrowy Ogon na swoim ulubionym stole na polu biwakowym. Pograżony był w głębokim, alkoholowym śnie, kiedy jakaś wysoka postać wyłoniła się z mroku i zaciągnęła jego wątłe ciało w stronę zaparkowanego opodal samochodu, który zaraz ruszył autostradą w kierunku Twentynine Palms.

Przy autostradzie znajdował się diner, w którym często zatrzymywał się na odpoczynek pewien kierowca autobusu i regularnie podrywał dziewczynę pracującą za barem. Opustoszały autobus zaparkowany był obok latarni, ale nikt nie zauważył ubranej na czarno postaci, która niosła na ramieniu coś przypominającego worek. Bobrowy Ogon został odnaleziony pół godziny później na tylnym siedzeniu autobusu, kiedy jego

chrapanie obudziło dwóch żołnierzy piechoty morskiej wracających do bazy. Wykopano go z auta, pozbawiając przy okazji kowbojskiego kapelusza. Musiał wracać do Mineral Springs autostopem, zdecydowany dołączyć kierowców autobusów do listy osób, których nienawidził.

Gdy Bobrowy Ogon dotarł do przedmieść Mineral Springs, wschodzące słońce świeciło mu prosto w oczy. Jego mózdzek wypełniały opary ginu, a przesycona alkoholem kora mózgowa wydawała sprzeczne rozkazy włatemu ciału. Miliony zamarynowanych szarych komórek wysyłały chaotyczne bodźce. Bobrowy Ogon Bigelow przypiekał się na słońcu i był zdezorientowany.

Zdecydował się pójść skrótem przez pustynię, prosto w kierunku pola biwakowego i oazy, gdzie znajdowała się mała fontanna - ujęcie źródlanej wody. Cały czas miał zamknięte usta i oddychał przez nos, aby nie dopuścić do wysuszenia śluzówki, lecz jego wąska czaszka już zaczęła odczuwać działanie promieni. Słońce zaledwie wychyliło się poza linię horyzontu, ale przygrzewało już niemilosiernie, kładąc różowe, purpurowe i niebieskie cienie na zboczach gór Santa Rosa.

Bobrowy Ogon zdał sobie sprawę, że gin niesamowicie przyspiesza odwodnienie organizmu. Pomyślał, że równie dobrze mógłby wsadzić sobie do gęby suszarkę do włosów. Skutek byłby ten sam. Po chwili przyszło mu do głowy, że gdyby miał tyle forsy co Johnny Cash, Liz Taylor, Liza Minelli i całe to pieprzone bogate towarzystwo, które zjeżdża do kliniki Eisenhowera, żeby wyciągnąć się z nałogów, nie zataczałby się teraz na piachu pustyni w palącym porannym słońcu. Znalazł się w tej cholerniej sytuacji tylko dlatego, że jest biedny.

Bobrowy Ogon był już tak wyczerpany, że gotów był nawet przyjąć pomoc ze strony jakiegoś gliniarza. Pomyślał, że te wszystkie leniwe kutasy pewnie kimają teraz w swoich wozach patrolowych. Musi się wziąć w garść i odpocząć chwilę. Niepewnym krokiem podszedł do potężnego kaktusa mesquite, który roztaczał sporo zbawiennego cienia. Przestraszył ptaka, który poderwał się spod kępy pustynnej lawendy. Kwiaty często przyciągały roje pszczół, ale ten krzak był pusty. Bobrowy Ogon usiadł ostrożnie, aby nie dotknąć kaktusa cholla. Wiedział, że choćby lekkie muśnięcie spowoduje wystrzelenie przez roślinę ostrych kolców. A jednak ptaki zakładają na nich gniazda. Kolejna tajemnica pustyni.

Kiedy Bobrowy Ogon siedział ze skrzyżowanymi nogami jak Indianin, zauważył opodal małą pasiastą jaszczurkę, dreptającą po piasku. Jaszczurka rzuciła mu gniewne

spojrzenie i podskoczyła wojowniczo. Wiedział, że takie zachowanie jaszczurki jest ostrzeżeniem dla intruza, który narusza jej teren, a w dodatku to małe zwierzątko było szczególnie podekscytowane.

Nagle jaszczurka postąpiła o krok w kierunku Bobrowego Ogona i wykonała trzy dalsze podskoki, choć widać było, że czyni to z wyraźnym wysiłkiem.

Bobrowy Ogon był bardzo zaintrygowany. Powoli podniósł się na nogi i wlepił wzrok w gada.

- Nie jesteś pod ochroną, gnojku - odezwał się do zwierzęcia. - Mogę cię kopnąć w dupę i nikogo to nie obejdzie.

Powiedziawszy to usiłował kopnąć jaszczurkę. Niestety, alkohol przypomniał o sobie i Bigelow przeciął nogą powietrze, po czym zachwiał się i upadł ciężko na piach. Stęknął z bólu - odpowiedziało mu brzęknięcie struny. Początkowo sądził, że był to odgłos pękającego dysku w kręgosłupie. Ostrożnie więc podniósł się do pozycji siedzącej. Spostrzegł, że jaszczurka schroniła się w swojej kryjówce, jaką było pewne niezwykle znaleźisko, które w chwilę później stało się własnością Bobrowego Ogona Bigelowa. Leżało przed nim małe, dziwne ukulele.

Bobrowy Ogon podniósł je, strzepnął piasek, stwierdzając, że instrument jest cały.

- Skąd to się, do diabła, tutaj wzięło? Może wypadło z przejeżdżającej ciężarówki? - pomyślał.

Postanowił oczyścić je i zanieść do znanego sobie lombardu w Cathedral City, miejsciny, gdzie nie było ani jednej katedry, ale za to masa podrzędnych sklepików i tyle barów dla pedałów, że regularni bywalcy knajp zwykli mówić: „Jesteś żonaty, czy mieszkasz w Cathedral City?”

Kiedy w jakiś czas później prawnicy zastanawiali się - poprzez żmudne analizowanie pozornie nie związanych z sobą faktów i odkryć - nad tym, jak doszło do rozwiązania sprawy tajemniczego morderstwa w okolicach Palm Springs, przyznali, że łańcuch dowodów zapoczątkowany został przez pewną niezwykle odważną jaszczurkę.

ROZDZIAŁ II

Rachunek do wyrównania

Prezydent Ronald Reagan nie przybył jeszcze do hotelu Century Plaza, gdzie zamierzał oczekiwać na wyniki wyborów. Sidney Blackpool, rozmawiając przez telefon w swoim biurze przy następnej przecznicy, zobaczył przez okno dwóch mężczyzn stojących obok czarnej limuzyny. Obaj mieli na sobie garnitury z kamizelkami, koszule i pasiaste krawaty, ale pomimo eleganckich ciuchów, nie wyglądali na wykształconych bubków ze sztabu wyborczego George'a Busha. Po pierwsze dlatego, że byli zbyt barczyści, a wyraz ich twarzy zdradzał zdenerwowanie.

Sidney Blackpool nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie agentów Secret Service, niemniej przez ostatnie dwadzieścia jeden lat dość często zdarzało mu się obcować z nimi, głównie wtedy, gdy do miasta przyjeżdżali politycy wielkiego kalibru. Tak jak większość policjantów uważał, że agenci Secret Service nie są prawdziwymi gliniarzami. Nie potrafił więc odprężyć się mijając ich ze spluwą pod płaszczem. Prawdziwy gliniarz rozpozna tajniaka w jednej chwili, ale on zawsze obawiał się, że jeden z tamtych facetów może zauważyć wypukłość pod paltem i zaordynować mu masaż mózgu w stylu Johna Hinckleya, za pomocą kolby pistoletu Uzi, zanim zdąży się wylegitymować.

Mówili na niego Black Sid nie z powodu wyglądu zewnętrznego. Był ciemnym blondynem z lekką siwizną i miał jasnozielone oczy, a cerę tak bladą, że ilekroć grał w golfa na słońcu, zawsze doznawał oparzenia.

Ludzie często pytali go czy jego pseudo ma związek z Brudnym Harrym, gliniarzem w czarnych rękawiczkach, na co odpowiadał, że policjanci po prostu uwielbiają gry słowem. Tak więc kiedy nazywasz się Sidney Blackpool, to w naturalny sposób stajesz się Black Sidem. Nie dodawał jednak, że „Black Sid” pasuje do jego cynicznej postawy i zimnego wzroku. Nie mówił też, że wypija spore ilości szkockiej whisky Johnnie Walker Black Label. Stąd - przede wszystkim - Black Sid.

Sidney Blackpool nie musiał czekać ani chwili przy nowoczesnym, przypominającym kształtem plamę rozlanego oleju, biurku sekretarki. Nie miała najmniejszego problemu ze zidentyfikowaniem go jako policjanta i z chwilą gdy przekroczył próg biura, zapytała:

- Sierżant Blackpool?

Detektyw zamierzał usiąść na krześle przy biurku, kiedy dziewczyna odezwała się ponownie:

- Och, nie musi pan czekać. Pan Watson oczekuje pana.

Biuro Victora Watsona nie było może tak przesadnie wyposażone jak pałac w Wersalu, ale miało parkiet w stylu Ludwika XV. Na podłodze porozstawiane były gliniane urny i chińskie wazy, a na ścianach wisały włoskie rokokowe lustra i olejny obraz J.M.W. Turnera. Było tam też biurko o lakierowanym blacie - jeśli w ogóle było to biurko - jeden z tych mebli za dziesięć tysięcy dolarów, które mają rzekomo łączyć w sobie formę i funkcjonalność, lecz wyglądają jak organ wyrwany z wnętrzości dinozaura.

Sidney Blackpool szukał wzrokiem Victora Watsona pośród tych zwariowanych dzieł sztuki, kiedy dobiegł go głos z przyległego salonu:

- Proszę tutaj, sierżancie Blackpool.

Mniejszy pokój był spokojniejszy w wystroju, uporządkowany, z miękkimi meblami i ścianami wykończonymi drewnianą boazerią. Charakter wnętrza wskazywał, że należy do mężczyzny. Na wypolerowanej powierzchni marmurowego blatu biurka odbijały się błyszczące oczy stojącego za nim człowieka.

- Pewnie chce się panu rzygać na widok mojego biura? - odezwał się Victor Watson.

- Kto je zaprojektował? Busby Berkeley? - zapytał oschle detektyw.

- Nie, moja żona.

- Zapomniała jedynie o fontannie z pozytywką - powiedział Sidney Blackpool, ściskając na powitanie rękę starszego mężczyzny, który wskazał mu miejsce na kanapie.

Wszyscy, nawet ci, którzy nigdy nie słyszeli o Victorze Watsonie, wiedzieli kim jest jego żona. Niegdyś słynna aktorka, przeżywała właśnie renesans kariery, a to z powodu roli w emitowanym obecnie serialu.

Na dębowym stoliku stały dwie kryształowe szklanki i wiaderko z lodem oraz porcelanowa figurka z okresu dynastii Ming, tuż obok pełnej butelki Johnnie Walkera Black Label.

Victor Watson zerknął na zegarek, Pathek Phillipe oczywiście, i zapytał:

- Czy to odpowiednia pora na drinka, sierżancie? Jest pan prawie po służbie.

- Nie martwię się o służbę - rzekł Sidney Blackpool - lecz o moją wątrobę. Godzina czwarta jest odpowiednia jak każda inna.

Victor Watson usiadł obok detektywa i wlał solidną porcję szkockiej do obu szklanek, po czym dodał po dwie kostki lodu. Był tak mocno opalony, że „kurze łapki” w kącikach oczu były zupełnie białe, kiedy się uśmiechał - tak białe, jak jego włosy. Miał delikatne ręce, również pokryte siwymi włosami.

- Proszę mi powiedzieć, czy bardzo przeszkadza panu to, że wysłano go, by pocieszyć starego milionera i pogadać z nim na temat nie rozwikłanego od siedemnastu miesięcy zagadkowego morderstwa?

- Nie, dopóki stawia mi drinki, panie Watson - powiedział Sidney, rzucając uważne spojrzenie znad krawędzi szklanki.

Victor Watson usadowił się wygodnie na kanapie, poprawiając nienagannie wyprasowane spodnie od Nino Cerrutiego. Prócz nich miał na sobie brokatową kamizelkę - jedną z tych, które właśnie wróciły do mody (przynajmniej w Beverly Hills i okolicach), po pięćdziesięcioletniej nieobecności - oraz miękkie włoskie mokasyny.

Zauważył cyniczne spojrzenie zielonych oczu detektywa i powiedział:

- Kiedy jestem w moim biurze, to nie noszę ubrań z Paryża.

Sidney Blackpool zmusił się do uśmiechu, milcząco popijając whisky. Jak dotąd facet usprawiedliwiał się z powodu koszmarnego gustu swojej żony i zaboja projektu-jącego jego ciuchy. Dobrze, że chociaż płacił za drinka.

Jakby czytając myśli detektywa, Victor Watson uzupełnił zawartość szklanek i powiedział:

- Nie zamierza pan zapytać skąd wiedziałem, że pije pan Johnnie Walkera Black Label?

Victor Watson zachichotał cicho, a jego oczy na chwilę nabrały innego blasku.

- Wiem, że to dziecinna sztuczka, ale takie rzeczki robią wrażenie na idiotach z tego miasta. Zadzwoiłem na posterunek i zapytałem pańskiego przełożonego, a on z kolei pańskiego partnera.

- Mój partner jest na urlopie. Wraca za dwa tygodnie.

- Wiem. Powiedziano mi. W takim razie musiał spytać kogoś innego.

- Nie mam nic przeciwko temu - odezwał się Sidney. Szkocka rozgrzewała mu przętyk i żołądek. Pomyślał, że jeśli pójdzie tak dalej, to może i zacznie tolerować tego faceta.

- Ile ma pan lat, sierżancie? - zapytał Victor Watson.

- Czterdzieści dwa.

- Ja mam zaledwie pięćdziesiąt dziewięć, a pan pewnie myślał, że o dziesięć więcej.

- Nie powiedziałem tego.

- Nie ma sprawy. Wiem, jak wyglądam. Życie mie nie rozpieszczało. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, spędziłem dwa dni jako gość w pańskim areszcie. Sprzedawałem wtedy z ciężarówki kanapki dla robotników z fabryki odzieżowej i dostałem kilka mandatów za niewłaściwe parkowanie. Nie miałem dość forsy, żeby je zapłacić. Pewnego dnia jakiś gliniarz wylegitymował mnie i zaraz aresztował. Sędzia powiedział: „Pięćdziesiąt dolarów, albo trzy dni”. Nie miałem takiej forsy. Więzienie na Lincoln Heights było cholernym miejscem. Trzy razy musiałem walczyć żeby uratować swoją cnotę.

- Udało się?

- Na jakiś czas tak - powiedział. - Potem ożeniłem się i kiedy pomagałem żonie przy jednym z jej filmów, nie raz zostałem wycyckany przez tych fagasów z branży.

Sidney Blackpool złapał się na tym, że znowu zaczyna chlać, a przecież właśnie obiecywał sobie nie robić tego więcej. Cholera, przecież jeśli miał wysłuchać historii życia tego faceta...

- Proszę się częstować - powiedział Victor Watson, a detektyw nalał sobie obfitą porcję whisky.

- Ludzie myślą, że dorobiłem się pieniędzy na inwestycjach - ciągnął Watson, powoli sącząc drinka - ale tak naprawdę to znam się tylko na handlu. Potrafię sprzedawać wszystko: dywany, samochody, rupiecie, nieruchomości i ziemię.

Sidney Blackpool poczuł, że odpywa. Słońce wpadało do pokoju przez zachodnie okna, a dwunastoletnia whisky sprawiała, że pięćdziesięciodziewięcioletni Victor Watson wydawał się być starym kumplem.

- W tych stronach najbardziej liczy się sława - ciągnął Watson.

- Wielu spośród facetów, którzy pojawiają się na łamach „Forbes” dostaje po

nosie od pierwszego lepszego kelnera w mieście. Jeśli naprawdę ci na tym zależy, to stajesz przed wyborem: albo wykupisz koncesję na prowadzenie obiektu sportowego, co jest drugim najgorszym sposobem na robienie forsy, albo zainwestujesz w przemysł filmowy, co jest absolutnie najgorszym rozwiązaniem. Ja odkryłem trzeci wariant i ożeniłem się ze sławną aktorką. Jak wybieramy się do restauracji, to zamawiam stolik na jej nazwisko. Jak robią mi zdjęcia, to zawsze tylko z nią. Na przyjęcia chodzę dlatego, że ją zapraszają. Od pewnego czasu mogę robić to, na co tylko mam ochotę, bo i tak wszędzie mnie rozpoznają. Gra pan w golfa?

- Tak - skinął głową.

- Musimy kiedyś razem zagrać. Lubię pole golfowe w Bel Air. Należę do kilku różnych klubów, ale rzadko mam okazję grać. Co pan wie o morderstwie mojego syna?

Ten facet potrafił zmieniać biegi bez użycia sprzęgła i zanim detektyw zdążył odpowiedzieć, Watson powiedział:

- Z pewnością czytał pan o zniknięciu mojego syna z naszego domu w Palm Springs oraz o tym, że znaleziono go zamordowanego na pustyni w pobliżu miejsciny o nazwie Mineral Springs.

- Nigdy nie dowiedziałem się, czy złapano...

- Nie złapano - rzekł Victor Watson i na sekundę jego oczy rozbłysły. Po chwili wstał i podszedł do okna, wpatrując się w słońce zachodzące gdzieś nad Santa Monica.

- Nie wiem, co mógłbym dla pana zrobić - odparł Sidney Blackpool.

- Twój wydział musi coś zrobić w tej sprawie, Sid - powiedział Victor Watson z nutą nerwowości w głosie. - Nie zamierzam dyskredytować gliniarzy z Palm Springs, ani nikogo innego, ale minęło przecież siedemnaście miesięcy i...

Victor Watson nie należał do facetów, którzy łatwo roztkliwiają się. Tym razem też zdołał się opanować. Uśmiechnął się, wrócił na kanapę i usiadł obok detektywa.

- Przyszło mi do głowy, że mój chłopak być może był w Hollywood tego dnia, kiedy zginął. Możliwe, że klucz do rozwiązania tajemnicy mordu na pustyni leży właśnie gdzieś w Hollywood.

A w takim przypadku wasz wydział powinien włączyć się do śledztwa, nieprawdaż?

- Chwileczkę, panie Watson... - Sidney'owi przestało się to podobać. Miał wystarczająco wiele spraw na głowie i bez tego.

- Posłuchaj mnie, Sidney - przerwał Victor Watson, pochylając się w stronę detektywa. - Wiem, że wciąganie ciebie w tę sprawę to drobne nadużycie, ale muszę

zrobić wszystko, żeby to śledztwo ruszyło z miejsca. Nie wiem do kogo się zwrócić. Przez ostatnie cztery lata władowałem masę forsy w kampanię republikanów, a F.B.I. zrezygnowało z prowadzenia śledztwa po trzech dniach! Policja z Palm Springs zamknęła śledztwo po sześciu miesiącach! Nadal do mnie dzwonią od czasu do czasu, ale nie mają żadnych nowych tropów. A mój syn, mój chłopak, on...

- Sądzę, że mógłbym wykonać parę telefonów, panie Watson - zaproponował detektyw. - Jednak proszę mi najpierw powiedzieć, dlaczego pan sądzi, że ta sprawa ma swoje źródło w Hollywood.

- Miałem trzydzieści sześć lat, kiedy urodził się Jack - rzekł Victor Watson. - Moje córki były już wtedy w szkole średniej. Moja pierwsza żona była już prawdopodobnie za stara na rodzenie dzieci, ale udało się. Miał iloraz inteligencji w granicach 140. Był utalentowanym pianistą. Wspaniale grał w golfa...Powiedz mi, czy wiesz co to jest depresja i rozpacz?

Nie czekając na odpowiedź, Victor Watson ciągnął dalej:

- Mogę ci powiedzieć, że rozpacz nie jest tylko ostrym stanem depresji. To coś znacznie gorszego. Depresja to czyściec, a rozpacz to piekło.

Detektyw omal strącił ze stolika chińską figurkę - tak szybko sięgnął po butelkę z whisky. Watson nawet tego nie zauważył. Po prostu mówił dalej monotonnym głosem, który brzmiał coraz bardziej pośepnie.

- Czy wiesz, jak czuje się mężczyzna, który traci syna? Czuje, że... jakby utracił jakąś część samego siebie. Cały świat wali się. Mężczyzna wciąż szuka utraconej części. Jest niekompletny. I wtedy... wszystkie jego marzenia i fantazje kieruje ku przeszłości. Cokolwiek przychodzi mu na myśl, dotyczy czasu sprzed czerwca ubiegłego roku, kiedy zadzwonili do niego z wiadomością o synu. Taki człowiek stara się za wszelką cenę cofnąć czas. Chce, żeby los dał mu jeszcze jedną szansę. Po co? Tego nie wie na pewno. Chce coś powiedzieć. Co? Tego też nie jest pewien.

Victor Watson westchnął głęboko.

- Chciałbym panu pomóc, panie Watson - Blackpool poczuł, że robi mu się dziwnie gorąco. Rozpiął kołnierzyk koszuli, zdjął krawat i wepchnął go do kieszeni płaszcza.

- Posłuchaj mnie, Sid - powiedział cicho Victor Watson. - Chciałbym wyłożyć tę sprawę...no...metodycznie. Taką mam już naturę. Początkowo ten ojciec nie potrafi nawet zmusić się do odebrania telefonu. Szczególnie dlatego, że wiele osób sądzi, iż

wypada mu złożyć kondolencje. Jeden z przyjaciół dzwoni do mnie cztery razy, a kiedy w końcu podchodzę do telefonu, tamten pyta: „Dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony? Pragnę dzielić z tobą twój ból”. Na co ja: „Ty cholerny sukinsynu. Gdybyś rzeczywiście mógł wziąć na swoje barki część mojej rozpacz, to bym ci ją oddał bez wahania! Oddałbym ci ją całą, ty głupcze!” Tak właśnie straciłem przyjaciela.

Sidney Blackpool zauważył, że Watson początkowo mówił w trzeciej osobie, zanim wreszcie zdołał zmusić się do zmiany na pierwszą.

- Przez pierwsze kilka tygodni wspominałem tylko złe chwile. Nie potrafiłem przywołać w pamięci tych dobrych, tych wszystkich wspaniałych rzeczy, które miały miejsce pomiędzy mną i Jackiem. Tylko problemy. I wiesz, co? Kiedyś gorzała wprowadzała mnie w dobry nastrój. Teraz prawie wcale jej nie tykam, bo sprawia, że robię się przygnębiony i złośliwy. Mogę ci dolać?

- Tak.

Detektyw zaczął masować kark. Rozbolała go głowa. Zrobiło mu się ciepło. Gorąco. Widział jak sufitowy wentylator rozwiewa papiery leżące na marmurowym biurku.

- Dwudziestego pierwszego czerwca ubiegłego roku mój dwudziestodwuletni syn, Jack, pojechał do Palm Springs po zakończeniu studiów na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Pojechał tam sam, ale miała do niego dołączyć narzeczona, która była na ostatnim roku Uniwersytetu Stanowego w Los Angeles. Był tam dwa dni, a potem zniknął. Razem z moim samochodem. Trzymam tam rolls-royce'a, ponieważ czasami latam do Palm Springs. Nasz tamtejszy służący zorientował się, że samochodu nie ma i zaniepokojony zadzwonił do nas. Jacka znaleziono dwa dni później na pustyni, w jakimś kanionie w pobliżu Mineral Springs. Miał przestreloną głowę, a samochód został spalony z nim w środku.

- Czy...hmm...czy on...

- Tak. Nie żył w chwili, gdy podpalili samochód.

- Oni?

- On, ona, oni. Ktokolwiek to był. Początkowo policja myślała że to był wypadek. Że samochód zjechał z drogi, wpadł do kanionu i zapalił się. Lecz autopsja wykazała, że pomimo iż ciało poddane było działaniu ognia, to nie stwierdzono śladów dymu w płucach i tlenku węgla we krwi. Dopiero później odnaleziono w jego czaszce ślad po kuli kaliber trzydzieści osiem. Zafatwałem innego patologa, by wydał niezależną opinię, lecz on tylko potwierdził fakt: Jack nie żył lub konał w chwili, gdy podłożono ogień. F.B.I. nazwało to zwykłym przypadkiem morderstwa. Być może było to

porwanie o tragicznym finale, lecz jego wyjaśnienie nie należy do ich kompetencji. Policja z Palm Springs też dała za wygraną. Myślałem o wynajęciu prywatnego detektywa, ale wiem jaka jest różnica między detektywami w kryminalnych filmach a tymi rzeczywistymi. Gdyby nawet założyć, że udałoby mi się znaleźć kogoś naprawdę dobrego, to przecież gliny nie puszczą pary z ust i nie zechcą współpracować.

- W takim razie w jaki sposób zaangażował się w to Wydział Policji z Los Angeles?

- To najlepsza rzecz jaka mogła mi się przytrafić - rzekł Victor Watson. - W poniedziałek dostałem wiadomość z salonu samochodowego rolls-royce'a w Hollywood, że muszę zgłosić wóz do przeglądu. Do notatki dołączona była karteczka, że zapomniałem obciążyć mnie rachunkiem za oponę kupioną dwudziestego czerwca zeszłego roku. Tego dnia właśnie zniknął Jack! Oczywiście natychmiast popędziłem tam i kierownik warsztatu rozpoznał Jacka na zdjęciu. Mój chłopak był u nich tamtego popołudnia rolls-roycem i zamówił nową kompletną oponę, ponieważ z jednej ulatywało powietrze.

- Zawiadomił pan o tym policję z Palm Springs?

- Wczoraj. Oczywiście, podziękowali mi. Powiedzieli, że wyślą kogoś, aby to sprawdzić. To znaczy, że dowiedzą się tego samego co ja i umieszczą to w aktach. Ale przecież przestępstwo mogło mieć swoje źródło w Hollywood. Jack mógł tu spotkać kogoś lub zostać porwany. Może zabrał jakiegoś autostopowicza albo...

- Trochę za dużo tych przypuszczeń, panie Watson - powiedział Sidney Blackpool, powstrzymując się od kolejnego sięgnięcia po butelkę Johnny Walkera. - Ta sprawa należy do jurysdykcji posterunku z Palm Springs.

- Ale im brakuje konceptu, żeby ruszyć do przodu z tą sprawą. A ja już dawno ogłosiłem, że dam pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody za jakąkolwiek istotną informację. Wasz wydział jest duży, Sid. Macie większe możliwości.

- Proszę posłuchać. Większość morderstw i przypadków przestępstw rozwiązuje się przy pomocy gęby - poprzez niezliczoną ilość rozmów i przesłuchań - a nie w wyniku badań medycyny sądowej. To jest ich miasto. Wiedzą z kim należy pogadać. Nie mogę tak po prostu wkroczyć na ich teren i zająć się ich sprawą.

- Musi być na to jakaś rada. W tych pustynnych miastach jest wiele nierozwiązanych morderstw. Może potrafiłbyś skierować choć to jedno śledztwo na nowe tory.

- Kurorty to miejsca, gdzie jest pełno przyjezdnych - wtrącił detektyw. - To zupełnie naturalne, że tam trudniej o ustalenie sprawcy morderstwa. Ale to wcale nie oznacza, że tamtejszej policji brak kompetencji.

- Jedyne czego się domagam, to świeże spojrzenie na sprawę ze strony Wydziału z L.A. Ktoś zabił mojego syna i spalił jego ciało. Ktoś zostawił go na pustyni...Dobrały się do niego zwierzęta...kojoty, skunksy, drapieżne ptaki...Pustynne ścierwo.

- Powiem panu szczerze. Po tak długim czasie rzeczywiście trudno liczyć na sprawiedliwość, panie Watson - Sidney Blackpool poddał się i sięgnął po butelkę Johnnie Walkera Black Label. Tym razem nalał sobie nieco mniej.

- Wiem, Sid. Nie chodzi mi o sprawiedliwość.

- W takim razie o co?

- O zemstę, oczywiście.

- Zemstę? I to ja mam pomścić pańskiego syna?

- Zidentyfikować mordercę lub morderców, nawet jeśli nic będziesz miał dowodów koniecznych do aresztowania. Nawet jeśli poszlaki będą zbyt słabe, żeby usatysfakcjonować prokuratora okręgowego.

- A co pan wtedy zamierza?

Victor Watson znów wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż okna. Słońce już prawie schowało się za horyzont i twarz Watsona miała siny kolor w jego promieniach. Po chwili odezwał się:

- Niedawno oglądałem w telewizji dokumentalny film o małpach. Jane Goodall mówiła, że jedna z jej podopiecznych zabiła dziecko innej samicy. Pani zoolog nie rozumiała, pomimo rozległej wiedzy, że są one zdolne do typowo ludzkich odruchów okrucieństwa. Do diabła, to przecież żadne odkrycie. Prawdziwą niespodzianką byłoby, gdyby samica - matka zabitego dziecka - zaskoczyła tę drugą podczas snu i roztrzaskała jej czaszkę. Tym właśnie różnimy się od naszych małpich przodków. To całe gadanie o świadomości kanonów moralnych jest bzdurą. Tym, co różni nas od zwierząt jest potrzeba i pragnienie zemsty.

- Chce pan, żeby morderca usmażył się w ogniu, prawda? To robota dla Charlesa Bronsona, nie dla mnie.

Victor Watson odwrócił się w stronę policjanta. Teraz wyglądał jak starzec. Na jego twarzy kładły się cienie, policzki miał zapadnięte.

- Nie bądź niemądry. Nie jestem mordercą. Ale mam dość forsy, aby ukarać winnych w inny sposób. Mogę zemścić się nie czyniąc nikomu fizycznej krzywdy.

Nagle Sidney Blackpool poczuł gwałtowny bolesny skurcz.

- Nie zmienia to faktu, że czułbym się dwuznacznie prowadząc to śledztwo, panie Watson - powiedział detektyw, czując że oblewa go fala zimnego potu. Koszulę miał całkiem moką pod pachami.

- To w niczym nie pomoże jego matce. Zupełnie nie potrafi się z tego otrząsnąć. A ja próbowałem już wszystkiego: psychoterapii, religii, filozofii zen. Nic nie jest w stanie pomniejszyć mojej wściekłości i żalu. Jestem pewien, że właśnie ty mógłbyś mi pomóc. Przecież dzięki intuicji jestem tym, kim jestem.

- Ja? Jestem jednym z wielu glin w sekcji zabójstw w Hollywood. Przyszli mnie, bo nie mieli nikogo innego pod ręką.

- Prosiłem, żeby przyszli właśnie ciebie - powiedział Victor Watson.

- Prosił pan o mnie?

- Tak. Przeprowadziłem rozeznanie wśród wydziałów do spraw zabójstw. Gdyby okazało się, że w dniu morderstwa widziano Jacka w naszym domu w Bel-Air, dotarłbym do posterunku w dzielnicy zachodniej i tam odszukałbym kogoś, kto mógłby poprowadzić dalej tę sprawę.

- Czego dowiedział się pan o mnie?

- Tego, że jesteś dobrym oficerem śledczym, że pijesz Johnnie Walkera Black Label i grasz w golfa. Pomyślałem sobie, że to ostatnie stanowi dobry omen. Należę do jednego z klubów golfowych w Palm Springs i mógłbym ci ułatwić wstęp. Tylko zabierz z sobą kije.

- Sądzi pan, że mój wydział zgodzi się na to, abym rzucił wszystko i pojechał, ot tak sobie, do Palm Springs?

- Weźmiesz tydzień zaległego urlopu, Sid. Zabierzesz z sobą swojego partnera. Dowiedziałem się, że zostało mu jeszcze dziesięć dni urlopu. Wynajmę dla was apartament w jednym z najlepszych hoteli. Spodoba się wam. Mam przy sobie kopie wszystkich policyjnych raportów w tej sprawie - Watson uderzył dłonią w blat biurka. - Możesz je przestudiować w wolnych chwilach podczas cholernie miłych wakacji. Twój przełożony powiedział, że nie będzie problemu.

- To nierozsądne.

- Jesteś najlepszym facetem, jakiego mogę w tej chwili załatwić.

- Jak to się stało, że poznałeś mojego szefa?

- Jestem jednym ze sponsorów olimpiady policyjnej i głównego turnieju golfowego. Poza tym mam zamiar udzielić poparcia twojemu szefowi, gdyby zechciał po

przejściu na emeryturę kandydować na stanowisko burmistrza. A przedstawił mnie jemu jego zastępcą.

- Czego jeszcze dowiedział się pan o mnie?
- Wiem o twoim synu.
- Cholera! - Sidney Blackpool zaklął, zaskoczony tym, jak bardzo poci się rozmawiając sobie przy darmowym drinku o wakacjach i grze w golfa.
- Kiedy rozmawiałem z porucznikiem o moim chłopcu, powiedział, że ty też straciłeś syna w tragicznych okolicznościach. Utonął w morzu, kiedy pływał na desce surfingowej.
- Porucznik nie potrafi trzymać języka za zębami.
- To kolejny omen! Nawet więcej. Pomagając mi, pomożesz sobie. Jak ojciec ojcu. Moje dążenie do sprawiedliwości mogłoby w jakiś mały sposób...
- Sam pan powiedział, że nie zależy mu na sprawiedliwości. Niechże pan posłucha, panie Watson, mój chłopak nie żyje od czternastu miesięcy. Już prawie udało mi się osiągnąć jako taką równowagę. Niepotrzebne mi to pieprzenie o ojcach.
- Gdybym tylko mógł kupić sobie spokój, to nie wahałbym się ani przez chwilę. Po raz pierwszy od lat tak bardzo czegoś potrzebuję i nie mogę tego po prostu kupić. Czuję się zupełnie bezradny. Słuchaj, przepracowałeś już swoje dwadzieścia lat w policji, prawda?
- Dwadzieścia jeden - poprawił Sid.
- Mógłbyś przejść na emeryturę, gdybyś mógł sobie na to pozwolić, zgadza się? Prawdopodobnie musisz słać alimenty byłej żonie?
- Nie. Ta jędza zrobiła dobry uczynek. Ponownie wyszła za mąż parę lat temu.
- Masz jeszcze jakieś dzieci?
- Siedemnastoletnią córkę. Mieszka z matką.
- Ja tylko improwizuję, Sid. Tak naprawdę, to niewiele o tobie wiem - tylko to, co jest mi potrzebne. Wymyśliłem sobie, że chyba miałbyś ochotę rzucić to wszystko w cholerę, ale nie utrzymałbyś się z samej emerytury, prawda? Znasz zastępcę szefa, Phila Jenksa?
- Przeszedł na emeryturę parę lat temu. Znałem go.
- Pracuje jako dowódca straży przemysłowej w Watson Industries. Jest też doradcą do spraw bezpieczeństwa dla trzech firm zajmujących się telefonią komórkową, które ściśle współpracują z moją firmą w San Francisco i w San Diego. Płacę mu dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.
- Niezła forsa.

- Zamierzałem podnieść mu pensję do stu tysięcy, kiedy nagle zachorował. Miał zawał w zeszłym miesiącu. Wygląda na to, że będziemy musieli znaleźć kogoś na jego miejsce. Tym razem szukamy kogoś młodszego. Oczywiście, musi to być emerytowany glina. Zależałoby nam, żeby to był ktoś samotny, któremu nie będą przeszkadzały wyjazdy służbowe do różnych pięknych miejscowości.

- Nie mam pojęcia o komputerach, panie Watson.

- Ale znasz się na złodziejach, prawda? Złodziej zawsze będzie złodziejem. Cóż więcej trzeba wiedzieć? Sid, jeśli załatwisz dla mnie tę sprawę - tam na pustyni - to uznam, że masz wszelkie konieczne kwalifikacje, by dostać tę robotę. Z Philem Jenksem zawarłem wyjątkowo korzystną umowę. Gdyby mu nie spodobała się praca u mnie, miał prawo ją rzucić, a ja i tak zapłaciłbym mu roczną odprawę. Zadzwoń do niego. Dam ci jego numer. Zapytaj, czy podobała mu się robota. On też grywa w golfa. Mamy bezpłatne członkostwo w klubach w San Diego, San Francisco i Denver. Mamy karnety na wszystkie gry Lakersów w sezonie i...

- No, dobra już, dość - przerwał Sidney Blackpool. - Mam migrenę jak Kareem Abdul Jabbar.

- Zadzwoń do mnie jutro, Sid - powiedział Victor Watson, otwierając dla detektywa drzwi. - Pamiętaj, że jeśli nic z tego nie wyjdzie, to i tak będziesz miał wspaniałe darmowe wakacje w Palm Springs. Opłacę wam wszystkie koszty...wszystkie.

- Nigdy bym się nie spodziewał czegoś takiego - odezwał się Blackpool.

- To dobry omen, Sid - głos Victora Watsona był głęboki. - Może jesteśmy z sobą związani. Bo obaj to rozumiemy.

- Co takiego?

- Odwieczny związek ojców i synów. Rozumiemy go. Muszę wyrównać rachunki, Sid. Muszę wyrównać rachunki za moją...bezsilną...pieprzoną... wściekłość.

- Zadzwoń, tak czy tak.

- Zadzwoń - powiedział Victor Watson zamykając drzwi salonu.

Detektyw ruszył w kierunku wyjścia, mijając wazy i urny. Przemknęło mu przez głowę, że te wszystkie antyczne skorupy warte są dziesięć razy więcej, niż suma zaofiarowanego mu kontraktu. Wskutek tego poczuł, jak gdyby jakaś mysz pływała na narciach wodnych w jego brzuchu. Miał nadzieję, że szybko znajdzie drogę do toalety.

ROZDZIAŁ III

Muzykant

- Przysyłajcie nam nadal ludzi przegranych, biedaków i wszystkie męty z okolicy - powiedział kiedyś Paco Pedroza na zebraniu szefów policji z Doliny Coachella. - Przysyłajcie nam wszystkich nieudacznym policjantów, którzy nie sprawdzili się na waszym terenie, ale nie przysyłajcie nam spraw do rozwiązywania! Mam u siebie jednego oficera dochodzeniowego, a jeśli chodzi o laboratoria do naszej dyspozycji, to jedyne jakie działają na moim terenie są siedliskiem przestępczości. Mam na myśli nielegalne, zakonspirowane laboratoria produkujące narkotyki, kierowane przez gangi motocyklowe. Tak więc, jeśli któreś z waszych dochodzeń zaczepia o teren Mineral Springs, to musicie dać sobie radę bez większej pomocy ze strony mojej dziewięcioosobowej ekipy.

Paco Pedroza nigdy nie miał problemów z doprowadzeniem spraw do końca do czasu zniknięcia Jacka Watsona w 1983 roku. Victor Watson mieszkał w Las Palmas - starej części Palm Springs - niegdyś dzielnicy rezydencji gwiazd Hollywood. Teraz najlepsze adresy przemieściły się w dół doliny, ale w dobrych, dawnych czasach Las Palmas było modną dzielnicą. Domy są tam duże, ukryte za wysokimi murami i gąszczem oleandrów. Ulice natomiast kręte i niejeden niedoświadczony glina zgubił się w ich labiryncie, ścigając jakiegoś sprytnego dzieciaka.

Mieszkańcy Las Palmas, szczególnie ci starsi, rzadko wybierali się na zakupy. Produkty spożywcze i inne niezbędne towary rozwożone są po okolicy przez wozy dostawcze bezpośrednio do domów. Właśnie jeden z kierowców takiej dostawczej furgonetki - chłopak karany wcześniej za włamania - przesłuchiwany był przez trzy godziny na posterunku w Palm Springs, nazajutrz po zniknięciu Jacka Watsona. W dzień po zniknięciu Jacka Watsona, zanim jeszcze jego przerażeni rodzice zdążyli przylecieć prywatnym odrzutowcem do Palm Springs z Los Angeles, policja w Las Palmas rozpoczęła intensywne śledztwo. Początkowo sądzono, że młody mężczyzna mógł zostać porwany z sypialni podczas snu. Łóżko było bowiem nie zasłane, system alarmowy nie włączony, a drzwi do gościnnej sypialni nie zamknięte.

Dom Victora Watsona doskonale zabezpieczono przed włamywaczami. Był wyposażony w zestaw dwunastu czujników podczerwieni, które tworzyły zamknięty obwód wokół domu. Czujniki kosztowały 1000 dolarów za parę. Były umieszczone wysoko na płocie okalającym posesję. Zostały tak zaprojektowane, aby wykryć każdą próbę przejścia przez parkan, lecz nie były podłączone do systemu rejestrującego wewnątrz budynku. Uruchamiały one jedynie sygnał dźwiękowy, który miał zaalarmować domowników, sąsiadów lub przejeżdżające w pobliżu wozy patrolowe. Powodem, dla którego system nie był podłączony do przekaźnika radiowego lub linii telefonicznej, była zbyt duża ilość fałszywych alarmów. Sygnał mógł być uruchomiony przez ptaki, zwierzęta lub nawet opadające liście.

Czujnik miał nadajnik, który wysyłał niewidzialny promień w kierunku specjalnie skonstruowanego lusterka, gdzie następowało jego odbicie i powrót do odbiornika. Istniało bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś doskonale znający się na działaniu systemu i posiadający szczególne umiejętności, mógł przerwać bieg promienia przy pomocy innego lusterka i skierować go precyzyjnie w kierunku odbiornika. James Bond umiałby to zrobić, gdyby to było konieczne, ale nie oprychy z Palm Springs.

W pierwszych dniach śledztwa policjanci i agenci z F.B.I. natknęli się na wiele fałszywych poszlak, a Victor Watson miotał się po okolicy z bezprzewodowym telefonem w dłoni, doświadczając po raz pierwszy bezsilności. Następnego dnia o szóstej po południu otrzymał telefon. Jakaś kobieta donosiła, że Jack Watson przetrzymywany jest „opodal na pustyni” i kazała czekać na dalsze instrukcje. Oczywiście, „opodal” mogło znaczyć gdziekolwiek na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych. Victor Watson miał wrażenie, że w tle głosu słyszał syk pneumatycznych hamulców i odgłosy przejeżdżających z dużą szybkością samochodów. Był to jedyny ślad poza tym, że jakiś starszek, sąsiad Watsonów, zauważył tamtego dnia czerwoną furgonetkę typu pick-up, zawracającą na podjeździe ich domu. To mogło nic nie znaczyć, ale były to jedyne tropy w sprawie.

O ósmej po południu na posterunku policji w Mineral Springs odezwał się telefon. Dzwoniono z Wydziału Policji w Palm Springs, w chwili gdy Paco Pedroza właśnie kończył w domu kolację, a żaden z jego sierżantów nie znajdował się na posterunku. Na nieszczęście dla Paco, policjantem, który odebrał telefon był Oscar Albert Jones, dwudziestoczteroletni gliniarz, poprzednio pracujący przez rok w Laguna Beach, a przez następny w Palm Springs. Kiedy O.A. Jones pracował jeszcze w Palm Springs,

sporo czasu spędzał na strzelaniu ze swej automatycznej dziewiątki do gołębi i drobnych gryzoni. Stworzenia te były jednak całkowicie bezpieczne: O.A. Jones rzadko bowiem trafiał. Niemniej, zupełnie nie zrażony brakiem efektów, zużywał pudełko amunicji każdego wieczora. Pewnego razu tak go poniosło, że wystrzelał cały jej przydział - do ostatniego naboju. Gdy kumple stwierdzili ten fakt, ochrzcili go mianem Ostatni Amunicyjny Jones.

Tej nocy, kiedy O.A. Jones postanowił zrezygnować z pracy w Wydziale Policji w Palm Springs i przenieść się do Mineral Springs, patrolował właśnie Indian Avenue. W pewnej chwili spostrzegł podchmielonego faceta, który zataczając się, usiłował przejść przy czerwonym świetle na drugą stronę ruchliwej ulicy. O.A. Jones ruszył za ubranym w szorty i obszerną koszulę mężczyzną, gdy ten znalazł się już na chodniku po drugiej stronie jezdni. Zbliżając się rozpoznał Hiramą Murphy, najstarszego syna Moms Murphy, szefowej rodzinnego klanu, którego członkowie, cygańskim zwyczajem, wędrowali po pustynnych kurortach, obrabiając emerytów z oszczędności. Uzyskany szmal zamieniali na narkotyki. Nieco wcześniej ludzie z Wydziału znaleźli świeże ślady po ukluciach na przedramionach najmłodszego z synów Moms, Rudolpha. Chłopak miał dziewiętnaście lat, lecz umysł co najmniej sześciolatka. Braciszkwowie ładowali w niego heroinę, ponieważ to go uspokajało. Nietrudno się domyśleć, że rodzinka Moms Murphy sprawiała glinom sporo kłopotów. Można zatem zrozumieć satysfakcję O.A. Jonesa, gdy ujrzał Hiramą w stanie koszmarnego zamroczenia prochami i barową whisky.

- Cześć kretynie - odezwał się O.A. Jones, podjeżdżając samochodem do Hiramą.
- Jesteś za bardzo naładowany, żeby iść. Przejedziemy się.

Hiram Murphy, gburowaty i złośliwy, był cholernym tchórzem. Nie wdałby się w żadną bójkę, a tym bardziej z młodym gliniarzem, gdyby nie miał w odwodzie przynajmniej jednego z braci uzbrojonego w młotek ciesielski. Wymamrotał kilka wulgarnych przekleństw dając się w końcu zakuć w kajdanki i wsiał na tylne siedzenie policyjnego wozu.

Jadąc na posterunek O.A. Jones postanowił przeprowadzić „test kratowy”. Kilkakrotnie szeptem powiedział coś do zatrzymanego, czego tamten - nafaszerowany wodką i prochami - nie był w stanie dobrze usłyszeć ani, tym bardziej, zrozumieć.

- Gadajże głośniej, do cholery! - wrzasnął Murphy, rozdrażniony sytuacją i niepokieszony faktem, że znajdzie się w areszcie bez mamuśki.

Zrobiło się już na tyle ciemno, że O.A. Jones musiał włączyć światła samochodu. Po raz kolejny odwrócił się do Hirma i coś tam powiedział. Tym razem Murphy wściekł się. Pochylił się w stronę kraty oddzielającej kierowcę od zatrzymanego i warknął:

- No, gadajże głośniejszy, ty cholerny dupku! Co z tobą?!

W ułamku sekundy O.A. Jones nacisnął z całej siły na hamulec. Hiram Murphy wyrzucił głowę w metalową kratę, rozkwazając sobie twarz. Po dłuższej chwili, gdy przestał miotać przekleństwa i wyc z bólu, policjant odezwał się głośno:

- Jakiś kundel przebiegł mi drogę. Wybacz, ale musiałem ostro hamować, żeby nie przejechać biedactwa.

Tak wyglądał „kratowy test” Hirma Murphya'ego.

Byli o kilka przecznic od posterunku, gdy O.A. Jones dostał przez radio wiadomość, że oddano strzały do policjantów z patrolu. Pościg za napastnikami prowadzono autostradą 111. W przeciągu dziesięciu sekund O.A. Jones poczuł nagły przypływ adrenaliny i dodał gazu, przyłączając się do kolegów.

W trzydzieści minut po zapadnięciu zmroku dwanaście wozów patrolowych ścigało BMW. Jednostki z Palm Springs, Indio i Mineral Springs pędziły międzymiastową autostradą nr 10 - początkowo w stronę Indio, a później z powrotem, gdy ścigany samochód zawrócił z piskiem opon na autostradzie.

Okazało się, że kierowcą ściganego BMW był znany policji „rabuś ze stoperem”. Nazwano go tak, ponieważ zawsze dokładnie sprawdzał czas w trakcie dokonywania przestępstwa. Jak dotąd udawało mu się zbiec po obrabowaniu czterech banków w miastach Doliny Coachella. Znikał, zanim policjanci docierali na miejsce po odebraniu sygnałów alarmowych. Tego wieczora „rabuś ze stoperem” kluczył ulicami po skoku na bank w Indian Wells, gdy natknął się na patrol drogowy, który usiłował zatrzymać go za błahe wykroczenie.

Pościg trwał. Bandzior pędził przez Montetey Avenue w Palm Desert, kiedy O.A. Jones, wysłuchawszy w radiu komunikatów, postanowił zjechać mu drogę. Dostrzegł światła nadjeżdżającego z przeciwnej strony BMW i zdecydował jechać prosto na nie, skręcając w ostatniej sekundzie, aby uniknąć czołowego zderzenia. Niestety, minimalnie się spóźnił. Hiram Murphy wydzierał się wniebogłosy, gdy wóz policyjny uderzył

prawą stroną w maskę rozpędzonego BMW. Siła uderzenia obróciła samochód O.A. Jonesa o 360 stopni, rzucając na słup telefoniczny. BMW natomiast, wyrzucone w powietrze, wylądowało na palmie daktylowej, a jego kierowca wypadł z pojazdu i runął na asfalt tuż obok zakutego w kajdanki, martwego Hirama.

O.A. Jones był mocno zapięty pasami bezpieczeństwa i dla niego wypadek skończył się tylko niegroźnym wstrząsem oraz krwawieniem z nosa. Zdał jednak sobie sprawę, że może mieć kłopoty. To wszystko, na co było stać jego skołowany mózg. Po kilku minutach miejsce wypadku dosłownie zaroilo się od samochodów z wyjąłymi syrenami. O.A. Jones wiedział, że nieodpowiedzialne włączenie się do pościgu, z zakutym w kajdanki aresztantem na tylnym siedzeniu, może spowodować, że wyląduje w mamrze za nieumyślniej spowodowanie śmierci. Widział też, że leżący na szosie Hiram Murphy jest bezwładną kupą mięsa.

O.A. Jones usiłował za wszelką cenę wydostać się z samochodu i naprędce wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, gdy podszedł do niego policjant z patrolu drogowego.

- Z tobą wszystko w porządku? - zapytał.

- Chyba tak - wymamrotał O.A. Jones, mając nadzieję, że wsadzą go do osobnej celi. Jeśli bowiem wyląduje we wspólnej, to jako glinę załatwią go w trzy minuty.

Po chwili ten z drogówki powiedział:

- Niepotrzebnie zakładałeś mu kajdanki. Jest martwy jak kamień. Tak samo jak ten drugi.

O.A. Jones starał się zrozumieć to, co do niego dotarło, kiedy usłyszał głos drugiego gliniarza.

- Cholera, myślałem, że w tym BMW siedział tylko jeden. Ten drugi musiał ukryć się na tylnym siedzeniu. Możesz mu ściągnąć kajdanki. Jest martwy jak stara karta kredytowa.

Tak też zrobili. Oddali kajdanki O.A. Jonesowi, który powoli dochodził do siebie i rozważnie trzymał głowę na kłódkę.

W gazetach napisali o śmierci „rabusiów ze stoperem”, z których jeden był członkiem bandy pustynnych włóczęgów. Kumple Hirama do końca nie mogli uwierzyć, że był on zdolny do takiej roboty. Znali go jako drobnego handlarza narkotykami, pospolitego kieszonkowca, który nigdy w życiu nie obrobiłby banku! Po niedługim czasie Moms Murphy przemyślała wszystko i doszła do wniosku, że jej chłopak, Hiram, nie był takim pieprzonym głupcem, za jakiego go powszechnie uważano. Może prowadził drugie życie?! Hiram kierowcą słynnego „rabusia ze stoperem”! Moms Murphy zaczęła odczuwać coś na kształt dumy.

Jednak sierżant z Palm Springs, który dokonał oględzin obu samochodów, miał pewne podejrzenia. Jak to możliwe, że na roztrzaskanej tylnej szybie wozu patrolowego znalazła się krew? Przychodziły mu do głowy różne dziwne pytania.

- Szkoda, że samochody nie mają czarnych skrzynek, tak jak samoloty powiedział do O. A. Jonesa. - Wtedy może dowiedziałbym się, co zaszło naprawdę.

Czując pismo nosem, O.A. Jones zaryzykował: - Sierżancie, wie pan co? Podobno Paco Pedroza z Minerale Springs poszukuje jakiegoś doświadczonego gliny. Pomyślałem, że mógłbym tam pojechać i zapytać o robotę. Może nawet dzisiaj?

- Zaczekaj do jutra powiedział sierżant. - Powinno mu zależeć na człowieku, który powstrzymał „rabusia ze stoperem”. I jego współnika.

Tak więc O.A. Jones zdecydował się zamienić opaleniznę z Palm Springs na piachy Mineral Springs. Spotkał sierżanta Harry'ego Brighta, który przekonał Paco, że O.A. Jones to „dobry chłopak” i powinien nadal pracować jako stróż prawa.

Właśnie O.A. Jones był na służbie tego dnia, kiedy zadzwoniono na posterunek z informacją, że ktoś zażądał okupu za porwanego Jacka Watsona.

Posterunek w Mineral Springs zawiadomiono dlatego, ponieważ Victorowi Watsonowi wydawało się, iż w tle rozmowy telefonicznej słyszał syk powietrza charakterystyczny dla pneumatycznych hamulców. Wywiadowcy z F.B.I, sądzili więc, że porywacze mogli dzwonić z parkingu dla ciężarówek lub z przydrożnej restauracji. W związku z tym poprosili jedynie o sporządzenie listy takich miejsc znajdujących się na obszarze podległym posterunkowi w Mineral Springs oraz przekazanie jej do sztabu akcji w Palm Springs.

To w sam raz wystarczyło O. A. Jonesowi, który chciał za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie na swoim nowym szefie. Paco Pedrozie. Wybiegł z posterunku, wskoczył do wozu patrolowego i ruszył w kierunku parkingu dla ciężarówek, położonego przy autostradzie w Twentynine Palms. Niestety, już w drodze zorientował się, że wsiadł do samochodu, który miał niesprawne radio.

Resztę nocy O. A. Jones spędził na wznicianiu tumanów pyłu na każdej drodze w promieniu kilkunastu kilometrów od parkingu dla ciężarówek, dwa razy niemal grzęznąc w piasku. Noce na pustyni są zazwyczaj chłodne, nawet w okresie lata. O.A. Jones mógłby spokojnie powrócić na posterunek jeszcze przed zakończeniem nocnej służby i wschodem słońca, gdyby nie to, że jego samochód za trzecim razem ugrzązł na dobre, a on sam skręcił nogę w kostce, podczas próby wydostania wozu z piaszczystej wydmy.

Wkrótce potem na pustyni prowadzono równoległe dwie akcje: szukano syna Victora Watsona i policjanta z posterunku w Mineral Springs, O.A. Jonesa.

Agent F.B.I., który po południu z pokładu śmigłowca patrolowego lustrował pustynię, miał zapewnione wspaniałe widoki. Pilotem był weteran wojny wietnamskiej o ksywie Pegaz. Zatankowali paliwo i polecili w kierunku Salton Sea, jeziora położonego 72 metry poniżej poziomu morza, na miejscu prehistorycznego akwenu, którego dawna linia brzegowa wypłukana była w białym wapieniu, poniżej grantowych stoków wzgórz.

Później polecili ponad Painted Canyon i dalej na północny-zachód, w kierunku Thousand Palms. Następnie zawrócili w stronę Palm Springs i przelecieli nad Wodospadami Andreasa, gdzie Frank Capra kręcił niektóre sceny „Zaginionego horyzontu”. Przeszukali okoliczne kaniony, w których teoretycznie mogli ukrywać się porywacze, jeśli prawdą było, że znajdowali się „opodal”. Pegaz skierował śmigłowiec na zachód, ku kanionom Litte San Bernardino Mountains, gdzie dotrzeć można było jedynie terenowym wozem o napędzie na cztery koła.

Powietrznego patrolu dokonano na kategoryczne żądanie Victora Watsona. Pegazowi bardzo podobała się mina agenta F.B.I., który zieleniał ze strachu pod wpływem akrobacji na niskim pułapie.

Na pustyni niewiele można przejechać kilometrów bez uzupełnienia paliwa. Podobnie jest jeśli porusza się piechotą. Człowiek może wycisnąć z siebie energię na przebycie piętnastu kilometrów pod warunkiem, że wypije z pięć litrów wody. Jeśli ma on jednak na sobie granatowy mundur, czapkę, 9 milimetrowy pistolet u pasa i drugi ukryty w specjalnym futerale pod nogawką spodni, wówczas dystans ten znacznie się ogranicza. Tym bardziej, jeśli ma skręconą w kostce nogę i żadnego pojęcia o zachowaniu na pustyni.

O.A. Jones był wyczerpany do tego stopnia, że nie mógł dalej iść. Położył się na piasku, sapiąc ciężko i wdychając powietrze, które przy samej powierzchni ziemi jest cieplejsze średnio o 10°C. Kiedy zebrał się w sobie na tyle, żeby kontynuować wędrówkę, zignorował obecność pustynnych ptaków, które takiemu szczerowi pustyni jak Bobrowy Ogon Bigelow wskazałyby obecność oczek wodnych. Nie miał pojęcia o tym, że późnym popołudniem przepiórki zawsze lecą w kierunku wody, tak samo jak

gołębie, do których przecież tyle razy strzelał. Nie wiedział o istnieniu roślin, wskazujących na istnienie płytkiej wody podskórnej. Przeszedł w pobliżu wapiennego wzniesienia, kryjącego wejście do małej grotki wypełnionej chłodną, czystą wodą. Szedł okrężną drogą, bo obawiał się spotkania z pumą, choć od trzydziestu lat nie widziano w tych stronach ani jednej.

Nachodziły różne myśli: Gdyby tylko lato nie przyszło tego roku tak wcześnie. Nie powinien w ogóle wyprowadzać się z Laguna Beach - swojego rodzinnego miasta. Gdyby nie przejął się tak bardzo porwaniem dzieciaka tego bogatego dupka. Gdyby nie zszedł z drogi w głąb kanionu, bo zdawało mu się, że zauważył ognisko. Gdyby tylko nie kręciło mu się w głowie i nie widział przelatujących w zwolnionym tempie ptaków. Gdyby nie piekły go tak ręce i nogi, a twarz nie robiła się bardziej niebieska od munduru. Gdyby...

Nagle O.A. Jones usłyszał muzykę. Pomyślał: „O kurwa, już po mnie. Aniołowie grają na pieprzonych harfach!” Po chwili znowu ten sam dźwięk. To było banjo! Ktoś grał na banjo i śpiewał.

Policjant zatrzymał się i nasłuchiwał. Nie miał pojęcia jak bardzo złudne może być wrażenie kierunku, z którego pochodzi dźwięk, odbijany od skalnych ścian kanionu, a upał zakłóca prawidłowe działanie zmysłów. O. A. Jones usłyszał gdzieś w górze dźwięk podobny do odgłosu włączanego silnika samochodu. Powoli, kuśtykając na zwicniętej nodze ruszył w przeciwnym kierunku.

W tym czasie Victor Watson otrzymał drugi telefon, podsłuchiwany przez agenta F.B.I., od tej samej kobiety. Tym razem nie sposób było nawet w przybliżeniu odgadnąć skąd dzwoniła. Poinstruowała Watsona, aby przygotował 250 tysięcy dolarów, w dziesiątkach i w dwudziestkach, i zapakował do dużej walizki. Kazała mu wsiąść do białego mercedesa i jeździć okrężną trasą, której przebieg nie pozwalał lokalnym glinom na wyciągnięcie wniosków. Miał wyjechać poprzez Whitewater Canyon, po czym, zawrócić na autostradzie nr 10, pojechać drogą nr 62 w kierunku Devil's Garden i z powrotem wjechać do Palm Springs od północy. Jasne było, że gdyby porywacze zamierzali obserwować samochód Watsona na całej trasie, to potrzebny byłby im do tego celu samolot lub helikopter. Jednostkami latającymi w dolinie tego dnia były wyłącznie rejsowe samoloty linii lotniczych oraz helikoptery policyjne. Kobieta nakazała Watsonowi dzwonić do domu dokładnie co dwadzieścia minut, co było

niemożliwe, zważywszy charakter wyznaczonej trasy, obejmującej pustkowiec w okolicy Little San Bernardino Mountains.

Po trzecim telefonie stało się jasne, że porywacze przystępują do akcji. Pani Watson odebrała telefon, gdy jej mąż już był w drodze. Rozkazano jej, aby przekazała mężowi, kiedy zadzwoni, że ma jechać autostradą nr 10 w kierunku zjazdu w stronę Thousand Palms, po czym zjechać na północ do oazy przy Dillon Road.

Jak się okazało rzekomi porywacze byli jedynie parą włóczęgów. Nazywali się Abner i Maybelle Sneed i utrzymywali się z uprawy marihuany w stanie Oregon, skąd przenieśli się na południe, kiedy policja zaczęła dobierać się do skóry takim jak oni. Przyjechali do Palm Springs na trzydniowe wakacje, przeczytali w gazetach o zniknięciu Jacka Watsona i sprawdzili hasło „Watson” w „Who is Who”. Później pojechali do apteki położonej najbliżej rezydencji Watsonów i w trakcie gdy Maybelle Sneed zajmowała aptekarza, Abner dopadł rejestru stałych klientów, gdzie odszukał numer telefonu milionera. Wszystko to zabrało zaledwie 120 sekund ludziom z ilorazem inteligencji w granicach 75. Victor Watson wydał ponad 15.000 dolarów na wyrafinowany system alarmowy chroniący jego rezydencję.

Jedynym niespodziewanym posunięciem ze strony dwojga spryciarzy było to, że Abner wynajął motocykl i czekał w ukryciu w pobliżu Pushawalla Palms na przejeżdżającego mercedesa Watsona. Ich plan wyglądał następująco: rozejrzeć się po niebie, czy w pobliżu nie widać policyjnych śmigłowców, po czym ruszyć za mercedesem, wyprzedzić go na autostradzie i pokazać kawałek papieru z napisem: „Wyrzucić forszę z samochodu, a niedługo dowiesz się, gdzie jest twój chłopak”.

Abner i Maybelle byli świetnymi plantatorami i doskonałymi producentami marihuany, starannymi i uczciwymi wobec klientów. Byli dumni z tego, że dostarczali ludziom produkt najwyższej jakości, zapakowany w słoiczki z gumkami i nalepkami, jak babcine konfitury. Ale zupełnie nie nadawali się na porywaczy. Abner spoglądał w niebo przez nową lornetkę, ale nie przyszło mu do głowy, że w mercedesie Watsona może znajdować się przekaźnik radiowy, który sygnalizuje obecność porywaczy agentom federalnym, oczekującym w śmigłowcach poza zasięgiem wzroku Abnera.

W chwilę po tym, jak Abner dosiadł hondy i dogonił mercedesa, sygnał od Watsona sprowadził Pegaza za sterami śmigłowca. W kilka sekund po wyrzuceniu przez Watsona walizki z pieniędzmi przez okno samochodu, agent F.B.I. widział Abnera jak na dłoni.

W tym czasie Maybelle siedziała w barze przy Dillon Road. Była to jedna z tych przydrożnych knajp, które sprzedają daktyle z Doliny Coachella, cukierki daktylowe i daktylowe koktajle mleczne. Maybelle właśnie piła trzecią szklankę koktajlu, kiedy ujrzała pędzącego na hondzie Abnera z uśmiechem na ustach i walizką na kierownicy. Gdy uruchomiła samochód, Abner zjechał na pobocze, ukrył motocykl w rowie pod rozłożystym tamaryszkiem i usiłował otworzyć walizkę.

- Abner, włącz do tego pieprzonego samochodu! - zaskrzeczała Maybelle. - Otworzymy ją później.

Ale on nie mógł się doczekać, by zobaczyć jak wygląda 250 tysięcy dolarów. Zaczął przeklinać Maybelle, tak jakby to była jej wina, że walizka jest zamknięta.

- Musimy się zmywać! - wydierała się Maybelle, wyskakując z samochodu i biegnąc w kierunku drzewa tamaryszkowego, pod którym Abner walił pięścią w walizę niczym goryl w telewizyjnej reklamie walizek i toreb podróży firmy Samsonite.

To Maybelle pierwsza zauważyła helikopter i zaczęła wrzeszczeć. W chwili gdy Pegaz zdał sobie sprawę, że został odkryty, błyskawicznie zbliżył maszynę do miejsca, gdzie stała para „kidnaperów”. Abner rzeczywiście wyglądał jak małpa z ręką uwięzioną w sidłach. Nie rozstawał się z walizką ani na chwilę, nawet gdy wskoczył do samochodu. Ciągle grzebał przy zamku walizki, podczas gdy Maybelle wyciągnęła spod siedzenia - niesprawny, jak się potem okazało - karabinek i wycelowała w stronę helikoptera.

- Chciałam ich tylko nastraszyć - powiedziała później.

Kiedy Maybelle gnała na północ po Dillon Road, Abner wyrzał przez okno samochodu w kierunku ścigającego ich śmigłowca. Błysk ognia z lufy był ostatnią rzeczą, jaką zobaczył.

Abner nie zginął na miejscu, a Maybelle udało się ująć z życiem, pomimo że przed końcem pościgu jeden pocisk trafił ją w nogę, a drugi utkwiał w okolicy kręgow szyjnych.

Był to typowy policyjny pościg. Zanim się skończył, wzięło w nim udział sześć różnych agend stróżów prawa, co jest rzeczą typową. Wszystkie samochody zawracały z piskiem opon na autostradzie, co jest bardzo typowe. Kilka jednostek pościgowych oddało strzały, co także można uznać za typowe. Trzydziestopięciminutowy pościg przeistoczył się niemal w regularną strzelaninę pomiędzy poszczególnymi jednostkami, co również jest dość typowe.

Nie był to szczególnie spektakularny pościg w historii takich akcji w tej części kraju. Na wielkich, otwartych przestrzeniach tego typu zabawy trwają znacznie dłużej. Szczęściem dla O.A. Jonesa było to, że pościg zakończył się w pobliżu odosobnionego kanionu, niedaleko od Mineral Springs, gdzie zdecydował się zatrzymać na odpoczynek. Wydawało mu się, że jest z nim niedobrze, bowiem słyszy na tym pustkowiu dźwięk banjo, śpiew i warkot silników.

Przy końcu akcji, kiedy Maybelle wykonała z piskiem ostatni zwrot i rozbiła samochód na poboczu wąskiej drogi wiodącej w głąb wąwozu, gdzie znajdował się O. A. Jones, wszystkich zżerały nerwy. Pościg skończył się tak, jak zawsze kończą się tego rodzaju akcje: trzynastu policjantów, którzy znaleźli się na miejscu, wyskoczyło z samochodów z pistoletami wycelowanymi w okna ściganego pojazdu i zaczęło wykrzykiwać sprzeczne polecenia.

Jednak wszystkie rozkazy, pomimo sprzeczności, miały coś wspólnego. Wszystkie kończyły się słowem „skurwysyny”.

Wśród ogólnego wrzasku i wymachiwania bronią zajechał samochód prowadzony przez Paco Pedrozę. Paco wyskoczył z wozu i podbiegł do gliniarzy chowających się za maskami samochodów. Jeden z mundurowych przekrzykiwał wszystkich.

- Wyłazić, pierdolone skurwysyny, z podniesionymi rękami, bo rozwalimy wasze pierdolone łby! - wrzeszczał.

Wtedy właśnie nadbiegł Paco Pedroza z policyjną odznaką przypiętą do hawajskiej koszuli.

- Wszyscy zamknąć się! Ja tu dowodzę! - warknął.

Ale wielki, rozwrzeszczany glina chyba nie usłyszał. Miał czerwoną od wysiłku twarz i wybałuszone ślepie. Karabin w jego rękę zdawał się drżeć.

- Wyłazić, pierdolone skurwysyny, z podniesionymi rękami, bo rozwalimy wasze pierdolone łby! - darł się nadal.

Paco wrzasnął więc ze wszystkich sił:

- Zamknąć mordy! Ja będę gadał! - dzięki czemu udało mu się w końcu przyciągnąć uwagę pozostałych, po czym, z twarzą poczerwieniałą od wysiłku i wybałuszonymi oczami, ryknął:

- Wyłazić, pierdolone skurwysyny, z podniesionymi rękami, bo rozwalimy wasze pierdolone łby!

Maybelle posłuchała. Abner w tym czasie stracił przytomność, której miał już nigdy nie odzyskać.

I to był koniec. Zaraz też - ponieważ nikt nie chciał się przyznać do udziału w niebezpiecznej strzelaninie, a to dlatego, że niektóre z pocisków trafiły nie tam, gdzie

powinny - wszystkie wozy pościgowe zaczęły opuszczać miejsce akcji, prawie tak samo szybko jak się pojawiły. To również jest typowe dla samochodowych pościgów. To tak, jakby unieść dywan w obskurnym hotelu - karaluchy salwują się ucieczką we wszystkich kierunkach.

Nigdy nie dowiedziano się, kto oddał celne strzały do Maybelle i Abnera. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Wszyscy byli zgodni, że zasłużyli na podziurawienie, a gliniarze jedynie żalowali, iż nie umoczyli amunicji w cyjanku, bo przecież Maybelle udało się wywinąć.

Zanim pilot śmigłowca zawrócił maszynę w kierunku lądowiska policyjnego w Palm Springs, gdzie oczekiwał Victor Watson w towarzystwie agentów F.B.I., zauważył coś, co wyglądało jak duże zwierzę wspinające się po zboczu piaszczystego wzgórza. Było to dziwne zwierzę o ubarwieniu do połowy jasnym, a do połowy ciemnym. Pegaz skierował śmigłowca bliżej i zauważył, że jasna część to spieczone słońcem plecy O.A. Jonesa, który w głupocie zdjął z siebie koszulę.

Dotarli do niego gdy był na grzbiecie niewysokiego wzgórza. Po jego drugiej stronie zauważyli ślady opon samochodowych wiodące na skraj kanionu. W dole, na dnie dwudziestometrowego wąwozu leżał spalony rolls royce ze zwłokami Jacka Watsona.

Pierwszemu gliniarzowi, który zszedł na dno kanionu i zobaczył zwęglone ciało, poszarpane przez sępy i kojoty, zrobiło się niedobrze. Zwierzęta dobrały się do głowy trupa i gdyby zwłoki odnaleziono w dzień później, to lekarze sądowi nigdy nie odnaleźliby w czaszce śladu po kuli.

Sprawa wstępnie zakwalifikowana została jako wypadek samochodowy i odłożona ad acta.

Paco Pedroza miał wielką ochotę wyrzucić O. A. Jonesa z roboty za to, że w ogóle zapuścił się samochodem w te okolice. Jednak to przecież właśnie dzięki niemu odnaleziono zwłoki młodego Watsona. Kiedy F.B.I. wycofała się ze śledztwa, a sprawę zagadkowego morderstwa pozostawiono policjantom z Palm Springs, O. A. Jones starał się przekonać wszystkich, że pomimo objawów udaru słonecznego, naprawdę słyszał dźwięki banjo i śpiew, a w chwilę później odgłos odjeżdżającego samochodu. Powstała teoria, że morderca Jacka Watsona powrócił do spalonego rolls royce'a w dwa dni po popełnieniu morderstwa. Może po to, żeby coś zabrać z miejsca zbrodni? O.A. Jones słyszał muzykanta.

O.A. Jones nakłonił lokalnego reportera do napisania artykułu, w którym tamten przedstawił go jako „klucz do rozwiązania zagadki”. Reporter nazwał go „bohaterskim

policjantem”, samotnie przeszukującym pustynne kaniony w celu odnalezienia zaginionego chłopaka z Palm Springs.

Paco Pedroza wciąż miał wielką ochotę odesłać pieprzonego bohatera z powrotem do Laguna Beach, gdzie O.A. Jones rozpoczął swoją policyjną karierę. Niestety, nie mógł tego zrobić, bowiem Rada Miejska Mineral Springs udzieliła O.A. Jonesowi specjalnej pochwały za wzorową pracę policyjną.

ROZDZIAŁ IV

Prezydent McKinley

Otto Stringer wyglądał jak wygrany kupon loterii państwowej. Czekał na progu domu z dwiema walizkami i kompletem kijów golfowych. Zasalutował sąsiadom jak Ronald Reagan przy drzwiach prezydenckiego domu. Ubrany był w nową, różową koszulkę golfową, która kolorystycznie harmonizowała z jego grubymi policzkami, pomarańczowo-zieloną kamizelką i zieloną czapką z daszkiem.

Kiedy zadzwonił do niego Sidney Blackpool z wiadomością na temat wakacji w Palm Springs, Otto nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie wierzył w żadną z dobrych rzeczy, które zdarzyły mu się od czasu, kiedy zrezygnował ze zwariowanej pracy w Wydziale Narkotyków i przeniósł się do równie zwariowanej roboty w Wydziale Zabójstw w Hollywood. Tam przynajmniej czuł się bezpiecznie. Podczas ostatnich miesięcy pracy w narkotykach dostał zbyt wiele ostrzeżeń od Najwyższego, aby je lekceważyć. Otto nie należał do ludzi szczególnie religijnych - mówił o sobie, że jest nawróconym agnostykiem - i odwoływał się do swojej prezbiteriańskiej religii tylko w chwilach zagrożenia. Ostrzeżenia od Wielkiego Szefa były aż nadto oczywiste, zresztą czytelne nie tylko dla niego. Były złowieszcze.

Na przykład, zdarzyło się pewnego razu, pod koniec jego pracy w Wydziale Narkotyków, że namówiono go, by wziął udział w finalizowaniu transakcji zakupu kokainy z udziałem informatora. Pozostanie tajemnicą, dlaczego zdrowy rozsądek i doświadczenia szesnastu lat pracy policyjnej nie podpowiedziały mu, że sprawa śmierdzi. Kapuś był jednym z tych, którzy przyłapani przez gliny, starają się im wmówić, że są tajnymi współpracownikami F.B.I, lub Federalnej Agencji do spraw Zwalczania Narkomanii. Otto Stringer powiedział informatorowi, że każdy kto współpracuje z agencją jest dla glin równie nieoceniony jak wrzody na dupie, ponieważ instytucja ta często przypisuje sobie nie swoje sukcesy i przeciąga na swoją stronę policyjnych informatorów.

Kiedy już wyjaśnili sobie różnice zdań, kapuś zaproponował Ottonowi wspólny udział w transakcji po to, żeby później nie musiał ujawniać w sądzie swojej roli i powiązania z policją, co pogrzebałoby go jako tajniaka. Kapuś przekonał przełożonego Ottona Stringera, że nikt w całym wydziale nie wygląda lepiej na handlarza, niż Otto - facet tęgi i nieforemny.

Problemy pojawiły się zaraz na początku akcji, po wejściu do pokoju motelowego, gdzie miano dokonać transakcji z „miłym Hawajczykiem”. Podstawowym problemem okazało się to, że nie było żadnej koki, ani innych narkotyków, ani też Hawajczyka. Była za to zwykła próba wyłudzenia forsy. Na spotkanie przyszło trzech Samończyków, z których najmniejszy miałby poważny problem, żeby zmieścić się w budce telefonicznej.

Obmacali ich w poszukiwaniu broni, lecz na szczęście nie znaleźli mikrofonu z nadajnikiem, umieszczonego pod grubym brzuchem Ottona. Jednak urządzenie zepsuło się i nie przekazywało dźwięku do stojącej na motelowym parkingu furgonetki, w której siedział facet z Wydziału Narkotyków. Padło proste pytanie dotyczące sedna sprawy:

- Gdzie masz forszę, bracie? - zapytał Samończyk.
- Chcę rozmawiać z Sammym - powiedział kapuś. - Gdzie jest Sammy?

Uderzenie w twarz.

- Gdzie forsa, bracie?
- Więc nie będziemy robić interesu? - kapuś podniósł głos na użytek nadajnika. -

Macie zamiar nas po prostu obrobić, tak?

Kolejne uderzenie w twarz.

- Gdzie forsa, bracie?
- Powiniem się domyślić, że nie gracie uczciwie - wrzasnął przerażony informator. - Kurwa mać, to się nazywa rozbój!

Znowu cios w twarz.

- Gdzie forsa, bracie?
- Słuchajcie, mogę wam przynieść szmal! - wydierał się coraz głośniejszym głosem kapuś. - Tylko pozwólcie mi pokazać, gdzie to jest! Otwórzcie te pierdolone drzwi i...

Uderzenie w twarz.

- Gadaj - odezwał się mało rozmowny Samończyk. - Sam pójde.

Otto Stringer, bezbronny i bezradny, miał naprzeciw siebie drugiego Samończyka, podczas gdy trzeci ścisnął mu kark stalowym hakiem, który później okazał się być jego ręką. Krew z nosa i ust informatora tryskała na ścianę. Otto wreszcie zorientował się, że nadajnik nie działa, więc zdecydował się wziąć sprawę w swoje ręce.

- To się posuwa za daleko! Jestem funkcjonariuszem policji! Rozkazuję wam zostawić tego człowieka i otworzyć drzwi!

Uderzenie w twarz. Głowa Ottona odbiła się od ściany, pozostawiając wgniecenie w gipsowej płycie.

- No dobra, nie jestem gliną - powiedział Otto, inkasując kolejny cios.

Zdaje się, że fakt czy Otto jest gliną, czy też nie, nie robił Samończykom żadnej różnicy.

- Przestań mi tu wstawiać pierdoły, bracie. Gdzie forsa? - powiedział ten pierwszy do Ottona.

Właśnie wtedy nadajnik pod brzuchem Ottona zaczął działać. Głina, który prowadził nasłuch, dał sygnał do rozpoczęcia akcji. Jednak zanim sześciu ludzi z narkotyków rozwaliło drzwi do pokoju, Otto został rozciągnięty na kuchennym stole przez trzech Samończyków, którzy po kolei walili go po twarzy otwartymi dłońmi. Wskutek tego wybili mu jeden ząb, obluźowali dwa następne i zrobili oczy jak z obrazu Picassa. Zanim stracił przytomność, przyszła mu do głowy idiotyczna myśl, że chciałby znaleźć się w lodziarni.

Oczywiście ci, którzy pospieszyli Ottonowi na ratunek, zrobili wszystko, żeby wyrównać rachunki. Samończycy naturalnie „stawiali czynny opór”. Niemniej, musiano wylać na nich kilka wiader wody, żeby mogli oprzytomnieć i dalej stawiać opór. Jednak było to słabą pociechą dla Ottona Stringera, który lizał rany przez pięć dni, zanim mógł powrócić do pracy. Ale nawet to nie wpłynęło na ostateczną decyzję Ottona.

Dopiero wydarzenie, które miało miejsce w „feralny piątek” - tak policjanci nazywali piątkowe popołudnia, kiedy to budynki urzędów federalnych wyglądały jakby właśnie dotarła do nich informacja o podłożeniu bomby. Mrowie urzędasów wysypywało się z biur w pośpiechu, aby uniknąć szczytu komunikacyjnego, szczególnie szybko w dniu wypłaty.

Tamtego popołudnia ludzie z Wydziału Narkotyków oczekiwali na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles na przylot kolumbijskiego łącznika z dużym

ładunkiem kokainy. Z powodu nagłego wybuchu miłosnego uniesienia, Otto Stringer i kilku innych gliniarzy mogło przypłacić tę akcję życiem,

Heidi pracowała w Wydziale Narkotyków. Była piękna, atletycznie zbudowana i niezwykle agresywna. Nikt nie znał silniejszego dobermana niż Heidi. Kiedyś, podczas nalotu na mieszkanie handlarza, chwyciła zębami uchwyt zamkniętej szuflady w komodzie i przesunęła ciężki mebel na środek pokoju. Heidi znała się na swojej robocie jak mało kto. Nigdy nie przepuściła nawet najmniejszej ilości narkotyku ukrytego w bagażu i właśnie owego dnia miała służbę w komórce celnej na lotnisku. Z wielką ochotą przystąpiła do obwąchiwania walizek i podróжных toreb przybyłych z Kolumbii. Jej opiekun był z niej niezwykle dumny. Właściwie była dumą wszystkich ludzi z wydziału. Natomiast dla Desmond'a była obiektem pożądania.

Desmond był psem wyspecjalizowanym w szukaniu materiałów wybuchowych, Nigdy przedtem nie widział Heidi. Nigdy nie widział żadnego psa od narkotyków. Desmond nie był ani piękny, ani atletycznie zbudowany. Desmond był niemłodym mieszkańcem ogara o cuchnącym oddechu, sierści pełnej łupieżu i oczach jak Walter Mondale. Desmond, tak jak Otto Stringer, był zmęczonym policjantem.

Tamtego popołudnia gliniarze z Los Angeles prowadzili rutynowe poszukiwanie bagażu. Jakiś nadgorliwy członek ochrony zwrócił uwagę na pewnego studenta o wyglądzie czubka, który przed chwilą zadawał dziwne pytania na temat bagażu dziewczynie w kasie biletowej. Wezwano Desmond'a, żeby obwąchał jego walizkę i tym sposobem usatysfakcjonował ludzi z ochrony lotniska, którzy wciąż jeszcze byli podenerwowani z powodu niedawnego alarmu terrorystycznego. Desmond siedział w sali odpraw celnych i robił swoje, to znaczy drzemał przy kratce klimatyzatora, kiedy weszła Heidi. Wyglądała oszołamiająco. Widać było, że rwie się do pracy.

Heidi kochała swoją pracę, skamlała i piszczała z podniecenia, wydając ekstatyczny skowyt, gdy udało jej się zlokalizować torebkę z prochami. Desmond przyglądał się drgającym mięśniom jej piersi, napiętym ścięgnom i fałdom błyszczącej, czarnej sierści na karku. Jego przekrwione oczy wychodziły z orbit. Opiekun powiedział później, że nigdy nie odgadłby, iż stary Desmond może zareagować w ten sposób. Opiekun zbyt był zajęty podziwianiem Heidy, która miała ochotę rozerwać na strzępy każdą sztukę bagażu, zanim zdołano ją odciągnąć i wydobyć narkotyki. Z pyska Desmond'a ciekła

strużka śliny. Jego opiekun zorientował się w czym rzecz dopiero wtedy, gdy zerknął na jego podbrzusze. Stary Desmond miał potężną erekcję!

Oczywiście psy od bomb są inaczej szkolone, niż te od narkotyków. Są niezwykle potulne. Ich zadaniem jest zlokalizowanie materiałów wybuchowych, spokojne odsunięcie się od bagażu i pozostawienie reszty ekspertom.

To stało się, kiedy Heidi dopadła czwartej sztuki bagażu. Być może Desmond nie mógł już spokojnie znieść seksowych skowytów suki - tego nikt nie wie na pewno. W każdym razie kompletnie oszalał. Podczas gdy zwariowany student powtarzał rutynowo: „Kto? Ja? To nie moja walizka. Czego właściwie ode mnie chcecie?“, Desmond wydał z siebie przeraźliwy skowyt.

Później policjanci doszli do wniosku, że była to jego wiadomość dla Heidi: „Lubisz jaja? Pokażę ci parę takich, które dzwonią jak Big Ben!” - albo coś w tym rodzaju.

Desmond rzucił się na podejrzaną walizkę jak opętany. Student nie musiał się przyznawać do winy. Nie zdołano go nawet pouczyć o przysługujących mu prawach. Wrzasnął: Neeeeeeee! - i padł na podłogę jak rażony piorunem.

To samo zrobił Otto Stringer i wszyscy ludzie z Wydziału Narkotyków, ochrony lotniska, celnicy, opiekun Desmonda i cała reszta z ilorazem inteligencji wyższym niż Desmonda. Wszyscy prócz Heidi, która oderwała się od pracy i zaczęła podziwiać starego Desmonda, wobrażając sobie, że musi być z niego niezwykle ostry gość, skoro tak tarmosi tę cholerną walizkę i wlecze po całym pomieszczeniu.

Jak się okazało zawartość bagażu mogła zamienić budynek sali odpraw w smętne rumowisko. Na szczęście tak się nie stało. Desmond zakończył pracę na lotnisku. To samo zrobił Otto Stringer, który powiedział:

Dziękuję pięknie, ale ja już znam potęgę babskiej dupy i niepotrzebna mi obserwacja Desmonda popisującego się przed Heidi. Poza tym, nie mogę ścierpieć widoku małpisonów, które powinny zostać u siebie w dżungli, przyrodziane w spódnicie z liści palmowych i zajmować się rozpieprzaniem orzechów kokosowych, a nie gliniarzy. Tak więc myślę, że dam sobie spokój i skorzystam z propozycji Wydziału Zabójstw w Hollywood. Możecie mnie skreślić z listy.

Sidney Blackpool podjechał swoją toyotą celicą pod dom Ottona Stringera o dziesiątej, zgodnie z umową. Nie był tak elegancko odwalony jak Otto. Sidney miał na

sobie granatową koszulkę golfową, beżowe bawełniane spodnie i mokasyny.

- Wyglądasz niesamowicie - powiedział do Ottona - ale bagażu mamy tyle, że chyba trzeba będzie wynająć przyczepę.

- Pozwól, że ci przypomnę, iż wybieramy się do Palm Springs, mój drogi! - odparł Otto, próbując wcisnąć kije golfowe na tylne siedzenie toyoty. - Trzeba zrobić dobre wrażenie na wejściu. Dlatego tak się odstrześliłem, Sidney. Nie chcę, żeby uważano mnie za kogoś gorszego.

- No już dobrze - odparł Sidney Blackpool. Chcesz prowadzić?

- Jestem na to zbyt podekscytowany - powiedział Otto. - Prawie nie spałem tej nocy z podniecenia. Jak myślisz, jaki pokój dostaniemy? Zmieści się w nim moja gruba dupa? Apartament! Aaa-paar-taa-ment!

Sidney ruszył w stronę Hollywood Freeway i po chwili pędzili już autostradą. Otto myślał przez chwilę o tym, jak zakończyła się jego kariera w Wydziale Narkotyków, lecz nie było to w stanie usunąć z jego twarzy wakacyjnego uśmiechu. Zaczynał wierzyć w to, że uda mu się dotrzeć do policyjnej emerytury, po tym jak przeniósł się do roboty w Hollywood i ponownie jego partnerem został Black Sid, którego poznał dwaście lat temu, kiedy wspólnie patrolowali okolice Newton Street. Wolałby tylko, żeby Sid nie był wciąż taki ponury.

- Poczekaj aż dowie się o tym Smocza Wiedźma - powiedział Otto rozmarzonym głosem.

- Twoja była żona? Kiedy się z nią widziałeś?

- Nigdy się z nią nie widuję, ani z małymi wiedźmami. Nie usłyszałem od nich ani jednego dobrego słowa przez te dwa lata, kiedy byliśmy małżeństwem. Moja eks-małżonka ma trzy córki i wszystkie są złośliwe jak jasna cholera.

- Oj tak, praca gliny nielekką jest - odezwał się sentencjonalnie Sidney Blackpool.

- Może poznam jakąś nową eks-małżonkę - powiedział Otto. - Miłą, bogatą. Obie moje były żony zamykały oczy, kiedy się kochaliśmy, żeby nie zobaczyć jak się dobrze bawię. Najwięcej radości w łóżku miałem, kiedy one były aktywne, a to zdarzyło się dwukrotnie, za każdym razem podczas miodowego miesiąca. Przez nie zbankrutowałem. Moi wierzyciele w końcu zaproponowali mi spłatę dziesięciu centów od każdego dolara długu, a ja im na to: „Czyście zwiariowali? Kto ma tyle forsy!” Ach, gdyby tak mogli mnie teraz zobaczyć!

- Lepiej tak się nie nastawiaj - powiedział Sidney. - Nasze wspólne wakacje mogą okazać się nudne.

- Nigdy do tego nie dopuszczę! - wykrzyknął Otto. - Dowiedziałem się paru rzeczy o hotelu, w którym będziemy mieszkać. Bracie! Pierwsza klasa. Przecież wiesz, kim jest kobieta tego Watsona. On nie idzie na tanioczę. Oczekuje wyników.

- Nie będzie żadnych wyników, Otto.

- No dobra, ale przecież możemy stworzyć pozory. To znaczy, kiedy na nic nie natrafimy. Pamiętasz ten kij golfowy, który chciałem kupić, kiedy graliśmy ostatnio w Griffith Park? Powinienem go kupić. Założę się, że w Palm Springs będzie kosztował dużo więcej. No wiesz, turyści napędzają koniunkturę. Myślę, że moglibyśmy zatrzymać się gdzieś po drodze i kupić kilka piłek.

- Wielcy gracze, tacy jak my, nie potrzebują wielu piłek.

- Słuchaj, Sidney, może uda nam się obu znaleźć w Palm Springs jakieś nadziane dupy. Jeśli nie tym razem, to kiedy? Druga taka okazja się nie nadarzy. Będziemy mieszkać w apartamencie i będą nam dopisywać drinki i żarcie do rachunku i...

- Jedna żona mi wystarczyła - wtrącił się Sidney Blackpool. - Aż nadto.

- Zgoda, ale nie powinieneś żenić się z ładną. Założę się, że twoja eks jest ładna.

- Ładna? No jest.

- Ja chcę teraz brzydką - powiedział Otto. - Brzydkie poświęcają więcej czasu swoim facetom. Może być nawet stara. Cholera, ja jestem stary.

- Młodszy ode mnie.

- Zgoda, ale już niedługo, Sidney. Za dwa pieprzone tygodnie skończę czterdziestkę. Będę facetem w średnim wieku!

- Czterdziestka to jeszcze nie średni wiek. Niezupełnie.

- Wiesz, że Paul McCartney ma dokładnie tyle lat, co ty? Niesamowite, prawda? Wydaje się, jakby Beatlesi jeszcze rok temu byli dziećmi, no nie? Nie mogę przestać myśleć o swojej czterdziestce. To dla mnie prawdziwy cios. Dzięki Bogu, że mamy te wakacje. Może uda mi się zapomnieć, że wkraczam w wiek średni. Zresztą i tak pierwsza rzecz, która zaczyna nawalać, to pamięć.

- Ta druga z kolei.

- Wiem, wiem! Myślisz, że tamto mnie nie przeraża.

- Spokojnie, Otto - rzekł Sidney Blackpool. - Nie nastawiaj się tak bardzo na szalone wakacje, bo może cię spotkać rozczarowanie.

- Black Sid - powiedział Otto, kiwając głową. - Optymista, widząc do połowy

napełniony kieliszek, mówi, że jest na pół pełny, a pesymista, że jest na pół pusty. Ty nawet nie widzisz kieliszka. A tak przy okazji, czytałem w „Timesie” artykuł na temat anhedonii. Wiesz, co to jest?

- Nie mam pojęcia.

- Myślę, że ty właśnie na to chorujesz. Dotyka to mniej więcej jednego na stu. To znaczy, że taka osoba po prostu nie potrafi się bawić. W ogóle. To tak jak ty na polu golfowym. Wyglądasz jak Torquemada, kiedy mu ściskali jaja rozżarzonymi do czerwoności szczypcami. Nie potrafisz cieszyć się z gry.

- Golf tak naprawdę nikomu nie sprawia przyjemności - powiedział Sidney Blackpool. - A poza tym, skąd w ogóle przyszło ci do głowy, że to jest gra?

- W każdym razie ludzi cierpiących na anhedonię nic nie rajcuje. Biorą życie takim, jakie jest.

- Tak jak ja.

- Naukowcy nie wiedzą, czy to jest wrodzone, czy nie. Takim ludziom po prostu na niczym nie zależy. I kiedy czytałem ten artykuł, pomyślałem o wiecznie nieobecny spojrzaniu starego Black Sida.

- Może nie zawsze to jest wrodzone - powiedział Sidney Blackpool, a różowe policzki Ottona zarumieniły się jeszcze bardziej. Sidney wiedział, że Otto nagle przypomniał sobie o Tommy'm, choć zawsze omijał ten temat we wspólnych rozmowach.

Otto nagle zmienił temat, mówiąc:

- Szkoda, że tak się roztyłem. Gdybym nadal nosił mundur, to chyba miałbym kłopoty z dopięciem pasa. Myślisz, że będę głupio wyglądać w golfowych gaciach?

- Nie gorzej niż Pavarotti - powiedział Sidney Blackpool, włączając radio i wyszukując stację nadającą muzykę rozrywkową, aby zapewnić Ottonowi jakąś konkurencję.

- Ty przynajmniej jesteś szczupły i nadal masz włosy na głowie. Wiek średni jest niesprawiedliwy.

- Tobie też trochę zostało - zauważył Sidney Blackpool. - Kupimy ci w Palm Springs jakąś perukę.

- Jak się ożenię z jakąś bogatą dupą, to będę miał forszę na przeszczep.

Sidney Blackpool lubił Ottona Stringera, lecz czuł, że będzie musiał pożyczyć parę ochronnych nauszników od jakiegoś mechanika z warsztatów lotniczych.

- Ty też...tak bardzo rozpamiętywałeś swoje wejście w wiek średni? - zapytał Otto.

- Nie - odparł Sidney Blackpool.

Miał czterdzieści lat, kiedy po raz ostatni widział Tommy'ego. Od tamtego czasu Sidney Blackpool przestał obawiać się starości. Właściwie nie bał się już niczego.

- A ja wciąż o tym myślę - zadumał się Otto. - Wydaje mi się, że jestem już dość stary, żeby ułożyć sobie życie z jakąś miłą, brzydką i bogatą dupą. Ciekawe, czy Yoko Ono nadal jeździ do Palm Springs. Często marzy mi się, żeby wyciupciać starą Yoko na truskawkowym polu. To byłby taki mój hołd dla Beatlesów.

- Ciekawe - powiedział Sidney Blackpool, wrzucając piąty bieg i zaczynając myśleć o czekających go wakacjach w nieco bardziej różowych kolorach. Może uda mu się poprawić uderzenie na podejściu do dołka? Podczas ostatnich gier nigdy mu nie wychodziło.

Hotel rzeczywiście był jednym z najlepszych, jakie miasto miało do zaoferowania. W hallu recepcyjnym była fontanna iluminowana od spodu niebieskimi i czerwonymi światłami, a wokół wiele wiklinowych i trzciniowych mebli. Pod sufitem wisały białe wentylatory. W barze stał fortepian i koszmarnie koktajlowe stoliki. Duże okna zwieńczone były pseudomeksykańskimi łukami a na ścianach wisały donice z olbrzymimi, rozłożystymi paprociami. Wystarczy powiedzieć, że wnętrze, choć urządzone bez gustu, wywołało zachwyt Ottona Stringera.

Gdy meldowali się, czekając przy kontuarze na recepcjonistę, Otto podbiegł do wielkiego niczym tron wiklinowego fotela, usiadł, założył przeciwsłoneczne okulary i zapytał:

- No, szybko, Sid, kim jestem?
- Nie mam pojęcia - odparł Sidney Blackpool. - A kimże jesteś?
- Pastorem Jimem Jonesem, ty durniu!
- Przecież on się zastrzelił - powiedział Sidney Blackpool.
- Och, nie bądź taki ponury, Sidney - Otto nie dawał za wygraną.

Atmosfera w hotelu była ciepła i przyjazna, jak w większości tego typu miejsc na pustyni i tak jak większość z nich, hotel wyglądał jakby jego wnętrza zaprojektowano w latach pięćdziesiątych, które były chyba najgorszą dekadą w historii architektury. Jednak dla większości szczerów pustyni była to ostatnia dekada dobrych starych czasów. Ten stosunek miejscowych ludzi znajdował odzwierciedlenie w wielu aspektach życia. Kiedy większość turystów powracała do Chicago, Kanady lub Beverly Hills, mieszkańcy pustyni z sentymentem powracali myślami do ery Eisenhowera. Za kontuarem pojawił się recepcjonista.

- Panowie Blackpool i Stringer? Mam dla panów paczuszkę - powiedział.

Zniknął na chwilę na zapleczu i po chwili wyłonił się, trzymając w ręku brązową kopertę oklejoną taśmą. Wręczył ją Ottonowi, który uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do Sidneya Blackpoola. To musiały być pieniądze. Sekretarka Victora Watsona zawiadomiła ich wcześniej, że wszelkie opłaty związane z hotelem i rezerwacją miejsc w klubach golfowych zostały uiszczone, oraz że w hotelowym sejfie będzie oczekiwać na nich pewna suma pieniędzy na „drobne wydatki”.

Ludzie znajdujący się w hallu stanowili typową dla Palm Springs mieszkanekę. Byli wśród nich uczestnicy konferencji z Iowa, ubrani w śmieszne sportowe marynarki, młody akwizytor od Williama Morrisa, który przyjechał tu na weekend, ubrany w skórzaną kurtkę a la Indiana Jones i trzymający pod pachą egzemplarz Rolling Stone'a. Prócz nich, kilku byłych wykidajłów z Las Vegas z cygarami w ustach i diamentowymi sygnetami na palcach oraz dwie dziwki na porannej zmianie, które udawały, że mają ochotę na kąpiel w basenie, ale tak naprawdę krążyły jak sępy wśród prowincjuszy z Iowa.

Gdy chłopiec hotelowy prowadził ich szerokimi schodami na piętro Otto odezwał się:

- Słyszałem, że do Palm Springs przyjeżdżają bogaci Żydzi, żeby dokonać tu żywota.
- Tylko ci, którzy nie znoszą Kubańczyków i Haitińczyków. Cała reszta wybiera Florydę.
- Ja mógłbym tutaj umrzeć - rzekł Otto.
- Nie ma znaczenia, gdzie się umiera - powiedział Sidney Blackpool. - Ważne jest kiedy. A czasem nawet to przestaje mieć znaczenie.
- Proszę cię, nie bądź taki ponury, Sidney. O kurczę, wydaje mi się, że ta babka w hallu, o tam, to Farrah Fawcett!

Apartament, składający się z dwóch połączonych pokoi z osobnymi łazienkami, wprowił w zachwyty Ottona, który w porywie ekstrawagancji dał chłopcu pięciodolarowy napiwek. Czekają na nich wiaderko z lodem i butelka dobrego kalifornijskiego wina, kosz z owocami i życzenia przyjemnego pobytu do dyrekcji hotelu.

Sidney Blackpool sprawdzał miękkość materaca w ogromnym łóżku, kiedy przez drzwi łączące oba pokoje wpadł Otto z pobladłą twarzą.

- Co z tobą? Za wiele luksusu jak na twoje serduszko? - zapytał Sidney.
- Sidney! - wykrzyknął Otto. - Jak myślisz, ile forsy dał nam Watson na drobne wydatki na tydzień pobytu?

- Nie wiem. Pięćset? - Blackpool wzruszył ramionami. - Wyżywienie i drinki w hotelu są opłacone, więc...

Otto odwrócił kopertę do góry i na łóżko wypadły banknoty pięćsetdolarowe. Dwa-dzieścia.

- Nawet nie wiedziałem czy wizerunek jest na pięćsetce! - wyszeptał Otto. - Cześć, prezydencie McKinley!

- Powiedział, że być może będziemy musieli opłacić pewne informacje, ale...

- Nie możemy przyjąć takiej forsy, Sidney.

- Czemu nie?

- Dziesięć tysięcy? Jeszcze nie przysługuje mi emerytura! Zostały mi cztery lata, mój drogi.

- Przecież to nie jest łapówka, do diabła.

- No dobra. Będziemy zapisywać wszystkie wydatki w notesie. Nawet jeśli będziemy musieli pod płacić kogoś, żeby zechciał gadać.

- Zwariowałeś? Przyjechaliśmy tu, żeby pograć w golfa. Śledztwo jest głównie warte i do niczego nie doprowadzi!

- Wiem, wiem! Musimy oddać przynajmniej dziewięć. Cholera, aż mnie ściska w jajach!

- Ta forsza na mnie też robi wrażenie. Naprawdę. Nigdy w życiu nie miałem jednorazowo takiej sumy i...

- No dobra. Oddamy mu osiem. Dwa tysiące na nas dwóch to i tak dużo. Ale trzeba będzie stawiać wódę tutejszym gliniarzom, płacić za informacje i tak dalej...

- Pomyślmy chwilę - powiedział Sidney Blackpool. - Co to jest dziesięć kawałków dla takiego gościa jak Watson? W biurze ma pokręcone biurko, które musiało kosztować więcej, a wygląda jak kawał zgniłej wątroby.

- Okay, okay, oddamy mu sześć kawałków - zdecydował Otto.

- Powinno nam wystarczyć.

- Zejdźmy do baru na drinka, Johnnie Walker dobrze mi robi.

- Schodzić do baru? - zakrzyknął Otto z uśmiechem na twarzy. - Zadzwoimy po obsługę! Nie musimy nigdzie biegać. Cholera, nawet nie wiem jak moglibyśmy wydać te dziesięć tysięcy, gdybyśmy mieli na to ochotę. No, może pięć. Zastanawiam się, ile kosztuje masaż w takim hotelu? A ile wypada dać napiwku? Ciekawe, czy udałoby nam się wydać całą dziesiątkę? No, może siedem. Chwileczkę? Czy ten biedny stary pierdoła, McKinley, nie zginął z ręki zamachowca?

ROZDZIAŁ V

Piosenka

Mówili na niego Gacek od czasów szkoły średniej. Powód był oczywisty: jego uszy. Willard Bates wyglądał jak nietoperz, albo jak volkswagen garbus z otwartymi drzwiami. Przez ponad rok pracował jako szeregowy glina w Orange County, gdzie wiodło mu się nieszczerólnie, w związku z czym gotów już był w ogóle zrezygnować z roboty w porcji.

Problemy zaczęły się dla Gacka jeszcze na stażu, na początku pracy w Orange County, zaledwie w dwa tygodnie po ukończeniu szkolenia. Pewnego popołudnia przejeżdżał wozem patrolowym obok Disneylandu w towarzystwie drugiego gliniarza, opiekującego się nim i wprowadzającego w praktyczne arkana zawodu. Był nim Ned Grogan, który właśnie wodził wzrokiem za jakąś ładną dupką w szortach i koszulce z napisem „Kiss”, przechodzącą przez jezdnię w kierunku magicznego królestwa Walta Disneya. Nagle dziewczyna uskoczyła w bok, chcąc uniknąć uderzenia przez przejeżdżający samochód - lincolna z nowojorską rejestracją. Wóz nie zatrzymał się na światłach i przemknął przez przejście dla pieszych mniej więcej osiemdziesiątką.

Gacek włączył koguta i ruszył z kopyta za lincolnem. Jego partner zacisnął pas bezpieczeństwa i powiedział:

- Spokojnie chłopcze, to tylko wykroczenie drogowe.

Gacek szybko doścignął tamtego, który jechał zygzakiem, blokując dwa pasy ruchu.

- Pijak albo ćpun - jęknął Ned Grogan. - Nie chce mi się teraz wsadzać pijaka. Chce mi się jeść.

Facet był na pewno pijany, tak uchlany, że nawet nie zauważył wirującego pomarańczowego światła na dachu policyjnego wozu, ani nie usłyszał klaksonu. Gacek musiał włączyć syrenę i dopiero wtedy facet zjechał na prawy pas i zatrzymał lincolna przy krawężniku gwałtownym szarpnięciem.

Gacek nigdy dotąd nie wsadził żadnego pijanego kierowcy. Rwał się, żeby przeprowadzić swój pierwszy test trzeźwości i gorączkowo starał się przypomnieć instrukcję użycia aparatu do pomiaru poziomu alkoholu, żeby nie zaglądać do notatnika. Ale Ned Grogan uprzedził go.

- Na chodnik - powiedział stanowczo do turysty w średnim wieku, który wytoczył się z lincolna - zanim rozjedzie cię jakiś inny pijak.

- Marvin Waterhouse - powiedział pijany facet, chcąc uściśnąć Nedowi rękę. - Mam nadzieję, że nie jechałem za szybko, panie władzo. W ogóle fatalnie mi się jeździ na kalifornijskich drogach. Nie to co w domu.

- Proszę o pańskie prawo jazdy - odezwał się Gacek, a Marvin Waterhouse spojrział na młodego gliniarza z wyrazem niedowierzania na twarzy. - Ty jesteś prawdziwym gliną, synku?

- Po prostu daj mu prawo jazdy, Marvin - westchnął Ned Grogan. - No dalej.

- Dobra, już dobra - wybełkotał Marvin Waterhouse, zionąc zapachem bourbona. - Naprawdę jechałem za szybko? Bardzo mi przykro.

Kiedy Gacek sposobił się do przeprowadzenia testu, Ned Grogan odezwał się:

- Posłuchaj, Marvin, obaj wiemy, że jesteś zbyt pijany, żeby prowadzić lub chodzić.

- Nie sądzę, żebym...

- Nie pieprz, Marvin. Zamierzam wyjątkowo puścić ci to płazem.

- Tak jest! - Marvin Waterhouse nie był frajerem. - Cokolwiek pan rozkaże, panie władzo.

- W jakim hotelu mieszkasz?

- W „Disneylandzie” - odparł Marvin Waterhouse.

- To świetnie. Spójrz. Tam, po drugiej stronie jezdni, jest postój taksówek. Chcę, żebyś zamknął samochód, wziął sobie gablotę do hotelu i poszedł się przespać. Czy dasz mi słowo, że tak właśnie zrobisz, Marvin?

- Tak jest! - powiedział Marvin Waterhouse. - W tej sekundzie.

Gacek był rozczarowany. Nie po raz pierwszy stracił możliwość aresztowania. Działo się tak zawsze, kiedy Ned Grogan miał ochotę coś zjeść. Gackowi wydawało się, że jego partner byłby wtedy w stanie zjeść wałęsającego się psa. Gdy Marvin Waterhouse zataczając się, ruszył w kierunku postoju taksówek, Gacek złapał go za łokieć i powiedział:

- Lepiej będzie jak panu pomogę.

Ned Grogan został przy samochodzie, obserwując jak Gacek Bates, niczym dzielny skaut, przeprowadza pijanego turystę przez ruchliwą, sześciopasmową jezdnię w kierunku postoju taksówek.

I właśnie wtedy Marvin Waterhouse popełnił błąd, jaki często zdarza się ludziom ze wschodniego wybrzeża, którzy po raz pierwszy trafiają na zachód. Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd banknot dwudziestodolarowy i wepchnął go za policyjny pas Gacka.

Stało się to tak szybko, że Marvin Waterhouse już siedział w taksówce, kiedy Gacek spojrział na banknot. Ulica była zatłoczona ludźmi i samochodami, lecz nikt nie zauważył gestu nowojorskiej wdzięczności Marvina. A jednak Gacek Bates czuł na sobie spojrzenia tysiąca oczu. Ten facet myślał, że Gacek jest łapówkarzem! Właśnie dał mu pieprzoną łapówkę!

- Hej, nie ze mną takie numery! - krzyknął Gacek Bates, doskakując do taksówki.
- Nie można...

Ale było za późno. Marvin Waterhouse zatrzaskał drzwi i taksówka odjechała.

- ON MNIE PRZEKUPIŁ! - ryknął ze wszystkich sił Gacek do Neda Grogana, starając się przekrzyczeć uliczny hałas.

- Co? - wykrzyknął Ned Grogan, zastanawiając się, czy Gackowi nie odbiło od upału.

- ON MNIE CHCIAŁ PRZEKUPIĆ! - darł się Gacek Bates, biegnąc za taksówką, która przejechała przez skrzyżowanie, lecz zatrzymała się w korku pojazdów zdążających na parking w Disneylandzie.

- Gacek, wracaj, natychmiast! - pieklił się Ned Grogan, ale Gacek pędził przez skrzyżowanie, starając się przypomnieć rozdział kodeksu karnego mówiący o przekupstwie pracownika państwowego. Niemal spowodował dwa wypadki, bowiem pojazdy zaczęły gwałtownie hamować, by uniknąć przejechania umundurowanego policjanta.

Ned Grogan, będąc po drugiej stronie ruchliwej, sześciopasmowej arterii, zdecydował się wskoczyć do samochodu i wykonać zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Jednak z chwilą gdy wjechał na jezdnię, wóz patrolowy został uderzony przez samochód turysty z Duluth. Ned Grogan doznał obrażeń, które wyłączyły go ze służby na cały tydzień. Udało mu się wydostać z pogruchotanego samochodu i wtedy, ku swemu przerażeniu, zobaczył, że po drugiej stronie skrzyżowania zebrał się tłum ludzi. Miał wrażenie, że wie dlaczego. Sięgnął po słuchawkę radiotelefonu i wezwał pomoc.

Kiedy Gacek dopędził taksówkę, kierowca był zaskoczony, a Marvin Waterhouse jeszcze bardziej. Gacek podbiegł zdyszany i otworzył drzwi samochodu.

- Takie rzeczy u nas nie przechodzą! - wysapał. - Gdybym wiedział, że tak będzie, to zaraz dokonałbym aresztowania!

- Co z tobą, chłopcze? - Marvin Waterhouse. - Zatrzymaj tę forsę! Napij się za moje zdrowie po robocie!

- Nie wezmę pańskich pieniędzy - krzyknął Gacek.

- Ja ich też nie chcę. Ofiaruj je na policyjny fundusz dobroczynny - upierał się Marvin Waterhouse.

- Pan je weźmie!

- Ani mi się śni! - odparł Marvin Waterhouse.

Gacek usiłował wsadzić pogniecioną dwudziestkę do kieszeni koszuli Marvina, ale pijak stał się bardziej wojowniczy.

- Łapy precz ode mnie! - ryknął. - Niczego nie wezmę.

Kiedy na scenę zdarzenia zjechał pierwszy radiowóz, Marvin Waterhouse i Gacek Bates tarzali się w rynsztoku. Grupa kilkudziesięciu osób przyglądała się bójce. Wśród nich było dwóch natankowanych robotników ze stalowni, którym nie podobał się widok młodego gliniarza okładającego niemłodego faceta z tatuażami na rękach. Robotnicy w kaskach zaczęli głośno przeklinać, po czym ruszyli z odsieczą Marwinowi.

Kiedy było po wszystkim, Marvin Waterhouse i dwaj robociarze ze stalowni wylądowali w mamrze za czynną napaść na policjanta. Bogu ducha winny taksówkarz stracił dzienny zarobek, siedząc na posterunku i składając zeznania. Wóz patrolowy Gacka Batesa musiał być odholowany do warsztatu, a Ned Grogan do szpitala na prześwietlenie i do ortopedy, który założył mu gipsowy kołnierz.

Ostatnie słowa Neda Grogana, kiedy wieziono go na wózku do gabinetu lekarskiego, brzmiały:

- Powiedźcie Gackowi, że to naprawdę wielki zaszczyt i przyjemność widzieć prawdziwego policjanta w akcji. Jestem z niego dumny. Ale powiedźcie też temu pierdolonemu nietoperzowi, żeby uważał na siebie, kiedy już mnie stąd wypuszczą, bo kiedy go zobaczę, to nie dam mu wielkich szans.

Incydent z udziałem Gacka zwrócił na niego uwagę szefa tajniaków. Zauważył on, że Gacek absolutnie nie wygląda na gliniarza i w związku z tym nadaje się do roboty wywiadowczej w szczycie sezonu, kiedy to zawsze było pełno doniesień o rabunkach

z udziałem prostytutek.

Kiedy zapytał Gacka, co o tym sądzi, ten zgodził się bez wahania, bowiem zdawał sobie sprawę, że Ned Grogan wkrótce opuści szpital, a wtedy Gacek będzie równie bezpieczny jak amerykański samolot szpiegowski nad Kamczatką.

Gackowi wydawało się, że spodoba mu się praca tajnego wywiadowcy, ale w nowej robocie od początku zaczęto płać mu figle, jak to zwykle bywa z nowo przyjętym. Jego pierwsze zadanie miało polegać na przymknięciu pewnej notorycznej prostytutki, która pozowała na masażystkę. Ogłaszała się w lokalnych podziemnych gazetach w taki sposób: „Jeśli mnie pragniesz zadzwoń pod ten numer i powiedz mi czego ode mnie oczekujesz i jak bardzo ci na tym zależy. Nie skąp szczegółów, kochanie.”

W ogłoszeniu mowa była o wyszczególnieniu rodzaju usług, ponieważ dziewczyna nie chciała otrzymywać żadnych telefonów od tajniaków. Jak wszystkie dziwki, doskonale знаła prawo i wiedziała, że nie wolno podstępnie, przez wprowadzenie w błąd, doprowadzić do aresztowania prostytutki. Wszyscy, którzy do niej dzwonili, odbierali wiadomość z automatycznej sekretarki z prośbą o podanie własnego numeru telefonu. Tylko wtedy prostytutka dzwoniła pod podany numer i omawiała szczegóły transakcji. Większość jej klientów stanowili turyści, którzy nie obawiali się podawać numerów telefonicznych swoich pokoi hotelowych.

Starsi koledzy powiedzieli Gackowi, żeby zadzwonił do prostytutki, tak, aby miała okazję zaznajomić się z jego głosem, dzięki czemu nie będzie problemów przy późniejszym spotkaniu. Kazano mu zadzwonić do niej i odczytać przygotowany tekst. Po przejrzeniu go, Gacek Bates miał pewne wątpliwości:

- Słuchajcie, czy to na pewno legalne. Czy wolno nam mówić coś takiego do dziwki?

- Nie ma problemu. To prawo ciągle się zmienia - zapewnili go inni wywiadowcy. - Przeczytaj dokładnie to, co jest na kartce.

Tak więc zaraz po tym, jak Gacek kilkakrotnie przećwiczył wspomniany tekst, jeden ze starszych kolegów wykręcił numer prostytutki. Tylko, że nie był to wcale jej numer, ale numer mieszkania Gacka. Tamten zaczął aż telefon odbierze młoda żona Gacka, po czym powiedział: „Chwileczkę” i podał słuchawkę. Tyle tylko, że do telefonu zgłosiła się nie żona Gacka, lecz jego teściowa, Eunice, mająca do córki żal, że zdecydowała się wyjść za gliniarza w chwili, kiedy pod ręką był pewien dentysta z Costa Mesa zdolny zapewnić jej przyzwoity standard życia.

Więc kiedy Eunice zapytała: „Kto mówi?”, słuchawkę podano Gackowi Batesowi, który odczytał przygotowany tekst:

- Cześć, piękna. Odebrałem twoją wiadomość i chcę odwalić z tobą piękny numer. Chcę, żebyś usiadła mi na twarzy. Pięćdziesiąt dolicz to w sam raz! Sama rozmowa z tobą sprawiła, że mi stanął jak kij do baseballa!

I wtedy Gacek usłyszał krzyk teściowej:

- Willard! Willard! Czyś ty zwariował?!

Takie rzeczy przytrafiały się Gackowi w początkach służby w tajnej policji. Innym razem sprawdzał skargę na ekshibicjonistów obnażających się w kinie pornograficznym niedaleko Disneylandu. W kinie pokazywali „Seksowną Debbie” z udziałem fantastycznej gwiazdy pornosów. Kumple posadzili Gacka w pierwszym rzędzie i kazali mu biec w stronę tylnych rzędów po usłyszeniu umówionego sygnału. Sygnał miał oznaczać, że udało im się pochwycić ekshibicjonistę na gorącym uczynku. Powiedzieli mu jeszcze, żeby ubrał ciasne gacie, bo inaczej będzie wyglądał bardzo nieprofesjonalnie, jak mu stanie podczas oglądania ekscesów seksownej Debbie.

W pięć minut później, jeden z tajniaków wyszedł z sali kinowej i zażądał widzenia się z kierownikiem. Powiedział mu:

- Tamten mały facet z uszami jak nietoperz w pierwszym rzędzie dobierał się do mnie. To jakiś zbrojeniec. Proszę o zwrot forszy za bilet!

W chwilę później wyłonił się następny glina udający widza.

- Prawie skręciłem nogę w kostce! Pośliznąłem się w kałuży spermy! Jakiś onanista siedzi w pierwszym rzędzie. Rezygnuję z seansu i chcę odzyskać moje pieniądze!

I tak dalej.

Podczas gdy gliniarze wyszli na zewnątrz, rycząc ze śmiechu, kierownik kina, wściekły z powodu ciągłych kłopotów z onanistami, którzy odstraszaali innych widzów, złapał Gacka za kołnierz i ściągnął z fotela. Spowodowało to gwałtowną reakcję policjanta. Kierownik był nieustępliwy i wymierzył mu silny cios. Wkrótce zwarli się w bójce, powodując, że widzowie zaczęli w popłochu opuszczać kino.

Kiedy pozostali gliniarze zorientowali się, że tym razem ich dowcip stał się powodem większego zamieszania, wbiegli z powrotem do kina i zobaczyli, iż bójka przeniosła się do sąsiadującego z salą kinową sklepu pornograficznego. Kierownik kina trzymał się za rękę i wył z bólu, bo zamiast w Gacka trafił w ścianę. Natomiast Gacek leżał na podłodze wśród sztucznych penisów i stosów wydawnictw pornograficznych,

myśląc sobie, że praca u tajniaków nie jest wcale lepsza niż patrolowanie ulic.

Jego kariera policyjna w Orange County skończyła się nie wskutek niewydarzonych dowcipów, lecz po akcji mającej na celu przymknięcie pewnej prostytutki, podczas której Gacek o mały włos pożegnałby się z tym światem. W czasie operacji Gacek uchodził za agenta ubezpieczeniowego, który przyjechał do miasteczka Seal Beach w celu oszacowania strat, wyrządzonych przez silny sztorm domom usytuowanym przy nabrzeżu. Tak brzmiała historyjka wymyślona na użytek podejrzanej prostytutki, od kilku lat pracującej w barze pewnego eleganckiego hotelu.

Gocek został poinstruowany, żeby nie rozpoczynał żadnych konkretnych pertraktacji z prostytutką przed północą, ponieważ dopiero wtedy będą mogli dotrzeć do niego koledzy prowadzący obserwację na terenie miasta. Kazano mu sterczeć w barze i zabawić dziewczynę rozmową, jeśli w ogóle uda mu się nawiązać z nią kontakt, a następnie czekać na przybycie grupy wspierającej. Miał im dać umówiony sygnał z chwilą gdy prostytutka konkretnie zaproponuje mu swoje usługi. Wtedy do akcji wkroczą kumple, którzy wsadzą ją do radiowozu i odholują do paki.

Taki był plan. Jednak Gacek zdążył wypić trzy mocne koktajle, zanim zauważył poszukiwaną dziewczynę, która usiadła przy barze i o dwa stołki od niego. Nie mogła być starsza od niego, w pewien sposób przypominała mu Debbie - bohaterkę owego przerwane seansu filmowego. Gacek szczerze jej współczuł, ale pracował jako tajny wywiadowca na tyle długo, żeby wiedzieć czym może grozić okazanie swojej słabości prostytutce. Kiedyś, podczas nalotu na bar, pozwolił jednej takiej pójść do toalety, a gdy w parę minut później policjanci rozwalili drzwi, zobaczyli jedynie powiewającą na wietrze firankę. Wszystko to stało się po tym, jak dziwka bezskutecznie prosiła sześciu kolegów Gacka o to samo i za każdym razem spotykała się z odmową. Takim sposobem Gacek zdobył tytuł frajera miesiąca.

Tym razem, naszpikowany tequilą, po kilku koktajlach Gacek zawarł znajomość z dziewczką w barze. Miała na imię Sally i nie przejawiała zbyt wielkiej ochoty, żeby w bezpośredni sposób zaoferować swoje usługi, tym samym spełniając wymóg kodeksu karnego w tej kwestii. Zapytała Gacka, czy miałby coś przeciwko temu, żeby poszli do jej pokoju, aby tam kontynuować rozmowę.

- Zaczekajmy chwilę - powiedział Gacek. - Po co się spieszyć?
- A tobie nie spieszo do mnie? - Sally uśmiechnęła się chytrze. - Czyż nie zasługuję na to?

- Ależ tak - przytaknął Gacek - ale nie gadaliśmy jeszcze o... konkretach.
- Zróbmy to w twoim pokoju - powiedziała.
- Mogę nie przystać na twoje warunki.
- Och, na pewno są rozsądne.
- Daj mi choć jakieś wyobrażenie - odezwał się Gacek i tym razem on próbował być chytry, ale dziewczyna nie dawała za wygraną.
- Chodźmy na górę, a resztę powiem ci, jak będziemy sami w windzie - powiedziała.
- Napijmy się jeszcze - zaproponował Gacek.
- Posłuchaj mnie, skarbie - powiedziała dziewczyna. - Jesteś fajny gość, ale ja nie mam za wiele czasu. Jeśli nie jesteś zainteresowany, to spływam.
- Chwileczkę! - ratował się Gacek, czując, że mija go okazja dokonania aresztowania. - No, dobra. Pogadamy w windzie. - I pomyślał: „A co tam! Jaki numer może wyciąć taka mała?”

O tej porze hotel był pustawy. Kiedy wchodzili do windy, trzymając się pod ręce jak małżeńska para w okresie miodowego miesiąca, stał tam już jakiś młody facet o miłym wyglądzie. Miał na sobie elegancki sweter, spodnie z mankietami i mokasy, więc Gackowi zupełnie nie przyszło do głowy, że może być opiekunem Sally. Według niego wszyscy sutenerzy byli czarni, nosili jedwabne koszule, buty z aligatorowej skóry i kolczyki w uszach.

Gacek wolałby, żeby byli w windzie sami. Musiał szybko wydusić z dziewczyny ofertę usług seksualnych, bo przecież nie miał żadnego pokoju w tym hotelu.

- Na które piętro pan jedzie? - Gacek zapytał młodego człowieka w swetrze, mając nadzieję, że tamten wysiadzie wcześniej i dziewczyna wreszcie wykrztusi z siebie coś, co pozwoli mu założyć jej kajdanki.

- Na samą górę - odpowiedział tamten z uśmiechem na twarzy, a kiedy Gacek wcisnął guzik, powtórzył:

- Na samą górę.

- Nacisnąłem guzik ostatniego piętra - odpowiedział Gacek, z nutką niepokoju w głosie.

- Miałem na myśli twoje ręce - powiedział młody mężczyzna, wyciągając z kieszeni chromowany rewolwer kalibru 32. - Podnieś je do góry!

Zabrali go na dziesiąte piętro. Byli bardzo sprawni i szybcy. Podczas gdy dziewczyna przytrzymała drzwi windy, jej kompan popchnął Gacka pod ścianę i po

trzydziestu sekundach już miał w ręku jego portfel i zegarek. W chwilę później znalazł kajdanki, które Gacek trzymał w tylnej kieszeni spodni.

- Jesteś gliną? - wysapała dziewczyna.
- No. Tajniakiem - powiedział Gacek. - Jesteście aresztowani.
- Jesteś martwy - odparł młody mężczyzna.
- Jesteście aresztowani - upierał się Gacek.
- Właż z powrotem do windy - rozkazał sutener.
- Wiecie co, wy puście mnie, a ja was! I zapomnimy o sprawie.
- Nie jestem taki głupi jak ty - powiedział młody mężczyzna, przykuwając Gacka jego własnymi kajdankami do poręczy w windzie.
- Nie róbcie tego, proszę - powiedział Gacek, kiedy winda zaczęła zjeżdżać w dół. - Po prostu zwiewajcie, a ja wam pozwolę śpieprzyć.
- Już to zrobiłeś - powiedział sutener. Zanim obaj z dziewczyną wysiedli na parterze, pokiwali mu do widzenia i posłali windę z powrotem na dziesiąte.

Długość łańcucha w kajdankach pozwoliła Gackowi dosięgnąć przycisków i udało mu się nosem włączyć guzik alarmowy. Kiedy znaleźli go pracownicy hotelu i zawiadomili policję, aby ktoś przywiózł zapasowy klucz do kajdanek, Gacek Bates doszedł do wniosku, że praca w Orange County przynosi mu pecha.

Wydawało mu się, że nie jest jeszcze zupełnie stracony dla pracy w policji, lecz może tym razem rozejrzy się za robotą w mniejszej i spokojniejszej mieścinie. Dowiedział się, że szukają obsady małego posterunku gdzieś w pobliżu Palm Springs. Gacek poznał sierżanta Harry'ego Brighta, który odbył z nim rozmowę kwalifikacyjną, po czym powiedział, że Gacek potencjalnie nadaje się na glinę i w ogóle jest w porządku facetem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, kolejny psikus, wymyślony przez dowcipnisa z posterunku w Mineral Springs, doprowadził do małego przełomu w sprawie morderstwa Jacka Watsona.

Nigdy jeszcze nie było takiego posterunku policji, w którym nie znalazłby się jakiś dowcipniś. Jako że w Mineral Springs było dziewięciu gliniarzy, tak więc mieli szczęście, iż los obdarzył ich tylko jednym kawalarzem. Nazywał się Frank Zamelli, lecz powszechnie wołano na niego Frank Figlarz. Był gliną od ośmiu lat i pracował poprzednio w rejonie Zatoki. Miał trzydzieści dwa lata, był wysoki i ciemnowłosy, o oczach jaszczurki. Pozostali policjanci z posterunku mieli nadzieję, że może pewnego

dnia wodewilowe teatryki staną się znów popularne i Frank zmieni pracę na zgodną ze swoim powołaniem.

Jego prawdziwą obsesją był gaz łzawiący. Frank Figlarz umieszczał pojemniki z gazem gdzie się tylko dało. Na przykład zimą wkładał je do przewodów wentylacyjnych w radiowozach. Kiedy w zimne noce chłopcy uruchamiali ogrzewanie, płakali jak po stracie najukochańszego psa, zanim udawało im się zlokalizować przyczynę. Czasami spryskiwał stężonym gazem mikrofony w radiowozach. Chłopaki niczego nie podejrzewali aż do chwili, kiedy sięgali po mikrofon i zaczynały im łzawić oczy. Czasami skraplał gazem wnętrze hełmu tuż przed inspekcją. Stanie na baczność w hełmie nie jest samo w sobie zbyt ekscytującym zajęciem, ale dodatek gazu łzawiącego potrafi je znacznie uatrakcyjnić. Frank Figlarz nie raz zasłużył sobie na srogą zemstę.

Pewnym wariantem tego samego dowcipu była zabawa ze świeżym psim gównem, które Frank Figlarz zbierał z chodnika i chował za deską rozdzielczą wozu patrolowego, jeśli tylko ktoś pozostawił otwarte drzwi, kiedy Frank był w zasięgu pięciu kilometrów. Frank Figlarz wprost uwielbiał obserwować reakcję kolegów, którzy zazwyczaj wyskakiwali z samochodu i, po sprawdzeniu podeszew butów, obwąchiwali się nawzajem jak cocker-spaniele.

Nawet cywilni pracownicy posterunku nie byli bezpieczni w okresach kawalerskiego rozpasania Franka. Tam, gdzie kiedyś pracował była pewna zgrabniutka, choć niemłoda sekretarka, która miała potajemny romans z kapitanem i odrzucała wszelkie zaloty Franka.

Plotka głosiła, że kapitan obracał ją za każdym razem, gdy jej mąż wyjeżdżał w interesach do Los Angeles. Niemniej baba nosiła się jak księżniczka Diana i udawała, że wiedzie cnotliwe życie. W końcu, po kolejnym „nie” w odpowiedzi na niedwuznaczną propozycję Franka, powiedziała:

- Słuchaj, może te subtelności do ciebie nie docierają, więc powiem jaśniej: umówię się z tobą dopiero wtedy, kiedy zdjęcia Nancy Reagan ukażą się na rozkładówce „Playboya”.

Po jakimś czasie Frank otrzymał rozkaz od samego kapitana, żeby odczepił się od jego sekretarki. W ten sposób oboje dostali się na czarną listę Franka Figlarza. Niestety, nie mógł użyć gazu przeciwko tej cholernej babie i przełożonemu. Lecz oto, co zrobił. Pewnego wieczoru zaczekał aż sekretarka pójdzie do domu i dobrał się do jej biurka, na którym stały oprawione w ramki zdjęcia jej dziewiętnastoletniej córki, która

przymierzała się do startu w konkursie na Miss Kalifornii, a którą mamusia traktowała jak zakonnicę. Frank Figlarz w jedną z ramek, która zwrócona była tyłem do siedzącej za biurkiem sekretarki, włożył wybrane przez siebie zdjęcie. Niektórzy policjanci, mijając jej biurko wskazywali na zdjęcie i pytali: „Kto to?”, na co dumna sekretarka odpowiadała:

- Moja córka! - do chwili, kiedy zapytano ją po raz trzeci o to samo.

W tym momencie rozumiała, że coś jest nie tak, ponieważ wszyscy gliniarze z posterunku doskonale wiedzieli czyje zdjęcia trzyma na biurku. Odwróciła ramkę i krzyknęła z przerażenia.

Frank Figlarz umieścił bowiem tam wyciętą z pornograficznego magazynu fotografię ukazującą ni mniej, ni więcej, tylko kobiece genitalia w pełnej krasie. W kolorze.

Gdy wpadła do biura kapitana, by zażądać głowy Franka Figlarza, jej szef i zarazem kochanek usiłował uspokoić ją, tłumacząc, że nie ma pewności, iż jest to dzieło dowcipnisia. Wtedy sekretarka wskazała na wiszący na ścianie za biurkiem kapitana portret jego żony, Rosey, z ich synem, Busterem, wykonany w dziesiątą rocznicę jego urodzin. Twarz Bustera nie była jego własną, a należała do lokalnego włóczęgi i oszczymura o fryzurze Zulusa. Buster w obecnej wersji zdjęcia wyglądał jak Leon Spinks po walce z Larry Holmesem, który obił mu głowę jak jasna cholera.

Wydarzeniem, które zakończyło karierę Franka Figlarza była afera z odsyłaniem pijaków do aresztu okręgowego. Zaczęło się od tego, że jakiś natankowany gość obrzucił go wiązanką złożoną z dwudziestu siedmiu wyzwisk, z których najłagodniejsze brzmiało: „ty świński cycu”. Ponadto pijak zaczął wrzeszczeć coś o tym, że został niesłusznie zatrzymany i brutalnie potraktowany. Franka rozboleła od tego wszystkiego głowa. Wkrótce miał iść na urlop i nie miał najmniejszej ochoty stawiać się dodatkowo w sądzie, więc w okręgowym areszcie zamiast podpisać się pod dokumentem aresztowania swoim własnym nazwiskiem, wpisał się jako funkcjonariusz V.F. Puck, podając jednocześnie fałszywy numer identyfikacyjny.

Od tej pory zaczęły się rządy terroru. W ciągu dwóch tygodni Frank Figlarz pozbył się siedmiu rozrabiających pijaków, pakując ich do aresztu okręgowego, zawsze posługując się wymyślonym naprędce nazwiskiem V.F. Puck.

Wkrótce sprawa wyszła na jaw. Szczególnie po tym, jak funkcjonariusz V.F. Puck nigdy nie pokazał się w sądzie, gdzie rozwścieczeni oskarżeni podawali sprzeczne z sobą opisy policjanta. Niektórzy twierdzili, że funkcjonariusz V.F. Puck jest

wysokim, białym mężczyzną, inni, że niskim Murzynem, jeszcze inni, iż jest tęgawym Meksykaninem.

Jeden z oskarżonych był absolutnie pewien, że funkcjonariusz V.F. Puck jest Amerykaninem chińskiego pochodzenia, ponieważ on sam jest Chińczykiem i rozmawiał z aresztującym go policjantem w tym samym dialekcie.

Rozpoczęło się wielkie wewnętrzne dochodzenie, w które zaangażowano trzy różne agencje policyjne. Frank Figlarz Zamelli otrzymał polecenie poddania się badaniom grafologicznym, lecz powiedział, iż czuje się urażony jako policjant i człowiek honoru tym, że poddaje się w wątpliwość jego słowa. Dodał też, że ma już dość wilgotnego klimatu Zatoki, który jest przyczyną powtarzających się bólów w stawach kolanowych i w związku z tym ma zamiar przeprowadzić się na południe, w okolice Palm Springs, gdzie, jak mu powiedziano, ludzie żyją dłużej niż pasterze kóz w Abchazji.

W pół roku później Frank Figlarz pracował już dla szefa Paco Pedrozy, po tym jak sierżant Harry Bright wystawił mu pozytywną opinię, zaznaczając jednakowoż, że praca Franka powinna być nadzorowana. Paco Pedroza nie miał nic przeciwko metodom Franka dopóty, dopóki przynosiły wyniki. Na przykład, pewnego razu zastępcy szeryfa okręgowego chcieli dokonać przeszukania w domu handlarza amfetaminą mieszkającego w Mineral Springs. Zapytali Paco, czy któryś z jego ludzi ma jakieś informacje na temat sposobu działania handlarza. Chcieli dostać się do jego domu szybko, zanim tamten zdąży spuścić narkotyki w toalecie i zatrzeć wszelkie ślady.

- Nie ma sprawy - powiedział Frank Figlarz, wiedząc, że handlarz był właścicielem pięknie wyremontowanego forda mustanga z 1965 roku, którego kochał bardziej niż nielegalny towar.

W pół godziny później najbardziej podejrzanie wyglądający gliniarz od narkotyków z grupy szeryfa został „aresztowany” przez umundurowanego funkcjonariusza Zameliego, który ciągnął nieszczęsnego, skutego kajdankami tajniaka za kark, wrzeszcząc tak głośno, że mógłby zbudzić całą dzielnicę.

Frank Figlarz narobił masę hałasu, kiedy wchodził na ganek domu handlarza amfetaminą, trzymając „podejrzanego” za ramię. Oparł się o przycisk dzwonka i po chwili usłyszał głos dobiegający z okna na piętrze:

- Czego chcesz?

- Policja! - ryknął Frank Figlarz. - Czy ktoś z mieszkańców tego domu jest właścicielem forda mustanga?

- A jeśli tak, to co? - odpowiedział tamten z nutą lęku w głosie.
- Przylapałem tego faceta jak wrywał radio z deski rozdzielczej. Myślę, że musiał użyć łomu, żeby się włamać. Lakier jest cholernie podrapany i jedna szyba rozbita i...

Usłyszeli jak tamten zbiega po schodach. Po kilku sekundach Frank Figlarz usłyszał szcęk zamka i drzwi otworzył handlarz, bosy i w płaszczu kąpielowym, wrzeszcząc:

- Mój mustang? Ten skurwiel rozpieprzył mojego zabytkowego mustanga?

Gdy Frank starał się powstrzymać handlarza przed maltretowaniem „zatrzymanego”, wkroczyli ludzie szefa i po małej szamotaninie handlarz zamienił się miejscami ze „skurwielem” i znalazł w jego kajdankach. Policjanci z narkotyków mogli spokojnie wejść do domu, gdzie po chwili odnaleźli duże ilości amfetaminy i innych narkotyków.

Paco Pedroza uwielbiał gliniarzy z pomysłami, takich jak Frank Figlarz, ale z drugiej strony trzeba dodać, że Frank nigdy nie robił kawałów swojemu szefowi. Ani sierżantom. Po pierwsze dlatego, że bardzo lubił sierżanta Harry'ego Brighta, a po drugie, że obawiał się jak cholera sierżanta Coya Brickmana, który nie był złym człowiekiem, choć sprawiał takie wrażenie. Frank Figlarz po prostu nie lubił facetów, którzy wpatrywali w niego tak, jakby nie mrugnęli okiem ani razu od 1969 roku. Tak więc Frank Figlarz robił psikusy jedynie ośmiu pozostałym glinom z posterunku w Mineral Springs. Jego ulubioną ofiarą był oczywiście Gacek Bates.

Gacek zmężniał i wydorósł w ciągu dwóch lat pracy w Mineral Springs. Prawie wszystko podobało mu się tu bardziej, niż w Orange County. Jasne, że nie lubił tutajszego lata, kiedy temperatury dochodziły do 50°C. Nie cierpiał też pustynnych zwierząt.

Frank Figlarz złapał kiedyś szopa pracza, przy okazji wezwania do włamania. Ci chaczem podrzucił zwierzę do radiowozu Gacka, co szopowi bardzo się nie spodobało. Zwierzę zjadło kurtkę munduru Gacka, który zdołał jednak jakoś przeboleć tę stratę.

Tym, czego Gacek naprawdę nie mógł ścierpieć, były węże. Nie miało znaczenia, czy były to grzechotniki, żmije pustynne, czy niewinne zaskrońce. Gacek bał się nawet zdjęć, na których widniały węże. Kiedy dowiedział się o tym Frank Figlarz, poszedł do sklepu z zabawkami i kupił ponad metrowej długości węża z gumy, po czym skonstruował skomplikowaną pułapkę w szafie na rzeczy. Kiedy po powrocie z niedzielnej służby Gacek otworzył drzwi szafki, wąż spadł mu na ramię. Gacek wyskoczył z szatni,

wrzeszcząc jak opętany, po czym zjechał po schodach i wybiegł z budynku, napędzając stracha pozostałym glinom, którzy sądzili, że Bates natknął się na ukryty ładunek wybuchowy.

Gacek Bates wciąż jeszcze trząsł się ze strachu, kiedy tamtego wieczoru przyszedł do „Klubu 11-99”. Choć nie należał do ludzi agresywnych i gwałtownych, szukał Zammelliego, który naturalnie siedział sobie spokojnie w domu, obmyślając następne kawały.

Po utworzeniu Posterunku Policji w Mineral Springs wykupiono „Bar Mike'a pod Kaktusem” i otwarto na jego miejscu knajpę dla policjantów. Jej właścicielem był J. Edgar Gomez, emerytowany gliniarz z drogówki. Nazwa baru pochodziła od kodu cyfrowego używanego przez większość glin w Kalifornii w sytuacji, gdy potrzebna była pomoc lub posiłki. Do udekorowania salonu J. Edgar Gomez wykorzystał kilka policyjnych ikon. Jedną z nich było, oprawione w złocną ramę i podświetlone specjalną lampą, wielkie zdjęcie Clinta Eastwooda, trzymającego w dłoni magnum kaliber 44. Drugie zdjęcie przedstawiało generała George'a S. Pattona dzierżącego w ręku automatyczny karabin. Zaś na największej ścianie J. Edgar Gomez umieścił prawdziwe „dzieło sztuki” - malowidło ściennie nabazgrane przez jednego z miejscowych alkoholików, a zaprojektowane przez samego właściciela baru. Malowidło przedstawiało miniaturowe sylwetki Michaela Jacksona z płonącą fryzurą oraz Prince'a w kostiumie z filmu „Purpurowy deszcz”. Ponad nimi widniała naturalnej wielkości sylwetka Johna Wayne'a w westernowym kostiumie, który odlewał się na głowy współczesnych idoli.

Prócz wspomnianego malowidła były gliniarz z drogówki umieścił na ścianach kilka graffiti. Jeden z napisów głosił: „Bezrobocie degraduje. Przywróćcie do pracy Mister Ellisa!” - tym pseudonimem określono katów w Kanadzie, którzy utracili pracę z chwilą zniesienia tam kary śmierci.

Drugie motto brzmiało: „Podtrzymaj odwieczny płomień. Zapal zapalniczkę dla Jana Holstroma” - co przypominało gościom baru akcję zbierania zapalniczek, które następnie w ilości stu pięćdziesięciu czterech wysłano do Soledad z poleceniem przekazania ich niejakiemu Janowi Holstromowi, pensjonariuszowi tamtejszego więzienia, który wsławił się tym, że podłożył ogień w celi Charlesa Mansona, niemal powodując jego śmierć.

W różnych miejscach baru pojawiały się inne napisy, zależnie od pory roku i zapotrzebowania. Jeden z takich napisów umieszczonych nad barem głosił: „Zabrania się gry w podrzucanie”. Napis ten odnosił się do ostatniej zwariowanej mody podrzucania

karła, gdyż jednym ze stałych bywalców baru był właśnie karzeł, Oleg Gridley, który nie tylko nie miał nic przeciwko takiej formie zabawy, ale nawet zachęcał do niej, wiedząc że zazwyczaj włączały się do niej dziewczyny, dzięki czemu mógł je bezkarne obmacywać podczas ogólnego tumultu.

Na drzwiach damskiej toalety widniał napis: „Wstęp tylko dla ssaków płci żeńskiej”. W skrócie można by powiedzieć, że w knajpie aż parowało od nadmiaru męskich hormonów, co upodabniało „Klub 11-99” do innych barów policyjnych w Ameryce.

W barze siedziało około tuzina gliniarzy z różnych części Doliny Coachella, dwie „dziewczyny” z „Bezkrwawej Alei”, które wieczorem zawsze wyglądały o dwadzieścia lat młodziej i jakiś kierowca ciężarówki, wiodący gwałtowny spór etyczny z J. Edgarem Gomezem.

Do dyskusji przyłączył się O.A. Jones, wciąż znajdujący się pod kuratelą Paco Pedroy, który nie mógł znaleźć pretekstu by go zwolnić ze służby po incydencie ze „stoperowym rabusiem” i późniejszym, przypadkowym odkryciu samochodu ze zwłokami Jacka Watsona. Do wszystkiego co robił można było mieć zastrzeżenia, a jednak stawał się kimś w rodzaju lokalnego bohatera.

Paco Pedroza często mawiał, że od czasów zajęcia Etiopii przez Mussoliniego nigdy nie było tylu wariatów na pustyni. Miał na myśli swoich podwładnych, a wśród nich Franka Figlarza, Ostatniego Amunicyjnego Jonesa i Chestera Ciuchcię. Jednak dzięki takim jak oni nigdy nie nudził się.

Chester „Ciuchcia” Conklin był jednym z ostatnich ludzi przyjętych przez Paco i jedynym Murzynem. Poprzednio pracował przez pięć lat na posterunku w Coachella i być może zostałby tam dłużej, ale zaczęto go podejrzewać o to, że wysyła jakieś szczególne przesyłki pod adres: 1600 Pensylwania Avenue, Washington. D.C.

W zasadzie nie zdołano mu udowodnić, że wysyłał podejrzane paczki do Białego Domu, ale pracownicy służby ochrony kolei przyłapali go, gdy tarmosił jakiegoś śpiącego włóczęgę w opuszczonym wagonie. Chester tłumaczył się, że miał zamiar odtransportować pijanego łachmaniarza do paki, ale przecież wiadomo, że policja nie zajmuje się sprzątaniami wagonów linii Southern Pacific.

Sprawa nabrała innego wymiaru, kiedy znaleziono list przytwierdzony sznurkiem do szyi włóczęgi, a zaadresowany do Białego Domu. W liście było napisane: „Jestem naprawdę w wielkiej potrzebie. W Ameryce panuje głód. Zachowajcie moje nędzne życie, a będę glosował na republikanów.”

Do dyskusji przy barze, która zaczęła przekształcać się w debatę polityczną, włączył się też Bobrowy Ogon Bigelow, którego J. Edgar Gomez wpuścił do baru dopiero gdy ten przysiągł, że podczas ostatnich wyborów z szóstego listopada nie głosował na demokratów, tak jak się poprzednio odgrażał. J. Edgar Gomez, jak większość byłych i obecnych gliniarzy, zaliczał się do prawicowego odłamu zwolenników partii republikańskiej, co tłumaczyć można narastającym cynizmem w wyniku stałego kontaktu z ulicą. J. Edgar Gomez pragnął, aby klientela baru w stu procentach podzielała jego poglądy i głosowała na Ronalda Reagana oraz jego partię.

Bobrowy Ogon wypił już prawie tyle, ile wynosiła jego norma na dwadzieścia cztery godziny, co zawsze wprowadzało go w wojowniczy nastrój i gotowość do bójki. Zaczął mieszać z błotem zwycięską ekipę Reagana i Busha, kiedy J. Edgar Gomez, który stał za kontuarem i obracał w ustach cygaro, usiłując drzemać na stojąco, otworzył jedno nabiegłe krwią oko i rzucił ostrzegawcze spojrzenie, zdające się mówić: „Jesteś tu tylko warunkowo”.

Bobrowy Ogon był porządnie natankowany, ale zrozumiał. Powiedział więc tylko:

- Wszyscy politycy są wymoczkami, kutasami i dziwkami!

W barze panowała taka zasada, że można było pluć na Reagana i Busha, pod warunkiem, że wrzucało się do tego samego kosza Mondale'a i Ferraro. Bobrowy Ogon odwrócił się do jednego obecnego w barze Murzyna, Chestera Ciuchcia, i powiedział:

- Przypuszczam, że głosowałeś na Reagana. W końcu to ty wysyłałeś do Białego Domu te wszystkie...

- Och, nie zaczynajcie tego wszystkiego od nowa! - ostrzegł J. Edgar Gomez, unosząc brwi. - Mam już tego dość! A teraz zabieraj się do swojego ginu i nie zaczynaj żadnej rozróby!

Zarówno szczur pustynny jak i czarny policjant powrócili do swoich drinków i udawali, że się nawzajem ignorują. Wszyscy jednak wiedzieli, że Bobrowy Ogon nie skończył jeszcze z Chesterem Ciuchcią, którego skrycie podejrzewał o pamiętne wsadzenie go do autobusu w podróż donikąd.

Chester Ciuchcia natomiast wdał się w dyskusję z J. Edgarem Gomezem na temat szafy grającej. Wszyscy młodzi gliniarze mieli do właściciela pretensje związane z doborem płyt.

- Nie rozumiem dlaczego w tej piepszonej szafie nie może być jakiegoś przeboju, który powstał w bieżącym stuleciu! - zawodził Chester Ciuchcia. - Chce mi się rzygać,

kiedy ciągle słyszę Harry'ego Babbitta i Snooky'ego Lansonona. Rzygać mi się chce, jak słyszę Franka Sinatrę, kiedy śpiewa „Set'em up, Joe”.

- Wy młodzi chyba nie jesteście w stanie zrozumieć starych piosenek - westchnął właściciel baru. - Jakie muzyczne wspomnienia będziecie mieli z czasów młodości? „Wake Me Up Before You Go-Go”?

- Chcemy, żebyś wstawił coś świeżego - upierał się Chester Ciuchcia. - Cholerny świat! Ta knajpa z równym powodzeniem mogłaby uchodzić za miejsce spotkań pracowników centrali telefonicznej, ze słuchawkami przyklejonymi do uszu!

To była prawda. Czterech spośród dwunastu gliniarzy obecnych w barze miało na uszach słuchawki podłączone do własnych przenośnych radiomagnetofonów.

- Dlaczego nie pasują ci Van Halen albo Duran Duran? - wtrącił się O.A. Jones.

- Żadnego hard rocka - powiedział J. Edgar Gomez.

- No dobra, a co masz do Eltona Johna? Przecież to starzec.

- Żadnego soft rocka - powiedział J. Edgar Gomez.

- A co powiesz o grupie The Police? - zapytał Chester Ciuchcia. - Jak taki facet jak ty, który przepracował trzydzieści lat w służbie prawa, może mieć coś przeciwko rockowej grupie o nazwie The Police?

- Nie bądź taki cwany - warknął J. Edgar Gomez.

- Do jasnej cholery, może chociaż jeden singiel Halla i Oatesa! Ich muzyka jest dość łagodna!

- To są kutasy - zdecydował J. Edgar Gomez.

- A co powiesz o The Beatles? Oni też według ciebie są za młodzi?

- Oni zapoczątkowali tę falę gówna w muzyce - powiedział J. Edgar Gomez. -

Powinni pójść na dno w tej swojej cholernej żółtej łodzi podwodnej.

I tak dalej. Wszelka dyskusja z właścicielem na temat muzyki nie miała sensu, a jednak młodzi gliniarze gardłowali w tej sprawie niemal co wieczór. W szafie grającej królowały popowe przeboje z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych oraz odrobina muzyki country. J. Edgar Gomez dopuścił do głosu Willie Nelsona, bo uznał, że piosenkarz ma problemy z powodu starzenia się i dlatego zmienił swoje emploi na kowbojsko-hippiesowskie. J. Edgar Gomez doskonale rozumiał ekscentryczne poczynania ludzi w średnim wieku. Jednak pozwolił na umieszczenie w szafie płyty Willie'go Nelsona dopiero wtedy, kiedy ten nagrał nową wersję przeboju Hoagy Carmichaela, „Stardust”, która niemal dorównywała oryginałowi.

- Co z tobą, chłopie? - zapytał O.A. Jones Gacka Batesa, kiedy gliniarz o wyglądzie nietoperza wpadł do baru i drżącą dłonią podał stojącemu za barem właścicielowi banknot dziesięciodolarowy.

- N-n-n-ic - powiedział Gacek Bates. - Z wyjątkiem tego, że mam zamiar zabić Franka Zemelliego.

- Och, tak? Kiedy?

- Jutro. To jest dzisiaj, jeśli się tu pojawi.

- No proszę. A już robiło się tu nudno.

- Zabiję go. D-d-d-aj mi podwójną tequile, Edgar.

- A co wymyślił Frank Figlarz tym razem? - zapytał O. A. Jones taksując babkę z „Bezkrwawej Alei”, która jeszcze przed pierwszą w nocy będzie jawiła mu się jako piękność po operacji plastycznej za 6000 dolarów

- W-w-w-aż! - wrzasnął Gacek.

- Podrzucił ci węża do samochodu?

- D-d-d-o szafki - powiedział Gacek.

- To już przekracza wszelkie granice - oburzył się O.A. Jones. - Nawet jak na niego. Duży był ten wąż? Nie mów, że to był grzechotnik! W to i tak nie uwierzę!

- G-g-g-gumowy - powiedział Gacek Bates, chwytając szklankę w obie ręce i wlewając jej całą zawartość do gardła.

- Aaaaaaaa, gumowy! W takim razie to jeszcze nie tak źle, Gacku. Nie tak źle.

- Chyb-b-ba go zabiję - powiedział Gacek. - Jezu, ja się j-j-j-ąkam!

- No pewnie. Wypij jeszcze jednego i na pewno się uspokoisz.

- Chyba...! - Gacek ryknął na cały głos. - Wierzę, że g-g-g-go...!

- Co jest?! - wrzasnął O.A. Jones.

- Spokojnie, chłopaki - warknął J. Edgar Gomez. - Dajcie mu trochę spokoju.

- „I Believe!” - wykrzyknął O.A. Jones, podbiegając do szafy grającej, z której płynęła teraz „Green Eyes” w wykonaniu Helen O'Connor. - „I Believe!” Hej, Edgar, czy to nie tytuł piosenki z twoich czasów? Miałeś ją kiedyś w tej szafie.

- Co?

- „I Believe!” Zaraz, zaraz, jak to szło?

Nie wyjmując z ust cygara, J. Edgar Gomez zaśpiewał:

- „Wierzę, że z każdą kroplą deszczu w twym ogrodzie wschodzi kwiaaaaat”...

- To jest to!

- „Wierzę, że gdzieś ktoś pali świecę, kiedy mroczny jest świaaaaaat”.
- Dobra, już starczy! - powiedział O.A. Jones. - To jest ta piosenka!
- Jaka piosenka?
- Ta, którą śpiewał morderca tego młodego. Watsona, kiedy znalazłem go usmażonego w samochodzie!
- Powiedziałeś, że to było „Pretend”.
- „Udawaj, że jesteś szczęśliwy, gdy tropi cię smuuuutek” - zaintonował nagle J. Edgar Gomez. - Uwielbiam Nat King Cole'a.
- Początkowo zdawało mi się, że to było „Pretend”, ale jakoś ta piosenka nie brzmiała mi dobrze, kiedy puszczały mi ją gliny z Palm Springs. Wiem, że tamten facet śpiewał coś o udawaniu. Teraz jestem pewien, że to było „I Believe”.
- Ale przecież to ma zupełnie inną melodię niż „Pretend”. Wychłateś za dużo wódki i teraz wszystko ci się popieprzyło. Mówiłem ci, że whiskey jest dużo lepsza.
- Wiem, że w słowach piosenki było coś takiego - powiedział O.A. Jones z namysłem.
- A ja nie wierzę, że to może mieć jakieś znaczenie - powiedział J. Edgar Gomez - i wolałbym, żebyście nie robili tyle hałasu. Bobrowy Ogon już zasnął. Może uda mu się dzisiaj nie wywołać bójki.
- Jutro zadzwonię na posterunek w Palm Springs. Jestem jedynym tropem do mordercy tego chłopaka!
- Nie wygląda na to, żeby piosenka mogła być jakimkolwiek śladem - powiedział J. Edgar Gomez, zamykając ponownie oczy.
- Jutro do nich zadzwonię - powiedział O.A. Jones.
- Jutro zabiję Franka Zamelliego - powiedział Gacek Bates.

ROZDZIAŁ VI

Dryfujące trumny

- Nie licz na pobłażanie ze strony tego sukinsyna - powiedział Otto Stringer, mając na myśli ich przełożonego. - To największy purytański kaznodzieja w policyjnym świecie.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się nim przejmować, Otto - odpowiedział Sidney Blackpool. - Nikt się nigdy nie dowie o tych dziesięciu kawałkach. A nawet gdyby, to przecież ta forsza nie jest przeznaczona dla nas, ale na wydatki związane ze śledztwem. Nie ma w tym żadnego haczyka.

- Suma, Sidney. To jest haczyk. A właściwie hak. Mój Boże, gdyby ktokolwiek z Wydziału dowiedział się o tym...

- Spokojna głowa. Nikt się nie dowie. Odpręż się, dokończ tę swoją tequile z sokiem pomidorowym. A swoją, drogą, jak ty w ogóle możesz pić takie paskudztwo?

- O tak - powiedział Otto Stringer, wyciągając się wygodnie na leżaku stojącym opodal basenu.

Dokończył drinka i gestem dłoni przywołał kelnerkę. Dziewczyna miała na sobie spódniczkę z palmowych liści i kwiat gardenii wpięty we włosy. W Palm Springs na każdym kroku można się było natknąć na egzotykę.

- Jeszcze jeden? - zapytała, uśmiechając się do Ottona, który w tym momencie poczuł się gruby i stary.

- To było wspaniałe, moja droga - zwrócił się do kelnerki - ale myślę, że spróbuję innego rodzaju.

- To już czwarty rodzaj koktajlu - zauważył Sidney Blackpool z przekąsem. - Mieszanka może ci zaszkodzić.

- Nie ma obawy - odparł Otto. - Co by tutaj wybrać? Może martini? Nigdy nie piłem zbyt dużo martini. Wódkę z martini, moja droga.

- Z cytryną czy z oliwką?

- Proszę o jedno i drugie. I cebulkę koktajlową. Dwie cebulki.

- Wódka z martini - powiedziała, zapisując zamówienie w notesie - i sałatka warzywna.

Gdy kelnerka, kołysząc biodrami, oddaliła się w stronę baru, Otto westchnął, założył ręce na karku i przestał wciągać brzuch. Miał na sobie nowe, bawełniane spodnie i białe, miękkie półbuty oraz brązową koszulę i golfowy sweter.

Sidney Blackpool miał na sobie te same spodnie co wcześniej, lecz zmienił koszulę na zieloną i ubrał biały sweter z wycięciem pod szyją. Palm Springs jest miejscem, gdzie nie przykłada się wagi do wizytowych strojów i powiedziano im, że tylko nieliczne restauracje wpuszczają wyłącznie gości w marynarkach, a krawaty wymagane są w restauracjach luksusowych klubów. Jednak na wszelki wypadek obaj zabrali ze sobą garnitury i krawaty.

- Czy uważasz, że dzisiejszy dzień był gorący, mój drogi? - zapytał Otto, przyglądając się dwóm kobietom po trzydziestce, które przechadzały się wzdłuż krawędzi basenu, spojrzały w kierunku detektywów i bez wyraźnego zainteresowania zawróciły w stronę budynku.

- Wystarczająco - Sidney Blackpool wzruszył ramionami.

- Mamy już za sobą połowę rozmowy. A teraz: gdzie zjemy dziś obiad?

- Nie mam pojęcia. Nieważne.

- To właśnie była druga połowa rozmowy.

- Jakiej rozmowy?

- Typowej dla Palm Springs - odparł Otto. - Przysłuchiwałem się dziś grupie ludzi siedzących przy basenie. O niczym innym nie gadają. Tylko o pogodzie i żarciu.

- Bardzo ekscytujące.

- O nic innego nie muszę się tutaj martwić - powiedział Otto.

- To są bogaci ludzie. Otto. Nie tacy jak ty i ja.

- My też jesteśmy bogaci, Sidney - przypomniał Otto.

- Ale tylko w tym tygodniu.

- Masz świętą rację - powiedział Otto. - Ta kelnerka zbytnio się nie spieszy - dodał. - Ma bardzo uwodzicielskie spojrzenie.

- Wydawało mi się, że interesują cię tylko stare i brzydkie.

- Jako kandydatki na żonę. Z taką chcę się ożenić, a nie spędzić wakacje. Właśnie to mi się podoba w Yoko Ono. Wygląda jakby grała główną rolę kobiecą w japońskim

teatrze kabuki, a tam przecież występują sami faceci. Ożeniłbym się z nią w jednej chwili.

- Podpiszmy rachunek za drinki i chodźmy na obiad - powiedział Sidney

- Pozwól, że ja się podpiszę - Otto uśmiechnął się. - Dopiszę duży napiwek tej kokietce. Zapamięta Ottona Stringera na długo.

- Mam nadzieję, że dziesięć kawałków wystarczy do końca tygodnia - powiedział z przekąsem jego partner, kiedy wchodzili do budynku.

Sala restauracyjna wyglądała tak jak reszta hotelu, lecz było tam mniej trzcinowo-wiklinowych mebli. Główny kelner miał na sobie elegancki garnitur, a pozostali ubrani byli w tradycyjne w tych stronach uniformy: czarne spodnie, białe koszule i czarne muszki. Karta dań była ogromna i trzeba było dwóch rąk, żeby ją udźwigać. Otto Stringer schował się za nią i powiedział:

- Sidney, mógłbym to wziąć z sobą jutro na basen i zrobić z tego daszek, pod którym znalazłoby się dość cienia dla mnie, dla wózka golfowego i dla Liz Taylor.

- Ona już nie jest tego samego rozmiaru co ty - odezwał się Sidney Blackpool, usiłując dokonać wyboru pomiędzy nazwami dań, których nie potrafił wymówić, a prostym, policyjnym żarciem, to znaczy stekiem albo żeberkami.

- Dobrze, że tłumaczą te wszystkie francuskie nazwy potraw - powiedział Otto. - Nienawidzę restauracji, gdzie menu jest podane wyłącznie po francusku lub włosku.

- Jak często zdarza ci się jeść w takich restauracjach?

- Ależ, Sidney, jestem światowym człowiekiem! Przywołajmy kelnera od win.

Właśnie wtedy podszedł do nich kelner i zapytał:

- Czy mogę przyjąć już od panów zamówienie?

- Dla mnie tłuszczyk - powiedział Otto. - Zwykle jem tłuszczyk.

Jednak nie zamówił tłuszczyku, lecz kilka przystawek i dań kuchni europejskiej o obco brzmiących nazwach. Zaczął od szampana i różowego kawioru, ponieważ nie mieli „tego lepszego”. Później zażył sobie polędwicy w sosie szampańskim i ogromnej porcji sałatki. Zakończył potężnym deserem z francuskiego kremu, gdyż chciał, żeby podano mu coś pływającego.

Sidney Blackpool zdawał sobie sprawę, że przekroczył limit ilości Johny Walkera. Zamówił więc jedynie kieliszek szampana, polędwicę po włosku z cytryną i kaparkami oraz sałatę, rezygnując z deseru.

Otto był w połowie kremu, kiedy odezwał się:

- Sidney, musisz się odprężyć... - i czknął. - Cholera - powiedział.
 - Zamówmy jakiś sok. Mnie to pomaga - powiedział Sidney Blackpool.
 - Ta czkawka jest jakaś dziwna - powiedział Otto, a na jego twarzy zaczęły występować kropelki potu. - Chyba muszę pójść do kibla i...
- Ledwie zdążył. Wrócił po dziesięciu minutach, blady i trzęsący się
- Zzieleniałeś na gębie - zauważył jego partner.
 - Właśnie pozbyłem się wymyślnych produktów spożywczych za jakieś sto docłów! - jęknął Otto.
 - To była pierwsza próba, Otto. Do jutra wydobrzejesz. Po prostu twój żołądek nie jest przyzwyczajony do takiej kuchni.
 - Ooo, niedobrze mi - wyszeptał Otto. - I jestem znowu głodny!
 - Chodźmy spać - powiedział Sidney Blackpool.
 - Ale chciałem jeszcze zobaczyć tutejsze nocne życie.
 - Odpocznijmy. Jutro zamówimy sobie śniadanie do pokoju. Na pewno zaraz poczujesz się lepiej.
 - Jutro będę żarł tylko tłuszcz - powiedział Otto.
 - Dobrze, z samego rana zamówię dla ciebie cały półmisk - przyrzekł Sidney.
- * * *

Potężna ulewa. Nigdy nie było takiego deszczu na pustyni. Sidney Blackpool przyglądał się straszliwej fali powodziowej, która przelewała się przez grań góry San Jacinto i opadała kaskadami w stronę hotelu. Kobiety i mężczyźni krzyczeli z przerażenia. To było niesamowite i choć jego własne życie było zagrożone, czuł, że musi tak stać i patrzeć wprost na grzbiet wzbierającej fali, ponieważ ujrzał na niej trumnę. Trumna wyglądała trochę jak deska do surfingu. Sidney Blackpool płakał wraz z innymi gośćmi hotelu, lecz nie z powodu zbliżającej się śmierci. Płakał, gdyż wiedział, że Tommy Blackpool kurczowo czepia się tej trumny. Ma na sobie obcisłe, czerwionoczarne szorty i koszulkę - strój do uprawiania surfingu. Tonie. Trumna sływa po grzbiecie fali w Dolinę Coachella.

- Tommmmmmy! - załkał i przebudził się. Był świt. Nie ocknął się tej nocy wcześniej, tak jak to często bywało - w godzinie, której najbardziej obawiają się alkoholicy. Pościel była mokra od potu, jak zawsze kiedy śnił mu się ten sen o Tommy'm.

W śnie Tommy czasami trzymał się trumny, czasami deski surfingowej, która

oderwała się od paska przytwierdzonego do kostki chłopaka pod naporem wielkiej fali. Ta sama wielka fala w Santa Monica utopiła go.

Innymi razy śniło mu się, że Tommy leży w trumnie w mokrej ziemi i jest mu strasznie zimno. Ten ostatni sen zawsze powtarzał się podczas burzy. Sidney Blackpool teraz nienawidził burz i żałował, że nie poddał zwłok Tommy'ego kremacji. Jego była żona proponowała takie rozwiązanie, ale on wtedy nie zgodził się. Jak wielu ludzi wychowanych w religii katolickiej, nie potrafił uwolnić się od wpojonych mu w dzieciństwie dogmatów. Mimo że obecnie Kościół nie kultywuje już mistycznych rytuałów i nie obstaje przy tradycyjnym pochówku. Nienaruszone szkielety oczekujące na przyjscie Zbawiciela? Właściwie nie wiedział, dlaczego Kościół tak bardzo nalegał na to. Jednak zdecydował się pochować Tommy'ego w sposób tradycyjny. Teraz żałował tego ilekroć padał deszcz. W okresach rozpaczy czytanie gazety zawsze rozpoczynał od prognozy pogody.

Przez wszystkie lata pracy w policji - nawet po dramatycznych zamieszkach w dzielnicy Watts, kiedy to znalazł się we wnętrzu trawionego ogniem magazynu i zdało mu się, że spłonie żywcem - nie zdarzały mu się koszarne sny. Nigdy nie dręczyły go wspomnienia pożaru. Tylko te sny o wodzie i śmierci Tommy'ego. Detektyw drżał z zimna, kiedy człapał do łazienki, żeby wziąć prysznic. Czuł się stary i zmęczony. Miał nadzieję, że uda mu się zwalczyć narastający ból głowy.

Koszmary. Ojciec, któremu jawi się w snach coś tak niezwykle i nienaturalnego jak osiemnastoletni syn leżący w zakopanej trumnie. To wszystko przyprawiło go o zimny pot i ból głowy. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał, łyknął trzy tabletki aspiryny i zszedł na dół z nadzieją, że hotelowa kawiarnia otwarta jest od rana.

Otto Stringer zjadł śniadanie w pokoju, tak jak sobie to obiecał. Był typowy dla Palm Springs, listopadowy dzień. „Taki, jakiego można oczekiwać”, jak to ujął spiker radiowy. Około 25°C przy wilgotności powietrza w granicach 19 procent, czyli świeży i ożywczy poranek. Otto skończył śniadanie: cztery jajka, dwie porcje smażonego boczku, grzanki, dżem i kawę. Wziął prysznic, ogolił się, założył błękitną koszulę oraz granatowy sweter i zdał sobie sprawę, że nie zdecydowali gdzie będą dziś grać.

Otrzymali listę nazw klubów golfowych, gdzie zarezerwowano dla nich terminy gry, a były to jedne z najśłynniejszych klubów w Ameryce. Sekretarka Victora Watsona

zapewniła Sidneya Blackpoola, że pomimo iż nie wszystkie kluby w Palm Springs przygotowane są do otwarcia sezonu 1984/85, to jest ona w stanie zaaranżować grę w każdym wybranym przez nich. Kiedy Otto zszedł do kawiarni, jego partner siedział przy barze z egzemplarzem „Palm Springs Life” i teczką zawierającą raporty policyjne w sprawie morderstwa Jacka Watsona.

- Która z tych dwóch rzeczy ciekawsza? - zapytał Otto, skinąwszy głową kelnerce, jednej z tysięcy, które pracowały podczas ruchliwego sezonu w Palm Springs i zawsze poruszały się tak, jakby miały obolałe stopy.

- Dzień dobry - odpowiedziała, nalewając kawę. - Mamy dziś wspianiały ciepły dzień.

- No, pewnie - odparł Otto.

- To już połowę rozmowy na dziś masz odfajkowaną - powiedział Sidney do Ottona.

- Gdzie zjemy dziś obiad? - zapytał Otto, w ten sposób kończąc tradycyjną wymianę zdań.

- Chcesz dziś grać w golfa, czy zrobić jakąś pokazówkę dla Watsona?

- Myślę, że powinniśmy jak najszybciej załatwić tę sprawę na wypadek, gdyby Watson zażądał od nas jakiegoś raportu.

- Nie sądzę, żeby nas ponaglał - powiedział Sidney Blackpool. - On sam musi sobie podświadomie zdawać sprawę, że nie mamy szans na rozwiązanie tej sprawy. On jest po prostu... pokręconym facetem, który nie może pogodzić się ze stratą syna. Wydaje mi się, że wielu facetów na jego miejscu i z jego forszą chciałoby...

- Sprawiedliwości.

- Powiedziałbym: spokoju. Mówił mi, że nie wierzy w sprawiedliwość.

- Żał mi tego gościa, Sidney. Zabierzmy się dziś do śledztwa. Mamy przed sobą cały tydzień na grę w golfa. Wpadniemy na posterunek w Palm Springs?

- Myślałem, że moglibyśmy podskoczyć do domu Watsona. Po tylu miesiącach nie wydaje mi się, żeby gliny z Palm Springs miały jakieś rewelacje. Podobno jakiś służący zajmuje się domem pod nieobecność Watsonów.

- Od jak dawna dla nich pracuje?

- Zaledwie od dwóch lat.

- Zatem przyciśnijmy go.

- Może uda nam się trochę pograć po południu - powiedział Sidney Blackpool.

Rezydencja Victora Watsona w dzielnicy Las Palmas rozczarowała detektywów. Spodziewali się pałacu w stylu typowym dla Beverly Hills, a zobaczyli parterowy dom bez jakiegokolwiek stylu. Zresztą trudno było ocenić jego styl, gdyż ukryty był za gąszczem oleandrów. W Beverly Hills wszyscy głośno mówili, że zależy im na prywatności i spokoju, lecz projektowali swoje domy tak, żeby spragniona sensacji gawieź mogła przynajmniej zobaczyć górne okna budynków i kryte dachówką stropy ponad murami pokrytymi winoroślą.

Dom Victora Watsona był w stylu z lat pięćdziesiątych. Był niski, i miał płaski dach, a na jego tyłach znajdował się owalny basen i kępa drzew pomarańczowych. Na oko działka zajmowała powierzchnię niespełna jednego hektara. Brama wjazdowa była zamknięta, więc zadzwonili. Nikt nie odpowiedział.

- Może służący pojechał do sklepu, albo coś w tym rodzaju - odezwał się Otto.

- Może jest na tyłach domu i nie słyszy dzwonka - powiedział Sidney, wspinając się na bramę, żeby zajrzeć na teren domu.

- Mam na sobie nowe spodnie, Sidney. A poza tym jestem za stary, żeby wlaźć przez płot.

- To tylko zamek magnetyczny. Po prostu oprzyj się o bramę swoim grubym brzuchem.

- Bo ja wiem. Na pewno uruchomimy alarm - powiedział Otto Stringer, napierając na bramę. Po chwili wrota z jękiem ustąpiły. Weszli do środka, a brama zatrzasnęła się za nimi.

- Coś mi się zdaje, że te dziesięć patyków wydamy na naprawę poczynionych przez nas szkód - powiedział z przekąsem Otto.

- Nie możemy tracić zbyt wiele czasu, Otto. Przecież mamy jeszcze dziś zagrać w golfa.

Weszli na podjazd i zbliżyli się do frontu domu. Otto zawołał:

- Haloooo! - ale nie dotarł do nich żaden dźwięk z wyjątkiem szczebiotu ptaków siedzących na drzewach.

Sidney Blackpool zajrzał do garażu i zobaczył mercedesa Watsona. Otto nacisnął guzik dzwonka przy drzwiach frontowych i usłyszał jego melodyjny ton.

- Obejdzmy dom dookoła - zasugerował Otto. - Może on się opalał i zasnął na leżaku.

Basen robił wrażenie z powodu rozmiarów. Obok dużego basenu znajdował się mały, zasilany przez specjalnie skonstruowane źródło. Mały basen był jednak na tyle duży, że można by w nim urządzać jakąś orgię seksualną, o której marzył obecnie Otto.

- Co o tym sądzisz, Sidney? - Otto mrugnął do kolegi, wskazując na basenik. - Założę się, że w takim odosobnieniu mogli urządzać niezłe imprezy.

- A co to, do cholery?

W zaciemnionej części patio, przy ogrodowym leżaku, leżała przewrócona filiżanka, a obok kałuża rozlanej kawy. Na kamiennej posadzce patio, obok filiżanki, była plama krwi. Wyglądała na świeżą.

- Prędko. Zajrzyjmy do środka - powiedział Sidney Blackpool.

To nie było trudne. Przeszklone drzwi wiodące do domu nie były zamknięte na klucz i obaj detektywi ostrożnie przekroczyli próg spoglądając po sobie. Obaj myśleli o tym samym. Przyjechali tu, by grać w golfa a nie prowadzić śledztwo w sprawie kolejnego morderstwa. Obaj byli nie uzbrojeni.

- Jest tam kto? - krzyknął Otto, na poły spodziewając się, że za chwilę z szafy wyskoczy tajemniczy napastnik, unurzany we krwi.

Dom miał wyraźne piętro artystycznego gustu pani Watson. Zaprojektowany został w takim samym szokującym pomieszczeniu stylów, jak pokój w biurze Victora Watsona: greckie urny, naczynia z okresu cesarstwa rzymskiego, kolumbijskie wyroby użytkowe i osiemnastowieczny pejzaż angielskich mistrzów. W pomieszczeniu znajdowały się trzy wydzielone „strefy wypoczynkowe”, gdzie stały kanapy, masywne fotele i inne siedziska, które miały komunikować: „To taki niedbały, pustynny styl”, a według Sidneya Blackpoola mówiły jedynie: „Brak nam subtelności i wyczucia stylu, ale za to mamy masę forsy”.

Dobiegała ich muzyka z radia, lecz nie ze strony sypialni, które znajdowały się po lewej stronie hallu, ale z części przylegającej do pomieszczeń kuchennych. Otto podniósł starą wagę i ujął ją jak maczugę, po czym spojrzął na Sidneya, wzruszył ramionami i odstawił naczynie z powrotem na miejsce. Obaj policjanci czuli narastające napięcie, kiedy skradając się, weszli do potężnej kuchni wyposażonej w olbrzymie kuchenki gazowe, lodówki i zamrażarki, których nie powstydziałaby się żadna restauracja w Palm Springs. Na środku stał zabytkowy pieńek do ćwiartowania mięsa. Na pieńku leżał wielki rzeźnicki nóż zaplamiony krwią.

Otto Stringer zaczynał żałować, że odstawił wagę i rozglądał się za jakąś namiastką maczugi. Powoli przesuwali się w kierunku, z którego dobiegała muzyka. Radio dostrójone było na jedną z lokalnych stacji, dla której - tak jak dla innych rozgłośni z Palm Springs - czas zatrzymał się w erze Dwighta Eisenhowera.

Akurat z radia płynęły dźwięki piosenki Kay Starr „Wheel of Fortune”.

Słyszeli szum wody z prysznica, Kay Starr skończyła piosenkę, a po niej spiker zapowiedział piosenkę Ozzie Nelsona, „Long As You Got Your Health”.

Starając się rozładować nieznośne napięcie, Otto szepnął do Sidneya:

- Nie wiedziałem, że on śpiewa.

- Kto?

- Ozzie Nelson. Zawsze wydawało mi się, że występuje w telewizji jedynie jako ojciec Ricy'ego.

Sidney Blackpool wysunął nogę i końcem buta popchnął drzwi do sypialni. Muzyka i szum wody stały się głośniejsze. Na palcach weszli do środka i ruszyli w kierunku łazienki. Foliowa zasłona była zaciągnięta i ujrzeli zarys ludzkiej sylwetki skulonej w wannie.

Sidney Blackpool podskoczył i gwałtownym ruchem odsłonił kotarę.

Łysy mężczyzna krzyknął, upuścił trzymany w dłoni obcinacz do paznokci i podskoczył na równe nogi. Był niewielkiego wzrostu. Nie podniósł rąk do góry w obronnym geście, jak to zazwyczaj robią ludzie kierowani nagłym impulsem, lecz złapał się za genitalia. Stał bokiem do policjantów, z jednym kolaniem uniesionym w górę i zasłaniającym kroczę.

- Kim jesteście? - wrzasnął.

- Sierżant Blackpool i detektyw Stringer - powiedział Sidney. - Powiedziano nam, że pan nas oczekuje - dodał. - Na patio były ślady krwi. I ten nóż rzeźnicki. Myśleliśmy, że...

- O, mój Boże! - wykrzyknął mały człowieczek, otulając się szczelnie zasłoną.

- Sądzę, że pozwolimy panu ubrać się - powiedział Sidney Blackpool i obaj detektywi wycofali się do salonu.

- Biedny facet - odezwał się Otto po chwili milczenia. - Mógł ze strachu udławić się własnym językiem.

- Przynajmniej będzie bardziej wyczulony na zabezpieczenie się przed nieproszonymi wizytami - powiedział Sidney, zastanawiając się czy dobrze zaopatrzony bar zawiera butelkę Johnnie Walkera z czarną nalepką. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze dziesiątej i skonstatował, że myślenie o whisky o tak wczesnej porze jest czymś fatalnym, nawet w czasie wakacji.

W kilka minut później przyczłapał się bosonogi służący. Miał na sobie zielone jedwabne kimono z wielkim rękawami i wizerunkiem żurawia w locie wyhaftowanym na plecach. Na oko miał sześćdziesiąt lat a łysinę zakrywała mu lekko przekrzywiona blond peruka.

- O, kurczę, ale mnie przestraszyliście! - powiedział, wyciągając kobiecym gestem dłoń do Sidneya Blackpoola.

Po wymianie uścisków dłoni z obu detektywami, uśmiechnął się i powiedział:

- Kiedy zasłona odsłoniła się, sądziłem że ujrzę przynajmniej Anthony'ego Perkinsa w kobiecym stroju! A spotkało mnie takie rozczarowanie! Napijecie się, panowie, kawy albo czegoś mocniejszego?

- Nie, dziękujemy, panie Penrod - powiedział Sidney Blackpool i dodał:

- Przykro mi, że poznaliśmy się w takich okolicznościach.

- Nie ma sprawy - odparł mały człowieczek. I bardzo proszę zwracać się do mnie po imieniu. Mam na imię Harlan. Wszyscy mówią do mnie po imieniu. Rozumiem, że musieliście mieć pewne podejrzenia, będąc glinami i w ogóle... O, przepraszam, chciałem powiedzieć policjantami.

- Nie mam nic przeciwko nazywaniu nas glinami - powiedział Sidney Blackpool.

- Naprawdę? W filmie „Dragnet” Jack Webb ciągle powtarzał, że nie lubicie jak was tak nazywać.

- Jack Webb nie był gliną - powiedział Sidney.

- Usiądźcie, proszę. Pewnie okropnie wyglądam.

Dotknął peruki i zdał sobie sprawę, że rzeczywiście wygląda śmiesznie.

- O kurczę - wysapał, usiłując poprawić perukę. - Właśnie obcinałem sobie paznokcie, kiedy odsłoniliście zasłonę. Krew? Czytałem właśnie „Los Angeles Times” i kroilem brzoskwinię i och, tak się zdenerwowałem czytając artykułu na temat Rose Bird i Stanowego Sądu Najwyższego. Ciągle głosujemy za wprowadzeniem kary śmierci, a oni wciąż pozwalają, żeby mordercy uchodzili z życiem. Tak się zdenerwowałem, że zamiast brzoskwini, nieomal pokroiłem na plastry swój własny palec!

- Wpadliśmy, żeby trochę rozejrzeć się po domu i zadać kilka pytań - Sidney Blackpool zerknął na Ottona, który zdawał się odgadywać jego myśli: „Jeśli będziemy w ogóle wiedzieli, o co pytać w sprawie sprzed półtora roku.”

- Nie musielibyśmy przejmować się jakąś tam Rose Bird, gdyby gubernator Jerry Brown nie mianował jej na stanowisko prezesa - ciągnął z oburzeniem Harlan Penrod. - Widzieliście jego portret, który zawiesili w głównym budynku administracyjnym? Czy artysta zdołał uchwycić uzewnętrzniające się cechy jego paranoicznej osobowości? Mam nadzieję, że uda nam się pozbyć zarówno Rose Bird jak i całej reszty ludzi

wprowadzonych przez Jerry'ego Browna na stanowiska w Sądzie Najwyższym. Myślę jak glina. Jestem całkowicie za karą śmierci!

- Bardzo nam przykro, że w taki sposób zakłóciliśmy pański spokój, ale...

- Ależ skądże, wcale mi nie przeszkadzacie. Nie macie pojęcia jak bardzo dośkwiera mi tu samotność. Od czasu śmierci Jacka państwo Watson nigdy tu nie przyjeżdżają. Jeśli nie pozwolą przyjaciołom korzystać z tego domu podczas weekendu, to nie widuję tu nikogo. Czy macie pojęcia jak bardzo można czuć się samotnym w takim domu jak ten?

- Wolno panu przyjmować tutaj swoich przyjaciół? - zapytał Otto rozparty wygodnie na kanapie, podziwiając zgromadzone dookoła muzealne eksponaty, które tak bardzo nie podobały się jego partnerowi.

- Ależ naturalnie. Państwo Watson to ludzie, dla których praca jest prawdziwą przyjemnością. No i dom dostarcza mi wielu zajęć. Nie jestem już taki młody - mówiąc to, Harlan Penrod dyskretnym ruchem usiłował poprawić perukę, lecz wciąż nie był zadowolony z jej ułożenia. - To dobra praca, wiercie mi. Nie narzekam. Po prostu brakuje mi tu domowników, o których mógłbym się zatroszczyć i dla których mógłbym gotować. Hej! Kiedy pan Watson telefonował, powiedział, że panowie prawdopodobnie będziecie tu przez tydzień. Może mielibyście ochotę na coś specjalnego? Ugotowałbym...

- Bardzo dziękujemy - powiedział Sidney Blackpool - ale mieszkamy w hotelu i...

- Och, to dla mnie żaden kłopot! Ja po prostu uwielbiam gotować. Właściwie to jestem z wykształcenia kucharzem. Na co mielibyście ochotę? Mogę przyrządzić to, co tylko sobie zamierzycie. Mam rachunek kredytowy u Jurgensena. Możecie przyjść z żonami. Przyjechaliście z nimi?

- Nie jesteśmy żonaci - powiedział Otto. - Obaj rozwiedzeni.

- Naprawdę! - wykrzyknął Harlan Penrod. - W takim razie musicie przyjść na obiad!

- Nooo, może za kilka dni - powiedział Sidney Blackpool. - A teraz przejdźmy do sprawy morderstwa.

- Uważacie, że uda się wam rozwikłać tę zagadkę? To znaczy, macie jakieś nowe poszlaki?

- Raczej nie - powiedział Otto. - Musimy skoncentrować się na tym, co już zostało ustalone. Niestety, jest tego niewiele.

- Wiem - Harlan Penrod przytaknął, skromnie zakrywając ręką kimona

kościaste kolana. - Zastanawiałem się, dlaczego przyjeżdża dwóch policjantów z Hollywood. Wiem, że macie tam dość własnych spraw.

- Istotnie, mamy masę roboty - powiedział Otto. - Robimy przysługę panu Watsonowi. Chcemy jeszcze raz przyjrzeć się sprawie.

- Jack był takim pięknym chłopcem - Harlan Penrod popadł w zadumę. - Takim delikatnym i inteligentnym, takim...miłym, no wiecie? Był w takim wieku, kiedy młodzi potrafią cieszyć się własną świeżością i już wiedzą wszystko o tych sprawach, są na ostatnim roku college'u i w ogóle... Ale Jack był inny. Był takim słodkim chłopcem.

- Dla ciebie? - zapytał Otto.

- Och, tak - odpowiedział Harlan Penrod. - Tak było...miło, kiedy kręcił się w pobliżu. On lubił i szanował innych ludzi. Myślę, że traktował mnie jak członka rodziny, nie jak służącego.

- W raporcie policyjnym jest mowa o tym, że nie było cię w domu tamtej nocy, kiedy Jack zniknął - powiedział Otto, rozpoczynając klasyczną procedurę przesłuchania.

- Tak. Byłem w Los Angeles. Potem wyrzucałem sobie, że nie zostałem w domu. Nie macie pojęcia, ile razy o tym myślałam.

- Dlaczego pojechałeś do L.A., Harlan?

- No, nigdy nie podałem prawdziwego powodu detektywom z Palm Springs, ale nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie po tak drugim czasie. Zostałem wezwany, żeby złożyć zeznanie na procesie kryminalnym i nie chciałem, żeby pan Watson o tym się dowiedział. To wszystko było takie przygnębiające!

- Procesie kryminalnym? - Otto uniósł brew i spojrzał na Sidneya. - Czy byłeś wmieszany w przestępstwo?

- Och, skądże znowu! Byłem świadkiem. To było takie nieprzyjemne! - Harlan Penrod podniósł się, podszedł do barku i napełnił szklankę sokiem pomarańczowym. - Macie ochotę na odrobinę soku? Świeżo wyciśnięty.

- Nie, dziękuję - odparł Otto, a Sidney Blackpool potrząsnął przecząco głową i wyszedł na półce butelkę ze znajomą nalepką: Johnnie Walker Black Label.

- No, cóż - powiedział Harlan Penrod, wracając na poprzednio zajmowane miejsce na kanapie. Założył nogę na nogę, okrywając się szczelnie kimonem. - W zasadzie to właśnie z tego powodu opuściłem Hollywood i zamieszkałem tu, na pustyni. Pracowałem w takim studiu nagrań w Santa Monica, gdzie przychodziły różne beztalencia, żeby nagrać sobie płytę. To było takie przygnębiające. Wszyscy ci młodzi chłopcy i dziewczyny z rozbudzonymi nadziejami i marzeniami. Grupy rockowe, które miały w

programie same koszmarne utwory. Nadzieje i marzenia. Ciągle byłem przez to przygnębiony.

Sidney Blackpool spojrział na zegarek, a Otto powiedział:

- Przepraszam, ale niedługo mamy umówione spotkanie.
- Naprawdę? - Harlan Penrod był niepokieszony. - No więc, pewnego dnia, podczas pracy nad miksowaniem muzyki mój szef, słodki facet, wdał się w straszną kłótnię ze swoim kochankiem, Godfreyem Parkerem, który był prawdziwym draniem. Prawie rzucili się na siebie. Wtedy wyszedłem. A następnego dnia znaleźli mojego szefa. Trudno mi o tym mówić!

- Co się stało? - Otto dał się wciągnąć w opowieść Harlana.

- To było morderstwo typowe w środowisku homoseksualistów - powiedział Harlan. - Pamiętam podobne zdarzenie w domu, gdzie mieszkałem. Pewien utajony homoseksualista pociął swojego kochanka na kawałki. Kiedy przyszła policja, znaleźli te wszystkie plastikowe torby w różnych częściach mieszkania. „Jest w tej!”, mówił jeden z gliniarzy, a na to drugi: „Tutaj też jest!”. To było okropne. Jego najlepsza część znaleziona została w torbie z krokodylej skóry!

- Ale, wracając do tego studia nagrań... - zaczął Otto, nalewając sobie jednak soku pomarańczowego.

- No, właśnie. Policja przyszła następnego ranka, kiedy zadzwonił po nich dozorca. Znaleźli mojego szefa leżącego na podłodze w studiu. Ze statywem od mikrofonu...och, to takie straszne... wbiłem głęboko w odbytnicę!

- To rzeczywiście niesamowite - powiedział Otto.

- Ten Godfrey to był rzeczywiście kawał drania! I wie pan, co powiedzieli ci gliniarze?

- Nie mam pojęcia - przyznał Sidney Blackpool.

- Ten pierwszy powiedział: „Chyba wiem, kim jest ofiara.” A później podał nazwisko tego dziennikarza telewizyjnego z Programu Siódmego, który robił oskarżycielskie reportaże na temat pracy policji z Los Angeles. I tamten policjant powiedział, że, każdy z nich może być podejrzany o tę zbrodnię. „W końcu jakiś glina zrobił to, co wszyscy mieliśmy na myśli.” No i musieli odciąć ten statyw mikrofonowy specjalnymi nożycami do metalu!

- To samo musiał czuć Ronald Reagan, kiedy wymyślił mu się ten dowcip o zbombardowaniu Rosjan - zauważył Sidney Blackpool.

- Ale wróćmy do Jacka Watsona. Mamy podstawy sądzić, że pojechał do Hollywood tego dnia, w którym zniknął. Kupił oponę w salonie Rolls-Royce'a. Czy wie pan może, dlaczego pojechał do Hollywood?

- Hollywood? Nie mam pojęcia! Jestem zaskoczony! Przyjechał tu na weekend, bo chciał odpocząć po egzaminach końcowych w college'u. Jego narzeczona miała też przyjechać. A poza tym w Palm Springs też jest sklep firmowy Rolls-Royce'a. Dlaczego miałby jechać do Hollywood po oponę?

- Prawdopodobnie miał jakiś inny powód - powiedział Otto.

- Nie wiem, po co miałby wsiadać w samochód i jechać dwie godziny do Hollywood, kiedy przyjechał tu, żeby wypocząć. Trudno mi też zrozumieć, czemu wziął rolls royce'a.

- Dlaczego? - zapytał Sidney Blackpool.

- Nie cierpiał go. Zawsze mówił, że to takie pretensjonalne auto. Nawet jako pasażer jeździł nim niechętnie. Miał swój własny samochód, porsche'a 911. Kiedy wybierał się do miasta, zawsze brał porsche'a.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Otto.

- Nie mam najmniejszej wątpliwości. Rodzicom nigdy nie mówił jak bardzo nie znosi tego samochodu, ale mnie nie raz to powiedział. Właśnie dlatego nigdy nie przylatywał tu samolotem na weekendy. Nie chciał być skazany na poruszanie się rolls-roycem. Zawsze przyjeżdżał samochodem, żeby móc używać go na miejscu.

- Czy często przyjeżdżał na odpoczynek? - zapytał Sidney Blackpool.

- Och, może ze dwa razy w miesiącu podczas trwania roku akademickiego. Z reguły wpadał na dwa lub trzy dni.

- Z raportu policyjnego wynika, że jego ojciec powiedział, iż Jack rzadko przyjeżdżał sam do Palm Springs

- Wie pan, rodzice często o tym nie wiedzieli - powiedział Harlan Penrod. - Oni są bardzo zapracowanymi ludźmi i nie mieli czasu, żeby interesować się Jackiem. Jack z reguły mówił im, że zostaje w akademiku, lecz przyjeżdżał tutaj. Nigdy o tym wcześniej nie wspominałem, bo po jego śmierci uznałem, że nie należy mówić nic ponad to, co niezbędne.

- Dlaczego? - zapytał Otto

- Wtedy pracowałem dla Watsonów dopiero od sześciu miesięcy i słyszałem jak pan Watson opisał Jacka policjantom. Jaki to on inteligentny, porządny, zdolny i pracowity student... To wszystko prawda, ale...

- Ale co?

- Jack przyjeżdżał na weekendy do Palm Springs, ale nigdy w towarzystwie

rodziców, i zawsze zależało mu, by utrzymać te wypadki w tajemnicy. Prosił mnie, żebym go nie zdradził.

- Pytałeś, dlaczego mu na tym zależało?

- Powiedział, że ojciec wciąż traktuje go jak dziecko i na pewno zaczęłby węszyć, gdyby się dowiedział.

- Węszyć?

- Sierzancie, Jack był niezwykle przystojnym, dwudziestodwuletnim mężczyzną!

Kiedy wychodził wieczorem, to wyobrażam sobie, że chodził na dyskoteki. To znaczy, miał narzeczoną, jasne, ale przecież masa pięknych dziewcząt zjeżdża tu z San Diego i Los Angeles. No, wiecie jak to jest, kiedy się ma dwadzieścia dwa lata.

Sidney Blackpool spojrział na Ottona i powiedział:

- Czy kiedykolwiek wierzyłeś w to, że został porwany z domu? - zapytał Otto.

- Tak naprawdę, to nie - powiedział Harlan, a jego oczy zaczęły wypełniać się łzami na wspomnienie o Jacku Watsonie. - To znaczy, wiem jak bardzo ciemno tu jest w nocy i że niedaleko znajduje się getto kolorowych, ale przecież wszyscy tu mają jakieś systemy alarmowe. Ludzie są ostrożni. Starzy i bogaci wolą nie oświetlone ulice, niż jarzeniowe latarnie, które mogłyby zakłócać ich sen. Nie chcą obecności policyjnych helikopterów. Wszyscy kładą się spać o dziewiątej.

- Lepiej złorzeczyć na ciemności, co? - powiedział Sidney podnosząc się. - Czy te czujniki na podczerwień są nadal sprawne, te na murach?

- Tak sądzę.

- Zawsze je włączasz?

- Ależ tak. Uruchamiam zarówno system zewnętrzny, jak i wewnątrz domu zawsze przed położeniem się spać i wtedy, gdy wychodzę. Chociaż muszę przyznać, że czasami tak mi doskwiera samotność, że z przyjemnością powitałbym jakiegoś włamywacza. Byleby nie był brutalny.

- Oj, uważaj, Harlan - ostrzegął Otto. - Czasami podejrzani partnerzy mogą rzeczywiście okazać się brutalni.

ROZDZIAŁ VII

Broń

Kariera funkcjonariusza Barneya Wilsona w Dolinie Coachella byłaby niegodna wzmianki, gdyby nie to, że zaangażował się w działalność związkową. Jego kariera w pewnym sensie była podobna do kariery Ronalda Reagana. Był zwykłym, szeregowym gliną do czasu, gdy wygłosił mowę na rzecz swojego kolegi, który ubiegał się o stanowisko przywódcy związku zawodowego policjantów. Lecz tak naprawdę Barney Wilson nigdy nie wygłosiłby tamtej pamiętnej oracji, ani żadnej innej, gdyby nie jego wizyta u lekarza podczas rutynowych corocznych badań kontrolnych. Ów lekarz wezwał dwudziestodwuletniego glinę do swojego gabinetu i najpierw przekazał mu dobrą wiadomość. Powiedział, że nie potwierdziły się obawy Barneya, że ma trypra, w związku z czym może nadal widywać się z kochanką i nie musi nic wyznawać swojej żonie. Natomiast złą wiadomością było to, że zostały mu najwyżej dwa lata uciech zarówno z kochanką jak z żoną.

Barney Wilson zaniemówił i wpatrywał się w lekarza, który był lekko zniecierpliwiony, jakby kazano mu pracować za darmo w nadgodzinach.

- Ma pan czerwone krwinki w moczu. Ostry przypadek zapalenia kłębuszków nerkowych. Daję panu jakieś dwa lata, może mniej - lekarz zerknął na wiszący na ścianie zegar, ponieważ spieszył się na mecz golfowy z kolegami.

W ciągu następnych trzech tygodni rodziła się legenda Doliny Coachella. Barney Wilson wystąpił w imieniu kolegi i w obecności wszystkich pracowników wydziału wygłosił mowę popierającą kontrowersyjny strajk policyjny. A po wypiciu dwudziestu dwóch puszek piwa w przeciągu trzech godzin powiedział, że szef policji jest pompacyjnym dupkiem o uniżonych manierach Fidela Castro, Muammara Kadafiego i Barbry Streisand razem wziętych. Ku uciesze pikietujących budynek policjantów powiedział też, że gliniarze powinni nafaszerować nitrogliceryną specjalną poduszkę przeciw hemoroidom, której używał szef oraz naszpikować jego papierosy narkotykami.

A że człowiek w obliczu śmierci nie zna granic, funkcjonariusz Wilson doprowadził do euforii tłum strajkujących policjantów, nazywając szefa marionetką i mięczakiem, który nie zdejmuje kamizelki kuloodpornej nawet pod prysznicem. Przy końcu płomiennej mowy, podczas gdy lokalni reporterzy trzaskali zdjęcie za zdjęciem, funkcjonariusz Wilson powiedział, że szef rządzi wydziałem jak samozwańczy prezydent bananowej republiki. Z zażwionymi oczami na myśl o rychłej śmierci, Wilson zakończył mowę wśród owacyjnych okrzyków słowami: „Dajcie nam wolność lub śmierć! Żałuję, że mam tylko jedno życie, które mogę poświęcić mojemu związkowi!”

Od tamtego dnia funkcjonariusz Barney Wilson znany był w Dolinie Coachella jako Nathan Hale Wilson i wkrótce wysunięto jego kandydaturę na przewodniczącego Związku Zawodowego Policjantów. I wtedy, żeby usatysfakcjonować pogrążoną w smutku rodzinę, udał się do lekarza hematologa w celu potwierdzenia diagnozy. Doktor zapytał go, czy przechodził grypę przed badaniem, na podstawie którego zakomunikowano mu Złą Wiadomość. Po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi, lekarz zapytał, czy Barney zaczął uprawiać biegi dla zdrowia mniej więcej w czasie, kiedy poddał się pierwszemu badaniu. Nathan Hale Wilson odpowiedział twierdząco i zapytał ile mu jeszcze zostało życia. Doktor odpowiedział: „Mniej więcej pięćdziesiąt, chyba że szef policji odkryje, iż nie jest umierający.”

Tego samego popołudnia, po zapewnieniu, że będzie mógł pracować jeszcze przez długie lata, Nathan Hale Wilson wyruszył do Mineral Springs, żeby osobiście zapytać Paco Pedrozę, czy przyjmie do pracy w miejscowym posterunku policjanta, który ma za sobą krótką choć burzliwą karierę w amerykańskich związkach zawodowych.

- Mogę dać ci szansę - Paco Pedroza ostrzegął go tamtego dnia - pod warunkiem, że dasz sobie spokój z działalnością w związku.

- Ten etap kariery mam już za sobą, szefie - powiedział Nathan Hale Wilson. - Po prostu odbiło mi przez tego konowała, którego zresztą zamierzam ściagać w sądzie.

- To dobrze - odparł Paco Pedroza - bo jak pewnie wiesz, na naszym terenie, w klubie golfowym w Indian Wells, mieszka Jimmy Hoffa, były lider Związku Zawodowego Transportowców.

- Naprawdę mam to już za sobą - przyrzekł Nathan Hale Wilson.

- Wydaje mi się, że on się nadaje - powiedział sierżant Harry Bright, doradca szefa w sprawach kadrowych.

- No, dobra. Przyjmemy cię na okres próbny - powiedział Paco Pedroza. - Przydzielę cię do naszego Indianina.

- Indianina?

- Indianina pełnej krwi, Maynarda Rivas. Prawdopodobnie znajdziesz go dziś wieczorem w Klubie „11-99”. Poszukaj kwiecistej tapety. To będzie on. Lubi nosić wzorzyste, krzykliwe koszule.

- Duży z niego facet, co?

- Ma sporo miejsca na tatuaże - powiedział Paco.

Maynard Rivas wychował się w rezerwacie Indian Morongo. Kawalek pustynnej ziemi i obskurna salka do gry w bingo były jedyną własnością plemienia. Maynard przez całe życie żałował, że nie pochodzi z plemienia Agua Caliente, które posiadało prawa własności do wielu terenów w centrum Palm Springs. Prawie połowa ziemi i domów w Palm Springs jest własnością Indian Agua Caliente, a opłaty dzierżawne ostatnio niebotycznie wzrosły. Plotka głosiła, że pewien Indianin zarabiał kwartalnie 20 000 dolarów wyłącznie z tytułu dzierżawy. Mówiło się też, że są tacy, którzy zarabiają tyle samo miesięcznie.

Indianie z Palm Springs mają najwyższy dochód na głowę ludności spośród wszystkich amerykańskich plemion, w związku z czym wyłączeni są spod finansowej opieki rządu. Indianie nie płacą podatku dochodowego od wpływów z tytułu własności, a jedynie podatek od inwestycji. Niektórzy z nich są wykształceni i prowadzą eleganckie życie. Inni wolą siedzieć przez cały dzień pod drzewem. Są też wśród nich narkomani i alkoholicy.

Tak więc, gdy turyści pytają miejscowych: „Gdzie żyją Indianie?”, najczęściej otrzymują odpowiedź: „Tam, gdzie mają ochotę. Przecież mają forszę.”

Gdyby Morongowie i Agua Caliente zamienili się terenami jakieś osiemdziesiąt lat temu, Maynard rozbijałby się teraz ferrari, a oni podjeżdżaliby na stację benzynową, żeby zatankować paliwa za dwa dolary, mówiąc przy tym: „Specjalnie tak mało mu wlewam, żeby był lżejszy i przez to szybszy”. I to oni musieliby w koszmarnych snach słuchać zwariowanych gospodyń domowych krzyczących: „Bingo!”.

Maynard Rivas zawsze marzył o tym, żeby wyrwać się z rezerwatu Morongów, a szczególnie z salki do gry w bingo. Opodal rezerwatu znajdowały się dwie naturalnej wielkości figury dinozaurów oraz kilka tysięcy turbin wiatrowych. Poza gapieniem się na wielkie gady i wirujące wiatraki można było jedynie upijać się. Maynard Rivas postanowił przenieść się do Los Angeles i wstąpić do policji.

Wielu Indian Morongo było sporych rozmiarów, ale Maynard był wielki jak piec. Służbowy rewolwer wyglądał w jego dłoni jak zabawka.

Kiedy był jeszcze na stażu, otrzymał wyróżnienie za odwagę, bo uratował życie pewnemu wariatowi, który doprowadzał gliniarzy do szaleństwa swoimi wygłupami. Był to jeden z tych „radiowców”, z którymi wszędzie od czasu do czasu gliniarze mają do czynienia. Ludzie ci zakradają się do policyjnych samochodów, kiedy gliny zostawią je otwarte i nie pilnowane na kilka minut, po czym sięgają po mikrofon radiotelefonu i gadają jakieś świństwa do dyżurnego w centrali. Ten „radiowiec” działał w taki sam sposób. Zwykle mówił tylko: „Skurwysyn”. Czasami, kiedy dyżurny prosił o powtórzenie, dodawał „To wszystko” albo „Skończyłem” lub „Skończyłem. Bez odbioru”, lub coś podobnego w radiowym żargonie.

Maynard Rivas przyłapał go kiedy usiłował zakraść się do radiowozu sierżanta, który w tym czasie jadł bułkę z wołowym ozorem w barze „Winchell's”. „Radiowiec” miał fryzurę jak Harpo Marx i sprawiał wrażenie dwa razy głupszego niż on. Wielki Indianin spłoszył go i tamten rzucił się do ucieczki. Wpadł do pobliskiego budynku biurowego, po czym ruszył schodami w górę. Stamtąd wydostał się na schodki przeciwpożarowe, dzięki czemu na dole utworzyło się zbiegowisko. W tłumie było kilku gliniarzy, którzy wykrzykiwali: „Złapiemy cię!”. Ale tamten nie był aż tak głupi i nie skoczył w dół.

Maynard Rivas przekonał majstra z pobliskiej budowy, żeby pozwolono mu dostać się na schody przeciwpożarowe z pomocą dźwigu. Indianin stanął na betonowym bloku, który podciągnięto na wysokość najwyższego piętra, gdzie znajdował się wariat. Maynard zdeorientował go mówiąc: „Nie chcesz oglądać mojej gęby? W porządku! To cześć!”

A kiedy miłośnik komunikacji radiowej zaczynał rozumieć, że samobójstwo oznaczać będzie koniec szeptania „skurwysyn” do policyjnych mikrofonów, Maynard Rivas dokonał ryzykownego skoku na balustradę schodów przeciwpożarowych, chwytając wariata jak piłkę. Niestety, niedługo cieszył się sławą bohatera.

Tym, co przyczyniło się do zakończenia jego policyjnej kariery w Los Angeles była południowa ryba. A właściwie kilka ryb, które w ogóle nie miały prawa znajdować się w Ameryce.

Maynard ubezpieczał policjantów z Wydziału Narkotyków podczas nalotu na dom, który na oko wart był około miliona dolarów. W wyniku akcji przyskrzyniono tylko

dwóch peruwiańskich handlarzy i jakiegoś studenta z Europy Wschodniej, który znalazł się tam, żeby dokonać zakupu narkotyków. U studenta, który okazał się być synalikiem bułgarskiego dyplomaty, znaleziono jedynie niewielką ilość kokainy. Jego starego chronił immunitet dyplomatyczny. Twierdził później, że obejmuje on też jego rodzinę.

Cała akcja przyniosła mizerne efekty i rozczarowała gliniarzy, z których część po chwili opuściła dom. Na miejscu pozostał Maynard Rivas w towarzystwie drugiego mundurowego policjanta, opiekującego się trzema zatrzymanymi, podczas gdy cywile z narkotyków przeszukiwali domek gościnny leżący na tyłach posesji.

Ten mniejszy z Peruwiańczyków spojrział na obu mundurowych, po czym zwrócił się do Maynarda Rivas:

- Señor, czy możemy pogadać bez świadków?

Maynard Rivas nie obawiał się żadnych sztuczek ze strony Peruwiańczyka, który był na oko ze trzy razy mniejszy od niego, a poza tym, tak jak pozostali dwaj, był w kajdankach.

- Miej na nich oko - powiedział do partnera, po czym wyprowadził małego Peruwiańczyka do przedpokoju.

- Jak pan zdejmiesz mi kajdanki, to ja panu pokażę, gdzie jest zadołowana koka - powiedział Peruwiańczyk.

- Ach, tak? Wydaje ci się, że dopiero wyszedłem z indiańskiego szałas, co? Jak chcesz nam powiedzieć, gdzie jest koka, to wal śmiało z kajdankami na łapach. A w ogóle, to powiedz tym od narkotyków. Ja tu tylko jestem waszą piastunką.

- Oni mnie bili po twarzy. Nic im nie powiem. Powiem panu, albo nikomu innemu.

- No, to gadaj.

- Ale, señor, moje nadgarstki! Tak mnie bołą. Przecież obszukałeś mnie pan. Ja jestem tylko małym człowieczkiem. Pan jesteś olbrzymem.

Maynard wahał się przez chwilę, ale pomyślał, że gdyby ten mały dupek zdołał popsuć mu szyki, to oznaczałoby, że czas wracać do rezerwatu i przeznaczyć resztę życia na prowadzenie gry w bingo.

- W porządku, ale będę cię cały czas trzymał za rękę - powiedział Maynard, zdejmując kajdanki Peruwiańczykowi i pozwalając, żeby rozmasował nadgarstki.

- Bardzo dziękuję, señor - powiedział Peruwiańczyk. - Pójdiesz pan ze mną, a pokażę to, czego szukacie.

To było akwarium. Ale jakie! Kompletnie dominowało we wnętrzu salonu. Miało pojemność sporo ponad czterystu litrów, było oświetlone i wyposażone we wszelkie filtry. Wewnątrz pływało dwadzieścia dziwnych, czarnych ryb o ostrych zębach.

- Tam - szepnął mały człowieczek, a jego wspólnik wykrzyknął: „Silencio, cabron!”, próbując poderwać się i doskoczyć do niego. Powstrzymał go partner Maynarda.

- Tam? - Maynard Rivas wskazał ręką akwarium.

- Tam - potwierdził Peruwiańczyk.

Na dnie spoczywała przezroczysta polietylenowa torba. Jako że akwarium wyłożone było białymi kamieniami, kamuflaż był niemal pełny. Na oko w torbie było przynajmniej półtora kilograma białego proszku.

Maynard Rivas zaczął podwijać rękaw munduru, mając nadzieję, że uda mu się sprawić niespodziankę facetom od narkotyków.

- To są piranie, señor - powiedział Peruwiańczyk spokojnym tonem.

- Piranie! - wykrzyknął partner Maynarda i zostawił na chwilę więźniów, chcąc przyjrzeć się z bliska zawartości akwarium, które stało na olbrzymim, starym kredensie.

Obok akwarium stała skrzynka zawierająca narzędzia hydrauliczne. Obaj gliniarze z niemym zachwytem wpatrywali się w pływające po akwarium żarłoczne ryby o groźnych oczach.

- Piranie! - powiedział Maynard Rivas.

- Piranie! - powtórzył jego partner.

- Klucz francuski! - powiedział Peruwiańczyk.

Porwał klucz francuski ze skrzynki. Wykonał oburącz tenisowy return Jimmy'ego Connorsa i trzasnął w szklaną ścianę akwarium. Wszyscy zaczęli podskakiwać i wrzeszczeć:

- Ratunku! Krwiożercze ryby!

- Uwaaaga!

- Uważaj na nogi!

Piranie były wszędzie; na podłodze i na ciele wielkiego Indianina, który ślizgał się, z trudem łapiąc równowagę. Mały Peruwiańczyk miał w ręku wielką, automatyczną piątkę, która przytwierdzona była do tylnej ścianki kredensu. Ruszył w kierunku drzwi.

Maynard Rivas złapał za gardło jego wspólnika i przyłożył mu służbowy rewolwer do głowy, mówiąc:

- Rzuć broń, bo go zastrzelę!

Maynard zdał sobie sprawę jak idiotycznie postąpił, kiedy mały Peruwianczyk tylko wzruszył ramionami, jakby miał zamiar powiedzieć: „No, to nie będę musiał dzielić się z nim forszą.”

Zgubiła go chciwość. Zamiast natychmiast uciekać, zawrócił po plastikową torebkę z narkotykiem. Załatwił go uderzeniem w głowę od tyłu jeden z tajniaków, którego zwabił hałas. Peruwianczyk zwałił się na podłogę obok drapieżnych ryb.

Na ręce amerykańskiego Sekretarza Stanu wpłynął oficjalny protest ambasady Bułgarii, opisujący faszystowskie zachowanie funkcjonariusza Maynarda Rivasa, który otrzymał również naganę od przełożonych za postępowanie niezgodne z zasadami etyki policyjnej. Maynard zdecydował, że skoro rdzenny Amerykanin może zostać zaatakowany i niemal zabity przez peruwiańskich handlarzy narkotyków oraz prawie zjedzony przez brazylijskie ryby, a także nazwany faszystą przez jakiegoś komucha z kraju zamieszanego w spisek na życie papieża, to lepiej pomyśleć o powrocie do Doliny Coachella, gdzie życie jest o wiele mniej skomplikowane.

Jednak zdawał sobie sprawę, że stoi przed wyborem pomiędzy wyciąganiem oznaczonych numerami kulek z maszyny losującej, a znalezieniem roboty w takim posterunku, gdzie z radością powitają czerwonoskórego brata. I tak dotarł do Paco Pedrozy, który w towarzystwie sierżanta Harry'ego Brighta wysłuchał historii życia Maynarda. W końcu Paco zapytał:

- Umiesz tropić ludzi na pustyni jak prawdziwy Indianin? No wiesz, mam na myśli, czy znasz takie indiańskie sztuczki?

- Szefie - powiedział Maynard cierpliwie. - Potrafię wywiązywać się z obowiązków policyjnych jak każdy inny glina, ale jeśli szuka pan Indianina o długich włosach związanych przepaską i w mokasynach, to radzę zadzwonić do Marlona Brando. On na pewno znajdzie panu kogoś takiego.

- Wyglądasz na zdrowego i silnego faceta - powiedział sierżant Harry Bright. - Powinieneś się nadać do tej roboty.

- Przyjmę cię na okres próbny, Maynard - powiedział Paco. - Ale mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś od czasu do czasu pomagać mojej żonie. Otóż, w czwartkowe wieczory prowadzi ona grę w bingo w kościele pod wezwaniem św. Marty.

Maynard Rivas i Nathan Hale Wilson odwalali kawał zwyczajnej policyjnej roboty tego ranka, kiedy Sidney Blackpool i Otto Stringer składali wizytę w rezydencji Victora Watsona w Palm Springs.

Maynard odebrał drogą radiową wezwanie i poprosił o wsparcie z chwilą, kiedy zorientował się, że pod podanym adresem mieszkają Clyde i Bernice Suggs, którzy bili się ze sobą zawsze wtedy, gdy zaczynali pić od samego rana.

Bójka niczym nie różniła się od poprzednich, za wyjątkiem broni użytej w rodzinnym sporze. Jak zwykle Clyde zdenerwował się na Berenice, która przewracała złośliwymi oczami i wydziwiała, że stary za bardzo zaangażował się w taniec z siedemdziesięcioletnią lafiryndą na ostatniej potańcówce dla emerytów. On jej na to odparł, że jeśli nie przestanie kłapać sztuczną szczęką, to wyleje jej na łeb cały talerz owsianki. I tak, od słowa do słowa, zaczęła się przepychanka. On wcieliła się w Jamesa Cagneya i rozkwasiała mu grapefruita na twarzy. On oblał ją owsianką. Początkowo uważali, żeby nie przewrócić dzbanka z tanim winem, który stał na kuchennym stole, ale sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli, kiedy on zarzucił jej, że jest do niczego w łóżku i że taki stan rzeczy ciągnie się już od czterdziestu ośmiu lat, to znaczy od czasu, kiedy się pobrali. Wtedy na dobre zaczęły się wrzaski i krzyki, a po chwili małżonkowie zaczęli ciskać w siebie wszelkimi przedmiotami, które nie były dość ciężkie, aby zabić na miejscu. To zaalarmowało sąsiadów, którzy - jak to czynili niemal każdego tygodnia - zawiadomili policję z Mineral Springs.

Kiedy Maynard Rivas i Nathan Hale Wilson przyjechali na miejsce, małżeńska sprzeczka była właśnie na etapie powolnego wygasania, bowiem oboje starszkiwie byli już zbyt zmęczeni, aby zadawać sobie mocniejsze ciosy. Ona była większa, a on o dwa lata od niej starszy, tak więc nie można powiedzieć, że szanse nie były wyrównane. Choć, prawdę powiedziawszy, Clyde był w kiepskim stanie, ponieważ rurka, umieszczona w jego tchawicy po zabiegu tracheotomii, prawie wychodziła na zewnątrz po każdym ciosie starszki.

Drobny starszkiwie desperacko bronił się, ale opadał z sił, a jego brudna, bawełniana podkoszulka przesiąknięta była potem, kiedy Maynard Rivas wpadł do pokoju, złapał Clyde'a i podniósł niczym piórko. W tym samym czasie Nathan Hale Wilson odciągnął Berenice w kąt pokoju gdzie stał bujany fotel, a na nim siedział ich kot, Jasper, który właśnie dokonywał toalety i kompletnie nie wykazywał zainteresowania przebiegiem dramatu ludzi.

- Przestań, Clyde! - rozkazał Maynard Rivas.
- Puść mnie, ty cholerny, wielki dupku - wrzasnął Clyde. - To mój dom! - z powodu tracheotomii Clyde wychrypiał jak demon z „Egzorcysty”.
- Nie puszczę, dopóki nie przestaniesz - powiedział Maynard.
- Odpowiesz za to przed sądem! - zaskrzeczał Clyde.

- Indianie mają immunitet - skłamał Maynard.
- Dobry Indianin to mar...
- Wiem, wiem, widziałem wszystkie westerny - powiedział Maynard. - A teraz uspokój się i przestań wierzyć!
- Najpierw kaźcie jej obiecać, że mnie nie ruszy. Przecież ta przebiegła suka zaraz na mnie skoczy.
- Obiecaj, że go nie uderzysz, Berenice - powiedział Nathan Hale Wilson do staruszki.
- Nic nie będę przyrzekać! - wykrzyknęła Berenice Suggs, kopiąc nogami. - Niech staję do walki jak mężczyzna.

Nie miało sensu mówić im, że wylądują w pace. Doskonale wiedzieli, że gliniarze z Mineral Springs nie zaryzykują aresztowania dwojga nieszczęsnych staruszków, bo zaraz dobiegłyby do nich przasa. Mimo, że każdy glina z miasta z radością by ich zamknął, bowiem wszyscy z posterunku w Mineral Springs byli już opluwani i obrzucani obelgami przez Clyde'a i Berenice Suggs.

- W takim razie idziemy na posterunek. Posiedźcie sobie w areszcie, aż obiecać, że będziecie się dobrze zachowywać! - powiedział Maynard, taszcząc staruszkę do drzwi wejściowych.

- Czekaaj, no, ty wielki kutasie! - zachrypiał Clyde. - Puszczaj mnie! Nie będę się już bić.

Maynard niechętnie oswobodził Clyde'a, który, kuśtykając, podszedł do fotela i zepchnął kocura. Ten fuknął, ale ustąpił miejsca. Clyde usiadł, manipulując przy rurce tchawicznej, próbując zaczerpnąć dość powietrza by wygłosić jedną ze swoich długich tyrad na temat mentalności policji, szczególnie wielkich Indian, a także kościstych białych, być może nawet głupszych od wielkich Indian.

Nathan Hale Wilson popełnił błąd, puszczając Berenice tylko dlatego, że przestała wierzyć i kopać. Staruszka wymamrotała pod nosem kilka przekleństw i wydawało się, iż zamierza ustąpić, lecz kiedy dwaj gliniarze wygłaszali tradycyjne kazanie o tym, że nie będą więcej tolerować takiego skandalicznego zachowania, sięgnęła za kredens i wyciągnęła stamtąd jakiś przedmiot.

Kiedy Clyde sposobił się do wygłoszenia swojej tyrody na wiadomy temat, Berenice zamachnęła się. Clyde oberwał w tył głowy tak mocno, że aż wypadła mu jego sztuczna górna szczeka i odbiła się od wielkiego brzucha Maynarda Rivasa. Wtedy

dopiero zaczęła się prawdziwa bójka. Berenice doskoczyła do Clyde'a i wyrwała mu z szyi rurkę tchawiczną. Maynard podbiegł do niej, lecz stara ani myślała wypuścić jej z ręki, choć Nathan Hale Wilson wykręcał jej pokrzywione palce.

- Uuuuuuuuuuuch! - Clyde chrypiał, a Berenice zacisnęła kurczowo palce na rurce i szczerząc swój jedyny kiel, jak wściekły wilk, krzyknęła:

- No, to teraz sobie zatańczymy, ty stary sukinsynu!

Ponieważ Berenice miała artretyzm i nie była już tak silna jak za młodych lat, Nathan Hale Wilson, po krótkiej szamotaninie na podłodze, zdołał wreszcie wyrwać z jej rąk rurkę.

- Dawaj tę rurkę! - krzyknął Maynard. - On nie może oddychać.

- Zatkam mu ją kocimi gównami! - wrzeszczała Berenice dopóki Maynard nie przyłożył jej tak, że uderzyła głową o stół, co na jakiś czas wyłączyło ją z walki.

W dwadzieścia minut później obaj gliniarze w podartych i poplamionych mundurach znaleźli się na posterunku wraz z Clydem i Berenice Suggs oraz z bronią użytą przez staruszkę.

- Nie mogę ich wsadzić! - szepnął Paco Pedroza, kiedy Clyde i Berenice odpoczywali za kratkami. - Oboje prawie dobiegają osiemdziesiątki!

- Szeffie, popełnione zostało przestępstwo - powiedział Nathan Hale Wilson. - Mam już dość tych starych pierdołów.

- Trudno uznać ukulele za narzędzie zbrodni - odparł Paco.

- Nie, ale wyrwanie rurki z tchawicy to na pewno próba zabójstwa!

- Więc chcesz wsadzić Berenice, a Clyde'a puścić do domu, tak?

- Przynajmniej jedno z nich wreszcie dostanie za swoje!

- A jeśli oboje was przeproszą, to będziesz usatysfakcjonowany? - zapytał Paco. - I przyrzekną, że to się już nigdy nie powtórzy? Jezu, potrafisz sobie wyobrazić zdjęcia w gazetach, kiedy wsadzimy ich do więzienia w Indio?

- No, dobra już, dobra - Nathan Hale Wilson w końcu uległ. - Ale nie każ nam ich odwozić do domu. To poniżające!

- Spacer dobrze im robi - powiedział Paco. - Wypuszczę ich w odstępie pięciu minut. A co ty na to, Maynard?

- W porządku - powiedział Indianin. - Komu oddać broń?

- Niech no spojrzę - powiedział Paco. - Dziwne ukulele. Jedna, dwie, trzy... Ma osiem strun. Nigdy nie widziałem ukulele z ośmioma strunami - przesunął po nich palcami. - Szkoda że nie umiem grać.

Clyde Suggs zdobył się na komentarz z za krat:

- Ten posterunek jest Legią Cudzoziemską dla przegranych gliniarzy, ale Paco Pedrozie daleko do Beau Geste'a!

- No właśnie. To jest ich problem - powiedział Paco do Maynarda. - Clyde przeczytał w życiu parę książek i wydaje mu się, że jego stara nie dorasta mu do pięt.

W pięć minut później, kiedy Maynard Rivas wyprowadzał Clyde'a do tylnych drzwi, Paco siedział na krześle z nogami na blacie biurka i beładnie szarpiąc struny, wyśpiewywał „Ain't She Sweet”.

- Szefie, trzeba oddać Clyde'owi narzędzie przestępstwa - przerwał mu Maynard

- Jasne - powiedział Paco. - Trzymaj, Clyde. Świetne ukulele.

- Kupiłem je, żeby grać serenady dla Bernice - wycharczał staruszek. - A teraz wsadzę jej to w...

- Okey, dość już tego! - ostrzegwał Paco.

Stary nadal był nadąsany jak chmura gradowa, kiedy szedł główną ulicą Mineral Springs. Zatrzymał się przy wejściu do „Klubu 11-99”, ale ruszył dalej, kiedy pomyślał o gliniarzach, którzy siedzą w środku. Poszedł na skróty przez las ekaliptusowy do baru „Mirage Saloon”.

- Dla mnie piwo - powiedział Clyde do barmana. - Cały dzbanek. Dasz mi za to dwa dzbanki piwa.

- Za ukulele? - powiedział Ruben, barman. - Skąd je masz?

- Zapłaciłem za nie piętnaście dolców Bobrowemu Ogonowi - powiedział Clyde.

- Zgoda - odparł barman. - Instrument jest w całkiem niezłym stanie, chociaż tu jest małe wgłębienie.

- To od mojej czaszki - zachrypiał Clyde. - Miałem zamiar grać na nim serenady dla Bernice. A teraz stara może sobie oglądać telewizję i ssać swój spróchniały kieł.

ROZDZIAŁ VIII

Requiem

Detektywi nie mogli pozbyć się towarzystwa Harlana Penroda dopóty, dopóki nie zwiedzili całej rezydencji Watsonów, co w praktyce oznaczało wysłuchanie wykładu na temat kaktusów rosnących w Dolinie Coachella i pustynnej flory w ogóle. Kiedy Otto Stringer pobierał lekcje na temat brzydkich, kolczastych roślin, które wydają cudowne, delikatne kwiaty, Sidney Blackpool poddał oględzinom system alarmowy. I tak jak policjanci z Palm Springs prowadzący dochodzenie uznał, że trzeba by być Jamesem Bondem, żeby pokonać zaporę promieni podczerwonych przy pomocy lusterka. Gdy system był uzbrojony, nikt nie mógł siłą otworzyć bramy, tak jak to zrobił wcześniej Otto. Harlan Penrod zapewniał, że Jack Watson był niezwykle ostrożny w kwestii bezpieczeństwa i nigdy nie zapominał o uruchomieniu alarmu na noc. Jednak nie wykuczało to możliwości, że został porwany z domu, a jedynie wskazywało, iż jeśli istotnie został porwany to przez osobę sobie znaną.

Zamiast pojechać na posterunek w Palm Springs, wrócili do hotelu. Otto miał ochotę coś przekąsić.

- Naprawdę już zgłodniałeś, Otto? - zapytał Sidney Blackpool, kiedy zajechali pod hotel i oddali kluczyki chłopcu z parkingu.

- Zawsze odczuwam głód po dobrej policyjnej robocie, Sidney - powiedział Otto.
- Może zamiast jechać do Palm Springs, po posiłku zagramy w golfa.

- Nie jestem głodny. Pójdę do pokoju i zadzwonię na posterunek w Palm Springs.

- Robisz się przeraźliwie chudy, Sidney - zauważył Otto. - Musisz coś zjeść.

- Przyjdę później - odparł Sidney Blackpool, zostawiając partnera w hallu recepcyjnym.

Gdy znalazł się w pokoju, ujrzał na stole butelkę szampana „Dom Perignon” wraz z dołączoną do niej kartką, na której napisane było: „Życzę powodzenia, Victor Watson.”

Zapałił papierosa i rzucił się na łóżko, starając się nie myśleć o Victorze Watsonie. Od dłuższego czasu nie potrafił zdobyć się na współczucie wobec nikogo, prócz siebie samego. Nie potrafił współczuć facetowi, który ma własny odrzutowiec i nie zawraca sobie głowy grą w golfa w miejscach, o których on sam mógł jedynie marzyć. Wydawało mu się, że Victor Watson zna tysiące innych miejsc, gdzie można się świetnie bawić. Z drugiej strony musiał przyznać, że Watson nie potrafi czerpać z życia przyjemności. Jest mężczyzną, który przestał odnajdować w życiu jakiegokolwiek sens.

Zdał sobie sprawę, że radio jest włączone. Sprzątaczką zasała łóżka i uporządkowała pokoje, lecz zostawiła włączony odbiornik. Dostrojony był do lokalnej stacji, która nadawała muzykę, jaką trudno byłoby znaleźć w radiu w Los Angeles. Marlena Dietrich śpiewała „La Vie en Rose” i „Lili Marlene”. Kiedy Sidney Blackpool był dzieckiem, jego rodzice i starsi bracia słuchali takiej muzyki. Było coś w tej pustyni, co sprawiało, że człowiek cofał się o trzydzieści lat w przeszłość. Coś takiego wisiało w powietrzu i nie było to tylko wrażenie spowodowane upałem i suchym powietrzem. Te góry dookoła... Jak w filmie „Zagubiony horyzont”, w którym Ronald Colman wspina się po skałach, aby dotrzeć do ukrytej doliny, gdzie żyje się długo i szczęśliwie. Ale nawet tutaj, na pustyni, nie żyje się wiecznie, czego doświadczył Jack Watson.

Poczuł, że jego serce zaczyna bić nieregularnie i gwałtownie zasycha mu w gardle. Ogarnęła go nagle tęsknota. Nie wiedział za czym. Kiedyś myślał, że melancholijne sny nachodzą go dlatego, iż trzyma rodzinne fotografie na nocnym stoliku, ale kiedy usunął zdjęcia, sny nie przestały go nękać. Było jeszcze coś, czego na pewno doświadczył także Victor Watson: bał się, że inni będą przypominać jego rodzinną tragedię, lecz jednocześnie w paradoksalny sposób obawiał się, że będą unikać tego tematu jako tabu.

Victor Watson prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że pierwsze miesiące po stracie dziecka są niczym w porównaniu z tym, co następuje później. Szok i przerażenie pierwszych tygodni skutecznie tłumią świadomość, nie dopuszczając myśli, że tak już będzie zawsze. Głowa zaprzątnięta jest bzdurami. Czy Tommy powinien być pochowany, czy też lepiej poddać jego ciało kremacji? Tak, jakby kwestia nienaruszalności szkieletu miała jakiegokolwiek znaczenie.

To wszystko było niczym w porównaniu z piekłem, które nastąpiło w osiem miesięcy po stracie Tommy'ego. Kiedy po raz pierwszy Sidney Blackpool zmuszony był

stawiać czoła myśli o bezsensowności tragedii: syn odchodzi z tego świata przed ojcem. Przecież to pogwałcenie naturalnego porządku rzeczy.

Pamiętał, jak przyszedł pod koniec przyjęcia organizowanego w Chinatown z okazji przejścia kilku kolegów na emeryturę. Jeden z nich rozkleił się po wypiciu zbyt wielu szklanek whisky, twierdząc, że brakuje mu tego, co nadawało sens jego życiu. Gadał, że nic go już nie cieszy, że brak mu energii na wykonywanie najprostszych domowych czynności. Sidney Blackpool mógłby wtedy wyjaśnić mu, co jest prawdziwą tragedią. Ale zamiast tego słuchał tylko i po chwili zaczął pogardzać tamtym gliniarzem. Tak bardzo go nie cierpiał, że sam się rozkleił. Po raz pierwszy w dorosłym życiu rozplakał się publicznie. Jasne, że też się upił tamtego wieczoru. Wybiegł z restauracji na parking i zamiast wpatrywać się w zasnuite smogiem niebo, patrzył na światła centrum Los Angeles.

Myślał o tamtym gliniarzu i nagle z jego ust wyrwał się krzyk:

- Więc dlaczego ty żyjesz?! Dlaczego ty, a nie Tommy?!

Po chwili zobaczył pijanego gliniarza, który zataczając się usiłował dojść do samochodu. Sidney przestraszył go, wrzeszcząc:

- Dlaczego ty?! Dlaczego ty, sukinsynu?! I dlaczego ja?!

I wtedy Sidney Blackpool po raz pierwszy spojrział w niebo.

- Okay, mam dość. Mam już dość. Koniec. Mam już dość! - krzyczał.

Wiedział, że był wtedy bardzo blisko punktu krytycznego: Często w nocy siedział samotnie, czasami kompletnie trzeźwy, i snuł niebezpieczne fantazje. Zawsze dotyczyły one czasu sprzed tragicznej śmierci Tommy'ego w 1983 roku. W fantazjach zawsze jakoś udawało mu się nie dopuścić do tragedii.

A czasami fantazjował na temat terażniejszości. Na przykład, odbierał pilny telefon od byłej żony, która mówiła:

- Sid! Sid! To cud! Tommy żyje! To nie jego ciało wyłowiono wtedy z wody! To była tragiczna pomyłka, a Tommy przez cały ten czas był w Meksyku i...

To było tak absurdalne, wruszające i zawstydzające, że nigdy nie doprowadził tej ostatniej fantazji do końca. Nie zmuszał się do takich rzeczy, a jednak nawiedzały go regularnie. Po tamtej nocy w Chinatown zrozumiał, że jeśli tak dalej pójdzie, to zwaříje lub popełni samobójstwo. Przeczytał gdzieś, że statystycznie takie rzeczy

zdarzają się najczęściej wiosną, w poniedziałek, w piąty dzień miesiąca. Zdecydował, że skoro jakaś siła zakłóciła naturalny porządek rzeczy w jego życiu, to on zrobi wszystko, żeby perwersyjnie zaprzeczyć statystycznemu prawdopodobieństwu. Był już kiedyś o krok od tego pewnej sobotniej wrześniowej nocy, dwudziestego drugiego dnia miesiąca. Jedyne myśl o jego córce, Barb, uratowała go od spełnienia powziętego zamiaru.

Sidney Blackpool usiadł na hotelowym łóżku, przeklinając i nienawidząc samego siebie. Wykręcił numer posterunku w Palm Springs, prosząc do telefonu śledczego, którego nazwisko widniało na aktach będących w jego posiadaniu.

- Finneya nie ma - odpowiedział męski głos. - Porucznik Sanders przy telefonie.

Czym mogę służyć?

- Sid Blackpool, poruczniku. Czy pański szef poinformował o naszym przybyciu?

- Ach, tak. Przepraszam za nieobecność Finneya, ale jego matka się strasznie rozchorowała i wczoraj poleciał do Minnesoty.

- Kiedy wraca?

- To zależy od jej stanu.

- Czy jest ktoś inny, z kim mógłbym porozmawiać o sprawie Watsona?

- Sądzę, że może pan rozmawiać ze mną. Rozumiem, że ma pan kopie raportów.

W zasadzie niewiele mam do dodania.

- W dokumentach jest napisane, że sprawdziliście wszystkie lokalne stacje radiowe, szukając informacji na temat piosenki, którą słyszał funkcjonariusz Jones na miejscu zbrodni.

- Finney sprawdził wszystkie rozgłośnie, nawet te z Los Angeles, Las Vegas i San Diego, w przypadku gdyby radio nastawione było na stację o większym zasięgu. Żadna z nich nie nadawała wtedy piosenki „Pretend”. Mało tego, nikt nie słyszał o takiej wersji, w której jedynym akompaniamentem byłoby banjo. Tak więc Jones słyszał piosenkę z taśmy lub też kogoś śpiewającego na żywo. Był bliski udaru słonecznego, więc nie możemy mieć żadnej pewności co do prawdziwości jego zeznań.

- Jeśli rzeczywiście ktoś wtedy śpiewał tę piosenkę, to byłoby to niesamowite.

- Istny horror. Gdyby to było prawdą, oznaczałoby, że facet, który zabił chłopaka, pojawił się na miejscu zbrodni, żeby odśpiewać mu małe requiem.

- Czy nie ulega wątpliwości, że samochód został podpalony? Bo przecież, o ile dobrze zrozumiałem, wóz spadł ze skały i rozbił się na dnie kanionu.

- Tego nie możemy być pewni. Zbiornik paliwa pękł w wyniku uderzenia o skaliste podłoże. Samochód mógł zapalić się sam. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie dziura w głowie chłopaka zrobiona kulą z trzydziestki ósemki, myślelibyśmy, że to nic innego jak tragiczny wypadek drogowy. Chłopak skręcił w wąską drogę do kanionu, gdzie nikt nie zapuszcza się bez wozu o napędzie na cztery koła. Samochód w ciemnościach spadł ze skały, zapalił się, a chłopak się usmażył. Kropka.

- Fatalnie, że na miejscu zdarzenia nie znaleziono broni - powiedział Sidney Blackpool. - Można by wtedy przypuszczać, że chłopak popełnił samobójstwo, a samochód stoczył się do kanionu po tym, jak młody Watson strzelił sobie w głowę.

- Nie znaleźliśmy broni - powiedział porucznik. - A poza tym kula weszła pod nietypowym kątem. Watson był praworęczny. To wyklucza samobójstwo.

- Ilu ludzi mieszka w tych kanionach?

- Nie mieszkają tam ludzie. Jedynie kilkudziesięciu parszywych producentów i handlarzy amfetaminą. Żaden homo sapiens nie zapaści się w rejon Solitaire Canyon. Mieszkają w rozpadających się chatach i szopach, gotują te cholerne narkotyki, ale ciężko im się dostać do dupy. Nawet kiedy udaje się uzyskać nakaz prokuratorski, to chcąc się tam dostać jest się widocznym jak na dłoni z odległości kilku kilometrów. Mają własny system ostrzegania o niebezpieczeństwie. Zakupują towar w piachu i cześć. Wielu z tych odzianych w skórach motocyklistów to weterani wojny wietnamskiej. Należą do gangu motocyklowego Kobra.

- Czy możliwe jest, że chłopak pojechał tam z własnej woli?

- Raczej nie - odparł porucznik. - Rzadko jeździł rollsem. Prawdę powiedziawszy, zdziwił mnie telefon od starego Watsona, który mówił, że chłopak pojechał rollsem do Hollywood. A poza tym, chłopak nie sprawiał wrażenia épuna. Przesłuchaliśmy wszystkich handlarzy narkotykami, wszystkie szczury pustynne, które żyją w tym kanionie. Bez rezultatu. Mamy ten program telewizyjny „Crimestoppers”, robiony przez policję, w którym często ogłasza się nagrody za informacje o okolicznościach i sprawcach przestępstw. Victor Watson zaoferował pięćdziesiąt patyków! Daję głowę, że gdyby ktoś z nich cokolwiek wiedział, zgłosiłby się natychmiast. A jednak nie zgłosił się nikt. Wiemy jedynie, że samochód Watsona spadł z krawędzi kanionu i spłonął. Chłopak uwiązał w płonącym wraku. Wiemy, że już nie żył, kiedy trawiły go płomienie. I to było jego szczęście.

- Oczywiście nie dało się zdjąć odcisków palców z wraku samochodu?

- Mamy tu doskonałego specjalistę od daktyloskopii. Mówimy na niego Daktyl. Kiedyś nawet zdjął odciski palców z cyków ofiary napadu, za co zawiesili go na trzy dni. Tym razem nie znalazł zupełnie nic.

- A potem, parę dni po dokonaniu zbrodni, ten wariat wrócił do kanionu, żeby odśpiewać „Pretend”.

- Na to wygląda. Ten muzykant mógł być jakimś miłośnikiem natury. Albo ćpunem, który wypuścił się na spacer po wstrzyknięciu sobie w żyły „kryształków”.. Funkcjonariusz Jones mógł słyszeć kogoś zupełnie przypadkowego.

- Całkiem możliwe - powiedział Sidney Blackpool.

- Ale osobiście w to wątpię.

- Dlaczego?

- W tych kanionach nie ma ludzi przypadkowych. Nie mieszkają tam niewiniątka. Gliniarz z Mineral Springs prawdopodobnie słyszał śpiew mordercy.

- Zabójcy, który powrócił na miejsce zbrodni, żeby odśpiewać requiem?

- Może coś zgubił?

Sidney Blackpool dał porucznikowi z Palm Springs swój numer telefonu i pożegnał się. Wziął dwie tabletki aspiryny, oblał twarz zimną wodą i zapalił papierosa.

Wszedł do restauracji hotelowej, gdzie Otto nadal walczył z żarciem. Podszedł do niego główny kelner i zapytał:

- Pan Blackpool?

- Tak.

- Jest do pana telefon z policji w Palm Springs.

- Właśnie z nimi rozmawiałem - Sidney wzruszył ramionami, patrząc w stronę Ottona, który nachylał się nad olbrzymim kawałkiem ciasta z kremem kokosowym.

- Najpierw skosztuj - powiedział Otto.

- Sprawdzę, czego chcą.

Kiedy Sidney zniknął, Otto nie tylko pochłonął ciasto, ale zapytał kelnera, czy sądzi, że piñia colada byłaby zbyt sycającym koktajlem po posiłku. Kiedy jego partner powrócił, Otto siedział rozparty na krześle, z brzuchem opartym o krawędź stołu, i pociągał przez słomkę koktajl złożony z wódki z likierem kokosowym i z kawałków pomarańczy.

- To jest życie, Sidney - powiedział, bekając.

- Wiesz, kto dzwonił? - zapytał Sidney Blackpool. - Ten porucznik z Palm

Springs. Podobno dziś rano dzwonił do nich gliniarz z Mineral Springs, który znalazł ciało Watsona. Mówił, że wcześniej pomylił się, myśląc, że słyszał jak ktoś śpiewa „Pretend”. Teraz jest pewien, że to było „I Believe”.

- Chyba tego nie znam.
- Poznałbyś, gdybyś usłyszał. Przebój Frankie Laine'a. Jesteś na tyle stary, że powinienś go znać.
- O, bardzo ci dziękuję, Sidney. Miło, że mi o tym przypominasz.
- No, dobra, co o tym sądzisz? Pierwszego dnia po rozpoczęciu przez nas śledztwa oni dostają nowy ślad.
- Sidney, jaka to różnica, co ten wariat wyśpiewywał? Jeśli był to rzeczywiście morderca, powracający na miejsce zbrodni jak w powieści Agathy Christie.
- Wiem, ale zastanów się, jaki to zbieg okoliczności. Ba, nawet więcej. Ledwie przyjechaliśmy, a tu coś zaczyna się dziać. Po długim czasie.
- A co miało oznaczać to „nawet więcej”? - zapytał Otto z wyrazem twarzy, jakby zaczynał żałować, że wypił piñia colada.

Wtedy Sidney Blackpool przypomniał sobie znękaną twarz Victora Watsona; twarz starego, przybitego człowieka.

- Bo ja wiem - powiedział. - Może to omen.

* * *

Zamiast grać w golfa, pojechali do Mineral Springs, żeby porozmawiać z funkcjonariuszem O.A. Jonesem o jego muzycznym odkryciu.

- Jezu, jak zamierzamy sprawdzić, czy żadna ze stacji radiowych w promieniu trzystu kilometrów nie nadawała wtedy „I Believe”? - zapytał Otto. - Przecież to było w zeszłym roku. Poza tym musimy znaleźć czas na golfa. Przecież jak dotąd to tylko obżeram się i chleję!
- „I Believe” z akompaniamentem banjo? Wydaje mi się, że Jones słyszał tego muzykanta na żywo.
- Pozostaje nam tylko znaleźć miłośnika starych przebojów, który gra na banjo. Chwileczkę, Steve Martin gra na banjo. Tak mi się zdaje. Może jeszcze Roy Clark albo Glen Campbell? O, rany!
- Niskie chmury i rozłożyste drzewa - odezwał się Sidney Blackpool. - Ta pustynia czasami napawa lękiem.
- Wiesz, co zauważyłem? Ona się zmienia z minuty na minutę. To znaczy, właściwie nigdy nie wygląda tak samo.

- To cienie rzucane przez chmury - powiedział siedzący za kierownicą Sidney Blackpool. - Przez nie zmienia się oświetlenie. Zmieniają się kolory. To dziwne miejsce. Nie mogę się zdecydować, czy mi się podoba, czy też nie.

- Mnie się spodoba, kiedy wreszcie znajdę się na jakimś pieprzonym polu golfowym - powiedział Otto. - Nie grałem od miesiąca.

- Od trzech tygodni - poprawił go Sidney. - Ostatnio graliśmy w Griffith Park. Założę się, że tutejsze korty są o niebo lepsze.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie będziemy musieli spotykać wytatuowanych facetów pijących piwo z puszek. A co to? - Otto wskazał ręką miejsce odległe o pięć kilometrów od podnóża gór.

- To miejsce, gdzie sześć tysięcy dusz znosi niedogodności życia na pustyni z powodu golfa i koktajlu piña colada, które właśnie zostawiliśmy za sobą - powiedział Sidney Blackpool. - To Mineral Springs.

- Trochę tu wietrznie - powiedział Otto, przyglądając się licznym wirom powietrznym tańczącym na pustyni. - Te kaniony to fatalne miejsce do umierania.

- To przecież nieważne, gdzie umierasz - powiedział Sidney Blackpool, zapalając papierosa i patrząc w kierunku zrujnowanych domków rozsianych na wzgórzach. - Trzeba mieć naprawdę jakiś ważny powód, żeby tam się wybrać.

- Mnie by trzeba do tego zmusić.

- Kto wie, czy tak nie było w przypadku Watsona - zauważył Sidney Blackpool.

Kiedy przybyli na miejsce, szef, Paco Pedroza, był czerwony na twarzy od wydzierania się na Gacka Batesa i Franka Figlarza. Kategorycznie zakazał Gackowi zastrzeżenia Franka Figlarza na miejscu, argumentując, że potrzebny mu każdy gliniarz jakiego ma do dyspozycji. Frankowi zaś zakazał sprowadzania węży - prawdziwych, gumowych i jakichkolwiek innych - na posterunek. W takim nastroju usunął rysunek z napisem: „Gównu nas obchodzi jak to robią w Los Angeles”.

Posławszy swoich ludzi z powrotem do roboty, Paco drzemał na fotelu z nogami na blacie biurka, kiedy dwaj detektywi z Hollywood zaanonsowali się Anemicznej Annie, bladej sekretarce o ptasiej twarzy.

- Tutaj, chłopaki - zawołał Paco. - Siadajcie. Chcecie kawy?

- Dzięki, szefie - odpowiedział Sidney Blackpool, kiedy ściskali sobie dłonie. - To jest Stringer, a ja nazywam się Blackpool.

- Mówcie mi Paco. Kiedyś pracowałem w Hollywood. Może słyszeliście?
- Ależ tak - powiedział Otto. - Obaj byliśmy wtedy na posterunku przy Newton Street.
- Pinkford był wtedy kapitanem - powiedział Paco. - Nadal tam siedzi?
- Tak - pokiwał głową Otto - i będzie tam do czasu aż Ronnie Reagan posiwieje.
- Pinkford nigdy nie oczekiwał zbyt wiele od życia - powiedział Paco. - Tylko tyle, żeby jego podobizna znalazła się obok czterech prezydentów wykuta w skale Mount Rushmore. Mój Boże, wolałbym już pracować na posterunku w Sri Lance, byle tylko się od niego uwolnić. Tak czy owak, miło widzieć, że ubraliście się w sportowe ciuchy. Większość gliniarzy z Los Angeles, którzy tu przyjeżdżają, ma na sobie garnitury i krawaty, nawet gdy temperatura dochodzi do pięćdziesięciu stopni Celsjusza.
- Szefie, to właściwie takie trochę wakacje dla nas - powiedział Sidney Blackpool.
- Paco.
- Paco. Przyjechaliśmy pograć w golfa. Nasz szef powiedział, że moglibyśmy, trochę przyjrzeć się tej sprawie, ponieważ niedawno Victor Watson dowiedział się, że jego syn był przez jakiś czas w Hollywood tego dnia, kiedy zniknął.
- Macie coś nowego? - zapytał Paco.
- Na razie nie - odparł Otto. - Przyszliśmy do ciebie Paco, żeby pogadać z jednym z twoich ludzi, Jonesem. Podobna dzwonił dziś do Palm Springs z nowymi informacjami na temat podejrzanego, który śpiewał i grał na banjo wtedy na pustyni.
- O.A. Jones - Paco chrząknął. - Ten sukinsyn doprowadzi mnie kiedyś do szału. Dobry z niego glina, ale wszystko co robi, wygląda w rzeczywistości nieco inaczej niż w jego opisie. Prawdę powiedziawszy, pustynia nie widziała podobnej fanfaronady od czasów Lawrence'a z Arabii. Nie wiem, czy można polegać na wszystkim, co mówi ten surfingowy dupek?
- Surfingowy? Nie wiedziałem, że macie tu plażę.
- Kiedyś pracował na posterunku w Laguna Beach i uprawiał surfing - powiedział Paco. - Dałem mu szansę u siebie i od tego czasu jeszcze nie zdarzył mu się wypadek samochodowy z jedną ofiarą za dużo. Ale to zupełnie inna historia. O.A. Jones jest teraz na służbie. Chcecie, żeby Annie go dla was ściągnęła?
- Byłoby świetnie - powiedział Otto.

Trzej mężczyźni przeszli z biura szefa do głównego pomieszczenia.

- Oprowadzić was po posterunku? - zaproponował Paco.

- Pewnie - powiedział Otto.

- No, dobra - powiedział Paco. - Okręćcie się dookoła. Już po wycieczce. Poza tym w korytarzu jest kibel, na piętrze szatnia i areszt dla dwóch więźniów, pod warunkiem, że będą niewielkich rozmiarów i przyjaźnie do siebie usposobieni. Te drzwi łączą posterunek z drugim pokojem, który jest siedzibą Rady Miejskiej, a więc musimy dbać o to, żeby nasi aresztanci zachowywali się cicho zanim odtransportujemy ich do aresztu okręgowego.

- Jak wam się to udaje? - zapytał Otto.

- Dostają zastrzyk uspakajający - powiedział Paco. - A co innego można zrobić z tymi pustynnymi bestiami?

Anemiczna Annie bez skutku próbowała złapać O.A. Jonesa przez radio.

- Pewnie słucha muzyki ze swojego radiomagnetofonu na cały regulator - powiedział Paco. - A może byście poszli do naszej knajpy, „11-99”. To jest po drugiej stronie ulicy. Zamówcie sobie coś zimnego. Przyślę wam tam O.A. Jonesa dokładnie za czterdzieści pięć minut.

- Dokładnie za czterdzieści pięć minut?

- Tak. Wtedy kończy się jego zmiana. Z reguły o tej porze przychodzi do baru. Lubi tam być zanim jeszcze do knajpy dotrze pierwsza fala sekretarek i kosmetyczek z Palm Springs. Do jego rozlicznych wad należy to, że ma stałą erekcję.

- Dzięki za wyjaśnienie - westchnął Otto.

- Przy okazji - rzekł Paco - kiedy powiedzieli mi, gdzie się zatrzymaliście w Palm Springs, pomyślałem sobie, że wiele musiało się zmienić w Wydziale Policji w Los Angeles od czasu, kiedy tam pracowałem. Kiedy mnie wysyłali w delegację, dostawałem dietę, która wystarczała na nocleg w tanim motelu, dwa hamburgery i butelkę wody sodowej.

Przed zaspokojeniem ciekawości szefa uratowało ich wejście sierżanta Coya Brickmana. Był wysokim i postawnym mężczyzną, wyższym od Sidneya Blackpoola. Był też trochę od niego starszy, choć wyglądał na dużo więcej. Miał zapadnięte, pokryte bruzdami policzki i mocno przerzedzone, kasztanowe włosy. W milczeniu wpatrywał się zimnym wzrokiem w obu detektywów.

- Coy, to Blackpool i Stringer - przedstawił ich Paco. - Mój sierżant, Coy Brickman.

Podali sobie dłonie, a Coy Brickman, który nie mrugnął powieką od chwili wejścia, powiedział:

- Witamy w Mineral Springs. Słyszałem, że zamierzacie uporać się ze sprawą morderstwa Watsona.

- Chyba nie za mojego życia - odpowiedział Otto. - Po prostu sprawdzamy jeszcze raz wszystkie fakty, żeby uszczęśliwić szefa.

- Są jakieś nowe ślady? - zapytał Coy Brickman.

- Same bzdury - odparł Otto. - Rzekomo chłopak Watsona odwiedził Hollywood tego samego dnia, kiedy zniknął z domu w Palm Springs. To nic nie warte.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by wam pomóc - powiedział Coy Brickman.

- Pan jest jedynym podoficerem nadzorującym? - zapytał Sidney Blackpool.

- Miałem jeszcze jednego sierżanta - wtrącił się Paco. - Harry'ego Brighta. Był świetnym gliną. Będę miał ogromny kłopot, żeby znaleźć kogoś odpowiedniego na jego miejsce.

- A co z nim?

- Harry miał wylew krwi do mózgu kilka miesięcy temu - powiedział Paco. - A potem zawał serca. Już nie wróci do roboty. Może nawet nie wróci do tego świata. Leży w szpitalu kompletnie sparaliżowany.

- Jeszcze się trzyma - dodał Coy Brickman.

- No, ale idźcie teraz na coś zimnego - powiedział Paco. - Przyślę wam O.A. Jonesa jak tylko ten pogromca przestępców powróci z kolejnej krucjaty.

J. Edgar Gomez zmywał naczynia za kontuarem „Klubu 11-99”, kiedy zobaczył dwóch nieznanymi, którzy zatrzymali się w połowie drogi do baru, by podziwiać ścienne malowidło przedstawiające Johna Wayne'a odlewającego się na Michaela Jacksona i Prince'a.

- Powiniennem jeszcze domalować Boy George'a pomiędzy tymi zniewieściałymi dupkami - powiedział J. Edgar Gomez. - Może uda mi się kiedyś do tego namówić nadwornego artystę, ale wciąż jest pijany jak bela.

- Dwa piwa - powiedział Sidney Blackpool, spojrzawszy na zegarek. Zorientował się, że jeszcze wciąż za wcześnie na jego ulubioną whisky.

Otto Stringer pomyślał, że gdyby byli teraz w Palm Springs, to na pewno zamówiłby jakiś wytworny egzotyczny koktajl, żeby wprowadzić się w wakacyjny nastrój. Zamiast tego czuł się przygnębiony, że znowu znalazł się w policyjnej knajpie.

Przy barze i przy kilku stolikach ustawionych dookoła małego skrawka tanecznego parkietu siedziało dziesięciu facetów i jedna kobieta. Detektywowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zorientować się, iż prawie wszyscy z nich byli gliniarzami, z wyjątkiem kobiety i jakiegoś szczonego pustynnego w nowym kowbojskim kapeluszu, siedzącego przy szafie grającej i wpatrującego się w każdego wchodzącego gościa z nadzieją, że postawi mu drinka. Bobrowy Ogon na pewno nie był tego dnia w rozrywkowym nastroju.

Sześciu spośród gliniarzy reprezentowało inne agencje policyjne, natomiast posterunek w Mineral Springs uosabiali Chester Ciuchcia Conklin, Gacek Bates i Nathan Hale Wilson, który był nieźle wstawiony jak na tak wczesną porę.

Policjanci narzekali na warunki pracy na pustyni.

- Ciągłe mam popękane wargi i odparzone jaja - biadolił Gacek.
- Czasem myślę, że nigdy nie powinienem opuszczać Orange County.
- A co dopiero to pustynne powietrze robi z włosami i paznokciami? - jęknął Nathan Hale Wilson. - Nie mogę nadążyć z ich obcinaniem. Zaledwie miesiąc temu ostrzygłem się na jeża!

- To wszystko pestka! - odezwał się jeden z przysłuchujących się gliniarzy z Palm Springs. - Wczoraj wezwano mnie do pijackiej burdy wywołanej przez dwóch Indian Aqua Caliente. Byłem sam, a ich dwóch. Bili się między sobą, bo nie mieli pod ręką nikogo innego, komu mogliby przyłożyć. No więc, zajeżdżam na miejsce i patrzę, a oni wyglądają jak dwie pojedynkujące się szafy. Wielcy, czerwoni bracia. No i wtedy jeden wali drugiego w głowę, a ten przewraca się na mój samochód. Wyłażę z wozu i sobie myślę, że ten czerwonoskóry ma na oko sto pięćdziesiąt kilo i wydaje mu się, iż jest wielkim wodzem, Szalonym Koniem. I naprawdę jest w szale. Ma w rękach dwie rozbite butelki po piwie. I do tego wszystkiego jest bogatym facetem!

- To wszystko nic. Powinieneś zobaczyć jak teraz wygląda Cathedral City - odezwał się gliniarz z tamtejszego posterunku.

- Prawdziwa Sodoma i Gomora. Królestwo AIDS!

J. Edgar Gomez zerknął w stronę nieznajomych i zapytał:

- A wy skąd jesteście?
- Wydział Policji w Los Angeles - powiedział Otto, wykrzywiając twarz. Piwo było tak zimne, że odstawił szklankę na kontuar i złapał się za szyję.
- Trzeba pić powoli - powiedział J. Edgar Gomez. - Piwo musi być zimne, jak się przychodzi z zewnątrz i pije za szybko, to tak jakby się dostało obuchem w łeb. Proszę

popić - mówiąc to, podał Ottonowi szklanę ciepłej wody.

- O cholera! - wykrzyknął Otto, kiedy ustąpił ból. - To naprawdę zimne piwo.
- Klienci lubią takie. Jak to się stało, że znaleźliście się w tej dziurze?
- Wypoczywamy w Palm Springs - powiedział Sidney Blackpool.
- Musimy pogadać z O.A. Jonesem. Znasz go?
- Jasne - odpowiedział właściciel baru, drapiąc się po brzuchu wystającym spod mokrej od potu koszulki. - Wkrótce powinien się tu pojawić.

Drzwi otworzyły się z hukiem i wtoczyło się trzech gliniarzy z Palm Springs. J. Edgar Gomez pokiwał głową z dezaprobatą.

- Ach, ci młodzi! Nie potrafią już otwierać bez naruszenia futryny.
- Fred Astaire? - zapytał Sidney Blackpool, wskazując szafę grającą. - Od dawna nie słyszałem Freda Astaire'a, ani żadnej szafy grającej.
- „Puttin' on the Ritz” - uśmiechnął się J. Edgar Gomez. - Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że ludzie dzielą się na tych, którzy uważają „Puttin' on the Ritz” za najlepszy singiel w historii muzyki oraz tych idiotów, którzy sądzą inaczej.
- Nazywam się Stringer - powiedział Otto, podając rękę właścicielowi baru. - A to mój kumpel, Sidney Blackpool.

- J. Edgar Gomez - powiedział właściciel i po chwili dodał
- Cholera!

Podążyli za jego wzrokiem i zobaczyli, że J. Edgar Gomez utkwił spojrzenie gdzieś na wysokości niespełna metra od podłogi. Patrzył na karła ubranego w biały, tenisowy strój i czapeczkę. Jego opalenizna była lepsza niż u niejednego bezrobotnego aktora.

- To Oleg Gridley - powiedział właściciel, po czym rzucił groźne spojrzenie w kierunku gliniarzy przy drugim końcu baru, wskazując na wywieszkę z napisem: „Zabrania się gry w podrzucanie”.

Otto i Sidney wymienili zdziwione spojrzenia.

Oleg Gridley rozejrzał się po ponurym wnętrzu salonu i dojrzał samotną kobietę o wydatnym biuście, siedzącą po przeciwnej stronie baru. Podciągnął się obiema rękami i usiadł obok niej na wysokim stołku. Jej piersi znajdowały się akurat na poziomie oczu karła.

- Cześć Portia - powiedział opalony karzeł, uśmiechając się szeroko.
- O kurcze, ten dzień zapowiadał się zbyt dobrze, żeby to mogła być prawda - powiedziała, przechylając szklanę z piwem. Wyglądała jakby wypijała ich już wiele.
- To Portia Cassidy - szepnął J. Edgar Gomez do detektywów. - Gębę ma

nieszczególną, ale ciało najlepsze w całym Mineral Springs. Wszyscy mają na nią chrapkę, a szczególnie Oleg.

Portia Cassidy odezwała się do karła:

- Nie, Oleg. Po prostu nie cierpię zboczeńców. Nawet tych dużych.

Karzeł znowu szepnął jej coś do ucha, a ona odpowiedziała:

- Oleg, nie obchodzi mnie to, nawet gdybyś miał takiego wielkiego jak King Kong. Rozmiar nie robi na mnie wrażenia.

- Zrobiłbym ci dobrze, Portia - zamruczał czule karzeł. - Jestem w tych sprawach powolny, ale dokładny.

- No, jak tarantula. Nie interesuje mnie to. I nie życzę sobie, żebyś mi proponował te swoje karle sztuczki. Jeśli natychmiast się od mnie nie odpieprzysz, to zawołam policjanta!

- Nie rozumiem cię! - powiedział Oleg. - Edgar, daj mi podwójnego bourbona z lodem. A dla pani jeszcze jedno piwo.

- Istny teatr - powiedział J. Edgar Gomez do detektywów, nalewając whisky. - Zaczynam się zastanawiać jak to się skończy.

Po chwili zaczęli napływać nowi goście. Najpierw dwie fryzjerki z największego sanatorium w Palm Springs. Potem pięć kasjerek z banku w Palm Desert i cztery kelnerki z klubu „Rancho Mirage”. Z kolei zaczęli schodzić się gliniarze z ośmiu różnych agencji policyjnych, którzy właśnie skończyli poranną zmianę. O pół do szóstej salon wypełniony był przez zbieraninę najróżniejszych typów, którzy przekrzykiwali się, pili i tańczyli. Sidney Blackpool zaczął zastanawiać się w jaki sposób odnajdą wśród gości baru funkcjonariusza O.A. Jonesa.

Otaczał ich gwar rozmów, przybywało dymu i zaczęło robić się coraz goręcej. Obaj detektywi w geście samoobrony przerzucili się na mocniejsze napoje. Jedyną różnicą pomiędzy saloonem J. Edgara Gomeza, a tymi, które znali w Los Angeles było to, że tutejsze rozmowy częściej oscyływały wokół tematu pogody.

- Latem jest tak gorąco - powiedział Frank Figlarz do nowego, młodego gliniarza - że zacząłem przeliczać stopnie Fahrenheita na Celsjusza. Od razu wydaje się, że jest chłodniej.

Jednak tematykę większości rozmów zdominowały kobiety i seks, co było typowe dla wszystkich barów tego typu.

- Spójrz na nią! - wykrzyknął Nathan Hale Wilson, mając na myśli Portię Cassidy, która tańczyła z detektywem z Palm Springs, starając się uniknąć „przypadkowych” dotknięć Olega Gridleya, kręcącego się w pobliżu szafy grającej. - To Lukrecja

Borgia tej doliny. Ależ ona ma płuca!

Pijany Maynard Rivers szeptał do ucha wstawionej kelnerki z Indian Wells coś, na co ona absolutnie nie zwracała uwagi.

Po tańcu Portia Cassidy usiłowała zająć inne miejsce przy barze, mając nadzieję, że Oleg Gridley zostanie stratowany, kiedy zechce się do niej przedrzeć przez las nóg. Ale karzeł był nieustrasliwy.

Detektywi słyszeli jak powiedział cicho:

- Portia, teraz muszę pójść do kibelka, ale zaraz wracam i wtedy sobie pogadamy.
- Wprost nie mogę się doczekać - westchnęła Portia. - Zupełnie jak na trzecią wojnę światową.

Oleg Gridley nie poszedł do toalety, ponieważ nie mógł dosięgnąć do pisuaru. Musiał wyjść tylnymi drzwiami i podlać drzewa eukaliptusowe, które osłaniały „Klub 11-99” przed napastliwością pustynnego wiatru. Wtedy zobaczył Rubena, barmana z „Mirage Saloonu”, który przechodził tamtędy, brzdąkając na jakimś strunowym instrumencie i śpiewając na całe gardło jakąś piosenkę. Oleg nagle pomyślał, że ktoś mógłby ubiec go w umizgach do Portii, więc pospiesznie wrócił do baru.

Maynard Rivas, który upił się na smutno, zwierzał się właśnie płaczącym tonem do Nathana Male'a Wilsona;

- I to wcale nie dlatego, że moja stara ma dwadzieścia pięć kilo nadwagi, ale dlatego, że ma idiotycznie małe sutki. Wyglądają tak śmiesznie. Och, jaki ja jestem nieszczęśliwy!

J. Edgar Gomez miał masę roboty. Właśnie przyszły dziewczyny, które pracowały u niego na popołudniowej zmianie. Jedna z nich zmywała naczynia, a druga serwowała gościom specjalność Edgara, „chili” z wielkiego kotła, który stał na ogniu w kuchni.

- To chili jest tłuste jak jasna cholera! - wykrzyknął Chester Ciuchcia.
- Jak ci się nie podoba, to nie musisz go zamawiać - mruknął J. Edgar Gomez, wypuszczając kłęby dymu z cygara, po czym napełnił siedem szklanek różnymi rodzajami alkoholu, w fenomenalny sposób zapamiętawszy zamówienia wykrzykiwane z tłumu przez klientów.
- Hej, Edgar - wrzasnął Gacek. - Gdzie masz listę win?
- Jakie chcesz wino? - odpowiedział właściciel. - To z delikatesów, czy to drugie?
- Delikatesowe.
- Trzy dziewięćdziesiąt dziewięć za butelkę! - wykrzyknął J. Edgar Gomez.

- Masz jakieś tańsze?
- To drugie jest za trzy pięćdziesiąt.
- Biorę to tańsze. Jak wygląda?
- Białe z ciemnymi fuzłami.
- Dobra, wezmę dwie butelki! - krzyknął młody glina, zadowolony z niskiej ceny.
- Jezu Chryste! - wrzasnął Frank Figlarz. - Właśnie jakiś pajak zesrał się w moim talerzu!

- To obrzydliwe kłamstwo! - powiedział J. Edgar Gomez, lecz ktoś nastawił głosięj szafę grającą i jego odpowiedź utonęła w hałasie.

- Zamknijcie się, bo nie sprzedam wam już ani kropli i wyrzucę na zbity pysk! - ostrzegwał J. Edgar Gomez Franka Figlarza, Nathana Hale'a Wilsona i Daktyla Hoffmana, którzy - jak sędziowie na zawodach w skokach do wody - trzymali w rękach serwetki, na których wypisali szminką punktację: 9,9; 9,8 i 9,8, wpatrując się w pajaka, desperacko próbującego utrzymać się na powierzchni potrawy.

Właśnie Otto miał zamiar powiedzieć, że O.A. Jones prawdopodobnie się nie pojawi, kiedy młody blondyn o rozwianej czuprynie poklepał go po ramieniu i powiedział:

- Sierżant Blackpool?
- Ja jestem Stringer - powiedział Otto. - Blackpool to on.
- O.A. Jones - młody mężczyzna przedstawił się.

Sidney Blackpool przyjrzał mu się i doszedł do wniosku, że tamten rzeczywiście wygląda na chłopaka uprawiającego surfing.

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwił się. - Sierżant Brickman wysłał mnie do Kanionu Solitaire, tam, gdzie znaleziono samochód Watsona. Kazał mi jeszcze raz sprawdzić, czy nie znajdę czegoś, co poprzednio mogło ujść naszej uwadze. Powiedział, że w związku z przyjazdem facetów z Hollywood powinniśmy jeszcze raz sprawdzić to miejsce.

- Po co?

- O to samo go zapytałem. Po co? Powiedział, że trzeba dobrze przeszukać to miejsce, a może uda się natrafić na coś interesującego. Zresztą, pojechał tam ze mną, a potem wrócił na posterunek i kazał mi jeszcze szukać przez godzinę.

- To dziwne, ale nic nam o tym nie wspominał - powiedział Sidney Blackpool do Ottona. - Powinien był nas uprzedzić, że się spóźnisz na spotkanie.

- Czasami małomiasteczkowi gliniarze nie chcą dać po sobie poznać, że boją się was: facetów z wielkiego miasta. - O.A. Jones uśmiechnął się. - Prawdopodobnie

obawiał się, że natraficie na coś, co umknęło naszej uwadze lub od tamtego czasu zostało odkopane przez pustylny wiatr.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będzie można pogadać - powiedział Sidney Blackpool. - Masz coś do picia?

Młody gliniarz sięgnął po swoją butelkę piwa i wstali z barowych stołków ku wyraźnemu zadowoleniu Olega Gridleya. Karzeł ominął nogi dwóch kobiet stojących przy barze i wdrapał się na zwolnione miejsce zanim Portia Cassidy zdążyła mu umknąć.

- Trzymasz tę butelkę z piwem jak znicz olimpijski! - powiedział z afektacją Oleg do Portii.

- E.T., zmykaj do domu - powiedziała.

Kiedy detektywi znaleźli w końcu względnie spokojny kąt w barze, Sidney Blackpool rozpoczął:

- Powiedz nam to, co powiedziałeś dziś przez telefon tym z Palm Springs. Sprawdzamy, czy wyjazd Jacka Watsona do Hollywood mógł mieć coś wspólnego z jego śmiercią.

- Dobra - powiedział O.A. Jones. - Byłem tu wczoraj z kilkoma kumplami i jeden z nich powiedział coś, co przywiodło mi na myśl piosenkę „I Believe”. Nawet już nie pamiętam, o czym gadał. Jakaś kłapa otworzyła mi się w mózgu.

- No i co? - zapytał Otto.

- No, wiecie, byłem wtedy na pustyni i słyszałem tego faceta z banjo. Początkowo nie potrafiłem powiedzieć, co to była za piosenka Na posterunku w Palm Springs puścili mi jakąś starą płytę. To było „Pretend” w wykonaniu Nat King Cole'a. Nigdy wcześniej tego nie słyszałem.

- Nigdy nie słyszałeś Nat King Cole'a? - zapytał Otto.

- Może, ale nie jestem pewien - odparł młody gliniarz.

Otto podniósł wzrok ku niebu i znowu poczuł się stary.

- A teraz zmieniłeś zdanie?

- Przez cały czas nie dawało mi to spokoju. No i zacząłem słuchać tych stacji radiowych z Palm Springs, które nadają słodkie stare kawałki. Zacząłem wątpić, że to było „Pretend”. Tamten głos... próbowałem im to wy tłumaczyć... był jak w starych filmach z lat trzydziestych albo coś w tym stylu.

- Nie byłś pewien, czy głos pochodził z taśmy, radia, czy też był to jakiś facet, który śpiewał przy akompaniamencie banjo?

- Nie, i nadal nie jestem tego pewien. Tak samo, jak nie potrafię powiedzieć, czy słyszałem odgłos silnika samochodu, traktora, czy motocykla. Naprawdę było wtedy ze mną całkiem kiepsko.

- Okay, powiedz, co się zdążyło wczoraj? - zapytał Otto. - Słyszałeś już kiedyś piosenkę „I Believe”?

- Dzisiaj - przytaknęła młody policjant. - Pojechałem do sklepu płytowego w Palm Springs i znalazłem to. Frankie Lane. Kupiłem i przesłuchałem. Niezłe.

- I?

- I...bo ja wiem? Wydaje mi się, że to ta sama piosenka, ale inny głos. Przynajmniej w tekście jest słowo „Believe”. Nie mam pojęcia, czemu wtedy myślałem, że to „Pretend”. Wszystko mi się już miesza w głowie. To właściwie tyle. Wydawało mi się, że powinienem o tym powiedzieć tym glinom z Palm Springs. Teraz wy już też wiecie.

- To świetnie, że tak poważnie podchodzisz do obowiązków - powiedział Sidney Blackpool. - Może ci postawić coś do picia?

- Czemu nie, ale tam na parkiecie czeka na mnie dziewczyna. Przyrzekłem, że z nią zatańczę.

- Jasne - Sidney Blackpool skinął głową. - Nadal pływasz na desce?

- Powiedzieli wam, że uprawiam surfing, tak? - młody policjant skrzywił się w uśmiechu. - Robię się sławny. Nazywają mnie Pustynnym Surferem.

- Próbowałeś kiedyś pływać na Klinie w Newport?

- Pewnie! Skąd pan wie o Klinie?

- Kiedyś przyglądałem się chłopakom jak płyną.

- Może powinienem zostać w Laguna Beach - O.A. Jones wzruszył ramionami. - Zadzwoń do was, jak mi się znowu coś przypomni. Wiecie co? Zaczynają mi się podobać te stare piosenki. Wszędzie ich słucham, tutaj i w ogóle. Ciągłe mi się zdaje, że usłyszę tamten głos... Taki stary głos, no wiecie.

- Głos starego człowieka?

- Nie to mam na myśli. Taki głos w starym stylu. Będę słuchał stacji z Palm Springs i postaram się podać nazwisko wykonawcy, który śpiewa w podobnym stylu. Powiem o tym szefowi Pedrozie, a on was zawiadomi, O.K.?

- Trzymaj się, chłopcze - powiedział Sidney Blackpool.

Wychodząc z „Klubu 11-99” usłyszeli jak Portia Cassidy mówiła Olegowi Griedleyowi, że najchętniej wsadziłaby go do kuchni mikrofalowej, na co karzeł rozpaczliwie wykrzyknął:

- Portia, dlaczego mi to robisz? Dlaczego traktujesz mnie jak krasnoludka z kreskówki Disneya?

ROZDZIAŁ IX

Bismarck

- Kolejny wesoty dzień w pustynnym kurorcie za nami - jęczał Otto, gdy wracali z Mineral Springs. - To równie zabawne jak miesiąc w Gdańsku.

- Ten sierżant, Coy Brickman, to dziwny gość, nie sądzisz?

- No, dziwny. Nie lubię facetów, którzy mrugają powieką co drugi czwartek. Zimny z niego gość. Cholera, ależ ciemno na tej pustyni!

- Ale spójrz na gwiazdy. Pełno ich. Kiedy ostatnio widziałeś coś takiego w Los Angeles?

- Jak ci Samończycy grali w ping-ponga moją głową. Chodźmy do hotelu i poznamy wreszcie jakieś kobiety? Ta dupa w „11-99” przestraszyła mnie nie na żarty. Cholernie żyłasta. Wyglądała jak potwór. Pryszczata na gębie jak diabli, a mówiła do tego karła, że boi się AIDS! Czy wiesz, że w Palm Springs mają otworzyć sanatorium dla chorych na AIDS?

- To już przekracza wszelkie granice - powiedział Sidney Blackpool. - Mam zamiar podjechać pod dom Watsonów. Nasunęło mu się pytanie odnośnie porsche'a Jacka Watsona i nie mogę znaleźć na nie odpowiedzi w raportach policji z Palm Springs.

- Po tej całej gadaninie o AIDS mamy znów zobaczyć się z Harlanem Penrodem? Chrrrryste! Nawet nie chcę myśleć o AIDS. Heteroseksualni też mogą to złapać. Kiedyś martwiłem się, że złapię syfa, gdy poznawałem jakąś babkę w barze. Teraz myśl o AIDS powoduje, że włosy stają mi dęba i to nie tylko na głowie! Ale jeśli uważasz, że musimy się z nim zobaczyć, to lepiej zróbmy to jeszcze dziś. No więc, co z tym porsche'em?

- Porsche młodego Watsona był w domu, kiedy odkryto zniknięcie chłopaka.

- No i co z tego?

- Widziałeś garaż? To wielki dom, a garaż jest raczej mały. Było tam pełno starych mebli i jakieś perskie dywany, terenowy jeep i nowy, biały mercedes.

- Nie wiem do czego zmierzasz.
 - Po zaparkowaniu rollsa w garażu, nie ma tam już miejsca na porsche'a.
 - Nadal nie rozumiem.
 - Podjazd jest wąski i skręca po ostrym łuku. Gdyby porsche stał na podjeździe, to, by wyjechać rollsem z garażu, trzeba by najpierw usunąć z drogi porsche'a.
 - No i co z tego?
 - Nic. Tylko tyle, że gdyby rzeczywiście istniał jakiś porywacz, to czy wyprowadziłby porsche'a na zewnątrz posesji? Jeśli tak, to gdzie? A może samochód stał przez całą noc na ulicy.
 - Skoro nie ma nic na ten temat w raporcie, to wydaje mi się, że samochód musiał być zaparkowany na ulicy, gdy chłopak kładł się do łóżka.
 - A pamiętasz, co Harlan Penrod powiedział na temat dzielnicy? Jak tam ciemno w nocy?
 - No.
 - Słyszałem jak dwaj gliniarze z Palm Springs gadali o tym w barze. Mówili, że kiedy nocą w Las Palmas słychać głośny plusk wody, to oznacza to, że jakiś glina ściągający włamywacza wpadł do basenu.
 - A co to ma wspólnego z porsche'em?
 - A ty byś zaparkował na noc porsche'a 911 na ciemnej i opustoszałej ulicy?
 - Chyba nie, gdybym nie chciał pozbyć się radiomagnetofonu, że nie wspomnę całej reszty.
 - Właśnie o tym chciałem pogadać z Harlanem Penrodem. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do przekonania, że Jack Watson pojechał rolls-roysem do Mineral Springs z własnej woli.
 - A gdyby tak było, to czego to właściwie dowodzi?
 - Może niczego.
 - Przez te dziesięć patyków zrobił się z ciebie prawdziwy Sherlock Holms.
 - Och, nie martw się! Jeszcze będziemy mieli masę czasu, żeby pograć w golfa.
- Otto - powiedział Sidney Blackpool.
- Obudź mnie, jak dojedziemy na miejsce - Otto ułożył się wygodnie na siedzeniu i ściszył radio. - Rolls-royce, porsche... Skąd właściwie miałbym wiedzieć, co bogacze robią ze swoimi czterema kółkami? Nawet nie mogę sobie pozwolić na to, żeby wreszcie pozbyć się mojego starego grata. Te zagadki kryminalne to największy problem pracy w Wydziale Zabójstw. Jak pracowałem w narkotykach, to z reguły było

wiadomo, kto jest winny. Problemem było, jak się do niego dostać. Zagadki mnie usypiają.

Gdy Otto drzemał podczas jazdy powrotnej do Palm Springs, pod dachem iskrzące się gwiazdami pustynnego nieba, Sidney Blackpool myślał o tym, że - wbrew temu, co sądził przyjaciel - dziesięć tysięcy dolarów wcale nie motywuje go do wyczerpanych działań. Ale wizja stu tysięcy rocznie i czysta robota W Watson Industries oraz związane z nią przywileje czynią takie cuda. Nawet nie sądził, że będzie w stanie tyle z siebie wykrzesać. Nie wierzył, że ktoś z zewnątrz, taki jak on, jest w stanie rozwiązać zagadkę morderstwa, ale jeśli dostatecznie się wykaże, może liczyć na wdzięczność Watsona.

Victor Watson będzie potrzebował nowego szefa straży przemysłowej nawet wtedy, kiedy tajemnica śmierci jego syna nie zostanie do końca wyjaśniona. A więc co będzie, kiedy przywiozł z Palm Springs niewiele więcej, niż tylko opaleniznę? Trzeba będzie napisać wiarygodny raport dla znerwicowanego milionera, w którym wykaże swoje zasługi. Watson nie jest naiwniakiem, ale wszechogarniająca rozpacz po stracie syna zakłóca pracę szarych komórek. Sidney Blackpool wiedział o tym doskonale.

Co takiego Watson powiedział o złych chwilach? Że pamięta się tylko złe chwile. Sidney Blackpool miał ich w życiu tysiące. Tommy zaczął urywać się z lekcji, palić marihuanę i haszysz, brać „Quaalude” w towarzystwie kolegów. Tak jak wtedy, gdy pewnego zimowego dnia pojechał na plażę do Santa Monica, gdzie znalazł syna strasznie naćpanego. Był prawie nieprzytomny i nie zdawał sobie sprawy z panującego chłodu, choć był siny z zimna. Nie wiedział, że zostawił na plaży nowy kostium do surfingu. Incydent zakończył się tak, że Tommy wyrwał się ojcu i uciekł, podczas gdy banda jego koleśków rzucała w Sidneya a puszkami po piwie, zmuszając go do wycofania się. Wtedy Tommy zniknął z domu na dziesięć dni.

Dlaczego ojciec zmarłego tragicznie syna potrafi myśleć jedynie o takich chwilach? W sennych marzeniach wszystko wyglądało inaczej. Było cudownie, tak cudownie, że czasami budził się w nocy łkając w wilgotną od łez poduszkę. Był przekonany, że te sny mogą go w końcu zabić.

Powracający sen był prawie zawsze taki sam. Jego była żona, Lorie, i ich córka, Barb, grały w „Scrabble” na dywanie w salonie, a Tommy, który miał wtedy dwanaście lat, oglądał transmisję meczu w swoim pokoju i wybuchał głośnym śmiechem, kiedy drużyna, której kibicował, zdobywała bramkę.

W tym śnie Sidney Blackpool wołał żonę na bok i zdradzał jej tajemnicę, prosząc, by nikomu o tym nie mówiła. Ową tajemnicą było to, że udało mu się spowodować cudowną reinkarnację Tommy'ego z okresu sprzed czasów młodocianej rebelii przeciwko dorosłym, zanim jeszcze wciągnął się w narkotyki i awantury. Był to bardzo dziwny sen w tym sensie, że Sidney Blackpool siłą woli spowodował powrót syna, choć niejasne było, czy Tommy powrócił jako człowiek z krwi i kości, czy tylko jako duch.

Sen był tak niezwykle radosny, że Sidney pragnął, by trwał wiecznie, ale stawał się bezsilny, kiedy marzenie dobiegało do końca. A kończyło się wtedy, gdy żona zwracała się do niego, mówiąc: „Sid, nie wolno ci powiedzieć jemu, że umrze, kiedy będzie miał osiemnaście lat. Nie wolno ci!”

Nawracający sen pełen był sprzeczności i irracjonalnych zdarzeń, a jednak Sidney Blackpool rozumiał jego przesłanie. We śnie zawsze odpowiadał żonie: „Och, nie! Nigdy mu tego nie powiem. Ponieważ on mnie kocha. I...i teraz mi przebacza. Mój syn mi przebacza!”

Potem budził się z płaczem. Zawsze tak samo reagował na ten sen. Brał cztery tabletki aspiryny i wypijał pół szklanki Johnnie Walkera, którą z trudnością utrzymywał w drżących dłoniach.

- Cholera! Jasna cholera! - krzyknął Sidney Blackpool.
- Co się dzieje? - Otto poderwał się.
- Omal nie przejechałem ...królika.
- Rzeczywiście ciemno tu jak diabli - powiedział Otto, gdy jego partner zaparkował pod gęstą ścianą oleandrów i wyłączył silnik.

Podczas gdy detektywi zamykali drzwi toyoty, wstawiony Harlan Penrod wściekał się, że telefonistka z angielskiej centrali międzynarodowej próbuje mu wyjaśnić, iż pora jest o wiele za wczesna, żeby połączyć go z kimkolwiek w Pałacu Buckingham.

- Dlaczego oni nie są w tej chwili przy dziecku? - gardłował. - Co z nich za rodzice?
- Bardzo mi przykro, proszę pani - powiedziała telefonistka, zmuszając Harlana do obniżenia głosu o dwie oktawy.
- Nie jestem żadną panią, ani też nie mieszkam z kobietą - powiedział.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała telefonistka. - Czy to już wszystko?
- Zadzwoń później - ostrzegwał Harlan, po czym dodał. - A przy okazji, czy mogłaby mi pani podać londyński numer Very Lynn?
- Lynn? Czy mógłby pan przeliterować?
- Vera Lynn! - krzyczał Harlan. - To jedyna prawdziwa wokalistka, jaka narodziła się w Anglii! Jest osobistą przyjaciółką Królowej Matki! A tak w ogóle, to ile pani ma lat?
- Może jednak zechce pan porozmawiać z którymś z moich przełożonych? - zapytała telefonistka.

- Po co?! - wykrzyknął Harlan, wychylając do dna kieliszek martini. - Jeśli pani nie wie, kto to jest Vera Lynn, to znaczy, że Anglia dobiega swoich ostatnich dni. Równie dobrze mogłaby mi pani powiedzieć, że Margaret Thatcher weźmie udział w zawodach zapaśniczych w Soho.

- Czy to już wszystko proszę pana?

- Tak. I dobranoć albo do widzenia, zależnie od pory dnia, jaka u was jest.

Harlan Penrod odłożył słuchawkę i przygotował sobie następny koktajl.

Zdziwił się, kiedy usłyszał dźwięk dzwonka przy furtce. „Pewnie ta suka, Freddie”. Powiedział, że nigdy już nie zobaczy się z Freddie'm, ale... Harlan podszedł do domofonu i nacisnął guzik.

- Słucham? - odezwał się słodkim głosem.

- Tu Blackpool i Stringer - powiedział Sidney. - Czy możemy pogadać z tobą przez chwilę?

- Pogadać? Pogadać? - wykrzyknął Harlan. - No pewnie! Wejdźcie jak tylko usłyszycie brzęczyk przy bramie.

Harlan Penrod upozował się w drzwiach domu, kiedy detektywi podeszli do budynku. Miał na sobie białą koszulę z żabotem, niebieską, jedwabną kamizelkę, białe spodnie i białe, miękkie półbuty.

- Przepraszam, że zawracamy ci głowę - powiedział Sidney Blackpool, kiedy Harlan cofnął się do wnętrza hallu, by wpuścić ich do środka.

- Ależ, nie ma sprawy - odparł Harlan. - Właśnie dzwoniłem do Londynu i ci głupcy strasznie mnie zdenerwowali.

- Dzwoniłeś do Anglii? - zapytał Otto.

- Ależ tak. Często dzwonię do Anglii. Kilka razy usiłowałem zostawić wiadomość dla Very Lynn. Ci ludzie w centrali Pałacu Buckingham są bardzo mili. Ale zdaje się, że tym razem zapomniałem o różnicy czasu. U nich jest już jutro. Zadzwoń

później. Kiedyś dzwoniłem do prezydenta Nixona, gdy był w Chinach. Dzwoniłem do Forda w Korei i... zaraz, zaraz... do Reagana, także w Chinach. Tak bym chciał, żeby pojechał do Moskwy! Sprawiłoby mi ogromną przyjemność, gdybym mógł tam do niego zadzwonić.

- I oni z tobą rozmawiają?

- Napijecie się czegoś? - zapytał Harlan. - Nie, nie rozmawiają ze mną, ale wiecie jakie to robi wrażenie na współpracownikach prezydenta, kiedy dostają międzynarodowy telefon z Palm Springs? Wiele razy rozmawiałem z agentami ochrony. Zawsze zapisywali wiadomości ode mnie dla prezydentów. Nigdy nie dzwoniłem do Cartera. Generalnie nie przepadam za demokratami? Czy ktoś z was jest demokratą? Skoro tak, to bardzo przepraszam.

- Wszyscy gliniarze są republikanami - powiedział Otto. - Jesteśmy za powszechnym wprowadzeniem kary śmierci. No wiesz, te sprawy.

- Czy mogę podać wam coś do picia? Tak się cieszę, że wpadliście!

- Panie Penrod - zaczął Sidney Blackpool.

- Harlan.

- Harlan - poprawił się Sidney.

- Jak wam się podoba w Palm Springs? - przerwał Harlan. - Założę się, że nie naktnęliście się jeszcze na żadną gwiazdę filmową, ale one tutaj są. Zaręczam wam. James Caan, Sonny Bono, George Peppard, Milzi Gaynor, Zsa Zsa Gabor. Wszyscy mieszkają w pobliżu. Mój Boże, kiedyś mieliśmy w sąsiedztwie Elvisa Presleya, Reda Skeltona i Williama Holdena, a nawet samego prezesa.

- Kogo masz na myśli? - zapytał Otto.

- Liberace. Nadawaliśmy nazwy ulicom na ich cześć.

Ottonowi zaburczało w brzuchu, a Harlan zapytał:

- Jesteście głodni?

- Jeszcze jak! - powiedział Otto. - Chciałem zjeść porcję chili, ale w talerzu dwa pająki urządziły sobie zawody pływackie.

- Zaraz przygotuję dla was jakieś kanapki i wtedy sobie spokojnie pogadamy.

- Wiesz co, Harlan - powiedział Sidney Blackpool, kierowany nagłym impulsem - mam wrażenie, że za dużo pracujemy podczas tych wakacji. Co byście powiedzieli na to, gdybyśmy pojechali do naszego hotelu? Moglibyśmy zjeść coś w restauracji i potem odesłać cię do domu taksówką.

- Co za wspaniały pomysł! - wykrzyknął Harlan, poprawiając kamizelkę i odstawiając kieliszek z martini na stolik obok kanapy.

- No, dobrze - wymamrotał Otto - ale jutro gramy w golfa, Sidney.
- Pozwólcie, że najpierw się nieco odświeżę - powiedział Harlan. - Za chwileczkę wracam.

- Od jutra zaczynamy wakacje - rzekł Sidney Blackpool.

Po odejściu Harlana Otto powiedział:

- Prawdopodobnie właśnie nakłada sobie maseczkę jajeczną na twarz. Boże! Chyba wolałbym już siedzieć w domu i oglądać wiadomości w telewizji.

- Jutro zagramy w golfa - przyrzekł Sidney Blackpool.

- Możemy już iść. Jestem gotów! - powiedział rozradowany Harlan, ubrany tym razem w czerwoną kamizelkę.

Harlan włączył system alarmowy i zamknął drzwi, po czym wyruszyli.

W restauracji hotelowej o godzinie dziesiątej był duży ruch.

- Podać panom lekką kolację? - zapytał główny kelner, wręczając kartę win Ottonowi.

- Pełny obiad - powiedział Otto.

Kiedy wszyscy trzej zamówili koktajle, Otto odezwał się do Sidneya:

- Gdybyś mnie dzisiaj nie nakarmił, to rano w moim łóżku znalazłbyś trupa.

- Naprawdę? - wykrzyknął Harlan, mrugając kokieteryjnie oczami, na co Otto zareagował grymasem twarzy.

- Chcielibyśmy się zapytać o samochód Jacka Watsona - powiedział Sidney Blackpool.

- Słucham - rzekł Harlan Penrod. - A przy okazji, czy wiecie, że tu mieszka Barry Manilow i Gene Autry, i...

- Gdzie był zaparkowany samochód tej nocy, kiedy Jack zniknął? Mam na myśli jego porsche'a.

- Chwileczkę, niech pomyślę... Policja znalazła go przed domem.

- Na zewnątrz? Na ulicy?

- Tak. Widzicie tamtego faceta? Tego w jedwabnym garniturze z wielkim cygarem w dłoni i diamentowym sygnetem na palcu?

- Tak, a o co chodzi?

- Niedawno kupił jeden z nocnych klubów w tym mieście. Rozgłasza, że jest hinduskim księciem. Bzdury. Aż śmierdzi od niego oliwą i kozim serem. To Syryjczyk z Las Vegas. Mieszka w Kanionie Tuscany w potężnym domu pilnowanym przez wielkie psy, które pożerają kolorowych ogrodników. Słyszałem, że w jego ogrodzie znaleziono szkielet.

- Proszę podać zestaw zakąsek - zwrócił się Otto do kelnera - a dla mnie żeberka a la Henryk VIII, czy jak wy to tu nazywacie. I, butelkę, zaraz, zaraz...numer dwadzieścia siedem wygląda na francuskie, czerwone, wytrawne.

- To białe wino, proszę pana - powiedział kelner.

- Cholera, proszę samemu wybrać wino. Byleby było drogie, przynajmniej pięćdziesiąt dolców za butelkę.

- Doskonale, proszę pana - powiedział kelner.

Sidney Blackpool zamówił sałatkę mięsno-warzywną, a Harlan zupę z porów i kottlet z polędwicy.

- Próbuję zrzucić parę kilogramów - powiedział do Ottona.

- Jesteś w świetnej kondycji jak na swój wiek - powiedział Otto, a Harlan spojrział na niego, jakby miał ochotę go spoliczkować.

- Harlan, czy Jack Watson miał zwyczaj zostawiać swój samochód na noc na ulicy? - zapytał Sidney Blackpool.

- Czasami to robił.

- Naprawdę? Samochód wart czterdzieści kawałków? Chyba zdarzają się w waszej okolicy kradzieże samochodów?

- Porsche 911 jest wart dużo więcej - powiedział Harlan. - Jack nie robił tego zbyt często.

- A więc, jak często mu się to zdarzało?

- Kilka razy. Szczególnie, gdy wracał do domu bardzo późno.

- To znaczy?

- O świcie.

- Wracał o świcie? Gdzie się podziewał przez całą noc? To miasto przecież nie oferuje zbyt wielu nocnych rozrywek.

- Raczej nie - powiedział Harlan. Wypił martini i uśmiechnął się skromnie, kiedy Otto zamówił następną kolację. - W sezonie do tej doliny zjeżdża około ćwierć miliona ludzi, ale latem Palm Springs jest tylko prowincjonalnym miastem. Och, czasami żałuję, że nie mieszkam w wielkim mieście. Ale na pewno nie wrócę już do Los Angeles. Kiedy pan Watson zapytał, czy satysfakcjonuje mnie zaproponowana przez niego pensja, uznałem, iż nie ma sensu się zastanawiać.

- Wracając do sprawy samochodu... - nalegał Sidney Blackpool, kiedy podano martini.

- Na zdrowie, moi mili! - wykrzyknął Harlan, podnosząc kieliszek.

- Mówiłeś, że Jack wracał czasami o świcie? Czy wiesz, gdzie spędzał noce?

- Sierzancie, to był wspaniały, młody i piekielnie bogaty mężczyzna. Mógł

spędzać noce tam, gdzie miał ochotę. Jestem pewien, że kochał swoją narzeczoną, ale przecież był jeszcze młody.

- Jak długo był zaręczony?

- Niedługo. Jakies trzy, może cztery miesiące. Ich rodzice byli bardzo zaprzyjaźnieni, ale jestem pewien, że naprawdę ją kochał. Nie należał do tych, którzy ślepo wykonują polecenia rodziców.

- A więc mówisz, że czasami wracał do domu o świcie i wtedy nie zadawał sobie trudu, żeby wprowadzić porsche'a na podjazd. Parkował samochód na ulicy i wchodził przez furtkę, tak?

- Zgadza się.

- Zatem, jeśli samochód stał tej feralnej nocy przed domem i był zamknięty, to czy znaleziono przy jego zwłokach kluczyki?

- Nie. O ile sobie dobrze przypominam, kluczyki do samochodu były w jego sypialni. Zawsze je tam trzymał.

- Okay, Harlan, w takiej sytuacji raczej mało prawdopodobne wydaje się, że Jack został przez kogoś zmuszony do wyprowadzenia rolls-royce'a lub w ogóle zmuszony siłą do wyjścia z domu. Tajemniczy intruz nie wyprowadzałby porsche'a z garażu, parkował go przed domem, zamykał, po czym odnosił kluczyki do sypialni Jacka, prawda?

- Chyba nie - zgodził się Harlan.

- Czy nie przyszło ci to do głowy tego dnia, gdy odkryto zniknięcie chłopaka? To znaczy, czy powiedziałeś facetom z F.B.I. i glinom z Palm Springs, że to mało prawdopodobne, by Jack wyprowadził porsche'a na ulicę tylko po to, żeby móc później wyjechać rollsem? I czy nie wykluczało to teorii o porwaniu?

- Byłem wtedy zdenerwowany! Pan Watson zachowywał się tak, jakby sam dowodził śledztwo. Czy wiesz, jaki on potrafi być władczy? Biegał wszędzie z telefonem bezprzewodowym w ręce niczym w amoku. Krzyczał do słuchawki: „Połączcie mnie z Waszyngtonem!” Przy mnie powiedział tym gościom z F.B.I., że jego syn został siłą uprowadzony z domu. Ja zresztą do dziś nie jestem przekonany, czy tak nie było. Jedyne co mogę powiedzieć, to że Jack naprawdę nie cierpiał jeździć rollsem

- A może to Victor Watson nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że Jack mógł z własnej woli pojechać rolls-roycem do kanionu w Mineral Springs?

- Myślę, że masz rację. Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby Jack mógł to zrobić. Cóż miałyby robić w takim miejscu?

- No właśnie. Jak sądzisz?

- Boże! Nie wiem, co o tym myśleć. - Harlan otarł łzy serwetką. - Ten chłopak

był dla mnie jak syn. Czasami kłócił się z ojcem, a potem opowiadał mi o tym. Myślę, iż nie potrafił znieść myśli, że jest wciąż zależny od ojca. Wydaje mi się, że zamierzał zupełnie zrezygnować z jego pomocy finansowej po ukończeniu studiów.

Przyszedł kelner, przynosząc „mozzarella marinara”, „coquilles St. Jacques” oraz kapary. Sidney Blackpool spróbował sera. Harlan skosztował odrobinę małża, a Otto zjadł całą resztę. Do posiłku wypili trzy butelki wina, choć Otto nalegał, żeby na deser zamówić wiśnie w cukrze i szampana.

Harlan był już nieźle wstawiony, lecz wciąż zasypywał ich ciekawostkami z życia Palm Springs.

- Wiecie, że Steve McQueen mieszkał w Southridge, obok Williama Holdena i Boba Hope'a? A w Las Palmas mieli swoje domy Truman Capote, Kirk Douglas i wielu innych słynnych ludzi?

Otto był już prawie tak samo urżnięty jak Harlan, który kiwał się na krześle. Kierownik sali spoglądał na przemian na nich i na zegarek. Dwa inne stoliki były zajęte przez mniej hałaśliwych gości, sprawiających wrażenie, jakby mieli zamiar niedługo opuścić restaurację.

- Powiedz mi, Harlan, jak to się dzieje, że tyle wiesz na temat Palm Springs? - zapytał Otto.

- Tutaj wszyscy plotkują. Wystarczy włączyć się po barach, a wkrótce dowiesz się wszystkiego. W Palm Springs mieszka trzydzieści tysięcy ludzi, którzy są właścicielami domów i płatnikami podatków. Wielu z nich to bogacze, nie mieszkający tu na stałe. Powinnicie zajrzeć do takich barów. W niczym nie przypominają tych z Hollywood. - Zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: - Właściwie jest parę rzeczy, które upodabniają te miejsca do Hollywood. Pełno tu facetów w kowbojskich strojach, którzy jeżdżą półciężarówkami datsun, ale dosłownie na kilometr czuć ich Pierrem Cardin. Czy macie pojęcie, że to jedyne miejsce, gdzie można znaleźć bar odwiedzany przez kowbojów, robotników i nielegalnych imigrantów z Meksyku? I wszyscy jakoś się ze sobą zgadzają. Wydaje mi się, że jak na zewnątrz temperatura dochodzi do pięćdziesięciu stopni Celsjusza, to ludzie stają się wobec siebie bardziej tolerancyjni. Wtedy wszyscy solidarnie stajemy przeciwko pustyni. Oczywiście, mamy też dzielnicę biedy. Jedyne miastem w dolinie, która nie ma slumsów, jest Rancho Mirage. Wiecie, ile znanych osobistości mieszka na terenach klubów w Rancho Mirage?

- Robię się senny - oznajmił Otto. - Drętwieją mi wargi.

- Jak myślisz, Harlan, dokąd Jack Watson urywał się na całe noce? - zapytał Sidney Blackpool.

- W mieście jest z pół tuzina dyskotek. Chadzają tam stewardesy z wielu linii lotniczych, a dziewczyny z Newport Beach przyjeżdżają tu na weekendy. Wydaje mi się, że Jack chodził na dyskoteki. Nigdy nie widziałem, jak tańczył, ale przypuszczam, że był w tym dobry. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Jack miał kłopot z poderwaniem dziewczyny, jeśli tylko miał na to ochotę. Mówię wam, Jack mógł mieć każdą dziewczynę, której zapragnął. A wiecie, dlaczego tak myślę?

- Dlaczego? - zapytał Sidney Blackpool, podczas gdy Otto usiłował przyciągnąć uwagę kelnerki roznoszącej koktajle w barze i w restauracji.

- Jest masa innych chłopaków o czarnych, lokowanych czuprynach i oczach Paula Newmana, ale Jack miał w sobie coś więcej.

Nagle Sidney Blackpool odczuł dziwny niepokój. Przeszył go zimny dreszcz. Nie był na tyle trzeźwy, żeby zrozumieć jego przyczynę.

- Jack miał pewne szczególne cechy, które posiada niewielu ludzi w jego wieku. Był miły. Był miłą ludzką istotą. Tak, naprawdę wydaje mi się, że bardzo pragnął uniezależnić się od ojca. Był niepowtarzalnym chłopakiem.

- Mówiono mi, że wielu młodych ludzi prowadzi w Palm Springs prawdziwe nocne życie - powiedział Sidney Blackpool. - Jack też do nich należał?

- Wiesz kto prowadzi nocne życie? Żołnierze piechoty morskiej z Twentynine Palms. Ci męscy faceci, którzy spędzają dni ucząc się jak zrzucić napalm na żółtków i zabijać gołymi rękami. Przyjeżdżają do Palm Springs na weekendy swoimi podrasowanymi samochodami. Nie mają włosów, ani forsę, co najwyżej puszkę piwa w tylnej kieszeni spodni. Nie mają nic innego do roboty, jak tylko wzniecać bójki. Myślisz, że Jack przystawałby z takimi typami?

- Dużo pił?

- Nie więcej, niż każdy chłopak w tym wieku.

- Ćpał?

- Jestem pewien, że od czasu do czasu palił marihuanę. Nie sędzę, żeby brał kokę, a muszę ci powiedzieć, że jest to najczęściej używany narkotyk w tych stronach. Zdara mi się widzieć kelnerów i kelnerki, którzy wybiegają na chwilę do toalety, żeby niuchnąć porcję, zapłaciwszy sto dwadzieścia dolarów za gram.

Podeszła kelnerka z rachunkiem dla Ottona. Zajrzał jej w biust, podpisał rachunek, po czym napisał na koktajlowej serwetce:

„Proszę mi pomóc zwiać! Ci dwaj nudni faceci trzymają mnie jako zakładnika! Jestem bogatym człowiekiem!”

Dziewczyna zachichotała i podziękowała Ottonowi za dopisanie do rachunku 30-procentowego napiwku, po czym oddaliła się w stronę baru, wdzięcznie kołysząc biodrami.

- Trudno uwierzyć, że jestem dość stary, żeby być jej tatuśkiem - westchnął Otto.
- Chyba nie dożyję następnych urodzin.

- Myślę, że pora spać - powiedział Sidney Blackpool.

- Tak wcześnie? - zdziwił się Harlan. - Mógłbym gadać godzinami.

- Chciałbym, żebyś zadzwonił do mnie, jeśli przyjdzie ci coś nowego do głowy w sprawie Jacka - powiedział Sidney Blackpool.

- Spróbuj sobie przypomnieć, czy Jack kiedyś wspomniał o jakiejś dziewczynie, którą poznał tu, w Palm Springs. Czy przyprowadzał do domu jakichś miejscowych przyjaciół?

- Na pewno nie od czasu, kiedy zacząłem pracować dla Watsonów.

- To wszystko na dziś. Zobaczmy się... - nagle Sidney doznał czegoś na kształt olśnienia, kiedy przypomniał sobie wzmiankę Harlana o niebieskich oczach Paula Newmana. Stosunki aktora z synem nie przebiegały harmonijnie. Było o tym głośno w prasie. Paul Newman stracił syna. Znał to samo uczucie, które przypadło w udziale Victorowi Watsonowi i Sidneyowi Blackpoolowi.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał Harlan.

- Myślałem o facecie...zresztą, to nieważne. Odprowadzę cię do taksówki.

- Jaka szkoda, że musimy tak wcześnie iść. Właśnie...o, mój Boże!

- Co się stało?

- Spójrzcie tam!

Do restauracji weszło trzech mężczyzn, którzy zwrócili się do „maitre d'hotel,” a ten z uśmiechem, za mniej więcej 200 dolarów poprowadził ich do stolika w rogu sali.

Mężczyzna, wprowadzający dwóch pozostałych mógł mieć zarówno trzydzieści jak i sześćdziesiąt lat. Miał farbowane na czarno włosy i trwałą ondulację. Skóra na jego twarzy była naciągnięta tak mocno, że praktycznie uniemożliwiła szeroki uśmiech. Facet miał brwi jak Jean Harlow, a ubrany był jak Oscar Wilde, z nieodłącznym goździkiem w kłapie marynarki. Tuż za nim kroczyło dwóch młodych i przystojnych Japończyków, którzy ubrani byli jednakowo: w dwurzędowe czerwone blezery i białe spodnie. Na nogach mieli czerwone półbuty.

- Wiecie kto to jest? - wyszeptał Harlan. - Od czasu kiedy Betty Ford zrobiła sobie operację plastyczną w Palm Springs, wszyscy przyjeżdżają tu w tym samym celu. Spójrzcie, jaka piękna robota! Kiedy widziałem go ostatnim razem, miał pod oczami wory, w których zmieściłoby się kilo ziemniaków.

- Kto to? - zainteresował się Otto.

- A ci chłopcy! Nazywa ich swoimi adiutantami. No pewnie. Zaraz poznać duet z salonu masażu.

- Kto to jest? - dopytywał się Otto.

- Ten człowiek - powiedział Harlan - jest ostatnim ze sławnej niemieckiej rodziny, która utrzymywała w ruchu maszynę wojenną Hitlera. W fabryce jego ojca wieszano ludzi, którzy nie wyrobili normy produkcyjnej. W 1939 jego rodzina była równie bogata i potężna jak Rothschildowie. Teraz on wiezie życie w kuszących majteczkach bikini.

- Wygląda jak bohater starego horroru - zauważył Otto.

- Palm Springs to po prostu większa kopia „Baru u Harry'ego” - powiedział z dumą Harlan. - Zwierciadło świata. Panowie, ten mężczyzna jest żywym dowodem na istnienie ładu we wszechświecie. Mamy tu do czynienia z ewolucją od okrętu wojennego „Bismarck” do jachtu o nazwie „Lizaczek” w czasie jednego pokolenia. Tak właśnie umierają wielkie dynastie: nie z hukiem, lecz wśród powszechnego chichotu.

ROZDZIAŁ X

Mur

Jeszcze raz Sidneyowi udało się przespać szare godziny. Wiedział, że na to nie zasłużył; po ilości alkoholu, jaką wypił poprzedniego wieczoru. Uznał, że jedynie dzięki właściwościom pustynnego powietrza nie odczuwa typowych objawów choroby alkoholowej. Cudownie było uniknąć przebudzenia na długo przed świtem - kiedy oddzielenie fantazji od rzeczywistości sprawia większą niż zwykle trudność. Drzwi do Ottona były zamknięte, ale słyszał jego donośne chrapanie. Wziął prysznic, ogolił się i postanowił, że zrobi sobie przejażdżkę by przyjrzeć się pustyni o świcie.

Wziął z sobą turystyczną mapę okolicy i pojechał w kierunku przeciwnym do szczytu San Jacinto. Po piętnastu minutach znalazł się w pobliżu jedyne prywatnego pola golfowego na pustyni, które otacza dom Waltera Annenberga, magnata prasowego, przyjaciela prezydentów i byłego ambasadora w Wielkiej Brytanii.

W dolinie, która szczyti się tym, że ma największą na całym świecie ilość pól golfowych na kilometr kwadratowy wydawało się stosowne, że ktoś ma taką wielką działkę, zdolną pomieścić prywatne pole. Po chwili zobaczył coś, co zmusiło go do zatrzymania samochodu. Wysiadł i wdrapał się na szczyt piaszczystej wydmy. O szóstej trzydzięci rano tego wspaniałego listopadowego dnia pustynia przygotowała dla niego prawdziwy spektakl. Za plecami miał niewysokie szczyty Shadow Mountains, które tonęły w purpurze zakłóconej jedynie przez cień potężnej chmury. Zarysy pasma Santa Rosa wyglądały jak dzieło boskiego malarza, który umoczył pędzel w ogniu i pociągnął nierówną, szeroką kreskę na srebrnym tle. Pas ognia miał swój początek i koniec, a nawet znać było ślady szczeciny pędzla. Jednak tym, co zaskakiwało bardziej niż wschód słońca nad górami Santa Rosa był widok bladego księżyca w pełni, który w tym samym czasie krył się za szczytem San Jacinto.

Dokładnie o szóstej trzydzięci dwie wschodzące słońce na kilka sekund zatrzymało się, by odpocząć na przełęczach Santa Rosa, podczas gdy zachodzący księżyc uczynił to samo na szczycie San Jacinto. Wschód słońca i zachód księżyca na wyciągnięcie ramion. Stał tak na wydmie, a buty grzeźły mu w sypkim białym piasku. Dookoła miał nieliczne kępy pustynnej roślinności, która na wiosnę pokryje piasek zielonym dywanem.

Wyciągniętymi ramionami starał się, jak mógł najdłużej, powstrzymać wschód słońca i zachód księżyca, pomimo że ognista kula oślepiła go w kryształowo czystym powietrzu. Czas na chwilę stanął w miejscu. Potem księżyc zniknął, a słońce zaczęło mocno przypiekać. Zdał sobie sprawę, jak głupio musi wyglądać dla przejeżdżających szosą w drodze do pracy w Palm Springs.

Mimo to, nie potrafił opuścić tego miejsca. Zdjął buty i boso poszedł przez wydmy, grzęznąc po kostki w chłodnym piasku. Pomyślał, że wydma, po której stąpa, może do jutra zniknąć, przeniesiona podmuchami silnego wiatru. Być może pojawi się o kilkanaście metrów lub kilometrów dalej. Może nigdy nie zniknie tak naprawdę. Zdał sobie sprawę, że posuwa się za daleko, pragnąc za wszelką cenę uwierzyć w filozofię, która byłaby go w stanie wyleczyć z żalu po stracie Tommy'ego. Wiedział, że to i tak nie poskutkuje.

Victor Watson mówił, że zwracał się w stronę Boga, próbował filozofii Zen i psychoterapii. Nic nie pomagało. Kiedy piaszczysta wydma znika, to już nigdy nie powraca. Może piasek zostaje zużyty do zaprawy murarskiej? Zgasił papierosa, a niedopałek schował do kieszeni. Pustynia potrafi wypalić wszystko, jeśli jej dać na to czas, ale postanowił, że nie będzie zaśmiewał tego pięknego miejsca. Nie dzisiaj. Nie po tym, jak pustynia wyreżyserowała dla niego darmowy spektakl z udziałem słońca i księżyca.

W czasie, gdy Sidney Blackpool stał po kostki w piachu, wyglądając jak ukrzyżowany Chrystus, Otto Stringer jadł śniadanie w łóżku i z trudem usiłował skoncentrować się na słowach recenzenta filmowego w programie „Today Show”, który tego ranka plótł wyjątkowe bzdury. Powodem utrudnionej koncentracji Ottona była natrętna myśl, że za wiele czasu poświęcają pracy i dotąd jeszcze nie zagrali w golfa. Otto dopił kawę i postanowił zrezygnować z francuskich drożdżówek. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer informacji o abonentach z Hollywood. W trzy minuty później rozmawiał z kierownikiem salonu rolls-royce'a.

- Dzień dobry, mówi detektyw Stringer z posterunku policji w Los Angeles - powiedział. - Dzwonię w sprawie śledztwa dotyczącego morderstwa Jacka Watsona. Jak rozumiem, jest pan znajomym pana Victora Watsona?

- Jest jednym z moich starych klientów - odparł tamten. - I zgadza się, jesteśmy przyjaciółmi.

- Mamy problemy z doprowadzeniem śledztwa do końca - powiedział Otto. - Pan Watson poinformował nas, że jego samochód pojawił się u was tego dnia, kiedy zamordowano Jacka Watsona.

- Tak, istotnie. Kierownik warsztatu rozpoznał Jacka na zdjęciu pokazanym przez Victora... to znaczy... pana Watsona.

- Chciałbym porozmawiać z tym kierownikiem.

- On...jego teraz nie ma. To znaczy, chyba ma dziś wolny dzień. Sprawdzę to i zadzwonię do pana.

- Proszę mnie posłuchać uważnie - powiedział Otto. - To jest poważne śledztwo. Zaangażowanych w nie jest wielu ludzi i jak dotąd napotykałyśmy same ślepe zaułki. Proszę mi odpowiedzieć szczerze. Czy to możliwe, że pan się myli? To znaczy, że kierownik warsztatu...pomylił się?

- Ach... skąd panu to przyszło do głowy?

- A może to jednak był inny rolls-royce? Może to wcale nie był Jack Watson? Czy to możliwe? Gdyby miało okazać się, że śledztwo poszło fałszywym tropem z powodu czyjejś pomyłki, to groziłyby z tego tytułu poważne konsekwencje. Ktoś mógłby nawet mieć z tego tytułu kłopoty.

Na kilka sekund w słuchawce zapanowała cisza, po czym tamten mężczyzna odezwał się:

- No, wie pan, wszystko jest możliwe.

- Wiem, że wszystko jest możliwe. Czy jednak nie jest dość możliwe, że pański kierownik myli się?

- Jest to...nawet, bardzo prawdopodobne - powiedział tamten łamiącym się głosem. - Będę musiał... z nim porozmawiać.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział Otto. - Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś wątpliwości, to zadzwonimy do pana.

- Sądzi pan, że będziecie mieli jeszcze jakieś pytania? - szef salonu rolls-royce'a wydawał się chory.

- Raczej wątpię - powiedział detektyw.

Kiedy Sidney Blackpool wszedł do apartamentu, Otto był już wystrojony w strój golfowy. Siedział w saloniku i czytał gazetę.

- Myślałem, że jeszcze śpisz - powiedział Sidney. - Byłem na małej przejażdżce. Zabrało mi to więcej czasu, niż sądziłem.

- Gramy dziś w golfa, Sidney? Czy zakładamy posterunki na szosach i szukamy broni użytej w zabójstwie?

- Coś nie tak?
 - No, wiesz. Jestem tylko wieloletnim specem od narkotyków, a morderstwami zajmuję się dopiero od niedawna.
 - Do czego zmierzasz?
 - Zastanawiałem się dlaczego nie chciałeś jechać do sklepu rolls-royce'a, żeby sprawdzić ten nowy trop w sprawie Watsona. Myślałem początkowo, że Black Sid jest przecież fachowcem i wie, co robi. Ale zacząłem myśleć.
 - I co wymyśliłeś?
 - Wymyśliłem, że angażujesz się w tę sprawę, jakby chodziło o porwanie syna prezydenta Stanów Zjednoczonych, a nie o przyschniętą zagadkę, której nikt nie potrafi ugryźć.
 - Do jakich doszedłeś wniosków?
 - Postanowiłem zadzwonić do tego salonu rollsa w Hollywood, którego szefem jest kumpel starego Watsona. Był ze mną równie szczerzy jak Al Capone podczas składania zeznań podatkowych.
 - I?
 - W tym, co zeznał było tyle prawdy, co w artykule wstępnym „Prawdy”. Watson wysmażył te rewelacje w porozumieniu ze swoim koleśkiem, żeby wciągnąć gliny z Los Angeles do sprawy, która terytorialnie nam nie podlega. Mam rację?
 - Przecież to nie ja dzwoniłem do salonu rollsa, a ty.
 - Posłuchaj, Sidney. Nie jestem członkiem Mensy, ale swój rozumek mam. Wiedziałeś od początku, że Watson to wymyślił. Bo prostu chciałeś się w to wpakować.
 - Powiedzmy, że masz rację.
 - Nie mam do ciebie żalu o to, że zależało ci na wakacjach w Palm Springs. Nie obchodzi mnie, czy wiedziałeś, że dostaniemy forszę na drobne wydatki. Może nawet nie miałeś pojęcia, że będzie tego aż dziesięć kawałków. Nie wiem o co w tym wszystkim chodzi, ale wydaje mi się, iż mam prawo wiedzieć.
- Sidney Blackpool zapalił papierosa i usiadł okraciem na krześle, patrząc w bok. Po chwili odezwał się:
- Okay, Otto. Masz rację. Od razu zorientowałem się, że Watson wysmażył tę sprawę z rollsem, ale dałem się wciągnąć. Zrobiłem to nie tylko dlatego, że Watson obiecał mi rozrywkowe, tygodniowe wakacje w Palm Springs.
 - Jak dotąd niewiele mamy tej rozrywki. Pracujemy.
- Sidney Blackpool zaciągnął się mocno papierosem i wypuścił chmurę dymu przez nos, mówiąc:

- Nie miałem zielonego pojęcia, że dostaniemy dziesięć tysięcy i nie to skłoniło mnie do zaangażowania się w sprawę. Victor Watson zaoferował mi pracę gdy śledztwo przyniesie efekty.

- Jaką pracę?

- Szefa straży przemysłowej w Watson Industries. Za sto tysięcy rocznie. Diety. Przywileje klubowe. Zarobki na boku. Nie byłbym bogaty, ale mógłbym przynajmniej żyć jak ktoś majątny.

- Marzenie każdego gliny. - Otto zagwizdał. - Jak zamienić dwadzieścia lat pracy w głównie na emeryturę w słońcu.

- I wiesz, Otto, to pierwsza rzecz, która przemówiła mi do wyobraźni. Przynajmniej mam coś, do czego... warto dążyć.

- Dążyć? Ja byłbym zdolny kogoś ukatrupić, żeby mieć taką szansę. Powinieneś mi o tym powiedzieć.

- Przepraszam, partnerze.

- No, to teraz już wiem. Zapomnijmy o golfie i bierzmy się do roboty. Gotów jestem pracować cały tydzień, żebyś tylko dostał tę posesję. Zawsze możemy pograć w golfa w Griffith Park.

Sidney Blackpool uśmiechnął się i powiedział:

- Dzięki, ale wiesz co?

- Co?

- Dziś robimy sobie przerwę i idziemy pograć.

- Świetnie! - powiedział Otto. - Na którym polu?

- Ty wybieraj. Mamy trzy do wyboru.

- „Tamarisk”! Co powiesz na „Tamarisk Country Club”?

- Mnie pasuje - powiedział Sidney Blackpool. - Wiesz, co widziałem na pustyni?

- Co takiego?

- Ptaka, o którym czytałem w lokalnej gazecie. Nazywają go rzeźnikiem. Chwyta jaszczurki i myszy, a następnie rzuca je na kolce kaktusów lub na drut kolczasty, po czym zabiera się do konsumpcji. Śliczny ptaszek. Ma piękny, kolorowy ogon, szary grzbiet i srebrnoszare skrzydła, jak lakier mercedesa. Śliczny, krwiożerczy ptaszek. Przypomniał mi trochę moją byłą żonę.

- Sidney, proooooszę! - wykrzyknął Otto. - Obiecałeś, że nie będziesz taki ponury.

Budynek „Tamarisk Country Club” był zupełnie nowy, natomiast pole golfowe stare. Był to, obok „Thunderbird Country Club”, najstarszy elegancki klub sportowo-rekreacyjny na pustyni. Detektywi nie bardzo wiedzieli jak się zachować, aż do

momentu, kiedy zostali zauważeni przez portiera, który wskazał im drogę do szatni, gdzie mogli zmienić obuwie.

Nowy budynek klubu był idealnie zaprojektowany: dużo szkła i przestrzeni, ściany pomalowane na jasne, pastelowe kolory.

Na ścianie w hallu znajdował się wykaz członków klubu. Otto zauważył tam nazwisko Gregory Pecka i niemal wpadł w panikę. Wydawało mu się, że za chwilę może natknąć się na Yoko Ono.

Otto nigdy tak naprawdę nie interesował się golfem i grywał regularnie dopiero od czasu, gdy zaczął pracować z Sidneyem, który był niezłym graczem. W czasie ich znajomości Sidney Blackpool kilka razy załatwił im możliwość gry w kilku drugorzędnych, prywatnych klubach w okolicach Los Angeles. Jednak tamtejsze pola, w porównaniu z pięknie utrzymanym terenem w „Tamarisk Country Club”, bardziej przypominały świeżo zaorany ugór.

- Mój Boże, Sidney! - powiedział Otto, kiedy stali w towarzystwie pracownika klubu, patrząc na panoramę zielonego pola.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. To... to jest... Kiedyś chodziłem z dziewczyną, która miała taką cipkę!

- Zieloną? - zapytał Sidney.

- Aksamitną - odparł Otto.

- Życzę panom udanej gry - powiedział pracownik klubu. - Będziecie grali z panem Rosenkrantzem, który właśnie rozgrzewa się przy pierwszym dołku.

- Dziękuję bardzo - powiedział Sidney Blackpool i ujął za łokieć Ottona, który nie potrafił oderwać oczu od murawy. Chłopak już załadował ich kije na elektryczny wózek golfowy i ruszył w stronę początku toru.

- Trzeba by mu dać jakiś napiwek, no nie? - szepnęła Otto.

- Jak skończymy - zdecydował Sidney.

- Mój Boże, czy dziesięć kawałków nam wystarczy?

- Nie denerwuj się, Victor Watson zadbał o wszystko - Sidney uspokoił go. - Wyobraź sobie, jak wspaniale byłoby pracować dla takiego gościa jak on.

- A ty wyobraź sobie jak pięknie byłoby mieszkać na terenie takiego klubu. Muszę sobie znaleźć w tym mieście jakąś bogatą babę!

Mężczyzna, który czekał na nich przy pierwszym dołku mógł mieć około sześćdziesięciu pięciu lat. Był tęższy i niższy od Ottona Stringera. Miał na głowie miękką

czapeczkę golfową, a na nosie plastikowe okulary przeciwsłoneczne. W ustach trzymał ogromne cygaro.

- Zapewne pan Guildenstren? - powiedział Otto, wyciągając na powitanie dłoń.

- Jestem tym drugim - rzekł mężczyzna. - Rozenkrantz przez K. Miło mi was poznać, chłopaki.

- To jest Sidney Blackpool, a ja nazywam się Otto Stringer. Dziękuję, że pozwolił nam pan do siebie dołączyć.

- Cieszę się, że mogę wyświadczyć przysługę dla kumpli mojego starego przyjaciela, Victora Watsona - powiedział. - Mówcie mi Archie. Gramy na forszę? Dwadzieścia doliczów za punkt.

- W porządku - powiedział Sidney Blackpool.

- Mój kolega to stary wyga - wyjaśnił Otto. - Ja jestem jeszcze początkujący.

- Nie ma sprawy - odparł Archie. - Dam wam handicap piętnastu uderzeń.

- Mój Boże, Sidney - szepnął Otto, gdy Archie Rozenkrantz przygotowywał się do oddania pierwszego uderzenia. - Nie zamierzasz chyba kompletnie spłukać się z forsy?

- Nie bój się, nie będzie tak źle - odparł Blackpool.

Kiedy zaczęli, pod miejsce startu podjechał czerwony wózek golfowy o karoserii przypominającej miniaturę rolls-royce'a. Siedziało w nim czworo graczy. Za kierownicą jakiś stary facet, a obok niego młodzianka i śliczna dziewczyna. Otto czuł na sobie ich spojrzenia. Wydawało mu się, że są pełne dezaprobaty. Miał wrażenie, iż tamci doskonale zdają sobie sprawę, że jest tylko nędznym graczem z Griffith Park.

Po chwili Otto usłyszał świst i dźwięk uderzonej kijem piłki. Stary grubas walnął w nią tak, że poleciała o jakieś dwieście metrów, prościutko w stronę celu.

- Miałem szczęście - powiedział Archie, wydmuchując dym z hawańskiego cygara.

Otto wciąż oglądał się za siebie w stronę budynku klubowego i wydawało mu się, że zza przyciemnianej szyby jego grę obserwuje pewnie z pięćdziesiąt osób. Wstrzymał oddech na kilkanaście sekund, po czym naprężył mięśnie i ponownie je rozluźnił. Kiedy spieprzył uderzenie w Griffith Park, ku uciesze jakiegoś hydraulika, to nie było wielkiej sprawy. Ale w takim miejscu...

Sidney Blackpool uderzył piłkę równie mocno jak Archie Rozenkrantz. Był od niego młodszy i silniejszy, więc zyskał nad nim przewagę kilkunastu metrów. Piłka lekko

odbiła się od podłoża na prawo od dołka.

- Całkiem nieźle, chłopie - powiedział Archie, gryząc końcówkę cygara. - Chyba nie będzie z wami tak łatwo jak myślałem.

Otto czuł się nieswojo. Nagle jasnozielone spodenki zaczęły uwierać go w kroczu, a sweter pić pod pachami. Buty wydały mu się niewygodne. Miał wrażenie, iż zdołał już nabawić się pęcherzy na palcach, choć przecież nie przeszedł w nich więcej niż dziesięć metrów. Nawet czapka golfowa uwierała go. Czuł się fatalnie. Wykonał próbne uderzenie i końcem kija wyrwał kawał darni, który poszybował dwadzieścia metrów. Otto zerwał się i przyniósł go z powrotem, po czym pieczołowicie ułożył na miejsce.

Archie Rozenkrantz dmuchnął dymem z cygara i powiedział:

- Przychodzi tu taki osiemdziesięcioletni staruszek, który ma perukę podobną do tego kawałka darni, tylko że jego peruka jest pomarańczowa. No, nie przejmuj się, chłopcze, i wal śmiało.

Niestety, Otto miał fatalny dzień. Zamachnął się potężnie i...

- To nie byłaby nawet zła odległość, gdybyś uderzył piłkę, a nie rzucił kijem - powiedział Archie.

- Zupełnie tego nie rozumiem - wykrzyknął Otto, oglądając się za siebie i widząc, że czworo nowo przybyłych graczy miało niezły ubaw.

- Wiesz co, chłopcze - powiedział Archie Rozenkrantz. - Lepiej puśćmy w niepamięć naszą umowę co do forsy. Sama gra dostarcza już i tak dość stresów. Po prostu cieszymy się świeżym powietrzem i zagrajmy relaksowo, a potem pójdźmy razem na drinka.

- W porządku - powiedział Sidney Blackpool, podając Ottonowi podpórkę do piłki.

Otto pomyślał, że od tej chwili pójdzie już łatwo. Przyczyna zdenerwowania zniknęła. Jednak dwie młode kobiety znajdujące się wśród nowo przybyłych graczy nadal szeptały coś do siebie. Uszy Ottona były ognisto czerwone. Mimo tego, Otto zmusił się do kolejnej próby. Z rozmysłem wziął powolny zamach i uderzył. Piłka wystrzeliła w powietrze niemal pionowo, zawirowała i spadła za jego plecami, tuż pod nogi dwóch dziewcząt, które uśmiechały się szeroko jak stewardessy z reklamy hawajskich linii lotniczych w Aloha Airlines.

Archie Rozenkrantz prawie wypuścił z ust cygaro:

- Kapitalna sztuczka, chłopcze! Gdzie się tego nauczyłeś? - No, dobra, zostawmy pierwszy odcinek. Otto rozgrzeje się przy dołku.

- Palm Springs nie miało lepszego od czasu, kiedy przyjechał tu Liberace -

powiedział Archie. - Masz rację, przejdźmy dalej. Moje żylaki tańczą break dance.

Odległość do pierwszego dołka można było bez trudu pokonać w pięciu uderzeniach. Pozwolili Ottonowi umieścić piłkę dwieście metrów od dołka, w pobliżu miejsca, gdzie znajdowały się ich własne.

- No, dalej, Otto, teraz nikt cię przecież nie obserwuje. Podejdź do piłki, spojrzysz sobie dookoła na piękny krajobraz i pomyśl, jakie to szczęście, że Bóg ofiarował ci ten wspaniały dzień. Po prostu powiedz tak sobie, a na pewno pomoże.

Otto powiedział to i uderzył.

- Gdzie ona jest? - spytał, zasłaniając oczy przed promieniami słońca. - Nic nie widzę.

- Nieźle. Jakieś trzydzieści metrów - powiedział Sidney Blackpool.

Archie włożył dużo siły w swój strzał. Piłka poszybowała około dwustu metrów i spoczęła niedaleko dołka.

Sidney uderzył trochę za mocno i miał przed sobą niełatwe zadanie doprowadzenia piłki od strony małego wzgórka. Otto musiał się zdrowo napracować, zanim jego piłka w końcu trafiła do dołka. Na razie znajdowała się w piaszczystej pułapce, nieco z prawej strony. Zarówno Archie jak i Sidney także ulokowali piłki na piasku, ale po lewej stronie dołka.

Archie ładnie wyprowadził swoją piłkę, która po czwartym uderzeniu znalazła się mniej więcej o siedem metrów od dołka.

- Świetnie - powiedział Otto z zazdrością w głosie.

Sidney Blackpool uderzył trochę zbyt głęboko, rozpryskując piasek, lecz jego piłka wylądowała na „zielonym”, o jakieś dziewięć metrów od chorągiewki. Otto poczuł znów falę zazdrości.

- Świetnie - powtórzył.

Nadeszła jego kolej. Opuścił kij tak nisko, że jedynie muskał powierzchnię piasku. Poprzysiągł sobie, że tym razem nie da się ponieść nerwom. Udało się. Rozluźnił wszystkie mięśnie i uderzył.

- Świetnie - powiedział Archie Rozenkrantz z zazdrością w głosie.

Dalej już poszło całkiem nieźle. Przy trzecim dołku Otto zdołał doprowadzić piłkę do celu w siedmiu uderzeniach, podczas gdy wystarczyłyby cztery.

Po pięciu „dołkach” Archie odezwał się do Ottona:

- Otto, gdybyśmy grali w pokera, miałbyś fula: trzy dziewiątki i dwie siódemki. - Miał na myśli ilość uderzeń.

Do szóstego dołka Otto dotarł już po pięciu uderzeniach.

- Hurra! - wykrzyknął, uradowany jak dziecko.

- Pięć dla Ottona! - powiedział Archie, zapisując wynik na tablicy przymocowanej do wózka. - Coraz lepiej.

Zanim dotarli do szesnastego dołka, Otto przeniósł swoje kije na wózek prowadzony przez Archiego. Detektyw ubrzdął sobie, że Archie pomoże mu dopracować uderzenie.

- Moje mięśnie są już stare i zwiotczałe - powiedział Otto.

- Raczej ten mięsień, który masz w głowie jest zwiotczały, rzekł Archie, zapalając kolejne cygaro, ponieważ to stare wyglądało jak pęczek szpinaku. - Po prostu wydaje mi się, że podchodzisz do gry zbyt poważnie i emocjonalnie, Otto.

Osiemnasty dołek był cudownie położony o jakieś pięćset metrów na prawo od zabudowań klubu, w którego tle górował szczyt San Jacinto. Brzeg trasy do dołka był obsadzony pięknymi drzewami. Była tam palma, sosna, wierzba, drzewo oliwkowe i rząd eukaliptusów. Po prawej był duży oleander, którego widok przyprawiał Ottona o zdenerwowanie. Nie miał ochoty podążać za piłką w zarośla.

- Jak trafię w to drzewo, to równie dobrze mogę zapomnieć o grze - powiedział Otto do Archiego.

- Nie przejmuj się - uspokajał go Archie. - Musisz przenieść piłkę nad drzewem i wszystko. To proste.

- Spójrzcie na ten eukaliptus! - wykrzyknął Otto. - Wystarczająco duży, żeby wykarmić wszystkie australijskie niedźwiadki koala.

- Przestań myśleć pesymistycznie, Otto - rzekł Archie. - Głowa do góry.

- Muszę zakończyć jak mistrz - postanowił Otto. - Ale co będzie, kiedy wyjdzie mi takie uderzenie jak przy trzecim dołku? Równie dobrze mógłbym walnąć prosto w tamten dom - wskazał palcem budynek po lewej.

Naraz zaciekawiał go otoczony ogrodzeniem budynek. Na całej długości wysokiego płotu znajdowały się lampy i urządzenie alarmowe. Na bramie wjazdowej znajdował się napis: „Nie zważać na psa. Uwaga, zły właściciel.” Na terenie posesji powiewała amerykańska flaga: znak, że lokator znajduje się w domu.

Otto popełnił błąd pytając o to, kto tam mieszka. Niestety, potem nie odzyskał już dawnego uderzenia.

Sidney Blackpool był zaskoczony, kiedy Otto podbiegł do niego i potrząsnął go za ramię.

- Sidney! - wykrzyknął. - Czy wiesz, kto tam mieszka? On! On!

- Kto? Kto?

- Boss!

- Bruce Springsteen?

- Szef szefów!
- Don Corleone?
- Prezes!
- Armand Hammer czy Lee Iacocca?
- Nie bądź głupi, Sidney?
- Stary błękitnooki Frank we własnej osobie!
- Naprawdę? - Sidney Blackpool wykazał zainteresowanie. - Wydawało mi się, że

ma okazalszą chałupę.

- A czego byś oczekiwał? Facet pochodzi z głuchej prowincji, gdzieś z Hoboken.
- No, dobra. I tak nas nie zaprosi do środka - powiedział Sidney - więc dokończ-

my grę.

Archie Rozenkrantz, który wpatrywał się w wybałuszone oczy Ottona, wiedział, że ten nie odzyska poprzedniego opanowania i spokoju niezbędnego przy następnym uderzeniu.

Otto trzy razy spojrzął w kierunku domu zanim zdecydował się przymierzyć do piłki. Wyobraźnia podpowiadała mu, że w budynku ktoś śpiewa „Strangers in the Night”.

- Nikt cię nie widzi! - rzekł nerwowo Archie.
- Stare, błękitne oczy nie przerażają mnie! - krzyknął Otto zbierając się na odwa-

gę.

Uderzona z dużą siłą piłka zbczyła w lewo, odbiła się od wózka golfowego Sidneya i trafiła w gołeń Archiego Rozenkrantza, który nie zdążył uskoczyć w bok.

- Och, mój Boże! - jęknął Otto. - Jestem równie do niczego jak prawe ucho Ronaldy Reagana!

Kulejąc, Archie Rozenkrantz podszedł do Ottona i powiedział:

- Wiesz co, Otto. Chodźmy do baru na małą pogawędkę. Nigdy nie byłem zwolennikiem brutalnych sportów.

Kiedy zmienili obuwie, Otto ruszył z powrotem do hallu, żeby jeszcze raz spojrzeć na listę członków klubu i wyszukać na niej sławne znakomitości. Kiedy w barze odnalazł Archiego i Sidneya zapytał:

- Czy bywa tu Gregory Peck?
- Nieee - odparł Archie. - Może przychodził kiedyś, w początkach istnienia klubu.
- Widziałem nazwisko prezesa - ciągnął Otto.
- On nie gra w golfa - powiedział Archie. - Może czasami bywa w tutejszej re-

stauracji. Wydaje mi się, że wściekł się, kiedy ktoś mu powiedział, żeby nie przypro-
wadzał tutaj z sobą Spiro Agnew.

- Kto jeszcze tu przychodzi? - zapytał Otto.

- Wielu facetów, których nazwiska zaczynają się od ROSEN albo GOLD - powiedział Archie. - Zamów sobie coś do picia.

Pierwszy koktajl wypili do dna, zanim jeszcze kelner zdołał wybić sumę na elektronicznej kasie.

- Chłopcze - Archie zwrócił się do barmana - tylko jedną kostkę lodu? Co ty sobie wyobrażasz? Że to klub dla gojów? Może wolałbyś pracować w „Thunderbird” lub w „Eldorado?”

Barman uśmiechnął się, wrzucił dwie kostki lodu i dolał whisky.

- „Titanic” zatonął w wyniku spotkania z mniejszą ilością lodu niż ta - powiedział Archie.

- To żydowski klub? - zapytał Otto.

- A co ty myślałeś, chłopcze? - powiedział Archie. - Czy ja wyglądam na Anglosasa? Ten klub został zbudowany przez Żydów w czasach, kiedy nie wpuszczano ich do „Thunderbird.” Teraz wpuszczają, ale nie pozwalają im rzucać śledziowych ości na murawę.

- Myślałem, że jak się ma masę forsy, to wszystkie drzwi stoją otworem.

- Jeszcze wiele musisz się nauczyć, chłopcze. A wy do jakiego klubu należycie?

- Właściwie do żadnego. Jesteśmy glinami z Wydziału Policji w Los Angeles - powiedział Sidney Blackpool.

- Naprawdę? - zdziwił się Archie. - Grałem kiedyś z zastępcą waszego szefa. W „Hillcrest.”

- Tam też jest tak fajnie jak tutaj?

- Jasne - powiedział Archie. - Dajcie mi swoje wizytówki, to was kiedyś zaproszę.

- A kręcą się tu jakieś gwiazdy filmowe? - zapytał Otto, przyglądając się ludziom schodzącym na posilek.

- Można tu spotkać Lucille Ball. Jej mąż jest dobrym graczem.

- Mieszkają na terenie klubu?

- Nie. Mieszkają w „Thunderbird.”

- W takim razie dlaczego nie należą do tamtejszego klubu?

- On jest żydem. Mieszka tam, ale jest członkiem tu.

- Posłuchaj, Archie - powiedział Otto. - My zwykle gramy z paczką gliniarzy w Griffith Park. Jest wśród nich dwóch Meksykanów i Żyd. Powiedz mi, Archie, gdybyśmy wszyscy zgarnęli główną wygraną loterii kalifornijskiej, to nie moglibyśmy wstąpić wszyscy razem do jednego z tych eleganckich klubów?

- Ludzie chcą przebywać z takimi jak oni, chłopcze - powiedział Archie.

- Ale to przecież gliny. Są tacy sami jak ja! - wykrzyknął Otto.

- Och, Otto - powiedział Archie. - Gdybyś dopracował uderzenie, to miałbyś szansę stać się najśłynniejszym grubasem wśród mistrzów golfa.

Otto był szczerze zdziwiony

- Jakbym miał parę milionów dolców, to nie mógłbym przeskoczyć przez mur luksusowego klubu sportowego, gdybym nie należał do tej samej kasty?

- Łatwiej byłoby ci przeskoczyć przez Mur Berliński - powiedział Archie Rozenkrantz. - Ze wschodu na zachód. No i jak, chłopcze. Walniemy jeszcze jednego drinka? Z pojedynczą kostką lodu.

ROZDZIAŁ XI

Gorgony

Zanim jeszcze wyruszyli w drogę powrotną do hotelu, Otto miał wielką ochotę na piñia colada, kąpiel w solance i małą drzemkę, żeby zapomnieć o porażce na polu golfowym.

- Ten klub to naprawdę piękne miejsce - powiedział Sidney Blackpool, starając się nawiązać rozmowę.

- Nie chcę gadać o golfie.

- Otto, przecież to ty powiedziałeś, że zbyt poważnie podchodzę do gry.

- Nie chcę o tym mówić.

- To tylko gra, Otto.

- Jasne. Tak jak zabawa w kotka i myszkę z Andriejem Gromyką. Albo gra w „dwadzieścia pytań” w irańskim więzieniu.

- W końcu poznaliśmy kogoś.

- Archie jest w porządku. Wszyscy nas miło traktowali. Klub jest piękny. A teraz zjedź na pobocze i zatrzymaj wóz.

- Po co?

- Bo mi się chce rzygać, ot co!

- No więc przyznaję, nie wyszło ci dzisiaj.

- Tak jak Charlesowi Mansonowi nie wyszło zwolnienie warunkowe.

- Poczekaj aż wrócimy do hotelu i napijemy się czegoś. Zaraz poczujesz się lepiej.

- Czuję się jak guz w mózgu. Powinni mnie zanurzyć w formalinie i przechować dla przyszłych pokoleń.

- Może powinieneś zafundować sobie masaż.

- To nie ma sensu. Chyba nawet nie umiałbym wdrapać się na stół.

- Możesz mieć masaż na podłodze. Wezwij masażystkę do pokoju.

- To niezły pomysł - przyznał Otto.

Kiedy wrócili do apartamentu, zadzwonił telefon. Telefonowali z recepcji, z wiadomością od Harlana Penroda.

- Pewnie znowu chce się umówić na randkę. Harlan odebrał telefon.
- Halo... Rezydencja Watsonów. Czym mogę służyć?
- Mówi Sidney Blackpool.
- Mój ulubiony sierżant od czasu Gary Coopera! - szczebiotał Harlan. - Mam dla was wieści!

- Co mianowicie?
- Przejrzałem rzeczy Jacka i znalazłem coś między stronami starego podręcznika.

Raczej wątpię, czy policja to widziała.

- Co to jest?
- Zdjęcie Jacka z dziewczyną.
- Czemu uważasz, że to ważne?
- W tle zdjęcia jest basen kąpielowy, który znajduje się w Palm Springs! Rozpoznałem go, bo to jest w hotelu, gdzie zatrzymywał się kiedyś jeden z moich znajomych. Znam ten cholerny basen bardzo dobrze. Pewnego wieczoru pokłóciłem się z moim przyjacielem. Doszło do bójki i on popchnął mnie tak, że uderzyłem w drabinkę, którą widać na zdjęciu. Kosztowało mnie to utratę ubrania, nowej pary butów i zegarka.

- To wszystko? To znaczy, masz tylko zdjęcie Jacka z dziewczyną przy hotelowym basenie?

- Uważasz, że to nic?
- Warto by się temu przyjrzeć.
- Może to była jakaś jego koleżanka z uczelni, a może nie. Trzeba by to sprawdzić.

- W porządku, Harlan. Będziesz w domu dziś wieczorem?

- No pewnie! - wykrzyknął Harlan. - Czy mam się ubrać sportowo, czy może bardziej wytwornie? Wielu ludzi z Las Vegas zatrzymuje się w tym hotelu. Mam uchodzić za podstarzałego króla dyskotek, czy za kogoś z kasyna?

- Zdecyduj sam - powiedział Sidney. - Wpadniemy po ciebie mniej więcej za dwie godziny.

Odłożywszy słuchawkę, Sidney Blackpool powiedział:

- Czy możesz odłożyć masaż na później? Harlan znalazł zdjęcie Jacka Watsona z dziewczyną. Wydaje mi się, że on chce zostać naszym tajnym agentem.

- Czy nie spotkało mnie dość tragedii jak na jeden dzień? - jęknął Otto, rzucając

się na kanapę. - Czuję się jak podłoga w końskiej ujeżdżalni: podeptana i pokryta gównem.

- Harlan to jeden z nielicznych, którzy mogą dostarczyć nam informacji o Jacku Watsonie. Myślisz, że słynny detektyw z Baker Street 221B wytrzymałby długo z kimś takim, jak Harlan Penrod? Wydaje mi się, że nigdy nie będę dobrym gliną od zabójstw. Natomiast wiem na pewno, że nie będę dobrym graczem w golfa.

- Jesteś na dobrej drodze, żeby być dobrym w obu tych dziedzinach, chłopie. Teraz trochę odpocznij. Zadzwoń, żeby nam przynieśli coś do picia.

Harlan Penrod już czekał, gdy o szóstej trzydzieści zajęli pod dom Watsona.

- Sam Spade junior - powiedział zgryźliwie Otto.

Chociaż Harlan nie był ubrany jak słynny detektyw z czarnych kryminalistów Das-hiella Hammetta, to miał na sobie ciemny prochowiec, mimo że nie padał deszcz. Otto wstrzymał się od dalszych komentarzy, robiąc jedynie głupią minę.

- Mam to tutaj - Harlan wskoczył na tylne siedzenie toyoty, trzymając w ręku małą latarkę, której promień skierował na trzymane w ręku zdjęcie.

- Widzę, że przygotowałeś się do zadania - powiedział Otto. - Mam nadzieję, że masz przy sobie gnata. Nie spodziewaliśmy się takiego przebiegu sprawy i przyjechaliśmy z Los Angeles nie uzbrojeni.

- Piękna dziewczyna - powiedział Harlan. - W Jacka typie. Jego była narzeczona też jest wysoką blondynką o zgrabnych nogach.

- Możemy jedynie wpaść do hotelu i zapytać w recepcji, czy ktoś ją pamięta. Albo zapytać kelnera, które pracują w barze koło basenu.

- Kelnerów - powiedział Harlan. - W hotelu jest wyłącznie męska obsługa.

- Może się okazać, że dziewczyna wcale nie była tam z Jackiem, ale z tym drugim chłopakiem - powiedział Sidney Blackpool, wskazując na zdjęcie.

Na fotografii Jack Watson obejmował dziewczynę w talii, a drugi młody mężczyzna, dobrze zbudowany blondyn, trzymał ją za nogi. Wyglądało to tak, jakby mieli zamiar wrzucić ją do wody. Wszyscy trzej uśmiechali się do obiektywu aparatu.

- Przystojny chłopak - zauważył Sidney Blackpool.

- Bardzo seksowna dziewczyna - powiedział Otto.

- Szczęśliwa dziewczyna - dodał Harlan. - Dwóch pięknych chłopców...

- To wszystko, co mamy na początek - powiedział Sidney Blackpool siedząc za kierownicą toyoty, która zmierzała w stronę Palm Canyon Drive.

- W „Sokole Maltańskim” też nie mieli od czego zacząć - zauważył Harlan.
- A nie mówiłem, Sidney - wymamrotał Otto, widząc błyszczące jak gwiazdy oczy Harlana.

Hotel nie należał do tych najlepszych, tak jak się tego spodziewali. Ale, z drugiej strony, dziewczyna ze zdjęcia nie musiała być milionerką, a tylko stewardesą, nauczycielką z Orange County lub turystką z Alberty, którą Jack poznał w dyskotecce.

W hallu recepcyjnym zauważyli dwóch mężczyzn siedzących w fotelach przy koktajlu, a dwaj inni właśnie przechodzili do restauracji. Jakaś para meldowała się przy kontuarze, zajmując uwagę recepcjonisty, więc detektywi w towarzystwie Harlana Penroda skierowali swoje kroki na tyły hotelu, gdzie znajdował się basen. Tam natknęli się na kolejnych dwóch mężczyzn, którzy moczyli nogi w basenie, popijając koktajle. Mężczyźni rozmawiali z kelnerem ubranym w czarne spodnie i białą koszulę z czerwona muszką. Kolejni dwaj grali w tryk-traka przy stoliku stojącym niedaleko krawędzi basenu.

- Harlan - zapytał Sidney Blackpool - czy to jest hotel dla homoseksualistów?
- Oczywiście, że nie.
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że to hotel „mieszany”?
- Można by to tak nazwać - przytaknął Harlan.
- Czy nie uważasz za dziwne, że Jack przebywał w takim miejscu? - zapytał Otto.
- Skądże znowu. Takie miejsca są zazwyczaj dość tanie. Może ta dziewczyna z fotografii jest jakąś sekretarką z Culver City, która nie mogła pozwolić sobie na coś lepszego.

- No, dobra - powiedział Sidney Blackpool. - Chodźmy zapytać recepcjonistę.

Pokazali zdjęcie wszystkim pracownikom recepcji, kelnerom z ogrodu i chłopcom hotelowym. Nikt nie potrafił przypomnieć sobie uśmiechniętej blondynki ze zdjęcia, choć większość osób przyznawała, że zdjęcie rzeczywiście zostało wykonane w tym hotelu. Nikt również nie rozpoznał Jacka Watsona i tego drugiego chłopaka z fotografii. Harlan Penrod sprawiał wrażenie kompletnie załamane. Gdy kierowali się do wyjścia, podbiegł do nich chłopak z obsługi parkingu - w błękitnym golfie, białych szortach i tenisówkach.

- Chciałbym, żebyś zobaczył zdjęcie pewnej dziewczyny - powiedział Harlan. Oto to mrugnął do Sidneya, gdyż wyglądało na to, że Harlan przejął śledztwo w swoje ręce.

- To nasz basen - powiedział chłopak.

- Ta dziewczyna była prawdopodobnie gościem hotelu - powiedział Penrod. - Widziałeś ją kiedy?

- Nie - odparł tamten - ale znam tego faceta.

- Znasz faceta?

- Pracował u nas.

- Jack Watson tu pracował? - Otto wskazał palcem postać na zdjęciu.

- Nie ten z czarnymi włosami - powiedział chłopak. - Ten drugi. Ten blondyn, który trzyma dziewczynę za nogi. Ma na imię Terry. Pracował tu zaledwie przez tydzień, na parkingu. Kiedy ja miałem dzienną zmianę, on pracował na nocnej.

W pięć minut później detektywi i Harlan Penrod byli w biurze kierownika nocnej zmiany, który przerzucał teczeki personalne zatrudnionych.

- Nie powinno być z tym problemu, sierżancie - powiedział kierownik. - Pracownicy hotelowi w tym mieście mają obowiązek okazywania policyjnych kart identyfikacyjnych. Gdy zatrudniamy kogoś, wysyłamy go na policję żeby wszystko sprawdzili, zrobili mu zdjęcie i pobrali odciski palców. Tak postępuje się z wszystkimi, którzy teoretycznie mogą mieć dostęp do pokoi hotelowych.

- Nasz pierwszy, prawdziwy ślad! - wykrzyknął Harlan z miną, jakby właśnie odkrył tajemniczy posążek rodem z Malty.

Okazało się, że młody mężczyzna nazywał się Terry Kinsale. W jego aktach znajdował się adres z Cathedral City oraz miejscowy numer telefonu. Stałym miejscem zamieszkania było Phoenix w Arizonie. Tu również był numer telefonu, zostawiony na wypadek, gdyby zaistniała konieczność zawiadomienia kogoś z rodziny, w jego przypadku siostry, Joan Kinsley.

Detektywi zanotowali wszystkie interesujące ich dane, podziękowali kierownikowi zmiany i wyszli przed budynek hotelu, gdzie czekała na nich toyota Sidneya, przyprowadzona przez chłopaka, od którego uzyskali informacje.

- Świetnie się spisałeś - powiedział Sidney Blackpool i dał mu dwudziestodolarowy napiwek. Ruszyli pod adres wymieniony w aktach Terry'ego Kinsale'a.

- Nie mam pojęcia, gdzie to jest - powiedział Harlan. - O ile mi wiadomo, przy

autostradzie 111 nie ma żadnej dzielnicy mieszkaniowej. Chyba, że chłopak mieszka w motelu albo na piętrze nad jakimś sklepem.

Okazało się, że żadne z przypuszczeń Harlana nie sprawdziło się. Był bar. Bar dla pedałów, obok którego znajdowały się dwa inne o podobnym charakterze..

- Może podał fałszywy, adres - zastanawiał się Otto

- Gliny z Palm Springs musiały to sprawdzić - powiedział Sidney Blackpool. - W innym razie nie wydaliby mu karty identyfikacyjnej.

- Słuchajcie - odezwał się Harlan - może pozwolicie, że wejdę sam? Pokażę zdjęcie barmanowi i kilku klientom. Nikt nie będzie miał podejrzeń co do mojej osoby. Na pewno mi powiedzą prawdę, jeśli znają tego Terry'ego.

- Masz tu dwudziestkę na drinki - powiedział Sidney Blackpool.

- Będziemy w barze po drugiej stronie ulicy.

- Tylko zachowujcie się przyzwoicie! - wykrzyknął Harlan, uśmiechając się znacząco.

- Pospiesz się, Harlan, do pioruna! - wściekał się Otto. - Jestem głodny.

Gdy służący oddalił się, Otto powiedział:

- Naprawdę chcesz iść do tego baru?

- Chcesz zaczekać na stacji benzynowej?

- Wypiję jednego drinka i złapię AIDS. Zawsze mam takie cholerne szczęście - powiedział Otto. - A potem odpadną mi usta jak jakiemuś trędowatemu.

- To nie ten sam rodzaj choroby - Sidney Blackpool uspokajał go, gdy parkowali samochód przy trasie, numer 111.

Bar był prawie pusty. Jedynymi gośćmi byli dwaj faceci siedzący w kącie, którzy prowadzili ożywioną dyskusję. Barman wyglądał jak Rocky Marciano u schyłku kariery. Jego twarz, zdeformowana od ciosów otrzymanych na ringu, wyglądała jak upiorna maska.

- Jezu - szepnął Otto, kiedy złożyli zamówienie - ale szkaradna gęba. Zdaje się, że nawet zauważyłem w niej parę oczu, ale nie jestem pewien.

- Poproszę o wszystkie dwudziestocentówki i dziesiątki, jakie pan znajdzie w kasie - powiedział Sidney Blackpool kładąc na ladzie banknot dwudziestodolarowy. - Muszę zadzwonić na międzymiastową.

- Co robimy, Sidney? Dzwonimy do Pałacu Buckingham? Prowadzimy poszukiwania Very Lynn, czy co?

- Możemy zadzwonić do siostry Terry'ego Kinsale'a do Phoenix, podczas gdy

Harlan poprowadzi za nas śledztwo. Zadzwoń z budki na stacji benzynowej.

- Zostawiasz mnie tu samego?
- Nie masz się czego obawiać.
- Pospiesz się, dobra? - powiedział Otto, biorąc pod światło szklaneczkę z whisky, by sprawdzić czy jest czysta.

- Czy coś się stało Terry'emu? Miał wypadek? - zapytała Joan Kinsale, kiedy Sidney Blackpool przedstawił się.

- Jestem pewien, że wszystko w porządku. Po prostu usiłujemy go znaleźć - powiedział detektyw. - Pracujemy nad morderstwem Jacka Watsona i sądziliśmy, że może Terry będzie w stanie nam pomóc.

Zapadła chwila ciszy zanim kobieta ponownie się odezwała:

- Watson? - powiedziała. - Chodzi o tego przyjaciela Terry'ego? Nie skojarzyłem jego nazwiska. Taki przystojny chłopak o czarnych, kręconych włosach?

- Ten, z którym byłeś na basenie - powiedział Sidney Blackpool. - Mamy takie zdjęcie, na którym jesteście wszyscy troje. Byłeś tam z nimi, prawda?

- On nie żyje? - powiedziała Joan Kinsale. - Kiedy to się stało?

- W czerwcu zeszłego roku. Znaleziono go w jego samochodzie z kulą w głowie.

- Terry nic mi o tym nie wspominał! Ale faktem jest, że Terry rzadko się ze mną kontaktował od tego czasu. Poznałam Jacka, kiedy przyjechałam na kilka dni w odwiedziny do Terry'ego.

- Miałaś jakąś randkę z Jackiem?

- Nie, on był przyjacielem Terry'ego.

- Czy Terry jest homoseksualistą? - zapytał nagle detektyw.

- No, nie sądzę - dziewczyna zmieszana się. - Był trochę... to znaczy, wydaje mi się, że sam tego dokładnie nie wiedział.

- Gdzie teraz przebywa?

- W La Jolla. Przynajmniej był tam, kiedy ostatnio do mnie pisał. Mówił, że ma nadzieję na pracę w hotelu. Nie podał mi żadnego adresu. Terry jest trochę niedojrzały, ale to dobry chłopak. Wszyscy go lubią.

- Czy kiedykolwiek wszedł w kolizję z prawem?

- Przynajmniej mi o tym nic nie wiadomo.

- Używa narkotyków?

- Nie mam pojęcia. To znaczy, wydaje mi się, że pali trawkę, jak wszyscy.

- Kiedy opuścił Palm Springs?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Wydaje mi się, że jakoś ponad rok temu.
- Jeśli napisze albo zadzwoni, to proszę mi dać znać. Chciałbym z nim pogadać - powiedział Sidney Blackpool. - Zostawię pani mój numer służbowy. Tam będą wiedzieli, gdzie mnie można złapać.

Tymczasem Otto Stringer kończył już drugiego drinka i próbował uniknąć kontaktu wzrokowego z sobowtórem Harlana Penroda, który jednak tym różnił się od pierwowzoru, że miał naturalne owłosienie głowy. Tamten usiadł przy barze, z koktajlem w dłoni, tuż obok Ottona. Z radia, nastawionego na lokalną stację, dobiegał rzewny kawałek Antony'ego Nawleya.

W pewnej chwili facet zdołał uchwycić spojrzenie Ottona i zanucił wraz z Tony Newleyem:

- „To jest ta chwila! Wzywa mnie przeznaczenie!”

Otto zamknął oczy i zamówił kolejną podwójną whisky, zapominając o zagrożeniu AIDS, gdy do baru wpadł zdyszany Harlan.

- Chyba coś mam - wyszeptał.
- On też - powiedział Otto, wskazując na siedzącego obok pedała. - Chyba naćpany. No, więc jak ci odpowiada rola tajnego agenta?
- Terry na jakiś czas zniknął z miasta, ale teraz wrócił! Był w barze w zeszłą sobotę!

Za kilka minut wrócił Sidney Blackpool i zaczął porównywać swoje notatki z rewelacjami Harlana. Homoseksualista, który adorował Ottona, zrezygnował i skierował swą uwagę na faceta w kowbojskim stroju, który natychmiast zamówił dwa piwa.

- Jutro sprawdzimy na posterunku w Palm Springs, czy Terry Kinsale znowu stara się o zezwolenie na pracę w hotelu. Do tego czasu proszę cię, Harlan, żebyś nie rozgłaszał tej sprawy. Chłopak wyjechał z Palm Springs mniej więcej wtedy, gdy zamordowano Jacka. Niewykluczone, że jesteśmy na dobrym tropie.

- Chyba skonam z podniecenia. - zakrzyknął Harlan. - Ale będę trzymał język za zębami. Dokąd teraz pojedziemy?

- Otto i ja musimy pojechać do Mineral Springs.
- Musimy? - zapytał Otto.
- Świetnie - powiedział Harlan. - Jeszcze nigdy tam nie byłem!
- Słuchaj, Harlan. A może byś pokręcił się po tych barach dla homo? Popytaj jeszcze o Terry'ego. Może uda ci się jeszcze dowiedzieć czegoś interesującego.

- Na pewno - wymamrotał Otto.
- Może nawet spotkasz gdzieś samego Terry'ego - powiedział Sidney Blackpool.

- Masz, to powinno ci wystarczyć - wręczył służącemu cztery banknoty dwudziestodolarowe. - Możesz wrócić do domu taksówką.

- Okay - rzekł Harlan - ale uprzedźcie mnie, gdzie będziemy pracować jutro. Ubrałbym się mniej szykownie, gdybym wiedział, że tutaj trafię.

- Zadzwońmy do ciebie jutro - powiedział Sidney Blackpool, gdy wychodzili z baru, zostawiając Harlana, aby dokończył drinka.

- Dlaczego znowu jedziemy do Mineral Springs? - dopytywał się Otto.

- Żeby się rozejrzeć w nocy. Poważnie.

- To małe miasteczko. Czemu będziemy się przyglądać?

- Chcę zobaczyć drogę, którą jechał Jack Watson tamtej nocy.

- Po co?

- Nie wiem po co.

- No to po co w ogóle tam jechać?

- Może przyjdzie nam coś do głowy.

- Na jaki temat?

- Nie wiem! Nie znam innego sposobu na rozwiązanie zagadkowego mordu. Tak mnie uczono.

- Wiesz co, Sidney? Chyba nigdy nie będę dobrym gliną od zabójstw. Może powinienem zająć się rabunkami albo czymś w tym rodzaju.

- Będziesz świetnym specem od truposzy jeszcze zanim uporamy się z tą sprawą, Otto.

- „To jest ta chwila!” - Nagle Otto zanucił. - „Wzywa mnie przeznaczenie!”

- Tak trzymać, chłopcze - powiedział Sidney Blackpool, naśladując Archiego Rosenkrantza. - Golf jest pełen tajemnic. Morderstwo, nie. Na zagadkę kryminalną trzeba patrzeć jak na pustynię. Pustynia zmienia się z minuty na minutę. Tak samo z zagadką. Ale trzeba to widzieć.

- Mam nadzieję, że nie znajdę pająka w chili - powiedział Otto - bo wygląda na to, że będziemy jeść w „Klubie 11-99”.

Dolina Coachella powstała dwadzieścia milionów lat temu w wyniku ruchów tektonicznych, a dziś Uskok Św. Andrzeja przebiega wzdłuż pasma górskiego na północnym obrzeżu doliny. Szczyt San Jacinto i góry Santa Rosa, które częściowo stanowią naturalną osłonę dla doliny, są dużo młodsze od sąsiedniego pasma San Bernardino, mniej zaokrąglone, bardziej malownicze dla oka. Dno jeziora Salton Sea znajduje się

o osiemdziesiąt trzy metry poniżej poziomu morza, zaledwie o kilka metrów wyżej od dna Doliny Śmierci. W świetle dziennym pustynna dolina wydaje się być pozbawiona życia i niegościnna. Lecz nocą pustynia przybiera inne oblicze.

Góry Santa Rosa są naturalnym środowiskiem dla wielu gatunków ptaków. Dominują sępy, kołujące wysoko nad rozległymi równinami, oraz sowy o ciekawym upierzeniu i wielkich dziobach. Ponadto pustynia jest domeną kojotów, skunksów i to rzadziej - pum. Trafiają się też ponad dwumetrowe węże.

Wypada wspomnieć jeszcze o lisach pustynnych, niewiele większych od domowego kota, szczurach kangurzych, wyróżniających się dużymi, puszystymi i białymi ogonami oraz o wielkich nietoperzach, które w księżycowej poświacie rzucają niesamowite cienie.

Ponadto „czarne wdowy”, skorpiony, wielkie niczym szarańcza karaluchy i około 340 gatunków ptaków.

Pustynia okazać się może niegościnna, zwłaszcza nocą, szczególnie dla mieszkańców z Hollywood...

Sidney Blackpool wjechał asfaltową drogą w głąb Kanionu Solitaire tak daleko, jak uznał to za bezpieczne. Zatrzymał samochód, ze schowka w desce rozdzielczej wyjął latarkę, wysiadł i poprowadził Ottona do miejsca, gdzie znaleziono roztrzaskany samochód Jacka Watsona.

- Czy przypadkiem nie wsadziłeś jakiejś spluwy pod siedzenie wozu zanim wyjechaliśmy z Los Angeles? - zapytał Otto z nadzieją w głosie.
- Nie przypuszczałem, że może się na coś przydać - odparł Sidney Blackpool.
- To pieprzone miejsce przeraża mnie - powiedział Otto.
- Posłuchaj jak wiatr wyje. Jestem pewien, że w porywach potrafiłby przewrócić do góry dnem taki statek, jak „Queen Mary”.
- Brzmi jak fale rozbijające się o skały - zauważył Sidney Blackpool, po czym wyłączył latarkę i wpatrywał się w światła okien porozrzucanych po okolicy domów, gdzie mieszkali członkowie motocyklowych gangów.

Gałęzie krzewów tańczyły na wietrze. Na stromym skalistym zboczu rośło drzewo. Miało prawie cztery metry wysokości, a jego gałęzie chygotały w rytm uderzeń świszczącego wiatru. Otaczały ich dziwne, pustynne rośliny i drzewa o poskręcanych konarach, które niczym koszarne gorgony pochylały się nad głowami policjantów.

W ciemnościach rozlegały się upiorne chichoty i przejmujące okrzyki nocnych stworzeń, które zabijały bądź same padały ofiarą. Żaden z detektywów nie miał pewności, czy te dźwięki pochodzą od zwierząt, czy też od ludzi zamieszkujących baraki i szopy rozrzucone wzdłuż drogi na szczycie kanionu.

- Słuchaj! - odezwał się Sidney Blackpool.

Spod pustynnej wierzby, która wkrótce miała obsypać się pięknym kwieciami, dobiegł do nich głos sowy, mieszkającej w opuszczonej przez kojota norze.

Kiedy Sidney Blackpool zbliżył się do źródła dźwięku, sowa, poczuwszy zagrożenie, zaczęła skrzeczeć.

Sidney podszedł jeszcze bliżej i ptak wydał z siebie odgłos ludzako podobny do syku jadowitego węża.

Obaj detektywi uciekli w popłochu w stronę drogi.

- Chrryste! - wykrzyknął Otto.

- Czy to naprawdę był wąż, czy mi się tylko zdawało?

- A co to mogło być innego?

- Czytałem w przewodniku, że niektóre ptaki potrafią świetnie imitować głos grzechotnika.

- Prędej świński tyłek stanie się koszernym daniem! Nie chciałbym tego jeszcze raz usłyszeć, nawet gdyby to był najlepszy parodysta! Lepiej wynośmy się stąd, na miłość boską!

Wtedy usłyszeli ten dźwięk: motocykl. Od strony ruder, piaszczystą drogą z niewiarygodną szybkością pędził harley davidson. Kierujący motocyklem musiał być niezwykle pewny siebie lub też nie zależało mu na życiu. Zamiast wyjechać na główną drogę, skręcił w stronę kanionu, za kępę drzew o poskręcanych konarach. Zatrzymał motocykl i postawił go na podpórce. Przez chwilę rozglądał się w świetle reflektora harleya.

- Mam dziwne przeczucie - powiedział cicho Sidney Blackpool.

- Jakie przeczucie? - szepnął Otto.

- Że ten facet jest dokładnie w miejscu, gdzie znaleziono wóz Watsona. Założę się, że to było tam, pomiędzy drzewami.

- Włosy mi stoją dęba ze strachu - wyszeptał Otto. - Popędźmy do samochodu.

- Lepiej schowajmy się za tymi skałkami i zobaczymy, co on zrobi.

- Może nas nakryć i pomyśleć, że jesteśmy glinami!

- Przecież jesteśmy glinami, Otto.

- Tracę pieprzony rozum! Chciałem powiedzieć, że może pomyśleć, iż jesteśmy

miejscowymi glinami od narkotyków i wystrzelić zanim zdołamy wyjaśnić, że jesteśmy tylko parą pocziwych glin od truposzy z Hollywood... którzy nawet nie mają przy sobie gnata, żeby się bronić!!!

Motocyklista tymczasem wsiadł na harleya i ruszył z kopyta rozsypując piach i drobne kamienie. Był potężnie zbudowanym facetem, co było widać nawet ze sporej odległości.

- Za późno, żeby zwiewać - wysapał Otto. - Najeżdża.

Harley z rykiem zmierzał w ich stronę. Po chwili motocyklista zauważył toyotę stojącą przy drodze i podjechał do samochodu. Obaj policjanci wychylili głowy zza skał, kiedy ich mijają, lecz motocykl wzniecił ogromną chmurę pyłu, w związku z czym dostrzegli jedynie sylwetkę mężczyzny. Widzieli jak tamten zagląda do wnętrza toyoty, po czym odjeżdża w kierunku głównej drogi do Mineral Springs. Gdy wracali do samochodu, Otto powiedział:

- Sidney, naprawdę zależy mi na tym, żebyś dostał tę robotę u Watsona i tak dalej, ale chyba nie zależy mi na tym aż tak bardzo, jakbyś chciał. To znaczy, kiedy ten motocyklista przejeżdżał obok nas, miałem tuż za plecami jakiś cholerny kaktus i o mały włos miałbym w ciele więcej harpunów niż Moby Dick. Słuchasz mnie, Sidney? Mam czterdzieści lat. Powinienem pracować jako handlowiec w Van Nuys, a nie mieć pełne portki strachu, siedząc jak trusia na kolczastej roślinie. Ta zabawa już nie dla mnie. Słuchasz mnie, Sidney?

Sidney Blackpool skierował strumień światła latarki na poskręcane drzewa.

- Otto - powiedział - gdybyś jechał tędy w nocy wielkim samochodem, chcąc dotrzeć do tamtych ruder na stoku kanionu, to łatwo mógłbyś stracić orientację i zbłądzić. Ta droga, która wiedzie na lewo, w kierunku domów, przecina inną. Zauważyłeś pod jakim kątem stykają się one w miejscu, gdzie słyszeliśmy tę dziwną sowę?

- Wcale mnie nie słuchasz, Sidney.

- Łatwo byłoby skrócić w niewłaściwą drogę i jechać aż do miejsca, w którym stan nawierzchni podpowiedziałyby pomyłkę. A wtedy droga byłaby już zbyt wąska, żeby zawrócić rolls-royce'a.

- No i co?

- Tak sobie właśnie myślę. Porucznik z Palm Springs powiedział, że początkowo wszyscy sądzili, że to wypadek. Teraz rozumiem, dlaczego.

- Posłuchaj, Sidney. Wiemy już, że chłopak Watsona był prawdopodobnie biseksem. Jeśli ubrdałeś sobie, że młody Watson wybrał się tu z jakimś swoim, kochasiem, to pamiętaj, że ta teoria ma dwa słabe punkty. Po pierwsze, chłopak był sam w rollsie, kiedy auto spadło na dno kanionu. Po drugie, miał kulkę w głowie.

- Zastanawiałem się, czy morderca nie mógł zastrzelić chłopaka i potem wieźć zwłoki do jednej z tych rud na szczycie kanionu i spaść po drodze... Nie, to nie ma sensu... Zapomniałem, że chłopak był przypięty pasami do siedzenia kierowcy. Cholera jasna! Nic się nie składa do kupy!

- Jest tylko jedno wyjaśnienie. Chłopaka zastrzelono, przywieziono tu, przypięto pasami do siedzenia, po czym podpalono samochód i zepchnięto na dno wąwozu. Kropka.

- Ale przecież jest masa innych, znacznie lepszych miejsc, gdzie można porzucić samochód ze zwłokami w środku. I mniej ryzykownych sposobów, niż manewrowanie potężnym rollsem na wąskiej, piaszczystej drodze. Nie mogę znaleźć w tym logiki.

- Jedźmy do „11-99” i zjedźmy jakiś kawał tłuszczu - zaproponował Otto. - Parę drinków też nam nie zaszkodzi.

Sidney Blackpool wpatrywał się w czarną ścianę kanionu przysłuchując się głosom nocnych ptaków, owadów i ujadaniu młodego kojota oraz dominującemu nad wszystkim szumowi pustynnego wiatru.

- Morderstwo powinno mieć jakiś sens, nawet wtedy, gdy popełnione zostało przez czubka - powiedział.

- Nie każdy skutek ma swoją przyczynę - zauważył sentencjonalnie Otto. - Życie to jak gra w kości.

- Partnerze - powiedział Sidney Blackpool - musisz wierzyć w istnienie związków przyczynowo-skutkowych, bo inaczej nigdy nie rozwiążesz zagadki morderstwa.

- Sidney, ja wiem, że stary spec od zabójstw jak ty, posiada swego rodzaju instynkt. Tak jak te zwierzęta na pustyni; Ale jeśli mnie wkrótce nie nakarmisz, to będę drugą ofiarą, która dokona żywota w Kanionie Solitaire.

- Chodźmy nażreć się tłuszczu - powiedział Sidney Blackpool.

Mniej więcej w tym samym czasie, Frank Figlarz patrolował przedmieścia Mineral Springs, nudząc się śmiertelnie. Jego partnerem był Maynard Rivas, z którym Frank nie potrafił znaleźć wspólnego języka.

- Jestem przygnębiony, Maynard - rzekł. - A co byś powiedział na to, gdybyśmy zajechali pod zakład dezynsekcyjny i podwędzili tę wielką figurę karalucha. Moglibyśmy zawlec ją do hotelu w Mineral Springs i tam zawołać pokojówkę mówiąc: „Proszę natychmiast przyjść! Zdaje się, że w naszym pokoju jest ogromny karaluch!”

- Paco powiedział, że ma już dość tych kawałów. Wydaje mi się, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Ale ja jestem przygnębiony! - utyskiwał Frank Figlarz.

Wielki Indianin prowadził samochód główną ulicą Mineral Springs patrząc na Bobrowego Ogona Bigelowa, który zataczając się, sunął w kierunku „11-99”.

- To dobrze, że Bobrowy Ogon już nie jeździ samochodem - powiedział Maynard Rivas.

Właśnie wtedy minął ich wóz O. A. Jonesa, który jechał w stronę posterunku po odtransportowaniu pijanego kierowcy do aresztu okręgowego w Indio. Pędził na złamanie karku, żeby zdążyć do „11-99” zanim pierwsza fala manicurzystek i kelnerek opuści bar podążając na obiad.

- Patrzcie go! - powiedział Indianin. - Mistrz kierownicy wali do domku. Jedyne, co może go powstrzymać, to jakiś wysoki krawężnik.

- Jestem przygnębiony - powiedział znowu Frank Figlarz. - A może byśmy pożyczili katamaran J. Edgara, co? Moglibyśmy podnieść żagle i zaholować go do hotelowego basenu. Potem poszlibyśmy do J. Edgara i powiedzieli...

- Ten numer z oposem chyba wystarczy jak na jeden wieczór - powiedział Maynard Rivas. - Będziemy mieli szczęście jak nam się za to nie oberwie.

- Och, to było warte tego ryzyka - rzekł Frank Figlarz.

Miał na myśli wcześniejsze wezwanie do Bezkrwawej Alei, gdzie jedna z podstawnych babek dostała niemal bzika, bo do przyczepy, w której mieszkała, dostał się opos. Rzuciła się do drzwi jak tylko spostrzegła zwierzę. Jednak jej kot nie zdołał w porę zbiec. Kiedy gliniarze zajęchali na miejsce, we wnętrzu przyczepy umilkło już przeraźliwe miauczenie kota i syczenie oposa.

- Panowie - szlochała kobieta - Millie jest w środku. Ten opos ją pewnie pożarł!
- Kto to jest Millie? - zapytał Frank Figlarz.
- Moja kotka.

Frank Figlarz i Maynard Rivas wyciągnęli policyjne pałki, wiedząc, że opos potrafi być niezwykle agresywny, kiedy znajdzie się w potrzasku. Obaj pracowali na pustyni dostatecznie długo, by nie dać się zwieść fortelom tego sprytnego zwierzęcia. Czasami zdarzało się, że opos kładł się na grzbiecie udając martwego, nie mrugając okiem jak sierżant Coy Brickman, by w następnej sekundzie podskoczyć jak oparzony i ruszyć do ataku. Obaj policjanci trzymali więc pałki w pogotowiu.

Frank Figlarz zakradł się do sypialni przyczepy, skąd dochodziły dziwne odgłosy. Frank nigdy nie słyszał oposa pożerającego kota. Miauczenie i posapywanie stało się

bardziej regularne. Ostrożnie wszedł głębiej dając znak Maynardowi, aby nie ruszał się z miejsca. Zajrzał za łóżko i tam zobaczył oba zwierzęta w świetle swojej latarki. Zobaczył to samo, co już nie raz zdarzało mu się widzieć w czasie policyjnej kariery.

Opos przyciskał kotkę do ściany i „posuwał” ją ile sił. Prawdę powiedziawszy, Frank Figlarz nie widział takiego numeru od czasu, kiedy Johnny Holmes przestał zajmować się robieniem filmów porno. Wyłączył światło, obrócił się i wyszedł.

- Proszę po prostu zostawić drzwi otwarte i zaczekać chwilkę - zwrócił się do roztrzęsionej kobiety. - Za minutkę powinni skończyć. Oczywiście, mogą mieć potem ochotę na papierosa.

Kiedy gliniarz poinformował ją, co odchodzi we wnętrzu przyczepy, ta wściekła się i powiedziała, że nie podoba jej się jego stosunek do tej tragedii. Zagroziła, że z rana zadzwoni do Paco Pedrozy ze skargą na nieetyczne zachowanie funkcjonariuszy.

Już po wszystkim, Maynard Rivas zapytał Franka Figlarza, czy musiał wyskoczyć z dowcipem o papierosach.

- Maynard, jak mam okazję puścić dobry tekst, to nie mogę jej zmarnować.

- Taki z ciebie Johny Carson? - powiedział wielki Indianin. - Nie chcę słuchać kolejnego kazania z ust Paco. Ostatnio, po tym jak w szatni wyciąłeś numer z plastikowym kutasem, myślałem, że dostanie szau.

- Och, przecież to był świetny dowcip. Sam widziałeś ten głupi śmiech Stevie'go Wondera na twarzy Chestera Ciuchci, kiedy trzymał w ręku tego plastikowego potwora i udawał, że śpiewa.

- No tak, ale nie powinieneś być tam wysyłać Anemicznej Annie. Biedna stara dupa. Czego to ona musi przy nas doświadczać!

- Oj, dobrze już, dobrze - powiedział Frank Figlarz ugodowym tonem. - Wiesz co? Wpadniemy do Drżącego Jima i zrobimy mu tylko jeden, malutki dowcip, a wtedy będę uważał ten dzień za udany, no i może pójde spać albo coś w tym stylu.

- Okay - zgodził się Maynard Rivas mocniej naciskając pedał gazu i zawracając w stronę przedmieść Mineral Springs.

W korytarzu powietrznym utworzonym przez wzgórze znajdowało się kilka domów nie osłoniętych drzewami eukaliptusowymi. Ich mieszkańcy, którzy płacili bardzo niskie czynsze, zazwyczaj wyprowadzali się gdzie indziej, przeżywszy w targanych wiatrem domach jedną zimę. Wyjątkiem był Drżący Jim. Zależało mu na tym, by żyć za miastem, lecz strasznie bał się handlarzy narkotykami, którzy mieszkali w pustynnych kanionach. Starał się nie zwracać uwagi na huraganowe wiatry, ale wciąż lękał się, że pewnego dnia wichura może unieść go w powietrze wraz z jego nędznym schronieniem, jak to zdarzyło się Dorotce i jej pieskowi, Toto, w bajce o czarodzieju z krainy Oz.

Drżący Jim miał wiele lęków. Bał się, że jeśli jeszcze raz policja przytknie go za handel marihuaną, to firma ubezpieczeniowa przestanie wypłacać mu emeryturę. Wiedząc o tym, Frank Figlarz często przejeżdżał koło domu Drżącego Jima po to tylko, by nagle z piskiem opon zatrzymać radiowóz na podjeździe. Potem wyskakiwał z samochodu i trzaskał wszystkimi drzwiami wozu, robiąc przy tym masę hałasu, stwarzając wrażenie, że oto odbywa się największy nalot gliniarzy z Wydziału Narkotyków od czasu francuskiego łącznika. Oczywiście, Drżący Jim zawsze pędził wtedy do łazienki i spuszczał z wodą cały swój towar - często wartości około pięciuset dolców, gdyż tylko na tyle mógł sobie pozwolić - zapychając przy tym rury kanalizacyjne. Miejscowy hydraulik wprost uwielbiał Franka Figlarza, gdyż dzięki niemu nie narzekał na brak zająć od czasu, gdy sprowadził się do Mineral Springs.

Frank Figlarz i Maynard Rivas zajmowali się straszeniem Drżącego Jima, kiedy Sidney Blackpool i Otto Stringer właśnie tamtędy przejeżdżali. Ze zdziwieniem patrzyli na radiowóz z Mineral Springs, który wykonał gwałtowny skręt, po czym zahamował gwałtownie pod samotnie stojącym domem. Zobaczyli jak z wozu wyskakują dwaj policjanci i trzaskają drzwiczkami samochodu wykrzykując komendy różnymi głosami i w różnych językach.

- Ręce do góry! - krzyczał Frank Figlarz.
- Mas arriba! - wtórował mu Maynard.
- Dung lai! - wydzierał się Frank, przypomniawszy sobie czasy wojny wietnamskiej.

I tak dalej.

Wykrzykiwali wszystko, co tylko przyszło im do głowy, by po chwili wsiąść do samochodu z zamiarem powrotu do Mineral Springs. Właśnie wtedy Sidney Blackpool wysiadł z toyoty i zatrzymał ich gestem ręki.

- Mamy pilne wezwanie! - powiedział Frank Figlarz, sądząc że ma do czynienia z turystami chcącymi zapytać o drogę. - Spieszmy się!

- Blackpool i Stringer z Wydziału Policji w Los Angeles - detektyw pokazał swoją odznakę.

- Ach tak - powiedział Frank Figlarz, a Maynard Rivas wyłączył silnik radiowozu. — Byliście wtedy w „11-99”. Mówiono nam o was;

Gdy Frank Figlarz starał się zaspokoić ciekawość detektywów z Los Angeles na temat obserwowanego przez nich zdarzenia.

Drżący Jim, trzęsąc się, wyszedł na próg swego domu z wysoko uniesionymi rękami. Był boso, ubrany w stare spodnie i przepoconą podkoszulkę i cały się trząsł ze strachu lub zdenerwowania. Jego dłonie były zielone od przerabianej marihuany.

Był młodszy od Mariana Penroda, ale niewiele. Palił papierosa, a właściwie papieros zwiślał mu z kącika drżących ust.

- Już tego nie zniosę! - krzyknął. - Wyprowadzam się! Naprawdę już więcej tego nie zniosę!

- Nie przejmujcie się - powiedział Frank Figlarz. - Drżący Jim czasami odstawia prawdziwe przedstawienie.

- Rezygnuję! - darł się Drżący Jim. - Przeprowadzam się do Sun City. A może byście wreszcie zajęli się interesami Billy'ego Hightowera? Nie będziecie już mogli sobie robić ze mnie żartów.

Drżący Jim stał w progu w dramatycznej pozie, jak gdyby znajdował się na scenie w świetle jupiterów, podczas gdy detektywi przyglądali mu się z rosnącym zaciekawieniem.

- Może jednak posunęliście się trochę za daleko - zauważył Otto.

- Ten facet gada jak Richard Nixon.

- Kto to jest Billy Hightower? - zapytał Sidney Blackpool.

- Mieszka w Kanionie Solitaire. To szef gangu motocyklowego, którego członkowie zajmują się produkcją i handlem amfetaminą. Poza tym ujeżdżają swoje motocykle po pustynnych bezdrożach.

- Dlaczego nigdy nie wsadzicie Billy'ego? - jęczał Drżący Jim. - On w tygodniu obraca taką ilością towaru, jaką ja przerabiam w ciągu roku. Zostawiacie go w spokoju, bo był jednym z was!

- Co on bredzi? - zapytał Otto.

- Billy Hightower to ex-glina - wyjaśnił Maynard Rivas. - Z oddziału szeryfa z San Bernardino. Wywalili go, bo na jakimś policyjnym przyjęciu pobił swojego przełożonego. Billy jest weteranem wojny wietnamskiej, tak jak większość członków gangu. Handluje „kryształem”. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś z tych oberwańców zabrał się za coś poważniejszego. „Kryształ” to narkotyk dla ubogich.

- Mylicie się! - wykrzyknął Drżący Jim, zbliżając się do stojących obok samochodu policjantów, wciąż z uniesionymi rękami. - Billy Hightower sprzedaje masę towaru bogatym dzieciakom z Palm Springs. Nigdy go nie wsadzicie, bo jest jednym z was!

- Wracaj do łóżka, Jim - powiedział Frank Figlarz. - Tym pieprzeniem psujesz mi całą zabawę.

Podczas gdy Drżący Jim, trzęsąc się, zawrócił do domu, Sidney Blackpool spojrział w kierunku migocących w mroku świątełek - oświetlonych okien w ruderach na płaskowyżu.

- Sądzą, że on to sobie wymyślił? To znaczy, historyjkę o tym, że Billy sprzedaje towar dzieciakom z Palm Springs?

- Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział Maynard Rivas - ale nie wiadomo czego się jeszcze można spodziewać po Billym. Ma klasę, w odróżnieniu od tych oberwańców, którym przewodzi.

- Były gliniarz szefem gangu motocyklowego? - zdziwił się Otto.

- Właśnie za to go uwielbiają - powiedział Frank Figlarz. - Zna się na policyjnej robocie. Poza tym jest silny jak tur. Ten czarnuch mógłby gołymi rękami załatwić dwóch facetów jednocześnie. Ma wielu wyznawców, i to nie tylko wśród Murzynów.

- Bywa czasami w mieście? - zapytał Sidney Blackpool.

- Prawie co wieczór - powiedział Maynard Rivas. - Pamiętacie takiego faceta w skórzanej kurtce z wizerunkiem kobry na plecach. To ich znak. Ten sukinsyn o groźnym wyglądzie, który siedział przy stoliku w kącie baru, to był Billy Hightower.

- Przychodzi chlać do policyjnej knajpy?

- Zadaje szpanu - powiedział Maynard Rivas - a może tylko wpada na przespiergi. W każdym razie zachowuje się przyzwoicie i nikomu nie wchodzi w drogę. Oczywiście, nigdy nie dosiadamy się do jego stolika ani nie stawiamy mu. Wyjątkiem był Harry Bright. Zawsze stawał mu jednego. Widać miał słabość do Billy'ego, a może po prostu znał go lepiej niż my. W każdym razie to już przeszłość. Harry miał wylew. Już nie przychodzi do „11-99”.

- Słyszeliśmy - powiedział Sidney Blackpool. - Tam, w Kanionie Solitaire, po prawej stronie jest taka kępa drzew o poskręcanych gałęziach. Zaraz za rozwidleniem dróg. Czy to tam znaleziono samochód Watsona?

- To drzewa tamaryszkowe - powiedział Maynard Rivas. - Stare, cholerne drzewa. Tak, właśnie tam znaleziono rollsa ze zwłokami Watsona.

- Widzieliśmy niedawno jakiegoś motocyklistę, który wyraźnie węszył w tamtej okolicy - powiedział Otto Stringer.

- Może chciał się pozbyć śmieci? - powiedział Maynard Rivas.

- W tych wąwozach leży pełno strzykawek, a nie sądzę, żeby mieszkał tam choć jeden cukrzyk.

- W tych kanionach nocą jest potwornie ciemno - ostrzegł Frank Figlarz. - Znałem jednego miejscowego gline, który śmiertelnie postrzelił swój własny samochód ścigając włamywacza. To przecież niemal samobójstwo.

- Musimy lecieć - powiedział Maynard Rivas. - Lepiej trzymajcie się w nocy z daleka od pustyni, bo inaczej ta piękna toyota będzie miała więcej dziur w karoserii, niż Kirk Douglas ma dziobów na twarzy.

ROZDZIAŁ XII

Wyjęty spod prawa

Na posterunku policji w Mineral Springs pracowały dwie kobiety, ale tylko jedna z nich była zaprzysiężoną funkcjonariuszką. Ruth Kosko, jedyny detektyw w spódnicy, znana jako Ruth Wielki Śledczy. Drugą była sekretarka Paco Pedrozy, Annie Paskiewicz, którą powszechnie nazywano Anemiczną Annie. Brało się to jeszcze z czasów, kiedy pracowała w laboratorium kryminalistycznym w San Diego, gdzie zajmowała się między innymi pobieraniem próbek krwi od aresztowanych, podejrzanych o to, że są pod wpływem narkotyków.

Takich ludzi jak Anemiczna Annie można spotkać w każdym laboratorium kryminalistycznym i w każdym zakładzie patologii. Annie była biała niezależnie od pory roku: miała cerę tak niemal białą jak albinos. Zrządzeniem losu pracowała w laboratorium analitycznym, gdzie miała wiele do czynienia z krwią, podczas gdy wydawało się, że prawie pozbawiona jest swojej własnej. Anemiczna Annie zawsze nosiła wygodne, lecz niemodne obuwie: chodząc biedaczka szurała i stukała niczym Boris Karloff. Była kolejnym przykładem nieudacznika, których wielu pracowało w policji z nadzieją na spokojne doczekanie emerytury. Annie zrezygnowała z pracy w San Diego i przeprowadziła się do Mineral Springs z powodu zszarganych nerwów. Stała się tak nerwowa, że nie potrafiła nawet poprawnie wbić igły od strzykawki w ramię pacjenta.

Kiedyś zdarzyło się, że przyprowadzono do laboratorium ćpuna na badanie krwi. Annie ustanowiła wtedy rekord godny Księgi Guinnessa w ilości prób wbicia igły. Dwadzieścia sześć razy podejmowała się znalezienia żyły, lecz bez powodzenia. Naćpany oberwaniec darł się, że Annie zrobiła mu więcej dziur niż Trzej Muszkieterowie w czasie całej swojej kariery, więc gliniarze od narkotyków, którzy go aresztowali, w końcu puścili faceta wolno.

Od tamtej pory zaczęto rozpowszechniać pogłoski o tym, że Annie zawsze nosi przy sobie strzykawkę. Na wszelki wypadek. Mówiono, że podczas owych nieudanych prób Annie wyszała nieszczęsnemu pacjentowi szpik kostny. Gliniarze twierdzili, że

Annie po prostu musi pracować na nocnej zmianie. Powiadano złośliwie, że dziewczyna sypia w pudle z pokrywą, a osoby posiadający krew grupy AB, która jest jej ulubioną, nie powinny obnażać przy niej szyi, bowiem grozi to tragicznymi konsekwencjami.

W końcu miała tego dość i zadzwoniła do sierżanta, którego знаła jeszcze z San Diego, i o którym wiedziała, że pracuje w małym posterunku w Dolinie Coachella. Zaaranżowano rozmowę kwalifikacyjną, podczas której sierżant Harry Bright zapewnił Paco Pedrozę, że nie znajdzie bardziej ofiarnie pracującej kobiety niż Annie.

Tak więc Anemiczna Annie zamieniła pełen orchidei ogródek z San Diego na kaktusowy ogród w Mineral Springs. Wkrótce odkryła, że jeśli będzie nosić duży słomkowy kapelusz i długie spodnice, to jej blada cera całkiem dobrze zniesie pustynne upały. Była szczęśliwsza niż wtedy, gdy pracowała przy upuszczaniu krwi w San Diego.

Tego wieczoru, kiedy Sidney Blackpool i Otto Stringer przeżywali mrozące krew w żyłach przygody na pustyni, Anemiczna Annie i Ruth Wielki Śledczy siedziały w barze „Mirage Saloon”. Nie miały ochoty na popijanie w „Klubie 11-99” ze względu na panującą tam męsko-szowinistyczną atmosferę. Jednak obie doskonale wiedziały, że jeśli pragną znaleźć jakiegoś młodego, postawnego gliniarza to, niestety, muszą ścierpieć nocne przesiadywanie w policyjnej knajpie.

Ruth Wielki Śledczy była nerwowa, bo choć od dwóch lat pracowała na etacie inspektora śledczego, to jeszcze nie zdarzyło jej się rozwikłać żadnej zagadki „tajemniczego” morderstwa. Oczywiście w ciągu ostatnich dwóch lat nie zdarzyło się w Mineral Springs żadne tajemnicze morderstwo, pomijając sprawę Watsona, która nie podlegała miejscowej jurysdykcji. Niemniej Ruth była niepoczyszona i nawet whisky nie potrafiła ukoić jej żalu.

Powiedziała do Anemicznej Annie:

- Założę się, że do tej pory zrobiłabym coś w sprawie Watsona. Pomimo że ciało znaleziono w naszym mieście, to nikt z Palm Springs nawet nie zaproponował mi udziału w śledztwie. A teraz pojawia się dwóch bubków z Hollywood i ci też nic ode mnie nie chcą.

- Szkoda, że Geraldine Ferraro przepadła w wyborach - westchnęła Anemiczna Annie. - Wtedy musieliby nas traktować inaczej, sukinsyny.

Obie wiedziały, że lepiej nie gadać o tym wtedy, kiedy zapuszcza się do „11-99” w poszukiwaniu jakiegoś faceta na noc. Ruth była młodą kobietą o okrągłych kształtach,

dzięki czemu stanowiła łąkowy kąsek dla Karła, Olega Gridleya, który siedział z posępną miną, z brodą na kontuarze, przy drugim końcu baru. Biedny karzeł rozkulił się nad sobą, wiedząc, że nie ma szans u Portii Cassidy.

- Jedynym porządnym facetem wśród tej całej szowinistycznej bandy był Harry Bright - ubolewała Ruth. - Pewnie przyślą na jego miejsce jakiegoś drugiego Franka Figlarza albo kogoś w tym stylu.

- Och, wbiłabym igłę w pieprzone ramię Franka Figlarza i wyssała jego krew do ostatniej kropli - powiedziała Anemiczna Annie nad trzecią szklanką koktajlu, zmuszając Ruth do myślenia nad prawdziwością pogłosek o wampirycznych skłonnościach koleżanki.

- Też bym coś wbił między nogi Portii Cassidy, żeby tylko ją uszczęśliwić! - wykrzyknął bełkotliwie z drugiego końca baru Oleg Gridley.

- Jak na takiego kurdupla to masz wielgachne uszy - powiedziała Ruth. - Cholera, nawet tu nie można mieć chwili spokoju.

- Wydaje wam się, że faceci was źle traktują? - jęczał Oleg, bliski płaczu. - Tak się dzieje, bo są od was więksi. A co ja mam powiedzieć? Wszyscy są ode mnie więksi. Twój lewy cycek jest większy od mojego tyłka!

- Przestań pieprzyć brudne kawałki, Oleg - radziła Ruth, niemal tak samo bełkotliwie jak karzeł. - Zawsze jak się uchlejesz to wygadujesz takie świństwa. To dlatego Portia Cassidy nie może cię ścierpieć.

- Nie rozumiem kobiecego podejścia do seksu - zawodził Oleg. - Byłbym gotów zrobić dla nich wszystko, a one nie odwzajemniają mojej miłości!

- To pozbadź się swojej obrzydliwej kolekcji wibratorów i tym podobnych bezeceństw, którymi się ciągle przechwalasz - powiedziała Anemiczna Annie.

- Zrobiłbym prawie wszystko - powiedział Oleg Gridley. - Jednak nie żądajcie, żebym się pozbył drewnianego pasa cnoty. To prawdziwy antyk!

- Poczekaj, może coś wymyślę - powiedziała Ruth Wielki Śledczy. Wyjęła notes i zapisała coś z poważnym wyrazem twarzy. - To proste, Oleg. Pomogę ci dobrać się do Portii Cassidy.

- Naprawdę?! - wykrzyknął karzeł. - Och, byłbym taki szczęśliwy! Zrobiłbym dla ciebie wszystko! Mógłbym nawet zaprosić cię do mojego łóżeczka i pokazać nadmuchiwane kutas o rozmiarze...

- Przestań, Oleg! - warknęła Ruth. - To twój problem, ty świński gnojku!
- Okay, okay, przepraszam. Powiedz, co możesz dla mnie zrobić?
- Wygląda na to, że masz do dyspozycji tylko jeden atut.
- Masz na myśli mój sklep z częściami samochodowymi? W zeszłym roku zarobiłem pięćdziesiąt tysięcy.
- No, dobra, masz dwa atuty. Jesteś bogaty i wyglądasz słodko.
- Naprawdę?
- No pewnie. Jesteś całkiem w porządku, Oleg - dodała Anemiczna Annie równie bełkotliwie jak Ruth.
- O, rany! Annie, ciupciam tylko duże dziewczyny - usprawiedliwiał się Oleg - ale kto wie, może dla ciebie zrobię wyjątek. Umiesz zarzucić nogi za uszy?
- Zamknij jadaczkę, ty zbereźniku! - wtrąciła się Ruth spoglądając za kontuar na dziwne ukulele o ośmiu strunach, które barman, Ruben, postawił obok kasy. - Mam plan. To ukulele podsunęło mi pewien pomysł.
- Jaki pomysł, Ruth?! - wykrzyknął Oleg. - Przestań mnie dręczyć domysłami!
- Zrobimy coś, co zjedna ci sympatię Portii. Jakie ciuchy masz w domu? Annie, pomożesz nam? Musimy pożyczyć perukę z salonu fryzjerskiego Edny zanim zdąży zamknąć. Zmienimy Olega w kogoś, komu Portia nie będzie w stanie się oprzeć.
- Naprawdę? - zapiszczał uradowany karzeł.

I chociaż Ruth Wielki Śledczy nie miała o tym zielonego pojęcia, poczyniła tym sposobem duży krok w kierunku rozwiązania zagadki morderstwa Jacka Watsona, co przecież było jej ambicją.

Gdy Sidney Blackpool i Otto Stringer dotarli do „Klubu 11-99”, ze środka dochodził niesłychany gwar.

- Pewnie dziś dzień wypłaty - zauważył Otto. - Może będziemy mieli szczęście i okaże się, że J. Edgarowi zabrakło chili.

Kiedy weszli, usłyszeli jak Gacek Bates, trzymając w dłoni już trzecią szklanekę koktajlu, skarżył się na jakąś kobietę, która zagroziła, że poda go do sądu.

- Powiedziała, że zażąda osiemdziesięciu milionów odszkodowania! - darł się Gacek. - Bo postrzeliłem jej psa w łapę! Kiedy rzucił się na mnie, to nawet nie zauważyłem, że ta bestia jest na łańcuchu. Miałem przed oczami tylko jego kły i wiedziałem,

iz muszę natychmiast coś zrobić, bo inaczej mnie pożre!

- Znam tę babę - powiedział Nathan Hale Wilson. - To jedna z tych postrzelonych działaczek Frontu Wyzwolenia Zwierząt. Kiedyś przyprowadziła na posterunek jakiegoś kundla z ulicy i zapytała co ma z nim zrobić. Powiedziałem, żeby go przepuściła przez maszynkę do mielenia mięsa i nakarmiła nim inne psy. Też mnie chciała podać do sądu! Wariatka!

- Do czego to doszło! - zauważył J. Edgar Gomez. - Za każdym razem kiedy jakiś gliniarz mocniej zaciśnie kajdanki na łapach przestępcy, ten zjawia się w sądzie w ortopedycznym kołnierzu, z zaświadczeniem o obdukcji i w towarzystwie dobrego prawnika.

- Nie zarabiamy na tyle dużo, żeby jeszcze znosić to stałe ciągnięcie po sądach - wtrącił Maynard Rivas. - Gdybym tylko pochodził z innego plemienia, to zaraz zostawiłbym to policyjne szambo. Gdybym był Agua Caliente, to jeździłbym ferrari zamiast pięcioletnim fordem z przekładnią, która wyje głośniejsz niż John McEnroe.

- Nie cierpię takiego pieprzenia! - ryknął Bobrowy Ogon Bigelow ze swojego miejsca przy szafie grającej. Gliniarze rzucili mu gniewne spojrzenia.

- Ale praca w policji ma tę zaletę, że zapewnia stały dochód - powiedział O.A. Jones, co wkurzyło tych wszystkich, którzy narzekali. - Znam jednego glinę z Orange County, który zrezygnował z roboty, bo wymyślił sobie, że zostanie gwiazdą filmową, a teraz nie zarabia nawet pięciuset dolarów rocznie. Skończy bez grosza przy dupie w domu dla emerytowanych aktorów, gdzie będzie mógł jedynie wyć ze zgrzyoty jak Johnny Weismuller.

- Słyszeliście o Selmie Mobley, tej dupiastej policjantce z Palm Springs? - zapytał Nathan Hale Wilson. - Wychodzi za mąż za porucznika.

- Po prostu uwielbiam gliniarskie wesela - powiedział Frank Figlarz. - Są bezpieczne jak łaźnie w San Francisco.

- Powinni im odebrać broń służbową, żeby nie mogli jej użyć w rodzinnej sprzeczce - powiedział O.A. Jones.

- No, przecież oboje są glinami - wtrącił Pegaz, pilot śmigłowca patrolowego. - Powinni się dogadać.

- Takie z nich gliny jak z Flipa i Flapa aktorzy dramatyczni- dodał Daktyl Hoffman, spec od daktyloskopii. Sidney Blackpool rozejrzał się po sali w poszukiwaniu czarnej twarzy, ale jedynym Murzynem jakiego zauważył w pierwszej chwili był Chester Ciuchcia, który zawracał głowę jakiejś cizi z sanatorium w Rancho Mirage.

Dziewczyna, która była masażystką-fizjoterapeutką, nie przejmowała się utyskiwaniem Chestera Ciuchci na swoją żonę.

- Jak ją poznałeś? - zapytała.

- Zatańczyłem z nią parę razy na party u kumpla - jęczał Chester - i to był mój cholerny błąd!

- A teraz co, zamierzasz ją rzucić?

- Nie mogę! - zawołał Chester. - Spodziewa się dziecka za trzy miesiące!

- Naprawdę kochanie? - powiedziała dziewczyna. - Twojego dziecka?

Mając nadzieję, że uda mu się skorzystać z okazji i podebrać dziewczynę Chesterowi, Frank Figlarz dosiadł się z drugiej strony i szeptnął jej do ucha:

- Kochanie, masz ciało, jakiego mogłaby ci pozazdrościć każda osiemnastolatka.

- Taaak? - powiedziała nadąsana masażystka. - To przyślij mi osiemnastoletniego faceta, a chętnie użyczę mu tego ciała.

- Jesteś podniecająca jak sen onanisty - syknął Frank i zrezygnował z kontynuowania zalotów.

Nagle J. Edgar Gomez, zauważywszy, że w innej części baru zanoszą się na jakąś bójkę.

- Komu następną kolejkę? Przez następne piętnaście minut wszystkie drinki o dziesięć procent tańsze!

Wywołało to falę entuzjastycznych okrzyków. J. Edgar doskonale wiedział, co należy zrobić, kiedy goście stają się zbyt wojowniczy. Sidney Blackpool zaczął ponownie rozglądać się w poszukiwaniu barczystego Murzyna. Po chwili ujrzał go siedzącego w innej części baru, nie zajmowanej przez policjantów. Siedział o dwa stoliki od Bobrowego Ogonu. Był sam. Szef miejscowego gangu Cobra, Billy Hightower.

Sidney Blackpool i Otto Stringer zamówili coś do picia i talerz osławionego chili, w którym tym razem nie pływało żadne żywe stworzenie. Mimo że opodal kontuaru był wolny stolik, zdecydowali się pójść w drugi koniec baru, gdzie przy szklaneczce wódki siedział Hightower, obserwując rozbawione towarzystwo.

- Możemy się przysiąść? - zapytał Sidney Blackpool.

Billy Hightower zmierzył ich wzrokiem, po czym znacząco spojrział w kierunku wolnego stolika przy kontuarze.

- Nazywam się Blackpool, a to jest Stringer. Jesteśmy detektywami z Hollywood, Wydział Policji z Los Angeles.

To wystarczyło, żeby zaciekawić Billy'ego, który skinął głową w stronę pustych krzeseł. Usiedli. Otto zaczął grzebać łyżką w chili w poszukiwaniu martwych owadów.

- Mogę ci postawić drinka? - zaproponował Sidney Blackpool.

- Mam co pić - odparł Billy Hightower.

- Pracujemy nad sprawą morderstwa Jacka Watsona - powiedział Sidney, popijając whisky. - Tego chłopaka z Palm Springs, którego znaleziono martwego w rolls-royse.

- To jakby nie wasz rewir? - zauważył Billy Hightower, obracając w rękę szklanczkę z wódką. Z bliska wyglądał jak ktoś, kto nie stroni od używek i Sidney Blackpool z trudnością powstrzymał się od odruchowego spojrzenia na potężne ręce Billy'ego w poszukiwaniu śladów od ukłuc igrły.

- Z naszych informacji wynika, że młody Watson prawdopodobnie był w Hollywood tego dnia, kiedy go zabito - powiedział Sidney Blackpool. - Dlatego tu jesteśmy.

Billy Hightower przerzucał wzrok z jednego detektywa na drugiego, po czym spojrział na zawartość talerza Ottona.

- Może nie jesteśmy w Hollywood, ale to chili wcale nie jest takie złe - powiedział.

- Hollywood też nie jest już tym, czym było kiedyś - Otto wzruszył ramionami i skosztował odrobinę. Naprawdę nie było złe.

- Słyszeliśmy, że pracowałeś w policji - powiedział Sidney. - W oddziale szeryfa z San Bernardino, prawda?

- Aha - potwierdził Billy.

- Słyszeliśmy też, że służyłeś w Wietnamie - ciągnął Sidney.

- Służyłem ojczyźnie na wiele sposobów - rzekł Billy Hightower. - Jesteście z komitetu organizacyjnego uroczystości na moją cześć, czy co?

- Pytaliśmy o ciebie, bo być może natrafiliśmy na mały ślad w sprawie Watsona.

Billy Hightower obserwował jak Sidney Blackpool wsuwa rękę do kieszeni. Patrzył tak, jak zawsze to robią policjanci, a już na pewno handlarze amfetaminą w towarzystwie policjantów. Napiął mięśnie, lecz rozluźnił je z chwilą, gdy zdał sobie sprawę, że nie należy spodziewać się zagrożenia.

- Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ten chłopak zjawił się w waszym kantonie po narkotyki — powiedział Sidney Blackpool podsuwając Billy'emu fotografię.

Szef gangu sięgnął po nią i podniósł bliżej mdłego światła kinkietu. Po chwili zapalił zapalkę, żeby dokładniej przyjrzeć się zdjęciu.

- A więc moja informacja na coś się przydała - powiedział.
- Twoja informacja? - zapytał Otto z ustami pełnymi fasoli.
- No. To jest ten chłopak, w sprawie którego dzwoniłem na posterunek.
- Watson? - powiedział Sidney Blackpool wskazując postać na fotografii.
- Nie. Jego zdjęcie było w gazetach. Ten drugi. O, ten - Billy pokazał grubym, pokrytym bliznami palcem Terry'ego Kinsale'a.
- Zaraz, zaraz, chyba nie kapuję - przyznał Sidney.
- Pewnie dostaliście to zdjęcie od glin z Palm Springs?
- Nie - odparł Sidney Blackpool. - To jest trop, który odkryliśmy sami, niezależnie od tych z Palm Springs.

- Cholera jasna! - wyszeptał Billy Hightower. - Co jest, do diabła!? Powiedziałem im o tym dupku w trzy dni po tym jak znaleźli ciało. Natychmiast jak dowiedziałem się z gazet, że stary Watson wyznaczył pięćdziesiąt patyków nagrody! Jeśli to jest facet, który załatwił młodego Watsona, to nagroda powinna być moja. Cholera!

Sidney Blackpool poczuł, że serce podskakuje mu do gardła. Nawet Otto zastygł z tyżką w dłoni w pół drogi do ust.

- Jeśli nam pomożesz i rzeczywiście okaże się, że ten chłopak jest tym, którego szukamy, to masz dużą szansę na nagrodę Watsona - powiedział Sidney Blackpool.

- Musisz mi dać na to słowo, chłopcze.

- Masz je. Możesz to mieć na piśmie, jeśli ci na tym zależy.

- Czy to wasza toyota stała dziś wieczorem w wąwozie? - zapytał Billy.

- Tak.

- Dobra. Przyjedźcie dokładnie w to samo miejsce za pół godziny - powiedział Billy Hightower. - Przyślę kogoś, kto wam wskaże drogę do mojego domu. Będziemy gadać na moim terenie, nie waszym.

- Okay - zgodził się Sidney Blackpool.

- Ta forsa jest moja - powiedział Billy Hightower. - Rozumiecie?

Kiedy wstał, wydał się jeszcze potężniejszy niż poprzednio.

Wystarczyło mu sześć wielkich kroków żeby pokonać drogę do wyjścia i to jeszcze zanim Otto zdążył przełknąć ostatnią tyżkę fasoli.

- Będziemy musieli tam wrócić - powiedział Sidney do swojego partnera, który milcząco pokiwał głową.

Nie zauważyli, kiedy do baru weszła Anemiczna Annie w towarzystwie Ruth Wielkiego Śledczego, która podeszła do szafy grającej i nastawiła singel z lat pięćdziesiątych - jeden z tych, które były dość stare, żeby podobać się J. Edgarowi. Ledwie płyta zaczęła się obracać, Ruth podniosła do ust policyjny megafon i ryknęła ochryplym głosem:

- Panie i panowie oraz wszyscy pozostali! „Klub 11-99” ma zaszczyt zaprezentować wam jednego i niepowtarzalnego artystę - Elfisa!

Gdy rozległy się pierwsze dźwięki piosenki Elvisa Presleya „Hound Dog”, Ruth otworzyła frontowe drzwi baru i do środka wpadł Oleg Gridley. Miał na sobie jedwabną koszulę z kołnierzem, który był większy od jego głowy, pozostałość dyskotekowych eskapad, oraz najbardziej obcisłe spodnie jakie mógł znaleźć w szafie - jeszcze z czasów, kiedy ważył trzydzieści cztery kilogramy. Na stopach miał kozaki z cekinami, które Ruth pożyczyła od córki fryzjerki z salonu Edny, a na głowie czarną, lokowaną perukę z potężnymi bokobrodami domalowanymi czarną kredką do oczu. W rękę miał coś, co wyglądało na małą gitarę, a w istocie było ośmiostunowym ukulele pożyczonym od Rubena, barmana z „Mirage Saloon”.

- „You ain't nothin' but a hound dog” - śpiewał Elvis z płyty, podczas gdy Oleg imitował jego śpiew ruchami ust, co doprowadzało gości do szaleńczego aplauzu.

Oleg Gridley znakomicie naśladował gesty Elvisa. Wiercił swoim małym tyłkiem, okręcał się i przytupywał. Odwrócił się plecami do wiwatującego tłumu i powtórzył serię scenicznych gestów. Nawet Portii Cassidy wydawał się cudowny.

- To jest właśnie, panie i panowie - wrzasnęła Ruth przez megafon - show business!

Portia Cassidy zeskoczyła z barowego stołka i nagradzała gorącymi oklaskami występ swojego niedawnego prześladowcy.

Przy końcu Oleg Gridley przedarł się przez tłum gości w kierunku Portii Cassidy, aby mogła zobaczyć w pełnej krasie najlepszego parodystę Elvisa Presleya w historii Doliny Coachella.

Poruszył ustami do słów piosenki:

- „You ain't never caught a rabbit and you ain't no friend of miiiiine!”

Portia Cassidy niemal rzuciła się na niego z radości. Ruth była z siebie niezwykle dumna.

Detektywi musieli odsiedzieć w barze jeszcze jeden rockandrollowy standard Elvisa. Oleg stał na kontuarze i „śpiewał” „Love Me Tender” zaadresowane do Portii,

która była już na tyle pijana, że w jej oczach pojawiły się łzy i widać było, iż gotowa jest natychmiast pójść z Olegiem do łóżka.

Jedynie Bobrowy Ogon Bigelow, pijany i ponury, jak zwykle, nie zachwycał się występem Olega. Prawdę powiedziawszy wydawał się wściekły. Niezgrabnie podniósł się z krzesła i kiedy tłum gości wykrzykiwał „Biiiiiis!”, domagając się kontynuowania występu, zataczając się zbliżył się do karła i wykrzyknął oskarżycielskim tonem:

- To ukulele Clyde'a Suggsa! Skąd je wytrzasnąłeś, ty mały gnojku?
- Odczep się od mnie, jeśli nie chcesz, żebym je roztrzaskał na twoim głupim łbie! - ostrzegął Oleg. - W szpitalu nie podają ginu, więc lepiej uważaj!
- Ukraść ten instrument Clyde'owi - Bobrowy Ogon ogłosił zgromadzonym, który doskonale wiedzieli, że pragnie sprowokować bójkę. - Znalazłem to ukulele w Kanonie Solitaire - gardłował - Sprzedałem je Clyde'owi Suggsowi.

Oczywiście w tym momencie nikt już go nie słuchał. Wszyscy powrócili do picia, przerwanych rozmów, tańca i ogólnej zabawy. Wszyscy z wyjątkiem funkcjonariusza O.A. Jonesa, który zrezygnował z podrywania urzędniczki z banku w Palm Springs i podszedł do nachmurzonego pustynnego szczura.

- Gdzie w Kanonie Solitaire znalazłeś to ukulele, Bobrowy Ogonie? - zapytał O.A. Jones.

- Przy drodze, która prowadzi na wzgórze, zaraz za rozwidleniem.
- Czy mogę spojrzeć na ten instrument, Oleg? - O.A. Jones zapytał rozłoszczono-ego karła.
- Jasne. Nie mam pojęcia, o czym ten wariat pieprzy. Pożyczyliśmy ukulele od Rubena z „Mirage Saloonu”. Były ze mną dziewczyny, Annie i Ruth.
- W takim razie to on ukraść je Clyde'owi - powiedział Bobrowy Ogon z nadzieją, że istnieje jakaś sprawiedliwość na tym pieprzonym świecie. .
- Wracaj do swojego stolika, Bobrowy Ogonie - powiedział O. A. Jones. - Przejmuję śledztwo w tej sprawie.

- Na pewno dasz się przekupić temu pigmejowi i odstąpisz od wyjaśnienia sprawy - utyskiwał Bobrowy Ogon, ale zrezygnował z dalszego wyklócania się i wrócił na miejsce przy stoliku.

- Zaraz wracam - powiedział O.A. Jones do Olega, który siedział na kontuarze baru obok wciąż rozanielonej Portii Cassidy i zastanawiał się, czy zdoła wypić wszystkie drinki stawiane przez zachwyconych występem widzów.

- Widzisz, wcale nie musisz zachowywać się jak obrzydliwy zboczeniec - powiedziała Portia. - Wystarczy tylko uruchomić mózgowicę. Potrafisz być naprawdę słodki.

- Portia - Oleg odezwał się poważnym tonem. - Muszę ci coś wyznać. Mam okropnego kutasa. Pewnej nocy w zeszłym roku Maxine Farbie przytrzasnęła go drzwiami, gdy wymykałem się z jej sypialni, bo właśnie nieoczekiwanie pojawił się jej stary. Może się zdarzyć, że nawet w stanie wzwodu będzie wydawał ci się malutki.

- Rozmiar nie ma dla mnie znaczenia - powiedziała Portia Cassidy, tuląc się do karła-Elfisa. - Nie miałyby dla mnie znaczenia nawet gdybyś musiał wydobywać go przy pomocy pensety.

Kiedy Sidney Blackpool zamierzał powiedzieć Ottonowi, że czas jechać do wąwozu, pojawił się O.A. Jones.

- To może być „banjo”, które słyszałem - powiedział.

Ustalenie skomplikowanej historii instrumentu na terenie Mineral Springs nie nastręczyło większych trudności i po dziesięciu minutach policjanci rzeczywiście zaczęli podejrzewać, że tajemnicze ukulele rzeczywiście może być tym instrumentem, który O.A. Jones słyszał feralnej nocy w Kanonie Solitaire.

- Brzmiało jak banjo - wyjaśnił młody gliniarz.

- To ukulele jest dziwne - powiedział Sidney Blackpool.

- Szkoda, że nie znam się na tym. Osiem strun. Ile strun ma zazwyczaj ukulele?

- Wydaje mi się, że cztery - powiedział Otto.

- Może ten instrument nie ma nic wspólnego ze sprawą

- zauważył O.A. Jones. - Może ktoś kiedyś zgubił je w wąwozie.

- A jednak warto to sprawdzić - powiedział Sidney.

Instrument był stary i starannie wykonany. Na gryfie był napis: MARTIN & CO, NAZARETH, PENNSYLVANIA. Sidney Blackpool zapisał tę informację w notesie.

- Wiesz co - zwrócił się do O.A. Jonesa - zapytaj barmana z „Mirage Saloon”, czy możesz pożyczyć to ukulele na kilka dni. Musimy to wyjaśnić.

- Jutro zadzwonię na posterunek w Palm Springs - powiedział O.A. Jones.

- Nie rób tego... jeszcze - rzekł Sidney.

- Detektyw, który prowadzi tę sprawę, wyjechał z miasta. Nie mów nikomu o swoich podejrzeniach. Zadzwonimy tu i tam, a jeśli się okaże, że ślad jest coś wart, to sami zawiadomimy Palm Springs. Zarejestrujemy ukulele jako dowód w sprawie, kiedy będziemy mieli pewność, że jest nim istotnie. Okay? - wtrącił Otto.

- Okay - O.A. Jones wzruszył ramionami i przeciągnął palcami po strunach. - Może wypróbuję je na tej seksownej dziewczynie z banku, która wciąż daje mi kosza. Olegowi się udało.

- Zadzwoń do ciebie gdzieś za dwa dni - powiedział Sidney Blackpool. - Pamiętaj, nie mów o tym nikomu!

- Aha, przy okazji - przypomniał sobie O.A. Jones - słyszałem w lokalnym radiu takiego piosenkarza, który ma podobny głos do tego zasłyszanego przeze mnie wtedy. Facet nazywa się Rudy Vallee.

Nagle Maynard Rivas, który wciąż znajdował się w płaczącym nastroju, wydał z siebie coś w rodzaju indiańskiego okrzyku wojennego.

- W moim chili jest karaluch! - wrzasnął w stronę J. Edgara.

- To ohydne kłamstwo! - ryknął w odpowiedzi J. Edgar Gomez z rękami po łokcie w tłustej wodzie barowego zlewu. - W moim pieprzonym chili nie ma karaluchów!

- Ma fatalną gębę, cherlawe cielsko i skacze jak wariat! - krzyknął wzburzony Indianin. - To może być tylko karaluch albo Mick Jagger!

- To kłamstwo! - gardłował J. Edgar Gomez.

- Całe moje cholerne życie składa się z karaluchów w chili! Mam tego dość! Muszę wykupić tę cholerną budę! Jutro z rana wynajmę sobie jakiegoś Żyda, który mi to załatwi! - odgrażał się Indianin.

Byli w połowie drogi do Kanionu Solitaire, gdy Otto wreszcie się odezwał.

- Nie podoba mi się to, Sidney.

- Nie mam zbyt wielkiej ochoty jechać tam samemu, ale jeśli...

- Nie podoba mi się sposób, w jaki zabieramy się do tej sprawy.

- Co masz na myśli?

- To jest sprawa tych z Palm Springs. Jeśli to ukulele ma cokolwiek wspólnego z morderstwem Watsona, to oni powinni o tym wiedzieć. Nie podoba mi się, że ukrywamy dowody. Denerwuje mnie to.

- Nie ukrywamy żadnych dowodów. Zresztą to może wcale nie być żaden dowód.

- Nie my powinniśmy o tym decydować, ale oni. To ich sprawa.

- Cholera, Otto, ich detektyw jest na urlopie. Po prostu sprawdzamy to i już. Nic się z tego powodu nie stanie.

- Równie dobrze mogliśmy ich informować o tym, co robimy, a przecież

dotąd nawet nie przekroczyliśmy progu posterunku w Palm Springs.

- Ależ, zrobimy to, kiedy nadejdzie właściwa pora, jeśli w ogóle nadejdzie, Otto.
- Zawsze mieliśmy takie same problemy z agentami federalnymi - powiedział Otto. - Trzymali gęby na kłódkę usiłując zagarnąć wszystkie zasługi.
- Nie robię tego dla zasług, Otto.
- Wiem, Sidney - powiedział, patrząc przez szybę na pustynny krajobraz oświetlony przez reflektory samochodu. - Robisz to dla forsy.
- Robię to, żeby dostać tę pracę. Bardzo mi na niej zależy.
- No, dobra, jestem z tobą - powiedział Otto - ale jeśli nasze śledztwo rozwinie się, to chcę, żebyśmy pojechali na posterunek w Palm Springs i powiedzieli im o wszystkim, co wiemy. Jeszcze nie wypracowałem sobie emerytury, Sidney. Nie zamierzam stawiać na szali mojej pracy.
- Przynajmniej jasno stawiasz sprawę, Otto - powiedział Sidney Blackpool. - Postąpiłbym tak samo na twoim miejscu..

Asfaltowa droga wydawała się jeszcze ciemniejsza niż zwykle. Księżyc był jakby mniejszy, za to na niebie pełno gwiazd. Wiatr zawodził przeraźliwie. Pojechali kawałek dalej, po czym ujrzeni majacący w ciemnościach jakiś kształt. Na skraju drogi stała furgonetka z wygaszonymi światłami. Kiedy zbliżyli się, światła furgonetki mrugnęły.

- To musi być nasz przewodnik - powiedział Sidney Blackpool.
- Nasza wycieczka jest równie bezpieczna jak wyprawa w Himalaje - odezwał się Otto - albo meksykańskie wesele.

Sidney Blackpool skręcił w piaszczystą drogę zaraz za rozwidleniem i zatrzymał toyotę. Wysiedli, zamknęli drzwi samochodu na klucz wzięwszy z sobą latarkę. Czekali aż furgonetka o napędzie na cztery koła podjedzie. Samochód ruszył powoli, oślepiając ich światłami. Kierowca, widocznie usatysfakcjonowany oględzinami detektywów, przełączył długie światła na drogowe, podjechał bliżej i pochylił się, by otworzyć drzwi po prawej stronie.

- Niech jeden z was wskoczy do tyłu - usłyszeli kobiecy głos.

Kierowcą była młoda kobieta. Mogła mieć niespełna trzydzieści lat. W jej włosach z powodzeniem zamieszkałyby ze cztery wiewiórki. Miała na sobie brudną podkoszulkę i skórzaną kurtkę motocyklową ze znakiem rozpoznawczym gangu „Kobra” na plecach. Wyglądała jak jedna z tych dziewczyn, które pracują w barach szybkiej

obsługi i niewykluczone, że właśnie tak było zanim została „adoptowana” przez wyjętych spod prawa motocyklistów. Była piękną dziewczyną w świecie, w którym zazwyczaj podlotki starzeją się jeszcze przed osiągnięciem dojrzałości, jeśli w ogóle udaje im się dożyć dorosłego wieku.

- Jestem Gina - powiedziała. - Zabiorę was do Billy'ego.

Gina okazała się niezbyt rozmowna, przynajmniej w czasie pierwszego odcinka krótkiej podróży. Skręcili w żwirową drogę, minęli kilka zabudowań, wszędzie wzbudzając ujadanie stróżujących psów. Żwirowa droga zbaczała niebezpiecznie blisko w stronę krawędzi wąwozu. Z oddali ujrzeli mały, parterowy domek, usytuowany niemal na samej krawędzi kanionu - zbyt blisko jak na region nawiedzany przez gwałtowne opady deszczu połączone z obsunięciami gruntu.

- Tam mieszka Billy - powiedziała w końcu.

- Jesteś z nim? - zapytał Otto.

- Mieszkam z moim facetem po drugiej stronie wąwozu.

- On też jest „kobrą”?

- Wszyscy są „kobrami”. Przynajmniej w moim życiu.

- A z kim mieszka Billy? - zapytał Sidney Blackpool.

- Z każdą, która ma na to ochotę - odpowiedziała Gina, uważnie obserwując żwirową drogę, która była częściowo rozmyta przez deszcze w miejscu, gdzie zakręcała w stronę frontowych drzwi domu szefa gangu.

Gdy furgonetka stanęła pod domem, Billy Hightower otworzył drzwi zasłaniając swoją zwalistą sylwetką prawie całe światło dochodzące z wnętrza. Zdjął skórzaną kurtkę i dla detektywów stało się jasne, że Billy zaczyna hodować brzuch, choć jego sylwetka nadal prezentowała się imponująco.

Sidney Blackpool wszedł do środka pierwszy, za nim Gina, a na końcu Otto. Kiedy detektywi znaleźli się w pokoju, Billy pokazał w uśmiechu swoje powybijane zęby.

- To też nie jest Hollywood - skrzywił się - ale przynajmniej własny kąt, za który zapłaciłem. Napijcie się czegoś? Mam wódkę i piwo.

- Dla mnie piwo - powiedział Sidney Blackpool.

- Dla mnie też - poprosił Otto.

Policjanci usiedli na wypłowiej welwetowej kanapie. W całym pomieszczeniu było pełno tłustych plam. Wyjęci spod prawa motocykliści zostawiali ślady wszędzie tam, gdzie chodzili, siadali lub kładli się. Cały dywan pokryty był plamami od oleju i smaru.

Również żółta koszula dziewczyny była zaplamiona olejem. Brudna tkanina opinała

jej duże, wyzywające piersi. Pomagała Billy'emu podawać piwo, przyglądając się przyjaźnie policjantom. Po chwili odezwała się:

- Billy, jestem brudna jak ściera. Mogę wziąć u ciebie prysznic? Nasz nie działa od ponad tygodnia, a Shamu nie ma zamiaru go naprawić.

- Jasne, kochanie - zgodził się Billy. Gina bez żenady ściągnęła koszulę.

- Dziewczynę motocyklisty można zawsze poznać po tym, że ma brudne cycki - wyjaśniła Gina detektywom. - To od ciągłego przytulania się do pleców faceta. Spójrzcie na moją koszulę!

Oczywiście wiedziała, że policjanci nie patrzą na koszulę, którą trzymała w dłoni. Patrzyli na jej piersi, a szczególnie na prawą, która przyozdobiona była tatuażem przedstawiającym brodatego motocyklistę na harleyu. Prawy sutek stanowił reflektor motocykla.

- Mogłabyś dostać z pięćdziesiąt kawałków od firmy Harley Davidson za reklamę, gdyby to zobaczyli - powiedział Otto.

Dziewczyna uśmiechnęła się filuternie i mrugnęła do nich.

- Jeśli już mówimy o pięćdziesięciu kawałkach... - zaczął Billy, po czym zwrócił się do Giny: - Idź się kąpać, skarbie. Musimy pogadać o interesach.

Kiedy usłyszeli szum wody pod natryskiem, Billy Hightower odchrząknął i powiedział:

- Jest bardzo dumna z tego tatuażu i wszystkim go pokazuje.

- Jej facet nie będzie miał nic przeciwko temu, że kąpie się u ciebie? - zapytał Otto, popijając piwo.

- Nie jesteśmy tu przesadnie zaborczy - wyjaśnił Billy. - Zostawiliśmy wszystko co nasze, tam, skąd przybyliśmy. Teraz dzielimy się wszystkim.

- Czy jak skończyłeś pracę w policji... - zaczął Sidney Blackpool, lecz Billy przerwał mu.

- ...po tym jak mnie wylali.

- ...po tym jak cię wylali, jak to się stało, że tu trafiłeś?

- Przywiął mnie wiatr.

- Ale skąd pomysł z przystąpieniem do „Kobry”?

- Bo mnie potrzebowali - powiedział Billy Hightower.

- I skończyło się na tym, że zostałeś ich szefem.

- Czy to nie sukces? - Dopiewszy piwo, Billy Hightower poszedł do mikroskopijnej kuchni po następną. Kiedy wrócił, powiedział:

- Te pieprzone prymitywy nie są takie złe. Tacy sami jak większość facetów, z

którymi byłem w Wietnamie. Pokazałem im jak zachowywać się, kiedy zatrzymują ich gliny, żeby dokonać rewizji. Nauczyłem ich kilku kruczków prawnych z mojego fachu. Ponadto najwięksi z nich dostali ode mnie potężne baty zanim zaczęli mnie kochać. Każdy potrzebuje tatuśka.

- Ludzie gadają, że dostarczasz towar dzieciakom z Palm Springs. Co ty na to Billy? - zapytał Sidney Blackpool.

- Chciałbym, żeby to była prawda - powiedział Billy Hightower. - Jedyną rzeczą jaką się handluje w tych wąwozach jest „kryształ”, a to jest interes o małym zasięgu. Nie mówię wam żadnych rewelacji. Wszyscy tutejsi o tym wiedzą. Prawie każda chałupa to laboratorium produkujące amfetaminę. Jeszcze nikt się na tym świństwie nie dorobił wielkiej forsy, ale da się żyć.

- Ile u was kosztuje „kryształ”? zapytał Otto.

- Około siedmiu tysięcy za ćwierć kilo metamfetaminy. Problem w tym, że te wszystkie gnojki-kobry uzależniły się od tego gówna. Mówią, że to lepsze od hery, że nie ma się po tym trzygodzinnego odjazdu. Można naprawić silnik w motocyklu, pomalować kuchnię, dwa razy wydmuchać swoją dziewczynę. Ale to ostatnie jakoś nigdy im się nie udaje, kiedy są po „kryształkach”.

- A ty bierzesz amfetaminę? - zapytał Otto.

- Nie tak jak te gnojki z wąwozu. Próbują mi wmawiać, że biorą tylko od czasu do czasu. Gówno prawda. Ćpają cały czas. Wydaje mi się, że powinni to zalegalizować. Państwo miałyby z tego kupę forsy w formie podatku. To lepsze niż loteria państwowa. Przecież i tak kupujemy materiały do produkcji od legalnych firm farmaceutycznych. Szkoda, że będąc gliną nie wiedziałem tego, co wiem teraz. Mógłbym zafundować sobie przyspieszoną emeryturę w Acapulco.

- Duże zyski? - Otto wciąż zachowywał się jak glina od narkotyków.

- Jasne. Dwa podstawowe składniki można kupować całkiem legalnie. Nawet idiota umiałby z tego zrobić finalny produkt. A poza tym zawsze ktoś coś zrobi za nas. Niemcy wyprodukowali efedrynę, ich największe chemiczne odkrycie od czasu Cyklo-nu B. Przy pomocy tego drugiego niemal udało im się wymordować wszystkich Żydów, o teraz są na dobrej drodze do załatwienia Amerykanów. Łącząc ją z atomem wodoru można w dziecinnie prosty sposób wyprodukować metamfetaminę.

- Skąd u diabła dostęp do wodoru? - zdziwił się Otto.

- Tak czy owak, ja wolę handlować towarem do niuchania powiedział Billy Hightower. - Dostaje się o trzydzieści procent więcej na gramie towaru i ma do czynienia

z lepszą klientelą. Ale takim jak my ciężko jest uzyskać odpowiednio wysoką cenę. Więc słyszeliście, że Billy Hightower dostarcza towar dzieciakom w Palm Springs, tak? Nigdy nie sprzedają nieletnim. A to, panowie, przybliży nas do zasadniczego tematu naszego spotkania. To znaczy, do tego dupka, którego pokazaliście mi na zdjęciu.

- Nazywa się Terry Kinsale - powiedział Otto.

- Nie interesują mnie nazwiska ludzi, którzy kupują u mnie towar, ale nigdy nie zapominam twarzy. Widziałem tego chłopaka ze dwa razy, raz w knajpie w Cathedral City, a drugim razem tu na wzgórzu, tamtej nocy, kiedy zniknął chłopak Watsona. Tak więc to ja powinienem dostać nagrodę za wskazanie mordercy, jeśli ten gnojek załatwił Jacka Watsona.

- Jak go poznałeś? - zapytał Sidney Blackpool.

- Pojechałem z jednym z moich chłopaków do miasta z dostawą „kryształ” dla pedałów w barze przy trasie 111. Ten chłopak był z tym, który odbierał dostawę.

- On płacił?

- Nie, jego kochaś.

- Jaki kochaś?

- Bo ja wiem. Jakiś podstarzały pedał. Mój człowiek go znał, więc wszystko było w porządku. Jakiś homo, który ma sporo zielonych i słabość do chłopców w typie tego Terry'ego. Terry powiedział, że od czasu do czasu chciałby u nas kupować. Powiedział, że lubi mieszać amfetaminę z innym towarem. Pomyślałem sobie, że jeśli to prawda, to długo nie pociągnie.

- I potem widziałeś go dopiero w noc morderstwa?

- W tamtym czasie był za duży ruch w interesie. Zbyt wielu pokurczów z Cathedral City zaczęło przyjeżdżać do kanionów po towar. Musiałem coś z tym zrobić i powiedziałem chłopakom, żeby dostarczali towar na miejsce. Ale mamy tu takiego, który lubi zabawiać się z pedrylami w tych ich barach. Przystojny facet, cały w skórze - jednym słowem kobra, że hej. Pedały boją się go i zarazem uwielbiają. Tamtej nocy chciał pożyczyć ode mnie trochę towaru, ale nie chciałem mu dać. Powiedział, że klient czeka na niego w miejscu, gdzie kończy się asfaltowa droga. Nie podobało mi się to wszystko, więc wziąłem strzelbę i poszedłem sprawdzić. To był ten Terry z drugim facetem.

- Nie Watsonem? - zapytał Otto.

- Nie. Z pierdołą z Twentynine Palm. Żołnierzykiem z piechoty morskiej, który trząś się z zimna w swoich bucikach za dwadzieścia dolców. Terry'ego znałem z poprzedniego spotkania w Cathedral City.

- Sprzedałeś im towar?
- Kazałem im spierdalać do domu i nigdy nie wracać, bo inaczej nakarmię nimi swoje psy.

- Jak myślisz, co on mógł robić z tym żołnierzem - zapytał Otto.

- Jak to co? - powiedział Billy Hightower. - Chciał chłopaka naszpikować” kryształem”, żeby mu się dobrać do dupy. A co innego można zrobić z dwudziestoletnim Szwejkiem?

- Jak przeczytałeś w gazetach o znalezieniu samochodu Watsona po drugiej stronie wąwozu, to co ci przyszło do głowy? - zapytał Sidney Blackpool.

- Najpierw pomyślałem, że może załatwił go któryś z moich chłopaków. Zmarawiłem się, bo nie potrzeba nam takich numerów. Robię wszystko, żeby rozkręcić z chłopakami porządną, legalną firmę. Popatrzcie na „Hell's Angels”. Organizują przejażdżki motocyklami dla biednych na Boże Narodzenie. Wkrótce przekształcą się w ogóle w organizację charytatywną. Powinniśmy się od nich uczyć. Zawsze to powtarzam moim chłopcom. No więc, przepytalem ich ostro w sprawie Watsona. Przesłuchiwałem wszystkich z osobna. Nastraszyłem ich tak, jak tylko potrafię. I nic. Zupełnie nic. Wierciecie mi, że żaden z moich ludzi nie zastrzelił chłopaka. Inaczej na pewno wiedziałbym o tym. Tak więc pomyślałem sobie o tym pedale i jego żołnierzku. Może to oni? Ale szybko porzuciłem u myśl. Może rzeczywiście jacyś prawdziwi porywacze dorwali si, do chłopaka i coś im nie wyszło, więc go stuknęli? A dlaczego w naszym wąwozie? Bo ja wiem, może po prostu było im po drodze do Las Vegas. Tak więc nie zaprzętałem sobie tym głowy przez kilka dni.

- I co potem...?

- Potem zobaczyłem w telewizji Watsona, który oferował pięćdziesiąt tysięcy nagrody. Pomyślałem sobie: „Kurwa mać, ten Terry to jedyna rzecz jaka przychodzi mi do głowy, ale za pięćdziesiąt tysięcy warto spróbować”. No i wtedy zadzwoniłem.

- Zadzwoniłeś na posterunek w Palm Springs?

- Nie znamy się, więc im nie ufam. Zadzwoniłem do kogoś zaufanego i on przekazał dalej informację o Terry'm, jego samochodzie i tym barze dla pedałów, gdzie się poznaliśmy.

- Jaki to był samochód - zapytał Otto.

- Porsche 911 - powiedział Billy Hightower. - Czarny. Wydawało mi się, że musi należeć do jednego z podstarzałych kochasiów Terry'ego.

Sidney Blackpool spojrział na Ottona, który jednak zbyt długo był policjantem, żeby okazać zdziwienie. Upił łyk piwa i powiedział opanowanym tonem:

- Kto jest tym gliną, któremu zaufałeś, Billy? Komu o tym wszystkim powiedziałeś?

- Ufam tylko jednemu gliniarzowi, Harry'emu Brightowi z posterunku w Mineral Springs. A teraz zaufałem wam, bo jesteście moją jedyną szansą na dostanie tej cholerniej nagrody.

- Dlaczego ufałeś Harry'emu Brightowi? - zapytał Otto.

Billy Hightower uśmiechnął się.

- Nie pytalibyście, gdybyście go znali. Gdyby to on był moim przełożonym, do dziś pracowałbym w policji. To świetny gliniarz. To był jedyny glina, który dosiadł się do mojego stolika i stawiał mi drinka w „Klubie 11-99”. Dzisiaj wy to zrobiliście. Im wszystkim się wydaje, że jestem popieprzonym znarkotyzowanym mordercą, albo coś w tym stylu. Poznałem Harry'ego, kiedy wstąpiłem do gangu „Kobry”. Początkowo nawet chciał mi załatwić robotę na posterunku w Mineral Springs, ale nic nie dało się zrobić po tym jak połamałem szczękę mojemu kapitanowi: musiał mieć dwie operacje plastyczne. Niezależnie od tego czy ten sukinsyn no to zasługiwał, czy też nie. Przez ostatnie sześć lat spędziłem sporo czasu w towarzystwie Harry'ego Brighta. Popijaliśmy razem, opowiadaliśmy sobie policyjne historyjki i dowcipkowaliśmy. Tylko my, we dwójkę.

- Gdzie? W „11-99?”

- Tego bym Harry'emu nie zrobił - powiedział Billy Hightower, kręcąc głową. - Nie chciałem, żeby inni zauważyli, że jest na przyjaznej stopie z kimś takim jak ja. Miał pracę i nie chciałem, żeby ją stracił. Zresztą był zbyt blisko upragnionej emerytury, żebym mu miał wycinać taki numer. Kiedy Harry miał ochotę ze mną pogadać w knajpie, to zawsze starałem się wymyślić jakiś pretekst, aby wyjść. Po prostu po to, żeby mu zaoszczędzić kłopotów. Harry odwiedzał mnie tutaj.

W tym domu?

- Właśnie. Jak czasami pracował na nocnej zmianie, to wpadał tu do mnie na pogawędkę. Parkował samochód na asfaltowce i szedł sobie spacerkiem pod górę. W mundurze. Pewnego wieczoru jeden koleś prawie dostał ataku serca na widok Harry'ego idącego drogą z potężną latarką w dłoni. Siadaliśmy sobie i popijaliśmy. Trzeba powiedzieć, że Harry pił cholernie dużo. Ja bardziej niż on sam martwiłem się o to, że może stracić robotę. Czasami tak się natankował, że zasypiał w radiowozie w tym

miejscu, gdzie poznaliście Ginę.

- Ile lat ma Harry Bright? - zapytał Sidney Blackpool.

- To akurat wiem, bo mógłby przejść na emeryturę w Boże Narodzenie. Harry będzie miał pięćdziesiątkę w grudniu. Biedny Harry. Nawet nie będzie wiedział, kiedy w końcu dostanie tę emeryturę.

- Kiedy miał wylew? - zapytał Otto.

- W marcu. Chyba tak - powiedział Billy. - Byłem dwa razy odwiedzić go w szpitalu. Nawet na tę okazję się umyłem i przebrałem w garnitur, żeby nie wystraszyć pielęgniarek. Nie mogłem się pogodzić z tym, co zobaczyłem. Harry był wielkim facetem i fantastycznym gliną w typie tatusia. No, wiecie, takiego faceta, którego pragnie się mieć za ojca zamiast tego sukinsyna, którym obdarzył nas los. Harry był powiernikiem i ojcem wszystkich gliniarzy z Mineral Springs. Paco jest szefem, ale Harry był ojcem, którego Paco słuchał. A teraz wy musicie mi coś powiedzieć.

- Wszystko, co tylko będziemy mogli - powiedział Sidney Blackpool.

- Skąd macie to zdjęcie?

- Z domu Victora Watsona. Służący znalazł je w szpargałach Jacka i dał nam w nadziei, że może to nas naprowadzić na jakiś ślad.

- Chcecie przez to powiedzieć, że w żadnym z raportów nie ma nawet wzmianki o mojej informacji na temat Terry'ego?

- Niewykluczone, że coś tam jest, ale nie mamy do dyspozycji wszystkich dokumentów - skłamał Sidney. - Może ci z Palm Springs umieścili w innej teczce, do której nie mieliśmy dostępu. Sam wiesz jaki na posterunku zwykle jest bałagan.

- Jasne. Bo to niemożliwe, żeby Harry Bright im o tym nie wspomniał. Był za dobrym gliną, aby zignorować takie doniesienie. Mam nadzieję, że sprawdzicie to i jeśli się okaże, że chłopak rzeczywiście miał z tym coś wspólnego, to będę miał prawo do nagrody.

- Okay - powiedział Sidney Blackpool. - Jednak szkoda, że nie możemy pogadać z Harry Brightem.

- Już nikt nie będzie mógł z nim pogadać - powiedział Billy Hightower. - Kiedy widziałem go po raz ostatni, był w fatalnym stanie, a słyszałem, że od tamtego czasu się pogorszyło. Tylko gapi się przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Nawet nie mrugnie powieką. Przykro go widzieć w takim stanie.

- Kto go zna najlepiej? - zapytał Sidney Blackpool. - To znaczy, prócz najbliższej rodziny?

- Harry nie ma rodziny - odparł Billy Hightower. - Jego domem jest przyczepa mieszkalna na przedmieściach Mineral Springs. Ciągle mnie zapraszał, żeby go odwiedzić, ale nie chciałem tego robić. Nie chciałem, żeby go widziano w moim towarzystwie. Przyrzekłem mu, że przyjdę na kolację, kiedy już będzie na emeryturze. Wtedy zwiślałoby mi, co ludzie doniosą burmistrzowi albo prokuratorowi rejonowemu. Harry mieszkał zupełnie sam. Jest rozwiedziony.

- Kto go zna najlepiej? - Otto powtórzył pytanie Sidneya.

- To proste - odparł Billy Hightower. - Drugi sierżant z posterunku, Coy Brickman, zna go najlepiej. Pracowali razem jeszcze w San Diego wiele lat temu. Jest jego najlepszym przyjacielem, o ile mi wiadomo.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział Sidney. - Wcześniej dzisiejszego wieczoru widzieliśmy cię jak podjechałeś na motocyklu do tej kępy drzew tamaryszkowych, gdzie znaleziono samochód Jacka Watsona. Dlaczego to zrobiłeś?

- Niedawno zobaczyłem tam tego młodego gliniarza, O.A. Jonesa, jak węszył. Zaciekawilo mnie to. Myślałem, że może sprawa ruszyła z miejsca. No, a potem, to znaczy dzisiaj, jeszcze przed zapadnięciem zmroku, kiedy wracałem z poczty, zobaczyłem tam jeszcze jednego glinę. Z daleka wydawało mi się, że to Coy Brickman. I pomyślałem sobie, co się dzieje, do cholery? No, i kiedy przyjechałem jeszcze raz dziś wieczorem, zobaczyłem prawie w tym samym miejscu toyotę. Słyszałem jak chłopaki w „11-99” gadali o dwóch detektywach z Hollywood, więc od razu skapowałem, że to musi być wasz wóz.

- Niewiele uchodzi twojej uwadze, Billy. - Sidney Blackpool uśmiechnął się

- Mineral Springs to małe miasteczko, chłopie. Nasz świat jest zredukowany do niezbędnego minimum.

Nagle usłyszeli odgłos kroków na zwirowej ścieżce i Billy Hightower przytknął gruby wskazujący paluch do ust, nakazując milczenie. Zesztywniał, po czym odprężył się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Właż, Shamu, ty cholerny nedorajdo, zanim ci ktoś odstrzeli dupę jak wściekłemu kojotowi! - krzyknął Billy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł facet, który był niewiele niższy od Billy'ego Hightowera i ważył nieco mniej niż traktor. Miał na głowie grecką czapkę żeglarską, spod której sterczała potężna czarna czupryna. Gęsta szpakowata broda okalała brudną, pokrytą wągrami twarz. Ubrany był w brudne dzinsy i kurtkę, a na

nogach miał wysokie buty. Przepasany był skórzanym paskiem ze srebrną klamrą, wysadzana turkusami rozmiaru brytfanny do pieczenia indyka. Na sześciu palcach, pokrytych szramami i bliznami, miał indiańskie srebrne pierścienie z turkusami. Był pijany. Miał złośliwy wzrok pijaka, jednocześnie naćpanego amfetaminą.

- Gdzie Gina? - zapytał, wlepiając wściekłe spojrzenie w detektywów.
- Bierze prysznic - powiedział Billy Hightower.
- Tu jestem, kochanie! - krzyknęła Gina z łazienki. - Umyłam włosy! Zaraz wychodzę!

- Co, u diabła, robisz tu ci niuchacze? Gina powiedziała mi, że kazałeś jej ich przyprowadzić!

- Oni nie są od narkotyków - powiedział Billy Hightower. - Pracują nad tym morderstwem faceta w rollsie, którego znaleźli w naszym kanionie.

- Gliny to gliny - powiedział Shamu i zachwiał się, gdy chcąc się podeprzeć, nie trafił na futrynę drzwi. - Oni wszyscy śmierdzą tak samo.

- Gina! - wrzasnął Billy Hightower - Wyłaż wreszcie i zaprowadź Shamu do łóżka. Nie jest dziś w najlepszym nastroju. Chcesz piwa bracie?

- Nie miałeś prawa ich tu przyprowadzać - powiedział Shamu, tym razem rzucając złowrogie spojrzenie w stronę Billy'ego.

- O tym ja decyduję - powiedział Billy Hightower głosem tak spokojnym i zimnym, jak więzienne podwórko. - Ja jestem szefem.

- Jesteś tylko wygadany, zasranym czarnuchem, który zadziera nosa - wybuchnął Shamu. - Gdzie moja kobieta?

- Ona nie jest twoją kobietą, bracie - powiedział Billy. - Może robić co jej się rzecznie podoba. Z każdym, z którym ma na to ochotę. Pamiętasz zasady?

- Gina! - wrzasnął Shamu, a Otto pomyślał, że popękają szyby w oknach.

Otto czuł, że jest nieszczęśliwym detektywem z Hollywood, który zawędrował za daleko od domu. Shamu bowiem wyglądał jak jeden z tych kozaków, którzy pili szampana wyłącznie po to, żeby móc potem zagryźć szklanką.

Dziewczyna wyszła z łazienki kompletnie ubrana susząc włosy, które dopiero teraz odzyskały naturalny kolor.

- Zabieraj swoją dupę do domu, ty cholerna dziwko! - powiedział pijany olbrzym. - Nie kazałem ci tu przyłączyć i wyskakiwać z ubrania!

- Już idę, Shamu, jeszcze tylko...

Uderzył ją otwartą dłonią tak mocno, że upadła na podłogę przewracając stojącą obok lampę. Leżała szlochając, kiedy Billy Hightower powoli wstał i powiedział:

- Obraziłeś mnie. Użyłeś siły wobec jednego z moich gości. Złamałeś nasze reguły.

Brodaty potwór spojrzął tak, jakby już nie był szalony. Zaczął chichotać, jakby nagle ogarnął go wspaniała nastrój. Opuścił głowę i zaatakował. Zwarli się w piekielnym uścisku dwóch potężnych ciał i wtoczyli do małej kuchni, łamiąc po drodze stół jak kartonowe pudełko.

Obaj detektywi poderwali się, aby pospieszyć Billy'emu na pomoc, lecz on, krzywiąc się z bólu w uścisku potężnych łap Shamu, krzyknął:

- Dajcie spokój!

Po chwili obaj walczący, charcząc jak wielkie niedźwiedzie, wtoczyli się znowu do pokoju. Shamu uzyskał przewagę.

- Tak...tak...jak...to...robią gliny! - wysapał, zarzuciwszy potężne ramię na szyję Billy'ego dusząc go.

Sidney Blackpool właśnie sięgał po krzesło, żeby rozwalić je na głowie Shamu, gdy Billy Hightower wziął trzy krótkie chrapliwe oddechy, napiął policzki, opuścił podbródek i wbił swoje potężne zęby w przedramię napastnika.

Trwało to może trzy sekundy i Shamu zawył z bólu. Odskoczył od Billy'ego jak oparzony. Billy Hightower, ze strużką krwi Shamu ciekącą po brodzie, oparł się o ścianę masując szyję i przywracając krążenie w tętnicy.

- Moja ręka. Popatrzcie, kurwa, na moją rękę! - ryknął ranny narkoman.

Z ramienia zwisał zakrwawiony strzęp mięśnia. Shamu nadal zaszokowany i otepiał od bólu wpatrywał się w ramię, kiedy Billy zadał mu potężny cios prosto w splot słoneczny. Olbrzym potoczył się na ścianę, ryknawszy jak słoń. Billy Hightower potworzył cios. Jeszcze jeden dokładnie w to samo miejsce i głowa Shamu zdrząła, a szczeka kłapnęła jak zatraskująca się pułapka na szczury. Opadł na kolana. Wtedy Billy Hightower odsunął się, a na jego czarnych, zbryzganych krwią wargach, pojawił się krzywy uśmiech.

- Nigdy...nigdy nie próbuj dusić byłego policjanta, który chodził w ulicznych patrolach! - powiedział. - Muszę...muszę cię za to ukarać. Przykro mi, chłopie - dodał.

Zrobił krok do przodu i twarde buciem wymierzył potężnego kopniaka w twarz Shamu, który zwał się na podłogę jak kłoda. Charczał tak, jakby oddychał tylko

jednym płucem, a drugie miało za chwilę przestać pracować.

- Shamu! - krzyknęła Gina, podbiegając do leżącego kolosa. - Mój Kochany!
- Lepiej już idźcie - powiedział Billy Hightower do detektywów. - Sam się z tym uporam.

Nie wiedzieli co powiedzieć, więc w milczeniu zaczęli ustawiać poprzewracane meble. Shamu przekręcił się na brzuch, usiłując podnieść się na kolana, z najwyższym trudem łapiąc oddech.

- Ja to zrobię - powiedział Billy Hightower, gdy Otto wkładał wtyczkę lampy z powrotem do kontaktu i ustawił ją na stole.

Brodaty narkoman związał się z bólu i szlochał:

- Gina! Gina! Boli mnie!
- Wiem, Kochanie! Wiem. Billy, pomóż mi wynieść Shamu na zewnątrz.

Billy Hightower złapał go za pasek od spodni.

- Okay. Już wszystko w porządku. Przyłożyłem ci. Wszystko będzie okay.
- Przepraszam, Billy - wymamrotał Shamu.
- No, dobrze już, dobrze - zgodził się Billy. - Jutro o tym zapomnimy.

Po chwili troglodyta i wytatuowana dziewczyna pokuśtykali w stronę swojego domu, gdzie co prawda nie działał prysznic, ale też nie był on zbyt często potrzebny.

Detektywi stali w ciemności, gdy wyjęty spod prawa motocyklista odwrócił się i powłócząc nogami ruszył w stronę domu. W progu odwrócił się i powiedział:

- Dacie radę wrócić do samochodu na piechotę? Nie czuję się zbyt dobrze.
- Powinieneś pójść do lekarza - powiedział Otto.

Billy Hightower patrzył jak detektywi oddalają się zwirową drogą. Choć mówienie sprawiało mu ból, powiedział:

- Ja... Miło mi było z wami pogadać, chłopaki. Może kiedyś moglibyśmy... - urwał i potrzęsął głową. Zaczął zamykać za sobą drzwi, lecz w ostatniej chwili jeszcze dodał:

- To wcale nie jest takie złe życie. Ci ludzie... Jestem im potrzebny.

ROZDZIAŁ XIII

Omen

W drodze powrotnej do hotelu Sidney Blackpool palił jednego papierosa za drugim. Otto musiał otworzyć okno, żeby normalnie oddychać. Drżał z zimna pod wpływem podmuchów zimnego powietrza.

- Rozumiesz coś z tego wszystkiego, Sidney? - zapytał przerywając długie milczenie.

- Bo ja wiem. Czasami mam wrażenie, że udaje mi się jakoś poskładać części łamigłówek, a po chwili wszystko znowu bierze w łeb.

- Jakiś zatarg na tle narkotyków? Nie, przecież ci chłopcy nie byli zatwardziałymi narkomanami. Może to ci z gangu ich obrobili? W barze dla homoseksualistów ustalili z chłopakami, że spotkają się z nimi w wąwozie, proponując amfetaminę po niskiej cenie. Doszło do konfrontacji, obrobili chłopaków z forsy, a Watson przepłacił to życiem.

- W takim razie jak wytłumaczyć obecność dwóch samochodów? Dlaczego Jack Watson przyjechał rollsem, a Terry i żołnierz porsche?

- Masz rację. A poza tym, dlaczego Terry w takiej sytuacji natychmiast nie doniósł policji, że załatwili jego przyjaciela? Tym bardziej po tym, jak została wyznaczona wysoka nagroda.

- Może już wtedy nie było go w mieście. W każdym razie Billy Hightower twierdzi, że jego ludzie tego nie zrobili. Wydaje się, że ma dość duży wpływ na swoich chłopaków.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Harry Bright? I dlaczego teraz, kiedy zajęliśmy się tą sprawą, sierżant Coy Brickman także zaczął koło niej węszyć?

- Istnieje też możliwość, że Terry zaplanował porwanie swojego kumpla, Jacka, przy współudziale Brighta lub Brickmana powiedział Sidney Blackpool.

- To miasteczko powinno zmienić nazwę na Urinal Springs, jeśli o mnie chodzi -

powiedział Otto. - To miejsce po prostu śmierdzi. Jak miasto Gorki, zamknięte dla cudzoziemców. A my tu jesteśmy obcy, mój drogi.

- Jutro od samego rana zajmiemy się sprawą tego ukulele. Zadzwonimy do producenta. Zobaczymy, co nam powiedzą. Zastanawiam się, ile może być sklepów muzycznych w tej dolinie? Chyba niewiele.

- Trudno przypuszczać, żeby Harry Bright był zamieszany w morderstwo, prawda? - powiedział Otto.

- Przecież nie widziałeś tego człowieka na oczy.

- Racja. To miejsce niekorzystnie wpływa na moje szare komórki. Chociaż nie-trudno sobie wyobrazić, że mógł to zrobić Coy Brickman. Ma takie zimne, świdrujące spojrzenie.

- Musimy ustalić, co łączy tych dwóch: Brickmana i Brighta. Może to się zaczęło już w San Diego.

- Co?

- To, co mogło doprowadzić ich, bądź jednego z nich, do zamordowania Jacka Watsona.

- Zbliżamy się do momentu, kiedy trzeba będzie zawiadomić o wszystkim tych z Palm Springs, Sidney. Mogliśmy się dziś przejechać, gdyby ten brodaty potwór dobrał się nam do skóry zamiast do Billy'ego Hightowera.

- Daj mi jeszcze jeden dzień. Otto. Zobaczymy, co nam przyniesie.

- Jeden dzień - Otto westchnął. - Zastanawiam się, czy nie jest za późno, żeby zamówić coś do żarcia. Mam wrażenie jakbym jednak połknął jakieś żywe stworzenie, które teraz wyprawia przeróżne harce w moim żołądku.

Sidney Blackpool nie mógł zasnąć. Podwójna whisky wcale nie pomogła. Słyszał chrapanie Ottona dobiegające z drugiej sypialni.

Usiłował zastosować technikę łagodzenia napięcia nerwowego, której uczono go w policji. Skoncentrował myśli na swoich stopach, po czym „przesunął się” wyżej docierając do ramion, szyi i szczęki, czując rozluźnienie mięśni. Czasami w takich sytuacjach wyobrażał sobie, że znajduje się na łące lub w wielkiej chacie stojącej gdzieś w odludnej dolinie. Teraz wyobraził sobie, że leży na kocu pod drzewem tamaryszkowym, którego poskręcane gałęzie wachlowały jego ciało, lekko zapadające się w gorący piasek. Zasnął i spał głębokim snem aż do świtu. Przyśnił mu się sen.

Był to radosny sen, pełen dziwnego uczucia triumfu. Miał świadomość, że oto uczestniczy w cudzie. Oczywiście sen traktował o czasie sprzed śmierci Tommy'ego. Sidney Blackpool był sam. Stał po kostki w chłodnym piasku pustynnej wydmy. I choć nie było szczególnie gorąco, czuł, że niezmiernie się poci. Był ranek, jednak nigdzie na horyzoncie nie było śladu słońca, za to bezpośrednio nad jego głową wisiał bład księżyc. Po niebie w powiewach silnego wiatru szybko przesuwały się nieliczne chmury. Wiatr wył tak samo jak w Mineral Springs, unosząc tumany piasku, który chłostał Sidneya z ogromną siłą. Zapadał się coraz bardziej w pustynną wydmy, która obejmowała jego stopy mocnym uściskiem. Wiedział, że wiatr nie jest w stanie go przewrócić.

Z oddali dobiegał go odgłos morskich fal rozbijających się o brzeg leżący za szczytami pasma gór Santa Rosa. Jedna z wielkich fal przelała nawet się przez szczyt San Jacinto i spłynęła w głąb doliny.

Nagle zauważył, że księżyc nie jest już ponad jego głową. Niemal zamarło mu serce, gdyż przyszło mu do głowy, że utracił niepowtarzalną szansę! Po chwili dostrzegł księżyc ponownie, tym razem nad górskim szczytem.

Sidney Blackpool wyciągnął ramiona, a jego ciało przybrało kształt krzyża usadowionego w piasku. Nad szczytami pasma Santa Rosa pojawiło się słońce, gwałtownie wznoszące się na nieboskłonie. Z chwilą gdy znalazło się dokładnie nad szczytem San Jacinto, Sidney Blackpool zaczął krzyczeć.

Nie był to krzyk przerażenia czy rozpacz. Był to okrzyk triumfu i radości. Udało mu się zatrzymać słońce i księżyc na swoich miejscach. Słońce nie mogło wznieść się wyżej, a księżyc nie był w stanie zejść za horyzont. On - Sidney Blackpool sprawił to przy pomocy wyciągniętych ramion i triumfalnego okrzyku. Czas stanął w miejscu za jego sprawą.

Od tej pory nie będzie już huku rozbijających się o brzeg fal, nic będzie pływającej trumny. Przez całą wieczność tkwić będzie na pustyni z rozpostartymi ramionami, krzycząc z całych sił i z całą mocą serca. Już nigdy nie zobaczy Tommy'ego, ale dzięki niemu Tommy będzie żył. Takie było jego przeznaczenie.

Nikt przed nim nie zaznał tak wielkiej radości. Obudził się płacząc. Próbował stłumić szloch poduszką, aby nie usłyszał go Otto.

Z powodu trzygodzinnej różnicy czasu między Kalifornią a Pensylwanią, Sidney Blackpool skończył rozmowę telefoniczną z pracownikiem Martin Guitar Company na długo zanim Otto wyszedł w pidżamie z sypialni, ziewając i drapiąc się po jądrach.

- Założę się, że pozbyłbym się brzucha, gdybym, tak jak ty, co noc na sen poświęcał tylko pół godziny - odezwał się Otto do partnera, który był wykąpany, ogolony i ubrany, a w rękę trzymał częściowo zapisany notatnik.

- Dzień dobry - powitał go Sidney Blackpool. - Oto czego dowiedziałem się od tej firmy produkującej instrumenty. To bardzo rzadkie ukulele, które nazywa się „Taro Patch”. Zostało wykonane prawdopodobnie między 1915 a 1920 rokiem. Podobno ten instrument był dość popularny na Hawajach.

- Muszę zjeść jakieś śniadanie - powiedział Otto. - Nawet nie wiem czyj język mam w ustach.

- Tego typu ukulele nie sposób znaleźć w zwykłym sklepie muzycznym. Jest to ten rodzaj antyku, który prawdopodobnie można kupić jedynie w lombardzie. Pocięszającą wiadomością jest fakt, że w całej Dolinie Coachella jest tylko sześć lombardów.

- Mniej pocieszającą jest myśl, że ktoś mógł kupić ten instrument zupełnie gdzie indziej - powiedział z przekąsem Otto.

- Oczywiście, że jest taka możliwość - zgodził się Sidney - ale postaraj się spojrzeć na to z innej strony. Nie bądź taki ponury.

Gdy Otto zamawiał przez telefon potężne śniadanie, Sidney Blackpool zapalił papierosa i zabrał się do przeglądania notatek. Nie mógł doczekać się godziny otwarcia lombardów. Przez chwilę myślał o śnie, który obrazował tęsknotę za możliwością manipulacji czasem. Poczł nagle łopotanie serca i skurcz w gardle, ale odrzucił to uczucie. Zaczł wykręcać numer jeszcze przed dziewiątą, lecz właściciele lombardów w pustynnej dolinie wyraźnie nie spieszyli się. Otto kończył już śniadanie, gdy Sidney w końcu zdołał się dodzwonić.

Przy czwartym telefonie natrafił na mężczyznę, który powiedział:

- Tak, znam ten typ ukulele. Sam kiedyś grałem na takim instrumencie, ale to było z pięćdziesiąt lat temu. To wspaniały instrument.

- Nazywam się Sidney Blackpool. Jestem detektywem z Wydziału Policji w Los Angeles. Prowadzimy śledztwo, w którym jednym z dowodów jest takie ukulele. Czy miał pan może kiedyś taki instrument w swoim sklepie?

- Chyba tak. Tak, przypominam sobie, że sprzedałem takie ukulele jakieś dwa lata temu - powiedział właściciel lombardu. Właściwie powinienem je zachować dla siebie, ale przecież nie mogę sobie pozwolić na to, żeby wszystko zatrzymać. Żałuję, że go nie mam. Nigdy potem już nie widziałem takiego instrumentu.

- Trzyma pan rachunki sprzed dwóch lat? - Sidney Blackpool podniósł pięść w triumfalnym geście. - To bardzo ważne dla śledztwa.

- Czy mógłbym do pana za chwilę oddzwonić? Nie pamiętam, kto je przyniósł. Chyba jakiś kierowca ciężarówki z Blythe. To nie moja wina, jeśli instrument został skradziony. Zawsze spisuję dane osoby sprzedającej i kupującej; wszystko jest zgodne z prawem.

- Proszę się o to nie martwić - zapewniał Sidney. - Mnie interesuje jedynie, kto kupił to ukulele. Znaleźliśmy je i chcemy zwrócić właścicielowi.

- To będę mógł panu powiedzieć jak tylko odzyskam rachunek. Pamiętam, że był w mundurze. Chyba policjant. Tak, wydaje mi się, że z posterunku w Indio.

- A może z Mineral Springs? - zapytał Sidney Blackpool.

- Możliwe - odparł.

- Czy przypadkiem nie nazywał się Harry Bright?

- Nazwisko nie wydaje mi się znajome - powiedział sprzedawca.

- Za chwilę odzyskam rachunek i zadzwonię do pana, dobrze?

- Zaczekam przy telefonie - powiedział Sidney Blackpool.

- Lepiej wymoczę sobie tyłek pod prysznicem - rzucił Otto. - Znowu nie zagramy dziś w golfa.

Nie zdążył wytrzeć się po kąpieli, kiedy usłyszał głos Sidneya:

- Tak, tak, Okay. Bardzo dziękuję. Oczywiście, dopilnujemy, żeby dostał instrument z powrotem. Dziękuję bardzo.

Otto wyszedł z łazienki.

- Noi...?

- Coy Brickman - powiedział Sidney Blackpool. - Kupił ukulele dwa lata temu. A to oznacza, że instrument należał do niego na długo przed morderstwem Watsona.

- Naprawdę nie podoba mi się to, Sidney - powiedział Otto. - To policjant. Nie powinniśmy grać dalej na własną rękę.

- Jeszcze nie wiemy nic pewnego, Otto. Mamy do dyspozycji tylko kawałki łami-główki. Jutro rano zadzwonimy na posterunek w Palm Springs, niezależnie od rozwoju wypadków.

- Zrobimy to jeszcze przed moim śniadaniem - powiedział Otto Stringer, patrząc z powagą w oczy partnera. - Nieodwoalnie.

Przed dziesiątą znowu jechali do Mineral Springs. Otto zauważył złośliwie:

- Dlaczego po prostu nie wynajmiemy sobie pokoju gdzieś w pobliżu „11-99”? Zaoszczędzilibyśmy Victorowi Watsonowi kupę forsy, że nie wspomnę o kosztach eksploatacji twojego samochodu.

- Musimy być ostrożni jak będziemy gadać z Paco Pedrozą powiedział Sidney Blackpool. W zasadzie w ogóle nie powinniśmy z nim rozmawiać.

- Musimy komuś zaufać - zauważył Otto. - Chyba, że podejrzewasz, iż szef też ma coś wspólnego z tą zwariowaną sprawą.

- Nie mam pojęcia, kto może mieć z tym coś wspólnego. Pierwsza zasada śledztwa w sprawie o zabójstwo brzmi...

- Wiem, wiem. Każdy jest podejrzany - powiedział Otto. - Nawet staruszka w wózku inwalidzkim.

- To mi właśnie nasuwa myśl, że nie możemy wykluczyć Harry'ego Brighta. Muszę go zobaczyć na własne oczy. Może jego stan zdrowia się poprawił.

- Oj, ci gliniarze od truposzy - powiedział Otto, kręcąc głową z dezaprobatą. - Ciekaw jestem, kiedy ja się znajdę na twojej liście podejrzanych

- Masz rację, że komuś trzeba zaufać powiedział Sidney Blackpool. - Znajdźmy tego młodego gliniarza, byłego surfera, O.A. Jonesa. On jakoś wzbudza moje zaufanie.

Nie chcieli, żeby ktokolwiek z posterunku zorientował się, iż są w mieście, więc zaparkowali samochód o przecznicy wcześniej. Czekali zaledwie dwadzieścia minut na pojawienie się radiowozu O.A. Jonesa. Przejeżdżał powoli, popijając wodę sodową i słuchając muzyki z radiomagnetofonu. Sidney Blackpool dał sygnał klaksonem i pomachał ręką w kierunku młodego gliniarza.

- Jedź za mną - powiedział i skręcił w pierwszą przecznicę w prawo, po czym jeszcze raz w prawo i dopiero wtedy zaparkował samochód przy krawężniku.

Za chwilę podjechał O.A. Jones, zatrzymał radiowóz i wysiadł.

- Co jest, sierżancie? - zapytał, zbliżając się do toyoty.

- Gdybym poprosił cię o pomoc i pełną dyskrecję, zrobiłbyś coś dla mnie?

- Jestem policjantem. Czemu nie?

- A gdyby chodziło o innego policjanta?

- To znaczy, kogoś z naszego posterunku?

- No.

- Czy szef Pedroza o tym wie?

- Nie.

- Dlaczego w takim razie zwraca się pan do mnie, a nie do niego.
- Bo ty już znasz pewien wycinek sprawy, o którym nie wie nikt inny.
- O tym ukulele?
- Tak. A poza tym mam do ciebie zaufanie.

Młody gliniarz zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Szef Paco Pedroza dał mi tę robotę, kiedy mieli mnie już dość w Palm Springs.

Nie chciałbym, żeby się na mnie wściekał.

- Przrzekam, że za parę dni sam o wszystkim powiem szefowi. Jednak na razie zależy mi, żeby utrzymać to w tajemnicy. Tylko przez parę dni.

Gliniarz zawahał się.

- Okay.

- Świetnie. No więc, chodzi nam o informacje o sierżancie Brickmanie i sierżancie Brighcie. Tylko tyle. Bo, widzisz, ustaliliśmy, że to ukulele należało do Coya Brickmana. Kupił je w lombardzie dwa lata temu.

- O rany! - wyszeptał młody glina. - Nie sądzicie chyba...to niemożliwe!
- Chyba nie. Ale chcielibyśmy, żebyś powiedział nam wszystko co o nich wiesz.

Zacznij od Brickmana.

- No, wiem, że wcześniej pracował w San Diego. Tak jak i sierżant Bright. Sierżant Harry Bright zarekomendował Coya Brickmana do roboty w naszym posterunku na długo zanim ja się tu pojawiłem. Właściwie sierżant Bright był kimś w rodzaju personalnego i zajmował się przyjmowaniem ludzi do roboty, tak że większość z nas była rekomendowana Paco Pedrozie przez niego. Szef nie zatrudniał nikogo bez błogosławieństwa Harry'ego Brighta - młody glina nerwowo podrapał się po karku. - Sierżancie, Coy Brickman nie potrafiłby dokonać porwania i zamordować kogokolwiek? To fakt, że jest gburowaty i nieszczególnie towarzyski, ale to dobry policjant. A sierżant Bright? Harry Bright jest, to znaczy był...

- Jak ojciec dla wszystkich - Otto wpadł mu w słowo.

- Właśnie. Niemożliwe, żeby brał udział w jakimkolwiek przestępstwie, a w szczególności w porwaniu i zabójstwie!

- Odnoszę wrażenie, że większość ludzi, którzy u was pracują, miała jakieś kłopoty w poprzednim miejscu pracy - powiedział Otto.

- To prawda, że przed przyjazdem do Mineral Springs wszyscy pracowaliśmy gdzie indziej - powiedział O.A. Jones, ukradkowo rozglądając się na wszystkie strony.

- Czy Bright i Brickman mieli jakieś kłopoty w San Diego?

- Przynajmniej mnie o niczym takim nie wiadomo. Sierżant Brickman powiedział mi kiedyś, że nie miał szansy na awans, bo jeden z tamtejszych zastępców szefa nie cierpiał go. Wydawało mu się, że do końca życia będzie patrolował ulice, więc zadzwonił do Harry'ego Brighta, który wtedy już był w Mineral Springs. No i załatwił sobie przeniesienie. A jeżeli chodzi o sierżanta Brighta, to wydaje mi się, że...że mógł mieć w San Diego pewne problemy związane z pićciem, ale nie wiem nic pewnego. Kiedy Paco Pedroza zatrudnił go tutaj, sierżant Bright musiał mieć sporo ponad czterdziestkę, więc urząd miasta chyba naruszył przepisy dotyczące wieku, żeby zwerbować doświadczonego gliniarza z dużego miasta. Wydaje mi się, że Harry Bright od dłuższego czasu solidnie popijał.

- Chcesz powiedzieć, że jest pijakiem? - zapytał Otto.

- No, sami wiecie jak to jest w policji. Na każdym posterunku można by znaleźć przynajmniej jednego takiego. Czerwona twarz, maślane oczy, chrapliwy głos, ale o dziwo tacy ludzie zawsze pojawiają się w pracy na czas, mają czysty mundur i wygłansowane buty. Zawsze wykonują to, co do nich należy. Taki właśnie był sierżant Bright - chłopak zmarszczył brwi. - Nie podoba mi się to wszystko, sierżancie. Harry Bright był najlepszym podoficerem nadzorującym jakiego znałem.

- Słyszeliśmy, że czasami zdarzało mu się upijać na nocnym patrolu? - powiedział Otto. - Może ucinął sobie drzemkę w radiowozie zaparkowanym gdzieś na bocznej drodze w Kanionie Solitaire. Na Boga, nie był świętym.

- Posłuchaj, synu - powiedział Sidney Blackpool. - Nie jesteśmy łowcami głów ze służby wewnętrznej, którzy chcą przyskrzynieć gliniarza za chłanie na służbie. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa. Musimy dowiedzieć się czegoś o tych dwóch sierżantach. Nie prosimy cię o to, żebyś został kapusiem.

- Wszyscy to robią w Kanionie Solitaire - powiedział O. A. Jones. - To znaczy, myślę że nie ma w okolicy gliny, który by chociaż raz nie był na nocnej zmianie w tym wąwozie, żeby urwać godzinkę snu. Wiecie jak to jest na nocnej zmianie, w takim małym miasteczku, kiedy zdarza się, że przez sześć godzin nie ma ani jednego wezwania. A jeśli chodzi o jego popijanie na nocnych patrolach, to pewnie, że zdarzało mi się widzieć go pijanym o ósmej rano po zejściu ze służby. Ale kiedy miał wezwanie, to zawsze był na miejscu. Harry Bright nikogo nie zawiódł.

- Wiesz gdzie mieszkają? - zapytał Sidney Blackpool. - Bright i Brickman?
- Tu w mieście - powiedział O.A. Jones. - Harry mieszkał w przyczepie przy Jackrabbit Road. To taka ślepa uliczka, gdzie stoi chyba osiem mieszkalnych przyczep. Teraz tam nikt nie mieszka. Co noc sprawdzamy to miejsce, czy wszystko jest w porządku.
- Kto ma klucz?
- Sierżant Brickman podlewa kwiatki i w ogóle opiekuje się domem Harry'ego Brighta do czasu jego powrotu ze szpitala, ale z tego co słyszę, to chyba nigdy nie nastąpi.
- A gdzie mieszka sierżant Brickman? - zapytał Otto.
- Przy Smoke Tree Lane. Pierwszy dom po lewej od strony Rattlesnake Road. Taki piętrowy, drewniany budynek z niebieskimi okiennicami. Mieszka z żoną i dwiema córkami.
- Czy Bright i Brickman są najlepszymi przyjaciółmi? - zapytał Otto.
- No, pewnie - powiedział O.A. Jones, - Kiedy starsza córka sierżanta Brickmana poważnie zachorowała na nerki i okazało się, że musi być dializowana, to Harry Bright pojechał do szpitala i zaoferował jedną ze swoich nerek do transplantacji. Słyszeliśmy to od lekarza, u którego robimy badania kontrolne. Wszyscy sobie wtedy z niego w szpitalu pokpiwali. Lekarze tylko spojrzeli na Harry'ego i wyjaśnili mu, dlaczego nie nadaje się na dawcę nerki. Harry wyglądał tak, jakby sam potrzebował kilku przeszczepów. Na przykład, na pewno przydałaby mu się nowa wątroba i chyba serce też - tak mu wtedy powiedzieli. Wychodzi na to, że z tym sercem to mieli rację. Wątroba chyba jeszcze jakoś pracuje, ale nie wiadomo jak długo. W każdym razie właśnie taki jest Harry Bright. I mówię panu, sierżancie, że jesteście na fałszywym tropie. Jeśli rzeczywiście ukulele jest tym instrumentem, który wtedy słyszałem, to musi znaleźć się jakieś racjonalne wytłumaczenie.
- Czy Coy Brickman śpiewa? - zapytał Sidney Blackpool. - Albo gra na jakimś instrumencie strunowym? Albo Harry Bright?
- Nie mam pojęcia - odparł O.A. Jones. - Na pewno nie słyszałem jak to robią na posterunku. Może pod prysznicem albo przy goleniu?
- Przy okazji - powiedział Sidney Blackpool - powiedziałaś, że Brickman zajmuje się domem sierżanta Brighta. Gdzie podziewają się jego krewni?
- Jego była żona mieszka na terenie jednego z tych bogatych klubów sportowych w Rancho Mirage. Wysłała powtórnie za męża za jakiegoś bogatego faceta. Szef Pedroza

mówił mi, że Harry miał syna, który zginął tragicznie w tej katastrofie lotniczej w San Diego dobre parę lat temu.

Sidney Blackpool nagle przestał słuchać. Gorączkowo myślał, ale nie miało to nic wspólnego z tym, co mówił O.A. Jones. Starał się oddalić atak nagłej paniki.

- Pytałem, czy to już wszystko, sierżancie? Mogę już iść? Lepiej wróć do radiowozu.

- Co z tobą, Sidney? - zapytał Otto. - Wyglądasz jakbyś miał usta pełne chili produkcji J. Edgara.

- To...nic. Właśnie przyszło mi do głowy. Ale to nic ważnego...

- No, to ja spadam - powiedział O.A. Jones. - Dajcie mi znać jak będziecie coś wiedzieli. Nie daję mi to spokoju. Aż czuję fizyczne nudności.

- Jasne...jasne - powiedział Sidney Blackpool czując, że gwałtownie zaczyna się pocić. - Poczekaj, jeszcze coś... - jękał się, próbując odzyskać równowagę. Fala zimnych dreszczy zaczęła go opuszczać. Teraz czuł tylko ciężar umiejscowiony na dnies żołądka.

- Co się stało, Sidney? - Otto zrozumiał, że coś jest nie tak.

- Po prostu nagle...coś przyszło mi do głowy. Ulotna myśl... Wiesz jak to bywa.

- Mnie to się też zdarza - powiedział O.A. Jones. - Deja' vu.

- Coś w tym rodzaju - powiedział Sidney Blackpool, ocierając pot z górnej wargi.

- Chciałbym jeszcze czegoś się dowiedzieć. W którym szpitalu leży Harry Bright?

- Był w szpitalu przez długi czas - powiedział O.A. Jones - ale potem przeniesiono go do takiego domu opieki. To coś w rodzaju szpitala. Niedaleko Indio. Kiedyś zawiozłem tam sierżanta Brickmana, jak byliśmy we dwójkę na nocnym patrolu, więc wiem, gdzie to jest. Był z wizytą u sierżanta Brighta może przez dziesięć minut. Czekałem w radiowozie, żeby słuchać komunikatów. To musiało być gdzieś ze trzy miesiące temu. To się nazywa Dom Opieki „Gwiazda Pustyni” i leży przy szosie numer jeden, przy wjeździe za roгатki Indio od strony Mineral Springs.

- Czy ktoś ostatnio widział się z Harrym Brightem? - zapytał Sidney Blackpool. - Oprócz sierżanta Brickmana?

- Nie sądzę. On to załatwia w imieniu całego posterunku. Paco Pedroza powiedział, że to zbyt przygnębiające widzieć Harry'ego w takim stanie.

- W porządku, synu, możesz iść - powiedział Sidney Blackpool. - Będziemy w kontakcie.

- Już pan wie skąd panu wzięło się to uczucie?

- Co takiego?
- No, deja' vu. Przypomniał pan sobie?
- Nie, ale na pewno wkrótce na to wpadnę - powiedział Sidney Blackpool. - Do zobaczenia.

Otto musiał zdecydować się na dwa wielkie hamburgery, frytki i koktajl mleczny. I musiał pochłonąć to w wielkim pośpiechu. Sidney Blackpool za wszelką cenę chciał zobaczyć Harry'ego Brighta na własne oczy. Obaj milczeli. Otto dlatego, że próbował jeść, podczas gdy toyota pędziła z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę po pustynnej autostradzie, a Sidney Blackpool, ponieważ wciąż jeszcze nie otrząsnął się po usłyszeniu, że Harry Bright stracił syna w tragicznym wypadku.

Sidney Blackpool wiedział, że musi się z tym uporać. Chciał powstrzymać to, przełożyć na później, kiedy będzie w stanie stawiać temu czoła - pograć się w strachu i rozpacz. Trzecia nad ranem byłaby najlepszą porą do tego celu. Ale niestety, musiał uporać się z tym jeszcze dziś: Victor Watson, Sidney Blackpool, a teraz Harry Bright! Wszyscy ofiarami najokrutniejszego, nienaturalnego zrzędzenia losu. Wędrowcy poszukujący utraconych części samych siebie. Niemożliwe, żeby to było cokolwiek innego jak perwersyjny zbieg okoliczności. Omen, jak to ujął Victor Watson. Ale policjanci nie wierzą w takie historie, przynajmniej nie tacy jak Black Sid.

Z daleka budynek wyglądał bardziej na motel niż szpital czy hospicjum. Był to kompleks parterowych budowli rozrzuconych na sporej powierzchni. Umieszczony na froncie szylt był oświetlony neonową lampą. Zarówno budynki jak i teren były dobrze utrzymane i na podstawie wyglądu można by się domyślać, że standard hospicjum był najlepszy, na jaki stać ludzi o średnich dochodach. Jednak Sidney Blackpool pomyślał, że gdyby kiedyś miało się zdarzyć, iż będzie musiał korzystać z usług takiego miejsca, to wolałby sobie wpakować kulkę w głowę.

Sidney Blackpool właśnie wjeżdżał na parking, kiedy zobaczył policyjny radiowóz z Mineral Springs.

- Cholera! - Gwałtownie skręcił kierownicą i wcisnął pedał przyspieszenia.
- Coy Brickman? - spytał Otto.
- A ktoś by inny?

Sidney zaparkował toyotę na najbliższej przecznicy, zaraz za ciężarówką Armii Zbawienia, która zasłoniła samochód od strony hospicjum. Detektywi wysiedli, podeszli w stronę parkingu, gdzie stanęli za drzewem, i obserwowali.

Na parkingu było kilka osób. Po chwili zobaczyli niebieskiego mercedesa 450 SL, który podjechał i stanął obok wozu policyjnego. Z samochodu wysiadła szczupła, opalona na brąz blondynka w niebieskich spodniach i jedwabnej bluzce.

Należała do tego typu kobiet, których wiek trudno odgadnąć. Eleganckie, drogie stroje, zimowa opalenizna, fryzury i makijaże za sto dolarów, mercedesy i operacje plastyczne. Sidney Blackpool zawsze zakładał, że takie kobiety są o dziesięć lat starsze niż sugerowałby ich wygląd. Oparła się o maskę mercedesa i zapaliła papierosa. Wydawało się, że na kogoś czeka.

Detektywi obserwowali ją, ponieważ odnosili wrażenie, że kobieta nie pasuje do otoczenia. Nikt inny z odwiedzających nie podjeżdżał mercedesem do tego lichego domu opieki. Z ukrycia przyglądali się eleganckiej kobiecie przez pełne piętnaście minut, po czym otworzyły się frontowe drzwi i wyszedł nimi Coy Brickman w mundurze. Kobieta podeszła do niego i podała mu rękę na powitanie.

- Dałbym resztę z tych dziesięciu kawałków, żeby usłyszeć o czym mówią - powiedział Sidney Blackpool.

- Dorzuciłbym do tego parę docłów z własnej kieszeni - dodał Otto.

Gdy Coy Brickman obrócił się, jakby miał zamiar się pożegnać, blondynka wzruszyła ramionami i znowu podała mu rękę. Zaraz potem Brickman wsiadł do radiowozu.

- Cholera! - powiedział Sidney Blackpool. - Możesz odczytać z tej odległości numery jej wozu? Otto?

- Chyba żartujesz? Patrzę już nimi przez czterdzieści lat.

- No, dalej, Brickman, zabieraj stąd swój tyłek! - wymamrotał Sidney.

Jednak kobieta w mercedesie jako pierwsza wyjechała z parkingu w stronę Palm Springs. Detektywi dopadli toyoty. Sidney Blackpool natychmiast włączył silnik i spojrzął we wsteczne lustro.

- No, dawaj, dawaj! - powiedział.

Wreszcie radiowóz Coya Brickmana opuścił parking i zjechał na szosę w tym samym kierunku co mercedes.

- Musimy zaryzykować, jeśli chcesz mieć numery jej wozu - powiedział Otto.

Sidney Blackpool pokiwał głową. Blondynka nie należała do osób, które mogą zorientować się, że są śledzone, ale Coy Brickman z pewnością tak. A poza tym jej samochód wyprzedził ich o jakieś pół kilometra. Sidney Blackpool, jadąc drugim pasem,

schował się za ciężarówkę. Na szczęście Coy Brickman zjechał w Cook Street, w stronę Indian Wells, i autostrady nr 10 wiodącej do Mineral Springs.

Sidney dodał gazu i przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Dogonili mercedesa na trzech światłach.

- Mam nadzieję, że twój samochód jest dobrze ubezpieczony - powiedział Otto.

Podjechali na tyle blisko, by Otto mógł spisać numer rejestracyjny, po czym pozwolili kobiecie zwiększyć dystans, lecz tylko na tyle, aby nie stracić jej z oczu. Przejechali przez Indian Wells, Palm Desert i wjechali do Rancho Mirage, gdzie mercedes skręcił w prawo.

Detektywi znaleźli się przed zamkniętym szlabanem, obok którego stała budka strażnika i indiański totem przedstawiający dziwnego ptaka. Nad bramą znajdował się napis: „Thunderbird Country Club.”

- Ten klub jest na naszej liście! - wykrzyknął Otto. - „Tamarisk”, „Thunderbird”, „Mission Hill”. Chwileczkę, gdzie toja podziałem moje notatki. Tam było nazwisko tego faceta, członka klubu, o którego mieliśmy zapytać. Cholera! Zostawiłem notes w hotelu.

- Pomyśl, Otto - powiedział Sidney Blackpool.

- Zaraz, zaraz...Penbroke? Nie. Pennypackier? Nie. Pennington! Tak jest. Pennington z „Thunderbird.”

- Dobry z ciebie chłopak!

Detektyw podjechał pod szlaban i powiedział do strażnika:

- Nazywamy się Blackpool i Stringer. Pan Pennington zaaranżował tu dla nas grę w golfa. Sądzę, że zostawił nasze nazwiska kierownikowi.

Dwie minuty zabrało strażnikowi telefoniczne sprawdzenie informacji, po czym rzekł:

- Bardzo proszę, panowie. Portier pokaże wam drogę.

- Jezu Chryste, Sidney! - wykrzyknął Otto Stringer, gdy jechali w stronę budynku klubowego.

- O co chodzi?

- Tutaj mieszka były prezydent Stanów Zjednoczonych! Kiedy pomyślę, że być może będziemy musieli zagrać, żeby uprawdopodobnić naszą wizytę, to przechodzą mnie ciarki! Wyobrażasz sobie mnie grającego w golfa z pieprzonym eks-prezydentem całych pieprzonych Stanów?

ROZDZIAŁ XIV

Szarada

Otto Stringer skierowany został przez portiera do recepcji klubu, gdzie podał swoje nazwisko, po czym wyznaczono mu godzinę rozpoczęcia gry, która być może wcale nie miała być rozegrana. Sidney Blackpool poszedł prosto do baru, szukając po drodze telefonu, z którego mógłby skorzystać, by zadzwonić do drogówki i sprawdzić nazwisko właścicielki mercedesa. Miał nadzieję, że będzie należało do mieszkanki klubu „Thunderbird”. Oczywiście obaj z Ottonem byli niemal pewni, że to była żona Harry'ego Brighta.

Zabudowania klubu nie były tak stylowe jak w „Tamarisk”. Ściany wykończone były nie obrobionym piaskowcem, a wewnątrz przyozdobiono wytworami ludowej sztuki indiańskiej, ulubionymi przez miejscowych projektantów wnętrz. Klub robił przytulne wrażenie miejsca, które cieszy się już pewną renomą, o czym zaświadczały zdjęcia w głównym hallu.

Wśród zdjęć znajdowały się fotografie Boba Hope'a, który, jak się zdawało, jest honorowym członkiem niemal wszystkich klubów na pustyni, oraz byłego prezydenta Geralda Forda. Sidney Blackpool ponadto rozpoznał na zdjęciu pierwszych słynnych członków „Thunderbird Country Club” Hoagy Carmichaela i Binga Crosby'ego.

W końcu znalazł aparat telefoniczny i zadzwonił do kolegów z Hollywood. Okazało się, że mercedes należy do Herberta T. Deckera mieszkającego w Rancho Mirage.

Sidney wszedł do restauracji klubowej. Podeszła do niego kelnerka w średnim wieku i zapytała:

- Czym mogę panu służyć?
- Dziękuję. Jestem tu po raz pierwszy i rozglądam się tylko.
- Bardzo proszę - odpowiedziała grzecznie i zabrała się do zbierania naczyń ze stolika.

- Czy widziała pani panią Decker? - zapytał. - Chyba nie pomyliłem nazwiska? Taka atrakcyjna blondynka.

- To na pewno pani Decker. Ale nie widziałam jej dzisiaj, proszę pana. Czy

sprawdził pan w Sali Miedzianej? Tam odbywa się dzisiaj jakieś prywatne przyjęcie.

Sidney Blackpool wrócił do hallu i przeszedł przez pomieszczenie głównej sali restauracyjnej, która nie była używana w ciągu dnia. Zauważył jakichś ludzi w sali z wielkimi lustrami, znajdującej się po lewej stronie. Podeszedł bliżej i zrozumiał, skąd wzięła się jej nazwa. Cała zastawa: talerze, tace, noże i widelce były wykonane z miedzi, a przynajmniej tak wyglądały. I wtedy zobaczył ją.

Rozmawiała z jakąś kobietą w wełnianej marynarce wyszywanej cekinami i obszernych, czarnych spodniach. Kobieta ubrana była zbyt elegancko jak na tak wczesną porę dnia, ale za kilka godzin jej strój nie wzbudziłby sensacji. Blondynka z ożywieniem wyjaśniała coś starszej kobiecie, prawdopodobnie tłumaczyła się ze spóźnienia. Przywitała się z kilkorgiem gości, po czym, zamiast zawrócić do hallu, wyszła na patio, gdzie znajdował się basen. Był to nowoczesny basen w kształcie litery U, za którym mieściła się scenka dla orkiestry. Sidney Blackpool próbował wyobrazić sobie rauty, jakie tu się odbywały. Być może byłby gościem na tych przyjęciach, gdyby dostał pracę w Watson Industries?

Wyszedł na patio i stanął za plecami blondynki.

- Jedzenie z takiej miedzianej zastawy musi mieć smak metalu.

Odwróciła się.

- Jakby się jadło drobne monety - dodał.

Uśmiechnęła się do niego. Spodobał mu się ten uśmiech. Miała wspaniałe zęby, ale niewykлучzone, że były sztuczne. Porcelana kosztuje sporo, ale widać było, że forsy jej nie brakuje.

Zrobiła ruch, jakby zbierała się do odejścia, więc zdecydował kuć żelazo póki gorące.

- Przepraszam panią, wydaje mi się, że skądś się znamy. Naprawdę. Jestem prawie pewien, że gdzieś już się spotkaliśmy. Czy mieszkała pani kiedyś w San Diego?

To spowodowało, że się zatrzymała. Zauważył, jak drgnęła.

- Rzeczywiście. Dawno temu - powiedziała.

- Mój Boże, naprawdę jestem przekonany, że musieliśmy się gdzieś widzieć - rzekł Sidney Blackpool. - Pracowałem w Wydziale Policji w San Diego.

Trafił w dziesiątkę. Jej twarz zmieniła się. Opuściło ją zaniepokojenie, a na jego miejscu pojawił się wyraz rezygnacji. Z bliska wyglądała na czterdziestkę, nawet biorąc poprawkę z powodu operacji plastycznej, której śladu nie dopatrzył się. Była elegancką blondynką niczym z filmów Hitchcocka.

- Musiał pan pracować z Harrym - powiedziała. - Harrym Brightem.
- Ależ tak, oczywiście! - potwierdził Sidney Blackpool. - Pani jest jego żoną! Po-
znałem panią na jakimś przyjęciu, zaraz, zaraz, gdzie to Harry wtedy pracował? Mój
Boże, jak to było dawno.

- W południowej dzielnicy - powiedziała. - To musiało być jakieś dwanaście lat
temu. Przynajmniej tyle. Bo od tylu lat jesteśmy rozwiedzeni.

- Och, przepraszam panią, pani...

- Decker - powiedziała. - Patricia Decker.

I wtedy, ponieważ nie ufał nikomu, kto w jakikolwiek sposób był związany z Coy-
em Brickmanem lub Harrym Brightem, powiedział:

- Nazywam się Sam Benton. Czy mogę postawić pani drinka? To wspaniale spo-
tkać kogoś z dawnych czasów. Przepraszam, z niedawnej przeszłości. Jest pani zdecy-
dowanie za młoda, żeby mówić w tym przypadku o dawnych czasach.

- Przepraszam, ale powinnam już pójść, panie Benton.

- Proszę pozwolić, że powiem pani coś o sobie - powiedział. - Przestałem praco-
wać w policji dopiero rok temu. Jestem szefem straży przemysłowej w zakładach lotni-
czych w San Fernando Valley i przyjechałem tu z szefem, żeby pograć w golfa.
I...prawdę powiedziawszy, czuję się tu trochę nieswojo. Dla takiego prostaczka jak ja,
który patrolował ulice w południowym San Diego, to wysokie progi. Proszę pozwolić
mi postawić sobie choć jednego drinka. Mój Boże, pani zupełnie się nie zmieniła, a
nawet może...

- Jasne, jasne - powiedziała. - Wciąż gada pan jak policjant. No, dobrze. Chodź-
my. Bar jest tam.

- Już go znalazłem - przyznał. - Nie na darmo byłem policjantem przez dwadzie-
ścia jeden lat.

- Dwadzieścia jeden lat? - zdziwiła się. - Nie wygląda pan tak staro,

- Teraz pani stara się być grzeczna - uśmiechnął się szeroko.

Sidney Blackpool zauważył właśnie Ottona, który rozglądał się szukając go.

- Pani Decker, czy mogłaby pani zamówić dla mnie Johnnie Walkera Black La-
bel? Muszę powiedzieć koledze, gdzie ma mnie szukać.

Złapał Ottona, kiedy ten zamierzał już zawrócić do recepcji.

- Otto! - zawołał. - Słuchaj, poznałem ją. To rzeczywiście eks-małżonka Ha-
rry'ego Brighta! Powiedziałem jej, że nazywam się Sam Benton. To na wypadek, gdy-
byś chciał mnie wsypać. Wolałbym, żeby nie powiedziała Coyowi Brickmanowi, że

poznała detektywów z Hollywood, którzy pracują nad sprawą Watsona.

- A co ja mam robić?
- Grać w golfa.
- Co?
- Zagraj jedną rundę. Powiedz recepcjoniście, że twój partner gdzieś przepadł.

Dogonię cię później na polu.

- Mam grać bez ciebie?
- Przecież już grywałeś beze mnie.
- Ale nie w takim miejscu! A co będzie jak mnie znowu zeżrą nerwy, jak to było w „Tamarisk?” A co będzie jak mnie umieszczą w jednym zespole z eks-prezydentem i Betty Grable, na Boga?

- Ona nie żyje.
- A jak się nazywa żona Phila Harrisa? Znalazłem jego nazwisko na liście członków tutejszego klubu.

- Alice Faye.
- No właśnie. Co będzie jak mnie przydzielą do niej?
- Idź i graj, Otto.

Kiedy wrócił do baru, ona już prawie skończyła swoje martini, które z bliska wyglądało jak czysta wódka. To dobrze, pomyślał Sidney Blackpool, lubi sobie wypić. Problemem będzie więc jedynie kontrolowanie własnego nałogu.

- Przepraszam - powiedział, kładąc na ladzie dwudziestodolarówkę.
- Proszę schować te pieniądze - powiedziała. - Mam tu wszędzie otwarte konto.
- Ale to przecież ja panią zaprosiłem.
- Za złe stare czasy - powiedziała.
- Za naszą alma mater - zawtórował, podnosząc szklaneczkę i trącając się z nią - komisariat z południowej dzielnicy.
- Powinnam to chyba powiedzieć wcześniej. Nie widziałam się z Harrym od dawna.
- Co on teraz porabia?
- Mieszka niedaleko w Dolinie Coachella. Pracował w prowincjonalnym posterunku w Mineral Springs.
- Pracował?
- Zeszedł zimy miał wylew krwi do mózgu. A później atak serca. Jest...lekarze

mówią, że jest w kiepskim stanie. Nasze drogi rozeszły się już bardzo dawno.

- A co pani teraz porabia poza graniem w golfa? - Dotknął jej lewej dłoni, na której opalenizna była nieco jaśniejsza niż na prawej. Jej ręce zdradzały, że rzeczywiście przekroczyła już czterdziestkę, choć trudno to było powiedzieć na podstawie wyglądu twarzy.

- Nadal zachowuje się pan jak glina - uśmiechnęła się. - Rzeczywiście gram trochę w golfa.

- I jak pani sobie radzi?

- Fatalnie.

- To niemożliwe. Ma pani zbyt pięknie zbudowane ciało, żeby to była prawda.

Z przyjemnością zauważył, że w szklaneczce został jej tylko malutki łyżeczek podwójnej wódki z martini. Wiedział, że tylko najtęższe chlejusy piją czystą wódkę. No, to cyk - pomyślał i dopił swoją whisky. - Nie dlatego, że ja mam na to ochotę. Wyłącznie po to, żeby naciągnąć ją na zwierzenia.

- Proszę pozwolić, że zamówię dla nas następną kolejkę - powiedział.

- Już panu mówiłam, że pańskie pieniądze są tu nieważne - powiedziała kiwając na barmana. Byli jedynymi gośćmi przy małym barze.

Sala była pusta i jedynie kilka osób kręciło się w pobliskim hallu. Barman nalał jej znowu podwójną wódkę z odrobiną martini. Sidneyowi przeszło przez myśl, że klubowy barman doskonale zna wymagania swoich stałych klientów.

- A co pani robi, kiedy nie gra w golfa? - zapytał.

- Nic szczególnego. Trochę gram w tenisa, ale nogi już nie te, co kiedyś.

- Och - zachnął się, chcąc w ten sposób okazać, że myśli inaczej.

Łyknęła pochlebstwo bez mrugnienia okiem. Wiedziała, że wciąż ma świetne nogi.

- Czasami gramy w „Oklahoma gin” - nazwa pochodzi od sztuki teatralnej. Gramy w jej odmianę, która nazywa się „Zabij swoją siostrę”. Można stracić z tysiąc dolarów dziennie - uśmiechnęła się ponuro i dodała: - Przeszłam sporą drogę z południowego posterunku, czyż nie?

Podobał mu się ten cyniczny uśmiech. Wydawał mu się znajomy.

- Czym zajmuje się pani mąż?

- Pracuje w przemyśle naftowym. Spędza masę czasu w Teksasie. Często jeździ na Bliski Wschód. Lato zwykle spędzamy w Lake Tahoe albo w Maui - tu urwała,

bo zdawała sobie sprawę jak to musi brzmieć dla faceta, który właśnie skończył pracować w policji. Uśmiechnęła się znowu - Co tu dużo gadać?

- Ma pani szczęście - powiedział Sidney. - Powinna pani dziękować losowi.
- Dziękuję.

Zadumał się na chwilę. Pomyślał o jej synu, o synu Harry'ego Brighta.

- Ma pani dzieci? - zapytał.
- Nie, nie mam dzieci.

Przez chwilę pogardzał sobą, ale w końcu wykrztusił to z siebie:

- To dziwne...Mógłbym przysiąc, że Harry miał...
- Nasz syn zginął. Na długo po naszym rozwodzie - pociągnęła solidny łyk wódki i uśmiechnęła się cierpko. - Wiem, że nie wszyscy policjanci z San Diego wiedzieli o naszej tragedii. Był na pokładzie samolotu PSA Lot 182. Miał dziewiętnaście lat i był na pierwszym roku Uniwersytetu Kalifornijskiego.

- Bardzo mi przykro, pani Decker. Naprawdę nie...

- Tamtego dnia zginęło też wiele innych dzieci - powiedziała i przechyliła szklaneckę, wypijając całą zawartość. - Myślę, że powinnam już...

- Przepraszam. Naprawdę nie zamierzałem wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

Może da się pani namówić na jeszcze jednego - powiedział. - Proszę...Patricia.

- Mówią mi Trish - powiedziała i smutnym wzrokiem zajrzała do pustej szklanki, po czym przerzuciła spojrzenie na barmana.

Tym razem barman nalał im obojgu podwójne drinki, zorientowawszy się, że ma do czynienia z parą dobrych zawodników.

- To jest klub dla pijących - zauważyła. - Tak jak „Eldorado”.
- Kiedyś graliśmy w „Tamarisk” - powiedział.
- „Tamarisk” nie jest klubem dla tych, co lubią wygolić. To jest właściwie miejsce dla alkoholików i hazardzistów. - Spojrzała na niego smutnym wzrokiem. Zrozumiała, że jest wiele takich pytań, których wolałby jej nie zadawać, ale są też takie, które trzeba będzie wypowiedzieć. Nawet gdyby to nie miało pomóc w rozwiązaniu zagadki śmierci Jacka Watsona

- Trish, zjadłabyś ze mną obiad dziś wieczorem? Czuję się taki samotny na tej pustyni.

Wypicie kolejnego drinka nie zabrało jej zbyt dużo czasu.

- Na jak długo przyjechałeś? - zapytała.
- Będę tu do końca tygodnia.
- Jesteś żonaty?

- Nie.
- Wierzę ci. Nie wyglądasz na żonatego.
- Proszę. Spotkajmy się.
- A co powiem mojemu mężowi? - powiedziała, przyglądając się swojemu odbiciu na dnie szklanki.

- Mogłabyś...mogłabyś przyjść z nim - powiedział. - Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Zachichotała i podniosła głowę znad pustej szklaneczki.

- Naprawdę, Sam? - zapytała ochryplym głosem. - Miałby przyjść na spotkanie z kolegą mojego byłego męża?

- Jeśli pod tym warunkiem będę mógł się z tobą zobaczyć - powiedział i zabrzmiało to szczerze. Przynął się do niej: jego udo otarło się o jej. Sidney Blackpool od dawna już nie zabiegał o żadną kobietę, nie licząc tych, które zazwyczaj wałęsają się w towarzystwie glin, a których imion zwykle nie pamiętał po trzech dniach od wspólnie spędzonej nocy. I które równie szybko zapominały o nim.

- Nie wałęsam się z obcymi po restauracjach, kiedy mąż wyjeżdża w interesach. To nie jest dobrze widziane. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że nie cierpię jadać obiadów w samotności. Może przyjdiesz do mnie, tu do klubu, powiedzmy o siódmej? - zerknęła na swój złoty zegarek firmy Cartier.

- Przyjdę - powiedział.

- Przepraszam, ale będziesz musiał przyjść w garniturze i pod krawatem.

- Jakoś dam sobie radę.

- A teraz muszę uciąć sobie popołudniową drzemkę - powiedziała Trish Decker, podnosząc się ze stołka cokolwiek niepewnie. - To jedna z tych rzeczy, obok gry w golfa i w karty, które robię regularnie.

Otto znalazł się w sali, gdzie dwunastu mężczyzn siedziało przy pokrytych sukrem stolikach i grało w karty w grę, którą nazywali Bai-Air gin. Był zafascynowany do chwili, kiedy zorientował się, że gra idzie o wysoką stawkę. Jeden z graczy powiedział, że grają po piętnaście centów od punktu i Otto na podstawie zapisu, który znajdował się w pobliżu drugiego z graczy, wyliczył szybko, iż facet stracił tego popołudnia, jak na razie, tysiąc dwieście dolarów.

W sąsiednim pokoju grano w pokera, a pobliski mały barek pełen był gości. W klubie był spory ruch. Otto zdał sobie sprawę, że przecież jest środek tygodnia i sezon jeszcze się nie rozpoczął. Zastanawiał jak wygląda to miejsce w weekendzie podczas

szczytu sezonu. Otto skonstatował, że nie zaryzykuje udziału w grze, nawet z kieszeniami wypchanymi banknotami z wizerunkiem prezydenta McKinleya. Wyszedł na zewnątrz, gdzie stał już jego wózek z kijami golfowymi. Wybrał właściwy kij, kupił tuzin piłek w kiosku hallu recepcyjnego i poszedł w kierunku pola treningowego.

W chwili, gdy Sidney Blackpool go odnalazł, Otto świetnie bawił się w towarzystwie kobiety. Była starsza od niego o przynajmniej dwadzieścia pięć lat i tęższa. Miała na sobie żółtą golfową spódnicę i bluzkę w takim samym wściekłym kolorze, a na głowie żółty miękki kapelusz. Jej włosy były kasztanowe zdradzając, że najwyższy czas na powtórzenie farbowania. Nosiła wielkie okulary o sześciokątnych oprawkach.

Sidney Blackpool zorientował się, że urządzili sobie mini-zawody w celowaniu do dołka z odległości sześćdziesięciu metrów, oraz że wynik jest przedmiotem zakładu.

- Okay, Fiona - mówił Otto, kiedy Sidney ich odszukał. - To moja szansa, żeby doprowadzić do wyrównania. Nie stój za blisko, bo moje małe serduszko bije tak głośno, że mogę znowu chybić!

- Och, Otto! - powiedziała tęga kobieta. - Jesteś naprawdę niemożliwy!

Sidney Blackpool zauważył, że Ottona torba z kijami znalazła się na, jakżeby inaczej, żółtym elektrycznym wózku jego nowej znajomej. W wózku zainstalowane było radio, elektryczny wentylator skierowany na kierowcę i mały telewizor. Za siedzeniem kierowcy znajdowała się mała lodówka, która, jak domyślił się Sidney, nie zawierała tylko wody sodowej. Na trawie opodal wózka stały dwa żółte kubeczki z zawartością brązowego płynu. Otto nie pozwalał, żeby pustynna gorączka wysuszyła mu gardło.

- Otto, czy mogę cię prosić na chwilę? - zawołał Sidney.

- Momencik, Fiona, teraz twoja kolej - powiedział Otto. - To mój współnik, Sidney Blackpool, Sidney, to Fiona Grout.

- Bardzo mi miło - podstarzała dama zwróciła się do Sidneya, który uśmiechnął się i skinął głową.

- Widzę, że świetnie się bawisz - powiedział do Ottona, którego oczy były już lekko zamglone, a oddech zdradzał dużą domieszkę czterdziestoprocentowego jamajskiego rumu w koktajlu „mai tai”, kiedy przemówił szeptem do partnera.

- Sidney, złapałem ją! Wdowa. Mieszka w Thunderbird Heights, do diabła. Zna osobiście Lucille Ball! Nie każ mi teraz jej zostawić!

- Otto, nie trafiłam - zaszczębiotała Fiona. - Znowu masz szansę się odegrać!

- Daj mi odsapnąć, Sidney - błagał Otto. - Czuję, że jestem na dobrej drodze.
- Przyszło mi do głowy następujące rozwiązanie - powiedział Sidney Blackpool. - Wróć do hotelu i zadzwonię stamtąd na posterunek w Palm Springs. Sprawdzę, czy Terry Kinsale zarejestrował się do pracy w jakimś hotelu. Zadzwonię też do Harlana Penroda i zorientuję się, czy jemu udało się coś ustalić. I tak muszę tu wrócić, bo mam randkę z byłą żoną Harry'ego Brighta.

- Poważnie? Jesteś niesamowity - powiedział Otto, oglądając się niespokojnie przez ramię ku Fionie, która podreptała w stronę wózka golfowego po kolejny koktajl „mai tai”. - Chcesz przez to powiedzieć, że mogę tu zostać i grać dalej?

- Oczywiście. Dasz radę sam wrócić do hotelu jak już skończysz?

- Wezmę taksówkę - powiedział. - Chyba że Fiona zechce mnie podrzucić. Właśnie kupiła nowego jaguara, którego bardzo chce mi pokazać!

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki ogier, Otto.

- Do zobaczenia, Sid - powiedział Otto. - Mogę wrócić późno, więc nie czekaj na mnie.

Odwrócił się i pospieszył do Fiony.

- Otto, mam dla ciebie drinka! - rzekła.

- Stokrotne dzięki! - wykrzyknął Otto.

Odchodząc Sidney Blackpool usłyszał jeszcze głos przyjaciela zwracającego się do piłki, która zatrzymała się o dobre kilka metrów przed dołkiem, grzebiąc szansę na wygraną:

- No, leć do dziurki małutka! Tatuś ci wszystko wybaczy!

- Och, Otto, jesteś naprawdę niemożliwy! - zachichotała Fiona, klepiąc go po plecach tak mocno, że rozlał trochę koktajlu na sweter.

Powróciwszy do hotelu, Sidney Blackpool znalazł w recepcji wiadomość od Harlana Penroda. Natychmiast podszedł do automatu telefonicznego w hallu i wykręcił numer Watsonów. Usłyszał jedynie wiadomość nagrąną na taśmie automatu zgłoszeniowego: „Dzień dobry. Tu rezydencja państwa Watson. Proszę o pozostawienie wiadomości i numeru telefonu. Dziękuję.”

Wszedł do restauracji, gdzie zjadł sałatkę, po czym udał się na górę i położył na łóżku, żeby trochę odpocząć, walcząc z pokusą zamówienia do pokoju kolejnego drinka. Była dopiero trzecia, dużo za wcześnie. Zadzwonił na posterunek w Palm Springs i rozmawiał z tym samym porucznikiem, co poprzednio. Niestety, nie mieli żadnych informacji o Terry'ym Kinsale.

Kiedy porucznik zapytał go o powód indagacji, Sidney Blackpool skłamał i powiedział, że robi w ten sposób drobną przysługę Watsonom, ponieważ Terry Kinsale zostawił w ich domu coś, co chcą mu zwrócić.

Ogarnęła go senność, kiedy zadzwonił telefon. Gdy podniósł słuchawkę, usłyszał głos Harlana Penroda:

- To ja!
- Tak, Harlan, co jest?
- Nie zgadłbyś! Znalazłem Terry'ego!
- Poważnie? - poderwał się z łóżka. - Gdzie on jest?
- Nie wiem, gdzie jest teraz, ale wiem, gdzie będzie dziś wieczorem. W „Poppa's Place”. To bar dla homoseksualistów przy autostradzie w Cathedral City.
- Skąd wiesz, że tam będzie?
- Znalazłem dwie knajpy, gdzie Terry czasami bywa i wymyśliłem pewną historijkę, którą opowiedziałem tamtejszym barmanom. Powiedziałem, że jeden z przyjaciół Terry'ego wyprowadza się z Palm Springs na stałe i chciałby przed wyjazdem ofiarować mu cenną pamiątkę, zegarek Rolex.
- Czy to nie wyda mu się to podejrzanе? Anonimowy przyjaciel?
- Dowiedziałem się, że Terry ma wielu przyjaciół i jestem pewien, że nie jest w stanie spamiętać ich imion. Na pewno da się wpuścić.
- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Harlan - powiedział Sidney Blackpool. - Jestem z ciebie dumny. Wygląda na to, że Terry to ten, którego szukamy. Powiem panu Watsonowi, że to tobie należy się nagroda.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza, po czym Harlan Penrod powiedział:

- Nie robię tego dla pieniędzy.
- Wiem, że nie, ale...
- Watsonowie zawsze byli dla mnie dobrzy. Mam u nich pewną pracę, co nie jest bez znaczenia w moim wieku.
- Wiem, ale...
- Nie mógłbym przyjąć nagrody za coś takiego - ciągnął Harlan. - Robię to dla państwa Watson. I dla Jacka.
- W porządku, Harlan - Sidney Blackpool zgodził się. - W każdym razie dam ci znać, jak dalej potoczą się wypadki.

Detektyw odłożył słuchawkę i, nie zważając na wczesną godzinę, zamówił podwójną whisky. Potem wziął gorącą kąpiel z nadzieją, że alkohol i ciepła woda pomogą mu się odprężyć. Zdecydował zadzwonić do „Thunderbird Country Club” i zostawić dla Ottona wiadomość, żeby czekał na niego w hallu o piątej trzydzieści. Zaczają się na

Terry'ego w „Poppa's Place” i jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z oczekiwaniami, będzie to ich wielki dzień. Jeżeli chłopak nie złapie przynęty, to Sidney Blackpool ubierze się od razu w garnitur i będzie przygotowany do obiadu z Trish Decker.

Nagle zdał sobie sprawę, że piosenkarz z radia brzmi jak Ted Lewis.

„Nie trzyma się mnie forsa, nie mam ani centa.

Ale ona się nie żali na swój los, mogłaby mieszkać w namiocie.

Bo moja dziewczyna szaleje za mną i jest zawsze uśmiechnięta.”

Harry Bright. Biedny, stary sukinsyn. Zastanawiał się, gdzie Trish poznała Herberta Deckera. Poszedłby o zakład, że jeszcze w czasach, gdy była układną żoną gliny. Wiedział wszystko o żonach policjantów i rozkładzie pożycia w takich małżeństwach. Prawdę powiedziawszy, Trish Decker przywodziła mu na myśl jego byłą żonę, Lorie. Miała podobny profil, taką samą cerę i nieodłączny cyniczny uśmiech na twarzy. I smutne oczy.

Trish Decker miała smutne spojrzenie, ale nie należała do kobiet, które zgodziłyby się mieszkać w namiocie. Wtem zdał sobie sprawę, że zaczyna odczuwać coś na kształt współczucia dla podejrzanego w sprawie o morderstwo. Właśnie zamierzał głębiej przeanalizować to idiotyczne uczucie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Obsługa hotelowa.

Johnnie Walker Black i gorąca kąpiel pozwoliły mu zapomnieć o wszystkim na dwie godziny. Zapadł w drzemkę, podczas której nic mu się nie śniło. Przebudziwszy się był zdziwiony, że słońce zaszło już za szczyt góry.

Otto Stringer zaczynał widzieć podwójnie: dwa drzewa, dwie piłki golfowe i dwie Fiony, a to ostatnie oznaczało kupę cielska. Stali przy dziewiątym dołku. Było już na tyle późno, że na torze zostali sami. Dawno zarzucili obliczanie punktów.

Po wspólnym wypiciu prawie dwóch litrów „tai mai”, bluzka Fiony lepiła się od brązowego rumu z sokiem owocowym. W miarę opróżniania szklanek z koktajlem Fiona coraz mocniej klepała Ottona po ramieniu, kiedy tylko powiedział coś śmiesznego. A oboje doprowadzili się do takiego stanu, że wszystko wydawało im się zabawne.

Dla Ottona stało się jasne, iż ten przelotny flirt może zrodzić coś poważniejszego. Zaplanował, że kiedy w końcu uda mu się zaciągnąć tę starą, grubą flandrę do sypialni, to pokaże jej obolałe ramię, które zrobiło się czerwone od ciągłego poklepywania.

Wyjaśni, że przecież nie może iść do ludzi w takim stanie, jakby spędził piętnaście rund na ringu z „Cudownym” Marvinem Haglerem. Ale to wszystko później. Teraz miał przed sobą podejście do dziewiątego dołka, które znajdowało się niedaleko domu Lucille Ball. Poczł zapach drzew cytrusowych, a Fiona obiecała mu, że przedstawi go Lucy i Ginger Rogers.

- To miejsce śmierdzi grubą forszą - powiedziała Fiona, gdy starał się wyciągnąć z niej jakieś informacje, które pomogłyby mu ustalić status majątkowy nowej znajomej. - Dom kupiony w Thunderbird Cove przed czterema miesiącami właśnie sprzedano z milionowym zyskiem. Mieszka w nim właściciel klubu San Diego Padres.

- To okrągła sumka. - Otto udawał zblazowanego.

- Niezbyt wygórowana, jeśli wziąć pod uwagę zalety domu - powiedziała Fiona, bekając.

- Naturalnie, masz rację - odparł Otto, starając się nie trafić piłką meksykańskiego ogrodnika. Wcześniej o mały włos trafiłyby dwóch. Gdyby stosowano probierze trzeźwości w stosunku do kierowców wózków golfowych, znalazłyby się w mamrze zanim Fiona zdążyłaby pomyśleć, że to kolejny z jego dowcipów.

- Fiona - powiedział Otto, kiedy zbliżali się do dziewiątego dołka, który znajdował się w pobliżu małego stawu, na środku którego była mała wysepka z trzema palmami otoczonymi krzewami azalii. - A jak wygląda twój dom? Lubisz... przepych, czy raczej jesteś za prostotą w urządzaniu wnętrza?

- Mam wielki dom, Otto - powiedziała Fiona. Okulary zsunęły się jej z jednego ucha i zwiwały przekrzywione. Patrzyła na niego tylko jednym, wielkim okiem. - Spójrz na moją bluzkę! - wykrzyknęła. - Nawet obrusy po irlandzkim weselu są czystsze!

Druga porcja koktajlu osobiście zmieszanego przez Fionę była mocniejsza. Otto uderzył piłkę tak niefortunnie, że wpadła do przydomowego ogrodu, gdzie na leżaku wypoczywał młody mężczyzna w szortach. Gość poderwał się, podniósł piłkę i rzucił w kierunku Ottona, który grzecznie podziękował.

Otto sposobił się do powtórnej próby.

- Możesz zacząć skąd chcesz - Fiona beknęła. - Zawsze gdy piłka ląduje zbyt blisko domu, to masz prawo do rzutu wolnego.

- Dlaczego?

- Nie powinieneś podchodzić za blisko. Ten chłopak jest agentem Secret Service.

- Mieszka w takim domu?

- No - odparła Fiona, wyglądając jakby za chwilę miała zasnąć na stojąco.
- Nie do wiary! - wykrzyknął Otto i zatrzymał wózek, żeby lepiej przyjrzeć się budynkowi, z wnętrza którego zaczęli wychodzić jacyś ludzie.

- Fiona! - Wyszepiał Otto i tym razem on walnął ją w ramię, by wyrwać z odrętwienia. - Czy to możliwe, żeby to był on! Nie! Ależ tak!

- Czy wygląda jak Herman Munster? - wymamrotała Fiona Grout i poprawiła okulary.

- Tak. Właśnie potknął się o ogrodowy wąż. To on!

Otto nie był na tyle pijany, żeby nie pamiętać wszystkich błędów jakie zwykł popełniać w takich sytuacjach. Zdawał sobie sprawę, że z Fioną musi być inaczej, bo taka szansa może mu się już nigdy w życiu nie nadarzyć.

Otto powoli knuł spisek, który tym razem miał przynieść mu sukces. Dobrnęli do piętnastego dołka, gdy Fiona nagle powiedziała:

- Wiesz, że w tych stawach są okonie. Lubisz łowić ryby?

- Ależ tak - odpowiedział gorliwie. - Jestem całkiem niezłym wędkarzem.

- Na ścianie mam pełno przynęty na tych frajerów - powiedziała. - Kupiłam peruwiański gobelin od jednego z wielkich projektantów wnętrz i wiesz co? Był pełen moli!

- Ja też kiedyś miałem taki gobelin - powiedział Otto. Przypomniał sobie, że kupił go za trzynaście dolców w Tijuana. Na czarnym tle przedstawiał nagą rudą kobietę w sombrero na głowie. - Nigdy nie miałem szczęścia do gobelinów!

- Najpierw miałam tylko mole, które, zanim zdążyłam się zorientować, zmieniły się w larwy. Teraz to już są potężne robale!

- Fe! - Otto beknął. - Nie powinnaś mieć robali w gobelinie, Fiona.

- Gdyby żył mój mąż, to rozprawiłby się z wszawym architektem, który sprzedał mi to świństwo - powiedziała. - Obiłby go na kwaśne jabłko.

- Pewnie - przytaknął Otto i nagle przyszła mu do głowy myśl.

- Przydałby ci się mąż - powiedział, sposobiąc się do uderzenia przy piętnastym dołku.

- Wiem o tym, Otto - westchnęła, otwierając lodówkę, żeby dobrać się do resztki „mai tai”. - Czasami czuję się taka samotna.

- Och, tak - Otto westchnął jeszcze głębiej. - Nie powinniśmy być samotni w jesieni życia!

- Otto! - wybełkotała. - Nie powinieneś tak mówić! Jesteś jeszcze młodym chłopcem!

Przyszła mu do głowy kolejna wspaniała myśl. Chociaż nie był palaczem, wyjął z jej paczki dwa papierosy, po czym włożył oba do ust, tak jak to robił Paul Henreid dla Bette Davis w ulubionym filmie jego matki. Zapalił papierosy i delikatnie wsunął jednego z nich do jej ust. Powiedział:

- Już nie jestem taki młody, Fiona. Sądząc po wyglądzie zewnętrznym, jestem w średnim wieku, ale w środku czuję się staro. Jestem łysy i tak gruby, że mógłbym wykarmić piersią sześciu głodnych Etiopczyków. Ale wciąż wierzę, że znajdę kobietę, która umiałaby rozpalic we mnie dawny żar!

- Otto, zapaliłeś papierosa od strony filtra - zauważyła. - Mój Boże, jak to cuchnie!

- Proszę weź mojego - powiedział szybko Otto, wyciągając papierosa z jej zaślionionych ust i zastępując go swoim. - W każdym razie uważam, że my dwoje naprawdę nie powinniśmy skazywać się na samotność.

- Kończymy, Otto - powiedziała Fiona, nastawiając głośniej radio. - Jak nie skończymy za chwilę, to potrzebne nam będą górnicze kaski z reflektorami.

Chcąc zyskać na czasie, Otto zawtórował dźwiękom orkiestry Duke'a Ellingtona:

- „It don't mean a thing if you ain't got that swing! Doo-a doo-a doo-a doo-a...” - zaśpiewał idąc w stronę piłki, by przymierzyć się do pokonania niemal pięćsetmetrowego odcinka dzielącego ich od następnego dołka.

- Prawie zapomniałam, Otto! - wykrzyknęła Fiona. - W tym domu za jeziorkiem mieszka Billie Dove.

- Kto to jest Billie Dove?

- Och, Otto! - wykrzyknęła Fiona. Mówiłam, że jesteś jeszcze dzieciakiem. Była wielką aktorką niemego kina. Partnerowała Douglasowi Fairbanksowi!

- Ależ, jestem stary, Fiona! - krzyknął. - Proszę, nie mów do mnie, jakbym wciąż miał przed sobą choroby wieku dziecięcego!

Czuł, że mu się wymyka. Przez cały tydzień czuł się jak stary sklerotyk, a teraz nagle rzeczywiście miał wrażenie jakby był dzieckiem! Nie przykładając uwagi do uderzenia, mocnym ruchem posłał piłkę na jakieś dwieście trzydzieści metrów prosto w kierunku celu.

- A nie mówiłam ci, Otto, że jesteś młody - powiedziała Fiona. - Myślisz, że starszuszka potrafiłby tak przygrzmocić?

- O, cholera! - powiedział Otto, wykonawszy najlepsze uderzenie w całej swojej golfowej karierze. - O, cholera!

Kiedy w końcu dotarli do osiemnastego dołka, słońce już skryło się za szczytem San Jacinto i pole golfowe zaczęło pogrążyć się w mroku. Oboje stracili pięć piłek zanim wreszcie zbliżyli się do ostatniego dołka. Był to rekord dnia, podczas którego stracili w sumie dwadzieścia sześć piłek golfowych.

Otto melancholijnym spojrzeniem omiótł rzędy stożkowatych koron drzew. Palmy daktylowe, których pełno było w Dolinie Coachella, zaczynały mu się podobać, podobnie jak ludzie, z którymi się dziś zetknął. Zdał sobie sprawę, że może właśnie nadzedł jego czas. Ta jedyna chwila, która może odmienić jego zasrane życie. Myśl o tym, że resztę swoich dni miałby spędzić na patrolowaniu ulic Hollywood sprawiła, że bliski był płaczu.

Nastawił głośniej radio, i wreszcie zaparkował wózek golfowy na skraju pola. Zawtórował orkiestrze, grającej jeden z przebojów George'a Gershwina, wymyślając swój własny tekst do piosenki. Fiona przymierzała się do ostatniego uderzenia. Zamachnęła się potężnie, ale za mocno, zważywszy niewielką odległość do celu.

- Cholera! - krzyknęła, kiedy zdała sobie z tego sprawę. - Żegnaj, piękna piłeczko!

- Tak pięknienosisz kapeluuuusik! - Otto dostroił się do melodii płynącej z radia, a Fiona poprawiła czapkę, która pod wpływem morderczej siły uderzenia opadła jej na nos. - I ryjesz trawę jak dziiiiik! - dośpiewał Otto.

Miał rację. W darni, tam gdzie przed chwilą stała piłka, była teraz potężna dziura wielkości leja po wybuchu atomowym.

- Och, Otto! - wykrzyknęła z egzaltacją Fiona. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek gra sprawiła mi tyle zabawy! Położysz piłkę?

- Nie mogę. To była ostatnia.

- Jesteś niemożliwy, Otto!

Czuł, że nie wszystko jeszcze stracone. Nadal miał jakąś szansę!

- Ty mała szelmo! - powiedział. - Chodźmy do baru na jednego! Nie puszcę cię jeszcze do domu.

- Zgoda - przytaknęła. - Za pomyślne zakończenie gry. Mieszkam po drugiej stronie pola golfowego, więc chyba jakoś trafię.

- Chętnie zobaczyłbym twój dom, Fiona. Nie boję się robaków na ścianie. Przydałby ci się mężczyzna. W takim domu zawsze jest coś do zrobienia.

Było już prawie ciemno, kiedy wrócili do recepcji, gdzie przekazano Ottonowi wiadomość od Sidneya. Otto, pomyślał, że na ewentualną kontynuację flirtu z Fioną

może liczyć jedynie na polu golfowym i zaczął przemyślać jakby tu umówić się z nią na następny dzień. W związku z tym zwrócił się do recepcjonisty:

- Poproszę o tuzin piłek. Nieważne, jakiej firmy, ale żeby były pomarańczowe. Łatwiej je znaleźć w wodzie.

Był to ten sam mężczyzna, który wcześniej sprzedawał mu poprzedni tuzin. Położył piłki na ladzie.

- Zabiera je pan, czy pragnie je zgubić na naszym polu? - zapytał.

W drodze do baru Otto powiedział:

- Wcale nie wydaje mi się, żeby to było dowcipne, Fiona.

- Oni nie rozumieją, ile wysiłku kosztuje gra takich jak my - powiedziała Fiona uspokajająco. - Nie przejmuj się, Otto.

W barze radio nastawione było na stację nadającą starocie. Carmen Miranda śpiewała „Chica chica chic! Chica chica chic!”, a Fiona Grout zatrzymała się w hallu i wykonała kilka kroków samby na tyle zgrabnych, na ile pozwalały jej tusza, wiek i wypity alkohol.

- Jesteśmy od siebie oddaleni o całe wieki, Otto - zauważyła nostalgicznie.

- Wiem, kto to śpiewa! - Otto nie poddawał się. - Niech no tylko pomyślę. Taka babka, która nosiła na głowie cały stragan owocowy. No wiesz, taki staromodny kapełusz z bananami, jabłkami i orzechami kokosowymi! Och, Fiona, znam te piosenki równie dobrze jak ty!

Oboje zamówili „mai tai”, a barman, który omiótł ich spojrzeniem pełnym dezaprobaty, pomyślał, że poza klubem na pewno by nie obsłużył pary sprawiającej wrażenie pensjonariuszy odwykówki.

Fiona piła koktajl głośno siorbiąc zanim jeszcze barman podał szklanekę dla Ottona. Przy drugim końcu baru siedziało trzech facetów opowiadających dowcipy, zakłócając realizację misternie wymyślonego przez Ottona planu. Nie rozumiał, dlaczego ci mężczyźni działają mu na nerwy, ale to był fakt. Prawdę powiedziawszy, zdenerwowali go do tego stopnia, że wypadły mu z głowy wszystkie piękne słówka, którymi zamierzał oczarować Fionę.

Zamiast tego zdobył się tylko na bezpośredni szturm.

- Fiona umówmy się dziś na randkę. Tylko we dwoje.

- Randkę? Otto, nie mogę!

- W takim razie, może jutro znowu zagramy? - zapytał z nutą desperacji w głosie.

- Jutro? - Odstawiła szklaneczkę z „mai tai” na kontuar zapomniawszy wyjąć z ust słomkę. - Jutro gram z parą przyjaciół i z narzeczoną.

- Z narzeczonym?! - wykrzyknął tak głośno, że gdyby nie przeciwny kierunek wiatru, to z pewnością usłyszeli go w Mineral Springs.

- Tak, Otto. Jestem zaręczona. Wychodzę za mąż w grudniu, a potem jedziemy spędzić miodowy miesiąc na Wyspach Bahama, gdzie mieszka jego syn z rodziną. Na Boże Narodzenie poznam jego wnuki.

- Fiona! - Otto nie mógł uwierzyć.

- Gdyby nie to, chętnie umówiłabym się z tobą na dzisiejszy wieczór, Otto. Jesteś bardzo rozrywkowym facetem! Może zagrasz z nami, ze mną i moim narzeczonym? Ma na imię Wilbur. Na pewno go polubisz.

Otto nie potrafił zdobyć się na odpowiedź. Wpatrywał się tępym wzrokiem w szklaneczkę z koktajlem, a Fiona powróciła do siorbania swojego, nieświadoma faktu, że wszystkie nadzieje Ottona legły w gruzach.

Dowcipnisie przy barze opowiadali kawały. Jeden z nich był mniej więcej w wieku Ottona, a pozostali grubo po pięćdziesiątce. Właśnie któryś opowiedział jakiś żydowski dowcip. Potem drugi, o tym, co otrzymuje się po skrzyżowaniu Meksykanina i Mormona. Odpowiedź brzmiała: „Garaż pełen kradzionych produktów spożywczych”. Potem jeden z nich opowiedział jeszcze inny dowcip na temat mniejszości rasowych, tym razem o Murzynach.

To z kolei przypomniało im jakieś wydarzenie, które uznali za śmieszne.

- Wiecie co? - powiedział jeden z nich. - Mieliśmy tu jakiegoś Afrykanina, który ubrał sobie, żeby starać się o członkostwo w naszym klubie. Ponieważ jest raczej znaną osobistością, wydawało mu się, że ma jakieś szanse.

- Kto to był? - odezwał się Otto w alkoholowym widzie. - Gary Player?

- Co? - zapytał dowcipniś, patrząc w kierunku Ottona.

- Oni mają na myśli kolorowego - szepnęła Fiona.

- Ach tak? - powiedział Otto zachepliwym tonem.

- Macie na myśli takich, co dają swoim dzieciom kurze gnaty do obgryzania zamiast smoczków? Takich, Fiona?

- Przepraszam, jeśli pana urażiliśmy - powiedział tamten. - Sądziłem, że znajdujemy się w swojskim gronie.

- Uraziliście mnie? - zapytał Otto buńczucznie. - Nie jestem czarnuchem ani żółtkiem, ani meksem. Ale też nie jestem członkiem. - Naszła go taka złość, że posunął się do kłamstwa. - Ale wiecie, co wam powiem. Jestem demokratą. I myślę, że Ronald

Reagan jest zgrzybiałym, otępiałym od sklerozy starcem. Myślę, że uda mu się zrównoważyć budżet federalny, kiedy Jesse Jackson pójdzie polować na wiewiórki z członkami Towarzystwa Miłośników Broni Palnej, a Jane Fonda wstąpi do Cór Amerykańskiej Rewolucji.

Trzej dowcipnisie wymamrotali coś pod nosem, skończyli drinki i szykowali się do odejścia, gdy Fiona odwróciła się do Ottona i zapytała:

- Co się z tobą dzieje, Otto. Dlaczego to powiedziałeś?
- Nie mam pojęcia, Fiona - odparł szczerze. - To była najgorsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Nawet nie jestem demokratą! Wydaje mi się, że chciałem wywołać burdę!
- Rum robi z ludzi wariatów - powiedziała, głośno wysysając resztki koktajlu. - Lepiej idź do domu, Otto. Miło mi było ciebie poznać. Świetnie się ubawiłam.
- Rzeczywiście zachowuję się jak wariat! - powiedział. - Opowiadałem te same dowcipy, ale jakoś w tym miejscu wydały mi się wyjątkowo niestosowne!
- Wielu ludzi doszło do jakichś pieniędzy - poinformowała go Fiona. - Mają prawo grać w golfa z tymi, z którymi mają ochotę.
- Mają prawo, ale prawo jest złe - powiedział Otto z uporem.
- Jesteś pijany, Otto. Gadasz bez sensu.
- Może rzeczywiście powinienem pójść do domu.
- Teraz masz z pewnością rację - powiedziała i zabrzmiało to bardzo po gliniarsku.
- Dziękuję ci za miły dzień, Fiona - rzekł Otto, całując starą lalunię w policzek. - To ty jesteś niemożliwa, Fiona.

Sidney Blackpool już czekał przed budynkiem klubu, kiedy Otto wyłonił się ze środka z miną skazańca.

- Wyglądasz jak Arnold Palmer podczas Otwartych Mistrzostw Los Angeles - zauważył Sidney Blackpool - kiedy nie udało mu się trafić do dołka nawet w dziesięciu uderzeniach. Co się stało poza tym, że się uchłasteś? Mój Boże, coś ty pił? Twój sweter jest cały brązowy. Jeszcze dziś rano był żółty.
- A próbowałeś kiedyś prowadzić elektryczny wózek golfowy wypijając przy tym trzy litry „mai tai” w towarzystwie kogoś, kto okłada cię jak Larry Holmes?
- Dlaczego jesteś taki przybity? Niedobrze ci od gorzałki?
- Nie wiem, Sidney. Na Hollywood jestem za stary. Tutaj okazuje się, że jestem za młody. Tam jestem republikaninem, a tu demokratą. Tam marzą mi się te wszystkie

rzeczy, które można by kupić mając szmal. Tutaj okazuje się, że niektórzy koledzy z Wydziału, nawet gdyby mieli dość forsy, to i tak nie mogliby wkupić się do towarzystwa.

- Dobrze się czujesz?

- Jak załatwisz sobie tę robotę u Watsona, to może kiedyś zagramy razem na luksusowym polu golfowym, ale na pewno nie będziesz mógł zaprosić wszystkich chłopaków z Griffith Park.

- Ależ ty się spiłeś! - powiedział Sidney. - Co się tam właściwie wydarzyło?

- A nasi kumple to przecież gliny. Wszyscy należymy do tej samej kasty!

- Powiesz mi jak będziesz miał na to ochotę.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że nie mogę doczekać się powrotu do Hollywood, gdzie życie nie ma sensu, ale przynajmniej mnie to nie dziwi.

ROZDZIAŁ XV

Patsy

Weszli do baru „Poopa's Palace” zaledwie na dziesięć minut przed umówioną godziną spotkania z Terrym Kinsale. Na pustyni zapadł już mrok.

Alkohol był tu tani, chyba najtańszy w całej dolinie, a bar obsługiwało trzech mężczyzn, którzy mieli pełne ręce roboty. Wnętrze knajpy wypełniał hałaśliwy tłum, co była charakterystyczne dla barów z tego typu klientelą. Sidney Blackpool próbował na oko oszacować liczbę gości i doszedł do wniosku, że musi być ich około dwustu. Sala oferowała już tylko miejsca stojące.

- Musimy się rozdzielić, Otto - powiedział. - Nie ma sensu próbować dostać się do baru, żeby coś zamówić.

- Ja mam dość - odparł Otto posępnym tonem.

- Myślisz, że byś go rozpoznał na podstawie zdjęcia?

- Nie wiem, czy byłbym w stanie rozpoznać moją byłą żonę - powiedział Otto. -

Mam na myśli moją drugą żonę, bo pierwszej na pewno bym nie rozpoznał.

- Szkoda, że nie możemy napić się mocnej kawy.

- Mnie jest raczej potrzebny dobry szpital - zauważył Otto.

Detektywi zdołali znaleźć trochę miejsca na środku słabo oświetlonej sali i zaczęli rozglądać się po twarzach gości. Ludzie szczerlnie wypełniający wnętrze knajpy stanowili eklektyczną zbieraninę biznesmenów, robotników, żołnierzy piechoty morskiej. Wśród nich było wielu młodych blondynów, niestety część z nich była odwrócona tyłem lub profilem, co utrudniało identyfikację. Usłyszeli głośne okrzyki dopingiu. Otto zwrócił się w stronę stolika, przy którym odbywał się jakiś wyścig. Kiedy zbliżył się na tyle, żeby dojrzeć o co chodzi, zobaczył, że w wyścigu na blacie stołu biorą udział małe zabawki nakręcane kluczykiem, a dokładniej, dość realistycznie odwzorowane, podskakujące plastikowe penisy. Każdy z uczestników biegu nosił oznaczenia identyfikujące go z właścicielem: małe wstążeczki, nalepki w kształcie serduszek albo malutkie zdjęcie.

- W końcu coś, co sprawia, że czuję się jak w Hollywood - zwrócił się Otto do Sidneya.

Jakiś facet po siedemdziesiątce o smutnej twarzy z zapadniętymi policzkami wpatrywał się pełnym nadziei wzrokiem w młodego chłopaka o uwodzicielskim uśmiechu. Młodzieniec, ubrany w wielką koszulę bawełnianą i szorty, mrugnął porozumiewawczo do starego, który nucił pod nosem słowa piosenki dobiegającej z radia nastawionego na lokalną stację, nadającą stare przeboje. Marlena Dietrich śpiewała „Falling in Love Again” z filmu „Błękitny Anioł”.

- On nawet wygląda jak Dietrich - zauważył Sidney Blackpool.

- Jej głos jest chyba jednak głębszy - szepnęła Otto. - Nic z tego nie będzie, bo za chwilę chyba zemdleję. A jak zemdleję, to obawiam się, że mogę obudzić się w jakimś motelu w baletowej spódniczce i przykuty kajdankami do łóżka. Tu jest więcej pedałów, niż w angielskiej szkole prywatnej z internatem.

- Musimy poświęcić na to przynajmniej godzinę. To może być przełom w śledztwie.

- Wiem, wiem - powiedział Otto. - Po prostu mam złe przeczucie odnośnie całej tej sprawy. To nie jest normalne śledztwo. Mam wrażenie, że dookoła nas dzieje się coś dziwnego i nie mam na myśli tylko tej knajpy.

- Ty też to czujesz? - zdziwił się Sidney Blackpool. Otto nie stracił syna. Jest od szesnastu lat gliną i ma już tego dość, rozwodził się dwa razy i cierpiał z powodu nieuchronnego starzenia się. Otto jest typowym przykładem wielkowiejskiego gliny.

Siedzieli już w knajpie od godziny i właśnie zamierzali zbierać się do wyjścia, kiedy Otto złapał Sidneya za ramię:

- Sid! Patrz, to on!

Młody człowiek ubrany był w stylu Calvina Kleina połączonego z tanioczą z Santa Monica Boulevard, przyprawionego żołnierskim szpanem i pedalskim szykiem. To znaczy, miał koszulę, która nie była kupiona w Penney's, dżinsy nie wyglądały na oryginalne levisy, a skórzana kurtka uszyta została jedynie na wzór będącej na wyposażeniu U.S. Air Force. Jego fryzura przypominała nieco uczesanie żołnierzy piechoty morskiej, ale skażona była ingerencją dobrego fryzjera. Obaj gliniarze natychmiast zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu przyjaciela chłopaka - fundatora tych ulicznych ekstrawagancji, ale młody człowiek był sam.

Oczywiście nie miał pojęcia, kto przyjdzie na spotkanie i dlatego usadowił się w takim miejscu, żeby tajemniczy emisariusz bogatego kochasia z Rolexem mógł go łatwo dostrzec.

Terry Kinsale spojrział na zegarek, który nie był Rolexem, po czym nerwowo rozejrzał się po barze. Sidney Blackpool podszedł do chłopaka od tyłu i powiedział:

- Cześć Terry. To ja. Sid.

- Sid? - Terry miał blond włosy i małe uszy. Był wyższy od obu policjantów i wyglądał na wysportowanego. Detektywi zdawali sobie sprawę, że w tym miejscu byłoby im ciężko powstrzymać chłopaka, gdyby chciał próbować ucieczki.

- Phil prosił, żeby ci przekazać zegarek, Terry.

- Czy my się znamy? - zapytał chłopak, uważnie przyglądając się Sidneyowi.

- Nie pamiętasz, Terry? - powiedział detektyw. - Sprawia mi to przykrość.

- Przepraszam. Może powinienem pamiętać, ale...

- Byłeś z Philem, kiedy poznałem cię w jego domu w Palm Springs.

- Phil... - Terry Kinsale rozpaczliwie szukał w pamięci. Spojrział przepaszająco na Sidneya.

- To mój przyjaciel, Otto - powiedział detektyw, gdy jego partner precyzyjnie przesunął się w ich stronę przez tłum nowo przybyłych gości, którzy naciskali z siłą zdolną połamać żebra.

- Cześć, Terry - powiedział Otto. - Wiele o tobie słyszałem. Zaczekaj aż zobaczysz zegarek. To istne cacko. Sidney chodźmy stąd, bo czuję, że potrzebna mi będzie maska tlenowa. Trudno tu oddychać.

- Dobra. Chodźmy, Terry.

- Gdzie? - zapytał, ale posłusznie podążył za nimi. - Gdzie jest zegarek?

- U Phila. Mieszka w pobliżu klubu tenisowego. Nie pamiętasz?

- Spotkamy się z nim?

- Phil ożenił się - powiedział Otto.

- Z dziewczyną?

- Tak - odparł Otto. - Ten nasz Phil to niezły numer. Niestety, nie będzie mógł się z tobą teraz widywać, ale chciałby ofiarować ci prezent, który będzie ci go przypominał.

- Jasne. Myślę, że już sobie przypominam Phila! - powiedział, stukając się otwartą dłonią w skroń. - Przykro mi, że wcześniej nie pamiętałem. Prawdę powiedziawszy, przez ostatni rok strasznie ćpałem, ale teraz jestem czysty.

- Już sama gorzała czyni dostatecznie dużo szkód - powiedział Otto z przekonaniem.

Młody człowiek wyglądał na rozczarowanego, gdy zobaczył toyotę Sidneya Blackpoola. Przez historyjkę o Philu prawdopodobnie spodziewał się bogatszych emisariuszy zwiastujących nowe perspektywy finansowe.

Otto wcisnął się na tylne siedzenie, pozwalając Terry'emu usiąść obok kierowcy. Sidney Blackpool ruszył w kierunku Palm Springs, nie wiedząc gdzie dokładnie znajduje się posterunek policji, jedynie że gdzieś w pobliżu lotniska.

- Gdy skręcił w stronę lotniska, chłopak wykrzyknął:
- Hej, to nie jest droga do klubu tenisowego! Jedziemy w przeciwną stronę!

Otto lewą ręką sięgnął po odznakę policyjną i pokazał ją Terry'emu, a prawą obmacywał chłopaka w poszukiwaniu broni.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział. - Jesteśmy funkcjonariuszami policji z Los Angeles i chcemy z tobą pogadać.

- Policja! Chwileczkę!

- Nie ruszaj się, bo stracisz oddech na parę minut - powiedział Otto obejmując go ramieniem za gardło, podczas gdy Sidney Blackpool dodał gazu, żeby wybić Terry'emu z głowy ewentualną myśl o ucieczce z pędzącego samochodu.

Blackpool ujął kierownicę lewą ręką, a prawą dokończył obszukiwanie Terry'ego.

- O co chodzi? - zapytał chłopak. - O co właściwie chodzi?

Sidney z łatwością odnalazł budynek komisariatu policji. Wjechał na tamtejszy parking, zatrzymał samochód, wyłączył silnik i światła.

- Masz prawo odmowy zeznań. Wszystko, co powiesz może być użyte przeciwko...
- wyrecytował Otto.

- Hej, gównu mnie to obchodzi! - wrzasnął chłopak. - Chcę wiedzieć o co jestem podejrzany!

- Uspokój się, synu - powiedział Sidney Blackpool. - Zaraz się dowiesz.

Otto uwolnił szyję Terry'ego z uścisku, lecz położył dłoń na przycisku blokującym drzwi. Młodzieniec osunął się w fotelu z rezygnacją.

Jeszcze raz poinformowany został o swoich konstytucyjnych prawach i tym razem przyjął to spokojnie, po czym odezwał się:

- Nie mam nic do ukrycia, proszę pana. Po prostu chcę, żebyście mi dali spokój. Prawdę powiedziawszy miałem zamiar sam przyjść na posterunek, bo chcę podjąć pracę w hotelu, na co potrzebne mi policyjne zaświadczenie o niekaralności. Właśnie dostałem pracę w recepcji. Już nie ćпам i właśnie wynająłem z kolegą mieszkanie.

Nie mam nic do ukrycia.

- Wejdźmy do środka, Sidney - rzucił Otto.

- Najpierw zadam mu kilka pytań - powiedział Sidney Blackpool. - Pogadajmy przez chwilę. Powiedz nam, Terry, kiedy ostatni raz widziałeś się z Jackiem Watsonem?

- To o niego chodzi! - wykrzyknął chłopak. - Myślałem, że o kogoś z kim ćpałem w zeszłym roku. No wiecie, myślałem, że mnie namierzył jakiś tajniak jak sprzedawałem komuś towar, albo coś w tym stylu.

Chłopak wyraźnie odetchnął i wyglądał niemal na szczęśliwego, co spowodowało, że obaj detektywi poczuli się nieswojo.

- Powiniennem zgłosić się na policję, kiedy dowiedziałem się o śmierci Jacka. Ja tego nie zrobiłem i nic nie wiem na ten temat. Byłem bardziej wstrząśnięty, niż ktokolwiek inny.

- Gdzie się poznaliście? - zapytał Otto.

- W dyskotecie.

- Dyskotecie dla homoseksualistów?

- Nie, na normalnej. Nie jestem pedałem.

- Jasne, że nie - powiedział z przekąsem Otto.

- Naprawdę. Po prostu w zeszłym roku potrzebowałem forsy. Robiłem co się da, żeby zarobić. Ale nie jestem homo.

- Okay. No więc, poznałeś Jacka. Jak to było?

- Zaczęliśmy gadać przy barze. O dziewczynach, która ładniejsza i takie sprawy. Był w moim wieku. Miły chłopak. Typ studenta. Odwiózł mnie do domu tamtej nocy. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Braliście razem narkotyki? - powiedział Otto.

- Nie był ćpunem. Może popalał trawkę.

- A kryształ? - wtrącił się Sidney Blackpool.

- To do niego nie podobne. Ja brałem kryształ. Niuchałem. Nigdy nie wstrzykiwałem sobie tego świństwa.

- Skąd brałeś towar?

- Znałem takiego jednego gościa z harleyem z Mineral Springs. Mówili na niego Wielka Stopa. Dzwoniłem do niego jak miałem kupić towar.

- Jak długo znaliście się z Jackiem?

- Około sześciu miesięcy. Aż do jego śmierci. Byłem naprawdę wstrząśnięty. Nie kłamię.

- Jak często się widywaliście?

- Co drugi weekend, czasami częściej.
- Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Palm Springs?
- Tak mi się zdaje.
- Czy kiedyś spędziłeś noc w jego domu?
- Nie.
- A on u ciebie?
- Nie. Nie całą noc.
- Chłopcze, boli mnie łeb - powiedział Otto. - Zaraz obrzygam twoje piękne ciuchy. A ponadto wsadzę cię za morderstwo i pozwolę, żeby dalej zajęli się tobą gliniarze z Palm Springs. Przestań pierdolić głodne kawałki! Ty i Jack byliście kochankami, tak?
- Nie. Nie jestem pedałem.
- Ale mieliście wspólne...doświadczenia seksualne - łagodnie wtrącił się Sidney, włączając się do starej jak świat metody przesłuchania.
- Można by tak to ująć.
- Opowiadał o swojej narzeczonej?
- Nie chciał się żenić. Rodzina pchała go do tego kroku. Mówił mi, że trudno mu się sprzeciwiać woli starego.
- Jak bardzo cię lubił Jack? - zapytał Otto.

Chłopak po chwili wahania oderwał wzrok od swoich dłoni i odwrócił się do Sidneya Blackpoola:

- Wydaje mi się, że o wiele bardziej jak ja jego. Ja wtedy po prostu szalałem, a Jack był poważnym chłopakiem. Miał tyle problemów z ojcem i jego planami dotyczącymi ślubu, że...Wiedziałem, że nasz...związek nie ma sensu. Wiedziałem, że dla mnie oznaczać będzie tylko kłopoty. Nie chciałem, no wiecie, nie chciałem walczyć z jego starym. Ale on...Jack bardzo mnie lubił. Często wydzwaniał do mnie z uczelni - chłopak wydał stłumiony szloch. - Ja też go lubiłem. Jack był świetnym kumplem. Nigdy bym mu nie wyrządził krzywdy.
- Powiedz nam o tej nocy, kiedy zginął - powiedział Sidney Blackpool
- O tamtej nocy?
- Synu, czuję że eksploduję jak arabski terrorysta w ciężarówce pełnej dynamitu - szepnęła Otto Terry'emu do ucha. - Moja...moja cierpliwość się kończy. Jeździłeś jego porsche'm tamtej nocy!
- Skąd o tym wiecie?! - tym razem chłopak rozplakał się na dobre. - Dlatego wyjechałem z Palm Springs na jakiś czas! Bałem się, że coś takiego nastąpi. Rzeczywiście, jeździłem wtedy jego samochodem, ale jego ze mną nie było. Nie mam pojęcia,

co się wtedy zdarzyło w tamtym wąwozie.

- Jak to się stało, że miałeś samochód Jacka?

- Okłamałem go. Powiedział mi, że służący ma wolne tej nocy i chciał, żebym spędził z nim noc.

- Mów dalej, Terry - powiedział Sidney.

- Poszedłem do niego i powiedziałem, że przyjeżdża moja siostra i że muszę ją odebrać z lotniska, w związku z czym potrzebny mi samochód. Powiedziałem, że odwiozę ją do hotelu i spędzę z nim...to znaczy spędzę noc w jego domu. Dał mi kluczyki do porsche'a. Powiedział, że będzie na mnie czekał. Nigdy więcej go już nie zobaczyłem.

- Co wtedy zrobiłeś? - zapytał Otto.

- No...

- Mów dalej, Terry - Blackpool ponaglał go łagodnie.

- Chciałem pokazać się komuś w tym eleganckim wozie.

- Komu?

- Takiemu jednemu. Poznaliśmy się, gdy był w mieście na dwudniowej przepustce. To był żołnierz piechoty morskiej, którego poznałem w barze...dla homoseksualistów. Bardzo go lubiłem. Bardziej niż kogokolwiek innego. Był moim najlepszym kumplem. I wiecie co? Dziś nawet nie pamiętam jak się nazywał? Przypominam sobie tylko, że miał na imię Ken. To straszne, co kryształ robi z człowiekiem.

- Co robiliście z Kenem?

- Postanowiliśmy załatwić trochę amfetaminy. Zadzwoniłem do Wielkiej Stopy, ale nikt nie odbierał telefonu. Więc pojechaliśmy do jego domu w Kanionie Solitaire. Kiedy przyjechaliśmy, był już na miejscu, ale powiedział, że nie ma kryształu. Kazał nam czekać w samochodzie na końcu zwirowej drogi. Wkrótce pojawił się jakiś inny Kobra, potężny Murzyn w skórzanej kurtce. Trzymał w dłoni strzelbę! Powiedział, że mamy spierdalać, bo inaczej rzuci nasze zwłoki psom na pożarcie. Uciekaliśmy aż się za nami kurzyło.

- Co było dalej? Idzie ci całkiem nieźle - powiedział Otto.

- Nie ma o czym gadać. To wszystko. Odwiozłem Kena do mojego mieszkania i odstawiłem porsche'a. Jacka nie było w domu, więc postanowiłem samochód przed domem, a kluczyki zaniósłem do sypialni.

- Jak to możliwe? - zapytał Otto.

- Jack dał mi klucze. Powiedział, no wiecie... żebym nie dzwonił do drzwi, kiedy wrócę i...

- I co...?

- No i...żebym przygotował się do łóżka, bo on już... będzie na mnie czekał. Tyle tylko, że go nie było. Zajrzałem do garażu i zobaczyłem, że samochód jego ojca zniknął. Ten rolls, którego nie cierpiał. Pomyślałem, że pojechał mnie szukać.

- Pomyśl teraz uważnie, Terry - powiedział Sidney Blackpool. - Czy Jack wiedział, że czasami zaopatrujesz się w narkotyki w Kanionie Solitaire?

- Wcale nie muszę się głęboko zastanawiać. Wiedział, bo nawet kiedyś był tam ze mną. Zawiózł mnie porschem.

- Powiedziałaś, że nie był ćpunem.

- Bo nie był! Ale ubłagałem go, żeby mnie zawiózł. Obiecałem mu, że to będzie ostatni raz, jeśli zgodzi się pożyczyć mi szmal potrzebny na kupno kryształu i zawiezie na miejsce. Powiedziałem, że pójdę do kliniki na detoksykację i przestanę ćpać. Każdy narkoman wstawia takie pierdoły, kiedy jest na głodzie.

- Kiedy to było?

- Może ze trzy tygodnie przed śmiercią Jacka.

- Wiedział, że nie zgłosiłeś się do kliniki? - zapytał Sidney.

- Wiedział, ale nie dopuszczał tego do siebie. Udawał, że mi wierzy. Cały nasz...związek oparty był na niedomówieniach, udawaniu. Stwarzaliśmy pozory, że wszystko jest w porządku. Prowadziliśmy taką grę.

- Chwileczkę - przerwał mu Otto.

- Tak?

- Nic. Opowiadaj dalej - rzucił Otto.

- To już koniec mojej historii. Z domu Watsonów w Las Palmas poszedłem piechotą do baru dla homo, gdzie czekał na mnie Ken. I spędziliśmy razem noc. O Jacku dowiedziałem się z gazet.

- Co wtedy pomyślałeś?

- Wydedukowałem, że Jack pojechał tamtej nocy rollsem, żeby mnie szukać i pewnie załatwił go jakiś motocyklista z gangu „Kobra” i zepchnął samochód do wąwozu. Oni wszyscy mają broń. To są naćpani szaleńcy!

- A jednak nie zadzwoniłeś na policję? - zapytał Otto.

- Zaczęli śledztwo od przesłuchań członków gangu zaraz po tym, jak okazało się, że porwanie jest mistyfikacją! A w kilka dni po śmierci Jacka powiedzieli w telewizji, że F.B.I. wycofuje się ze śledztwa i że jego śmierć jest prawdopodobnie dziełem ludzi z gangu „Kobra”. Cóż więcej mogli się od nas dowiedzieć?

- Mogłeś im powiedzieć o Wielkiej Stopie - tym facie, od którego załatwiałeś towar. Może to on go zamordował. To mogłeś zrobić - powiedział Otto.

- Miałem stracha! Nie chciałem zostać zamieszany w sprawę mordu!
- A nagroda?
- Jaka nagroda?
- Nie wiedziałeś, że pan Watson wyznaczył wysoką nagrodę?
- Kiedy?
- W jakiś tydzień po znalezieniu ciała. Po tym, jak F.B.I. wycofała się ze śledztwa.

- Już mnie wtedy tu nie było. Pojechałem do Miami Beach na dwa miesiące i pracowałem tam w hotelu. Potem wróciłem do Kalifornii i znalazłem robotę w La Jolla. Nic o tym nie wiedziałem. Jak wysoka jest ta nagroda?

- Pięćdziesiąt kawałków - powiedział Otto.
- Pięćdzie... Idziemy! - wykrzyknął chłopak.
- Gdzie?
- Do środka! Chcę złożyć oświadczenie! Chcę, żeby mnie wpisali do rejestru świadków! Jeśli to Wielka Stopa, to nagroda mnie się należy! Idziemy!

Otto Stringer opadł na tylne siedzenie, trzymając się za głowę. Sidney Blackpool zapalił papierosa i gapił się w mrok policyjnego parkingu. Terry Kinsale wyskoczył z toyoty, aby dopisać się do listy płac Watsona zapominając o strachu przed zmotoryzowanymi gangsterami i gliniarzami z wydziału zabójstw.

- Wracaj Terry - zawołał Sidney Blackpool. - Która mogła być godzina, kiedy pojechaliście do Kanionu Solitaire i przepłoszył was ten wielki Murzyn?

- Nie mam pojęcia. Przecież to było ponad rok temu.
- Zastanów się - powiedział Blackpool zmęczonym głosem. - Skłamałeś Jackowi, że twoja siostra przylatuje do Palm Springs. O której godzinie rzekomo miała przylecieć?

- O dziesiątej. Pamiętam, że tak powiedziałem.
- Więc o której godzinie Jack pożyczył ci porsche'a?
- Mniej więcej piętnaście po dziesiątej.
- I potem pojechałeś do tego baru dla homoseksualistów, gdzie znalazłeś tego swojego żołnierza. Ile to mogło zabrać czasu?

- Może półtorej godziny.
- A co robiliście potem? To znaczy ty i Ken.
- Siedzieliśmy trochę w samochodzie na parkingu. Potem wymyśliliśmy, że trzeba załatwić towar. Zadzwoiłem do Wielkiej Stopy, ale nikt nie podnosił słuchawki i...
- Ile to mogło zająć czasu?
- Bo ja wiem, jakiś kwadrans.

- I co było potem?
- Pojechaliśmy do Mineral Springs.
- Więc kiedy zajechaliście na miejsce, musiało być koło północy?
- Tak sądzę.
- A nie widzieliście przypadkiem płonącego rolls-royce'a po lewej stronie drogi kiedy jechaliście pod górę?
- Pan chyba żartuje.
- Dobra. A więc Jack Watson musiał dotrzeć tam już po waszym odjeździe?
- Być może.
- Wracaj do domu, Terry. Odwiozę cię.
- Chcę pójść na posterunek! Chcę złożyć zeznanie i...
- Jutro zrobię to za ciebie - powiedział Sidney Blackpool. - Wielka Stopa nie zastrzelił nikogo. Ma świetne alibi.
- Jakie?
- Był cały czas w towarzystwie tego czarnego olbrzyma.
- Może zrobili to obaj!
- Ten czarny doniósł o tobie policji w kilka dni po znalezieniu samochodu. Oskarżacie się nawzajem. A teraz wsiadaj do samochodu. Zabiorę cię do domu.
- Młody mężczyzna z rezygnacją podszedł do toyoty, wsiadł i zatrzasnął drzwi.
- Jeśli ci motocykliści mają z tym cokolwiek wspólnego, to nagroda mnie się należy! - powiedział. - Chcę zacząć nowe życie!
- Każdy by chciał - rzekł Sidney, włączając silnik.

Podwieźli Terry'ego Kinsale'a, po czym pojechali prosto do hotelu wysadzić Ottona, który powiedział, że nie czuł się tak fatalnie od czasu, gdy jego druga żona po rozwodzie zabrała mu dom i samochód.

- Nie budź mnie jak wrócisz do pokoju, Sidney - powiedział Otto. - Nawet gdyby okazało się, że morderczynią jest była żona Harry'ego Brighta, a jej współniczką Fiona Grout. Chyba byłbym w stanie teraz w to uwierzyć. To miejsce jest jeszcze bardziej zwariowane niż Hollywood.

- To ta sprawa - powiedział Sidney» Blackpool. - Ta sprawa jest zbyt zagmatwana. Nie wiadomo, z której strony ją ugryźć.

- Chłopak sam się zastrzelił, Sidney - powiedział Otto.

- Mógł być nie wiadomo jak zazdrosny o przyjaciela, który go kiwał, ale na pewno sam się nie zastrzelił. Widziałeś ekspertyzę balistyczną. Jack Watson był praworęczny. Niemożliwe, żeby kula weszła pod takim kątem. Jeśli chcesz udowodnić, że

popęłnił samobójstwo, to lepiej wybij sobie to od razu z głowy.

- Wiem - odparł Sidney Blackpool. - W takim razie zostają nam tylko Coy Brickman i Harry Bright.

- Jasne. Albo jakiś anonimowy autostopowicz, którego poderwał na pociechę, gdy nie mógł znaleźć Terry'ego. Tego też nie można wykluczyć... Oj, nie wiem, Sidney. Muszę iść do łóżka. Wypuść mnie stąd.

- Będę strasznie spóźniony na spotkanie w „Thunderbird” - powiedział Blackpool. - Muszę wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę. Do zobaczenia rano.

Otto ruszył w stronę wejścia do hotelu, lecz po chwili zawrócił i krzyknął:

- Sidney! Zaczekaj chwilkę. O mały włos bym zapomniał.

Przyszło mi coś do głowy, kiedy ten chłopak opowiadał nam o Jacku Watsonie. Może to idiotyczne, ale...

- Wal!

- Terry powiedział, że ich znajomość oparta była na udawaniu, utrzymywaniu fikcji.

- No i...?

- Kiedy ten młody glina z Mineral Springs był na granicy udaru słonecznego, wydawało mu się, że ktoś śpiewa piosenkę „Pretend”.

Teraz wydaje mu się, że to jest „I Believe”. A może mu się pokręciło od tego upału i słyszał zupełnie inny stary przebój.

- „Make Believe”!

- No.

- Otto, wydaje mi się, że wyrośniesz na doskonałego gliniarza od zabójstw.

- Może jutro pójdziemy gdzieś posłuchać tej piosenki z O.A. Jonesem. Może to nic nie oznacza...

- Trudno coś teraz powiedzieć, ale to najlepsza rzecz jaką dzisiaj usłyszałem.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony. Dobranoc, Sidney.

- Śpij dobrze, Otto.

Kiedy dotarł do „Thunderbird Country Club” było już po dziewiątej. Zatrzymał się przy bramie wjazdowej i powiedział do strażnika:

- Sam Benton. Jestem umówiony na obiad z panią Decker. Czy zostawiła u pana moje nazwisko?

Strażnik zapisał coś w notatniku i powiedział:

- Tak, proszę pana. Życzę przyjemnego obiadu.

Zaparkował toyotę przed głównym budynkiem i wszedł prosto do restauracji

- Pani Decker - zaczęła hostessa - powiedziała, że będzie czekać w barze, ale to było już dość dawno temu.

Poszedł do baru.

- Tak, znam panią Decker. Była tu przez godzinę. Przykro mi, proszę pana - powiedział barman.

W pięć minut później jechał ulicami rozległego terenu „Thunderbird Country Club”. Pamiętał, że ulica nie nazywała się Thunderbird Cove, ani Thunderbird Heights. Wywnioskował, że w takim razie musi znajdować się gdzieś w pobliżu pola golfowego. Ulic nie było zbyt wiele, więc znalazł właściwą mniej więcej piętnaście po dziewiątej. W dwie godziny po czasie umówionego spotkania dzwonił do jej drzwi, mając nadzieję, że w domu nie zastanie nikogo ze służby.

Drzwi otworzyły się. Była trochę zdziwiona i dość pijana.

- Jak znalazłeś mój dom?

- Zapytałem przy bramie.

- Nie wolno im ujawniać adresów bez telefonicznego uprzedzenia.

- Byłem przekonujący. Czy mogę wejść?

- Niech najpierw usłyszysz twoją wymówkę. Dawno nie słyszałam żadnego dobrego dowcipu.

- Zdrzemnąłem się po lunchu i nie kazałem się budzić, bo nie sądziłem, że mogę spać dłużej niż godzinę. To chyba przez pustynne powietrze. Bardzo mi przykro.

- Ta historia wcale nie jest zabawna. Za bardzo trąci prawdą. No, a teraz chyba powinnam powiedzieć miłemu nieznajomemu „dobranoc”.

- Nie jestem nieznajomym. Znamy się od lat.

- To nie tak. Poznaliśmy się lata temu.

- Proszę, wpuść mnie choć na drinka. Czuję się okropnie.

- Dobra, na jednego - powiedziała, otwierając szerzej drzwi i robiąc dwa chwiejne kroki. - Specjalnie dla ciebie ubrałam nową skórzaną garsonkę - powiedziała. - A teraz zaskoczyłeś mnie w pidzamia.

Tak naprawdę to nie była pidzama, tylko srebrna koszula nocna i włoski peniuar kupiony w Beverly Hills. Sięgał do kostek i miał dwa wycięcia - na dole i przy szyi. Nie był to strój, w którym wypada przyjmować nieznajomych, ale widać nie robiło jej to różnicy. Pomyślał sobie, że nie jest pierwszym facetem, którego poznała w ten sposób podczas delegacji męża. Może nie pierwszym w tym tygodniu.

Pokój sprawiał wrażenie jakby był w całości zaprojektowany przez specjalistę od architektury wnętrz. Rozmyte, pastelowe kolory ścian i oprawione za szkłem grafiki o kolorach specjalnie dobranych do odcieni tkanin, dywanów i tapet. To wszystko musiało kosztować około stu tysięcy kawałków. Nieźle jak na drugi dom. Większość domów w tego typu klubach, to były drugie, trzecie lub piąte rezydencje, służące rozrywce i łatwemu życiu. Mówiono o jednym z właścicieli pustynnej rezydencji, bogatym europejskim przemysłowcu, że ma trzydzieści jeden domów, z których każdy nosi imię jednego z gatunków lodów firmy Baskin-Robbins.

- Często się - powiedziała wskazując barek i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę kanapy, gdzie czekała na nią wódka: pełna karafka.

Nie znalazł Johnnie Walkera, więc nalał sobie Cutty Sark - na cztery palce. Zawahał się, po czym dolał drugie tyle i wrzucił kostkę lodu.

- Widzę, że nie stronisz od płynów - zauważyła zgryźliwie.

- Nie piłem cały dzień.

- Chcesz prędko nadgonić straty, co?

Bełkotała i kiwała się, nawet siedząc na sofie. Nie miał zamiaru doprowadzić się do podobnego stanu. Nie z nią. Nie dzisiaj.

- Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu spóźnienia - powiedział.

- Już mówiłeś. Zrobiłeś mi tylko przysługę. Muszę zgubić parę kilogramów.

- Ależ, skądże - powiedział, pociągając solidny łyk whisky. Czuł, że musi trochę się wstawić, ale nie za bardzo.

- O czym będziemy rozmawiać? O dobrych, dawnych czasach w South Bay? Pracowałeś kiedyś w okręgu północnym? Ciągle namawiałam Harry'ego, żeby się przeniósł. Ale on mówił, że to dla niego za wysokie progi. La Jolla i cała reszta. Mówił, że tam trzeba by pracować w jedwabnych rękawiczkach. Oczywiście Harry nie nadawał się do roboty w jedwabnych rękawiczkach.

Wypiła, odstawiła szklanke, po czym jednak zmieniła zdanie i pociągnęła jeszcze jeden łyk.

- Jak to się w ogóle stało, że trafiłaś na pustynię? - zapytał, mając ochotę ściszyć radio, które nastawione było na stację z Palm Springs nadającą starocie.

- Tutaj mieszka mój mąż. Przynajmniej zimą. Mówi, że tutejsze powietrze leczy jego artretyzm.

- Ach, tak.

- Założę się, że wiem, o czym myślisz - powiedziała, wykrzywiając twarz w karykaturze uśmiechu.

- O czym?

- Ile on ma lat. Jest ode mnie starszy o dwadzieścia dziewięć lat. I niech mnie diabli wezmą, jeśli ci powiem, co to oznacza.

- Jeśli ty jesteś stara, to tak jak Lee Remick - powiedział.

- Zastanawiam się, kto jej robi operacje plastyczne. Bo mnie robi ten sam facet, który odmładzał naszą znakomitą i słynną sąsiadkę, Betty Ford.

Jej obsesja starzenia się spowodowała, że Sidney Blackpool zrewidował swoje poprzednie szacunki. Uznał, że Trish Decker musi mieć ze czterdzieści pięć lat. A ponieważ on czuł się, jakby miał na karku sześćdziesiątkę, to wyobrażał sobie jak staro musi się czuć ona.

- O czym jeszcze możemy pogadać? - Nie trafiła papierosem do onyksowej popielniczki.

- Trudno mi przypomnieć sobie szczegóły związane z Harrym - powiedział Sidney. - Po przejściu na emeryturę człowiek zaczyna zapominać przeszłości w zastraszająco szybki sposób.

- Też to zauważyłam.

- Czy swojego obecnego męża poznałaś w San Diego?

Pokiwała głową.

- Na zakupach w Fashion Valley. Z Herbem, to była miłość od pierwszego wejrzenia. Ledwie zobaczyłam jego maserati, a już byłam zakochana.

W jej oczach ujrział wyraz rezygnacji. Pomyślał, że być może Trish też, tak jak jemu, dokuczają poczucie winy.

- Kiedy to było? Dwanaście lat temu? Pracowałem wtedy w południowym San Diego, ale nie wiedziałem, że Harry rozwiódł się. Myślę, że po prostu nie rozgłaszał tego, tak jak inni koledzy. Zresztą, ja też nie opowiadałem wszystkim dookoła, że się rozwiódłem.

- Masz rację. Harry zawsze był raczej zamknięty w sobie. Należ mi jeszcze jednego, dobrze? Odrobinę.

Wziął to za zachętę, żeby przesiąść się na kanapę, co też uczynił. Okazało się, że „odrobina” oznaczała dla niej potrójną porcję, bo dopiero wtedy powiedziała „stop”.

Znowu nie trafiła papierosem do popielniczki i, podając jej szklaneczkę, przydepnął butem żarzący się na dywanie ognek.

- Kiedyś spłonę żywcem, jeśli wcześniej nie umrę na raka płuc - powiedziała i wydawało się, że nie robi to jej większej różnicy.

- Widujesz się czasami z Harrym? - Sidney Blackpool był zaskoczony, zauważywszy, że jego szklanka też jest pusta. Podeszedł do barku i nalał sobie kolejną solidną porcję whisky, żeby uspokoić drżenie rąk.

- Teraz już nie. I nigdy bez Herba. Nie od czasu, gdy opuściłam nasz dom w Chula Vista. Zostawiłam wtedy Harry'emu liścik z wyjaśnieniem, które tak naprawdę niczego nie wyjaśniało. Zgodziłam się na przyznanie mu prawa do opieki nad Dannym, ponieważ Herb był już za stary na dorastającego syna. Ale spędzałam z synem wszystkie szkolne wakacje. Zabierałam go na miesiąc każdego lata. Nawet kiedyś byliśmy razem w Europie. Ba, byłam z nim nawet... - urwała i westchnęła. Pociągnęła potężny łyk czystej wódki i powiedziała: - Nie widziałam się z Harrym od pogrzebu Danny'ego.

Wpatrywał się w dno swojej szklanki. Miał swój sposób na przesłuchanie pijaków. Jeśli pijak mówił, nigdy, ale to absolutnie nigdy nie przerywał jego monologu. A w przypadku osoby pijanej nawet spojrzenie prosto w oczy mogło spowodować zmianę nastroju i nagłe milczenie.

- Myślałam, żeby odwiedzić Harry'ego - powiedział Sidney Blackpool. - Powiedziałaś, że jest w jakimś domu opieki. Czy...

- „Pustynna Gwiazda” - powiedziała. - Przy drodze do Indio. Chciałam, żeby umieszczono go w lepszym szpitalu, lecz mój mąż się nie zgodził. Ale wysłałam im pieniądze, by Harry miał zapewnioną właściwą opiekę. Herb nic o tym nie wie.

- Rozumiem. Może to wcale nie jest takie złe miejsce.

- Jest - powiedziała. - Byłam tam dzisiaj.

- Naprawdę? - Sidney udał zdziwienie. - Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż nie widziałas się z Harrym od lat.

- Powiedziałam prawdę. Jestem w kontakcie z jego najlepszym przyjacielem. Może go znasz? Coy Brickman? Pracował z Harrym w San Diego. Znasz Coya?

- To Coy też tu pracuje? - zdziwił się Sidney. - Niech to diabli. Straciłem z nim kontakt jakieś pięć, może sześć lat temu.

Wreszcie podniósł głowę znad szklanki i zauważył, że Trish ociera łzy. Na jej twarzy nie pojawił się żaden ślad rozmazanego tuszu. Te wspaniałe rzęsy były w stu procentach naturalne. Rzęsy, na których można by wieszać choinkowe lampki.

- Harry załatwił Coyowi tę pracę w Mineral Springs - powiedziała. - A teraz, kiedy Harry...kiedy jest w takim stanie, pomoc Coya jest nieoceniona. Nie wiem, co bym zrobiła bez niego.

- Więc byłaś dziś w domu opieki? Dlaczego?

- Coy chciał się ze mną tam spotkać, żeby zdać mi relację o stanie Harry'ego. Niestety, niedobrze z nim.

- Coy zawsze był trochę dziwny - powiedział Sidney Blackpool, znowu spoglądając na dno szklanki. - Nie mógł ci tego powiedzieć przez telefon.

- Chciał, żebym coś przyniosła dla niego. Kasetę, którą mi Harry przysłał.

- Kasetę? - podniósł wzrok znad whisky.

- Taśmę z piosenkami w wykonaniu Harry'ego - uśmiechnęła się. - Może go słyszałaś na przyjęciach z okazji Bożego Narodzenia? Czasami wprawiał mnie w zakłopotanie tym swoim śpiewaniem. Znowu uśmiechnęła się cynicznie, ale z oczu ponownie popłynęły strużki łez. - Jakieś dwa lata temu Harry przysłał mi kasetę. Potem dostałam od niego kartkę z przeprosinami. Pisał, że był pijany, kiedy wysyłał taśmę, i że ma nadzieję, iż nie uraził tym mojego męża.

- Zaciekawiłaś mnie, Trish - powiedział. - Co takiego stary Harry wyśpiewywał na tej taśmie?

- Mój Boże! - powiedziała. - Te wszystkie stare piosenki, które tak uwielbiał. Śpiewał i grał jakieś osiem czy dziesięć ulubionych piosenek. Och, mój Boże!

Sidney Blackpool zrobił się czujny. Była bardziej pijana, niż sądził. Mogło się okazać, że nie zdoła pohamować szlochu i nie będzie można z niej już nic wydobyć.

- To znaczy Harry wciąż śpiewa? Pamiętam, że grał na jakimś instrumencie. Zaczęła, zaraz...

- Grał na gitarze, kiedy... kiedy byliśmy jeszcze młodzi - powiedziała. - A należałoby powiedzieć, że znał kilka akordów. A na tej kasecie grał na ukulele.

- Ciekawe, co też Coy Brickman zamierzał zrobić z tą taśmą?

- Powiedział, że chce ją skopiować dla siebie, i że odda mi ją za tydzień. Możemy już przestać gadać o Harrym? Robię się śpiąca i...

- Przepraszam - powiedział. - Jaka szkoda, że dałaś ją Coyowi. Tę kasetę. Właśnie chciałem cię prosić, żebyś mi ją puściła. Przez wzgląd na dawne czasy.

- Nie zrobię tego.

- Czy to ma oznaczać, że nie dałaś jej Coyowi?

- Okłamałam go. Powiedziałam, że ją wyrzuciłam. Nawet miałam ją przy sobie, ale zdecydowałam, że nie mogę pozwolić, żeby Coy jej słuchał. Harry nagrał ją

specjalnie dla mnie. To jest bardzo osobiste. Jak gdyby jego pożegnalny list miłosny.

I stało się. Rozlała wódkę i rozplakała się na dobre. Najpierw cicho, ale wkrótce nie mogła powstrzymać drżenia ramion i rzuciła się na kanapę, głośno szlochając. Sidney Blackpool przez chwilę popijał whisky i patrzył. Potem poszedł do łazienki, gdzie znalazł paczkę chusteczek higienicznych. Wrócił do salonu i podał jej kilka. Poklepał ją uspokajająco po plecach.

- Mój Boże, jestem pijana! - powiedziała. - Jak mogłam doprowadzić się do...

- Spokojnie, Trish - przerwał, głaszcząc ją po plecach i ramionach. - Wszystko w porządku. Nie przejmuj się.

Usiadła i otarła łzy.

- Chce mi się spać - powiedziała.

- Naturalnie. - Teraz był już pewien, że miewała wiele przelotnych romansów. Jediną różnicą było to, że tamci nie rozmawiali z nią o byłym mężu i nie doprowadzali jej do płaczu.

Jednak nie był pewien, czy da radę. Prawie stracił zainteresowanie dla seksu po śmierci Tommy'ego.

Pochylił się i pocałował ją. Wsunął rękę pod peniuar. To było takie łatwe, dużo łatwiejsze niż sobie wyobrażał. Był coraz mniej pewien, czy da sobie radę. Pomyślał o swojej byłej żonie, Lorie, która, pomimo swoich wad, zawsze potrafiła rozbudzić jego podniecenie, smutek, złość, gniew. Ta kobieta była do niej podobna, choć jeszcze bardziej bezbronna. Kto wie, może od czasu śmierci Tommy'ego Lorie też jest taka.

Zaniósł ją do łóżka. Bez słowa rozebrał się i zdjął z niej jedwabny peniuar. Miała jasną skórę, która nie była ani stara, ani młoda. Przez cały czas wyobrażał sobie, że to Lorie. Ona przez cały czas płakała. Miał nadzieję, że nie znienawidzi go. Całował ją i pieścił zarówno przed, jak i po. Starał się, żeby nie uważała go za pieprzonego sukina-syna, którym w istocie był.

Już po wszystkich leżeli na boku, ona odwrócona do niego tyłem.

- Ta piosenka zawsze przychodzi mi na myśl Harry'ego.

Dopiero kiedy odezwała się, uświadomił sobie, że cały czas gra radio.

„Kiedy uśmiesz się promiennie,

Kiedy śpiewasz fałszując,

Kiedy nawiedzasz mnie w snach,

Och, nie, tego nikt mi nie odbierze.”

- Harry wziął tę pracę w Mineral Springs po śmierci Danny'ego- powiedziała.

- Danny był świetnym chłopakiem. Miał stypendium sportowe.

- Tak - wciąż głaskał ją po plecach. - Tak...

- Wiedziała, że Harry wziął tę pracę w Mineral Springs, żeby być blisko mnie. Mimo że wiedział, iż nie będzie... nie będzie nawet mógł się ze mną zobaczyć. Wiedziała, że wciąż miał jakieś nadzieje, że... może pewnego dnia odejdę i zostawię... to wszystko. Harry był cholernym głupcem! - zatkała.

- Tak - szepnął Sidney.

- Kiedy...kiedy pochowaliśmy syna, przestałam widywać się z Harrym. Nie było takiej potrzeby. Życie...To było nieodwracalne. Wiesz, co to znaczy? Nieodwracalne. Wiesz, ile trzeba czasu, żeby to pojąć?

- Tak - powtarzał Blackpool. - Tak.

- Wtedy w marcu zadzwonił do mnie Coy Brickman i powiedział, że Harry miał wylew. Po jakimś czasie zawiadomił mnie o zawale Harry'ego. Teraz dzwoni od czasu do czasu, żeby poinformować mnie o jego stanie zdrowia. Wyobraź sobie, że przez ten cały czas ani razu nie poszłam go odwiedzić. Ani razu. Bo po śmierci Danny'ego wszystko stało się...nieodwracalne. I... kiedyś zapytałam Coya, dlaczego wciąż do mnie dzwoni, chociaż nigdy nie odwiedzam Harry'ego. Powiedział, że robi to, ponieważ wie, że Harry by sobie tego życzył. I... powiedział jeszcze, że wolałby, abym nigdy nie zobaczyła Harry'ego, nie w takim stanie, w jakim się teraz znajduje. Powiedział, że Harry też by tego nie chciał. Powiedział, że...

Znowu rozległ się jej szloch. Sidney Blackpool zastanawiał się, czy to przez tę piosenkę. Fred Astaire właśnie śpiewał: „Tak łatwo zapamiętać, lecz tak trudno zapomnieć.”

- Pamiętasz go - powiedziała. - Był zawsze taki silny i wesoły...

- Już cicho - powiedział Blackpool. - Uspokój się. Spróbuj zasnąć, Trish.

- To nie jest moje imię - powiedziała i były to ostatnie słowa wypowiedziane do Sidneya. - Tak mówi do mnie Herb ...wszyscy moi nowi znajomi. Kiedy byłam z Harrym, wszyscy mówili na mnie Patsy. Byłam po prostu zwyczajną Patsy Bright.

- Cichutko, Patsy Bright - szepnął, wciąż pieścąc jej ramiona, szyję i plecy.

Po chwili zasnęła, głębokim snem alkoholika. Nawet nie musiał chodzić na palcach. Wszedł z łóżka, ubrał się prędko i zaczął szukać kasety. Domyślił się, że nie trzymałaby tej taśmy w pobliżu magnetofonu, gdzie mógłby ją znaleźć mąż. To była jej osobista taśma, jej łącznik z dawnymi czasami, z Harrym Brightem i jej utraconym synem.

Przejrzał szuflady, komody i garderobę zawierającą około pięćdziesięciu par butów. Wrócił do salonu, gdzie odnalazł zestaw stereofoniczny, ukryty przemysłnie w jednej z szafek koło barku. Było tam wiele płyt i kaset, jednak wszystkie miały firmowe nalepki. Nie było wśród nich kasyety z amatorskimi nagraniami. Aż przyszło mu do głowy: samochód.

Sidney Blackpool przeszedł przez kuchnię do przyległego garażu. Stał tam czterodrzwiowy chrysler i jej mercedes 450 SL. Wyglądało na to, że Herb wyrósł już z maserati. Otworzył drzwi od strony kierowcy, po czym zajrzał do schowka. Było tam pełno kaset, wszystkie z wyjątkiem jednej miały firmowe oznaczenia. Włożył ją do kieszeni i wrócił do mieszkania. Pogasił wszystkie światła i wyszedł zatrzasnąwszy za sobą drzwi wejściowe.

Drżącą ręką włożył kasetę do radiomagnetofonu w swoim samochodzie. Włączył silnik. W drodze do hotelu przycisnął guzik odtwarzania w magnetofonie i słuchał Harry'ego Brighta.

O. A. Jones mylił się. Harry Bright nie brzmiał jak Rudy Vallee. Miał głos bardziej wibrujący, podobny do tenoru. Ale rzeczywiście śpiewał w podobnym stylu. A przy akompaniamencie ukulele brzmiał naprawdę jak artysta z dawnych lat. Harry Bright śpiewał „Where or When”, a potem „I'll Be Seeing You.”

Ostatnia piosenka zaczęła się od fałszywie uderzonej struny i chrząknięcia. Potem Harry znalazł właściwy akord i zaczął „We'll Be Together Again.”

Sidney Blackpool pomyślał o Trish Decker vel Patsy Bright płaczącej w poduszkę. Harry Bright śpiewał: „Znajdę cię w porannym słońcu i o wczesnym zmierzchu; będę patrzeć na księżyc, lecz ujrzę w nim ciebie.”

To był koniec wiązanki starych przebojów. Przewinął taśmę nieco do przodu, ale dalej nic już nie było. Przełożył ją na drugą stronę. Była pusta. Harry Bright nie nagrał „Make Believe.” Nie na tej kasecie.

Znowu przełożył ją na stronę A i jeszcze raz odtworzył wszystkie piosenki. Jedna z nich miała dedykację. Jego głos normalnie brzmiał o oktawę niżej, niż podczas śpiewania. Harry Bright powiedział: „Ta piosenka jest dla Patsy”, po czym uderzył w struny i zaśpiewał „I'll Be Seeing You.”

Kiedy Harry Bright śpiewał, Sidney Blackpool jeszcze raz powrócił myślami do Patsy, aż do refrenu piosenki.

„Idę parkową aleją, obok dziecięcej karuzeli,

Wśród kasztanowych drzew, gdzie źródło tryska.”

Wtedy pomyślał o chłopaku, którego nie znał. Pomyślał o Dannym. Potem znów o obojgu, o Dannym i Patsy Bright, kiedy Harry Bright śpiewał ostatni fragment refrenu:

„Znajdę cię w porannym słońcu i o wczesnym zmierzchu;

Będę patrzeć na księżyc, lecz ujrzę w nim ciebie.”

Sidney Blackpool czuł, że chce wywołać w sobie wściekłość. Pragnął, żeby tak się stało. To uczucie zawsze było w pobliżu. Prawdę powiedziawszy, czasami nie potrafił go opanować. Gdzie było teraz, kiedy go potrzebował? Zorientował się, że płacze, ale nie potrafi powiedzieć, nad kim. Opanował się dopiero, gdy podjeżdżał pod wejście do hotelu.

ROZDZIAŁ XVI

Zaczarowany domek

Sidney Blackpool spał bardzo niespokojnie. Pomyślał, że nie męczyły go koszmary tylko dlatego, że spał za krótko. Obudził się o świcie wyczerpany. Mdlilo go, więc postanowił, że nie będzie jadł śniadania. Zdołał jednak wypić trzy filiżanki kawy, które zamówił przez telefon. Zadzwoił na posterunek w Mineral Springs i kiedy słuchawkę podniosła Anemiczna Annie, zmieniając głos, poprosił O.A. Jonesa. Miał szczęście, bo młody glina właśnie wyruszał na patrol. Detektyw powiedział:

- Cześć, tu Blackpool. Idź do sklepu muzycznego, albo zadzwoń do rozgłośni radiowej. Posłuchaj starej piosenki pod tytułem „Make Believe.” Zrób to jeszcze dzisiaj. I nikomu ani mru-mru. Skontaktuje się z tobą.

Otto jak zwykle spał długo. Kiedy wreszcie wziął prysznic i ogolił się, wszedł do saloniku:

- Sidney, chyba nie mam ochoty na kolejny dzień na polu golfowym. To zbyt wielkie przeżycie dla mojej głowy. Moje ciało czuje się w porządku, pomijając te miejsca, gdzie waliła mnie Fiona, ale mój mózg jest cały obolały. Czy wiesz, że wczoraj byłem bliski sprowokowania bójki. Nie pasuję do klubu dla milionerów.

- Nie gramy dziś w golfa.

- Podejrzewam, że jedziemy do Mineral Springs.

- Aha - Sidney Blackpool potwierdził. - Kończy się nam lina, a jeszcze nikt nie zawisnął. Myślę, że czas pogadać na osobności z Paco Pedrozą i może z Coyem Brickmanem.

- I z glinami z Palm Springs. Chyba czas zdać im relację z naszego upojnego tygodnia w uzdrowisku.

- Może nawet odwiedzimy sierżanta Harry'ego Brighta. Zobaczymy w jakim naprawdę jest stanie.

- Jak ci poszło z jego żoną?

- Jego była żoną. Mam kasetę z nagraniami Harry'ego Brighta. Gra na ukulele i śpiewa starocie.

- I...?

- Nie ma na niej „Make Believe.” Musi być jeszcze inna kasetka. Coy Brickman dzwonił do niej i prosił, żeby mu ją pożyczyła. Zdaje się, że się denerwuje z naszego powodu. Chyba martwi się, że O.A. Jones może wreszcie wpaść na prawdziwy trop. Już go prawie mamy, Otto.

- A co z Brightem?

- Musi być w to jakoś zamieszany. Któryś z nich wrócił do spalonego wraka samochodu.

- Po co?

- Tego nie wiem. Zamordowali chłopaka. Zrobił to jeden z nich przy współudziale drugiego. Albo wszyscy mieszkańcy tego pieprzonego miasteczka są w to zamieszani. Po prostu, nie wiem.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Może odkryjemy to dzisiaj.

- Mogę najpierw zjeść śniadanie?

- Zjedz duże śniadanie. Dziś jest nasz ostatni dzień pracy. I niezależnie od wyników, wyjeżdżamy stąd.

- Dzięki Bogu - powiedział Otto. - Marzy mi się poleżeć przy basenie przez jedno popołudnie, a potem możemy wracać. Chyba zwariowałem, bo zaczynam już tęsknić do tych wszystkich wariatów z Hollywood Boulevard.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tak zrobić dzisiaj - powiedział Sidney Blackpool.

- Leżeć nad basenem? Wymoczyć się w leczniczych źródłach?

- No, właśnie. Prawdę mówiąc, potrzeba mi trochę relaksu i spokoju, żeby pomyśleć. Jak dotąd ciągle potrzebny mi był alkohol, a to niedobrze.

- Przeleciałeś jego żonę, Sidney? - spytał Otto. - Żonę Harry'ego Brighta?

- Jego była żonę.

- Nie musisz nic więcej mówić.

- A co to za różnica?

- Nie wiem, Sidney - powiedział Otto. - Ta cała sprawa cuchnie jak spalone zwłoki. Po prostu wolałbym, żebyś nie posuwał żony Harry'ego Brighta.

Byłej żony, cholera jasna.

- Chodźmy popływać - zaproponował Otto.

To wcale nie był taki zły dzień. Prawdopodobnie najlepszy podczas całych, tygodniowych wczasów w uzdrowisku. Sidney Blackpool drzemał na ogrodowym fotelu,

a kiedy w słońcu zrobiło się za gorąco, przeniósł się w cień, pod parasol, gdzie kontynuował drzemkę. Otto trochę się opalił i świetnie się bawił, to wypinając, to wciągając brzuch i kwicząc jak morświn, co wywołało śmiechy dwóch rozwódek - telefonistek z Van Nuys. Otto uważał, że są urocze i wcale mu nie przeszkadzało, iż nie są bogate. Więc postawił im kilka drinków i umówił się niezobowiązująco na ósmą w hotelowej restauracji.

Otto naprawdę wypoczywał. Szczyty gór wydawały się tego dnia niezwykle piękne. Niebo usiane było małymi, pierzastymi chmurkami, które, gonione pustynnym wiatrem, na chwilę otulały wagoniki kolejki górskiej. Szczyty Shadow Mountains połykiwały w promieniach słońca. Mimo poprzednich doświadczeń, Otto zapoznał telefonistki z egzotycznymi koktajlami: piñia colada i „tai mai”, po czym postawił im lunch, który zjedli wspólnie przy stoliku w hotelowym ogrodzie. Miał nadzieję, że jego partner prześpi całe popołudnie.

Sidney Blackpool obudził się około trzeciej, przepłynął kilka długości hotelowego basenu, rzucił Ottonowi znaczące spojrzenie, po czym ruszył w kierunku wejścia.

- To mój partner w interesach, dziewczyny - powiedział Otto.
- Nie wystawisz nas do wiatru dziś wieczorem, Ottonie? - zapytała starsza z kobiet.
- Gdybym się nie pokazał, znaczy, że mnie ktoś zamordował - powiedział Otto, a dziewczyny wybuchnęły śmiechem i powróciły do picia piñia colada.

O czwartej byli już w połowie drogi do Mineral Springs.

- Ciekawe, co Paco Pedroza powiedział na propozycję spotkania? - zapytał Otto przerywając milczenie.

- Nic. Po prostu zgodził się.
- A co powiedział, kiedy zastrzegłeś, że to poufna sprawa?
- To samo.
- A co ty powiedziałeś, kiedy wyznaczył spotkanie na polu biwakowym w oazie? Nie spytałeś, czy mamy przynieść z sobą produkty na piknik?

- Powiedziałem okay. Tylko okay. To małe miasto. On doskonale wie, że węszyliśmy dookoła. Możliwe, że czuje, iż natknęliśmy się na coś. Może nawet skapował, że Coy Brickman z jakiegoś powodu zrobił się bardziej nerwowy.

- Może sam też się zdenerwował, Sidney - zauważył Otto.

- Cokolwiek tutaj się dzieje, nie jest przecież wykluczone, że on sam jest w to wmieszany.

- Myślałem o tym - powiedział Sidney Blackpool. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

- Jesteśmy z dala od Hollywood, Sidney. Nie tylko w sensie fizycznym. Jedziemy na spotkanie z szefem lokalnego posterunku w odludnym miejscu, o zmroku. To wydaje się być równie bezpieczne jak piknik w Central Parku. A może on wie wszystko o śmierci Jacka Watsona? Może chce nas zwabić w pułapkę? Może będziemy następnymi, których znajdą w spalonym wraku samochodu w Kanionie Solitaire? Powiedz, że to też wzięłeś pod uwagę, Sidney.

- Wzięłem to pod uwagę.

- Powiedz, dlaczego jedziemy na spotkanie w takim dziwnym miejscu.

- Bo nalegał. Powiedział, że tam nas nikt nie zobaczy.

- Nie w mówisz mi, że cię to nie niepokoi - powiedział Otto. - Możliwość, że Coy Brickman albo ktokolwiek zmasakruje cię strzałem w głowę.

Jak mógł to powiedzieć Ottonowi? Nie bał się niczego. Tommy nie żyje. Dlaczego nie miałyby pójść jego śladem? Ale jak miał powiedzieć coś takiego Ottonowi? Milczał.

- Cholera! - wykrzyknął Otto i nie odezwał się już aż do końca podróży do Mineral Springs.

Paco jeszcze nie dotarł na miejsce. Zaparkowali samochód pod kępą palm daktylowych, za którymi znajdowały się drewniane stoły i ławy, skonstruowane specjalnie dla potrzeb sobotnio-niedzielnych pikników. Pobliskie wzgórze osłaniało to miejsce od wiatru, który nadciągnął tego wieczoru wyjątkowo wcześniej, lecz jeszcze nie słychać było jego potężnego wycia, a jedynie cichy szept. Jednak delikatny szum wiatru zdawał się być bardziej złowieszczy, niż jęklive zawroźnienie wichury. Obserwowali wiry w pobliskim wąwozie. Pustynne derwisze tańczyły i po nagłym podmuchu wiatru nagle zmieniały kurs lub rozpadały się sypiąc dookoła piaskiem. Im dłużej czekali na Paco, tym bardziej wydłużały się wieczorne cienie i tym mniej podobał im się pomysł spotkania z policjantami o potencjalnie morderczych zamiarach. No i bez broni.

- Powinniśmy po drodze zatrzymać się przed sklepem z bronią i kupić jakiegoś pierdolonego gnata - odezwał się Otto. - Mogliśmy wypożyczyć broń na posterunku w Palm Springs. Przecież to tak, jakby nurkować u brzegów Australii z kieszenią pełną krwistych befsztyków!

- Nie pozwalaj, żeby wyobraźnia płatała ci figle, Otto - powiedział Blackpool. - Paco nie jest mordercą.

- Ale może nim być jeden z jego chłopaków. Coy Brickman może właśnie podjąć decyzję, że po raz pierwszy w tym roku pozwoli sobie na mrugnięcie okiem. Żeby lepiej wycelować ze swojego gnata i mieć pewność, że rozwali nam łby.

- Być może. Ale musimy zaufać Paco. Przecież komuś musimy zaufać.

- Dlaczego? Nigdy przedtem tak nie postępowałeś, Sidney.

- To jedyna możliwość, żeby dojść do wyjaśnienia tego cholernego morderstwa! To nasza jedyna szansa.

- Tak bardzo ci zależy na tej robocie u Watsona, Sidney? Naprawdę, tak bardzo?

- Bardziej, niż na czymkolwiek innym.

- Może się okazać, że bardziej, niż na własnym życiu - skomentował Otto.

Spóźnił się o pół godziny. Cienie kładły się już głęboko na piasku pustyni. Ostatni sztylet słonecznych promieni spoza szczytów gór przeciął niebo, po czym zapadł mrok. Wjechał na parking z zapalonymi światłami. Sidney Blackpool dał sygnał światłami toyoty. Paco przyjechał radiowozem z Mineral Springs. Zaparkował obok i pomachał im ręką.

Sidney Blackpool wysiadł z wozu i usiadł obok Paco na przednim siedzeniu. Otto Stringer stanął przy radiowozie, zerkając na karabinek umieszczony wewnątrz na stojaku. Niestety, nie potrafił odgadnąć, czy Paco ma jakąś broń ukrytą pod obszerną hawajską koszulą.

- Zależało wam na zachowaniu tajemnicy, więc, co wy na to? - powiedział Paco Pedroza. Nie zauważyli w jego głosie cienia groźby, ani złowrogiego błysku w oku. Nie tym razem.

- Napracowaliśmy się nad sprawą Watsona - powiedział Sidney Blackpool. Otto rozglądał się niespokojnie po okolicy w poszukiwaniu błysku karabinowej lufy, lecz było już zbyt ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć.

- To naprawdę małe miasteczko - Paco powiedział. - Wiem, że byliście parę razy w „11-99”, w Kanionie Solitaire i pod domem Drżącego Jima. Doszły mnie nawet słuchy, że pewnego dnia ucieliście sobie pogawędkę z O.A. Jonesem.

- Czy to on panu powiedział?

- Nie. Wcale go o to nie pytałem. Pomyślałem, że gdyby uznał, że muszę o tym wiedzieć, to sam by do mnie z tym przyszedł. Bo, widzicie, ja ufam swoim ludziom. Bezgranicznie.

Zaniepokoiło to Ottona. Paco nie gadał jak jowialny gliniarz z małego miasteczka. Wcale.

- Nie wiedzieliśmy komu możemy zaufać - powiedział Sidney Blackpool. - Przepraszam, jeśli przekroczyliśmy nasze kompetencje.

- Przekroczyliście - powiedział Paco. - Gdybym to ja był na waszym miejscu, to przyszedłbym po prostu i wywalił kawę na ławę.

- Ale może się okazać, że któryś z pańskich ludzi jest w to zamieszany.

- Tym bardziej powinniście przyjść z tym do mnie. Wydaje mi się, że byliście mi winni choć odrobinę zawodowej kurtuazji. Ale to oczywiście nie ma związku ze sprawą. No więc, gadajcie to, co macie do powiedzenia.

- Cała historia mogłaby zabrać ze dwie godziny pańskiego cennego czasu, szefie, ale, żeby ją skrócić, powiem, iż pewne niezwykle rzadkie ukulele znalezione w Kanionie Solitaire doprowadziło nas do osób Coya Brickmana i Harry'ego Brighta. Brickman je kupił, prawdopodobnie jako prezent dla Brighta, a Harry Bright akompaniował sobie na nim, kiedy nagrywał na kasetę piosenki.

- Widziałem to ukulele - powiedział Paco. - Berenice Suggs niemal rozwalila nim łeb swojemu staremu.

- Coy Brickman nic o tym nie wiedział, prawda? - wtrącił się Otto.

- Miał tego dnia wolne. A ja mu o tym nigdy nie wspominałem.

- To doskonale się składa - rzekł Sidney - gdyż dzięki temu Brickman nie wie, że jesteśmy blisko rozwiązania.

- Jakiego rozwiązania?

- Zamierzamy dowieść, że Coy Brickman lub Harry Bright, albo obaj razem mieli coś wspólnego z morderstwem Jacka Watsona.

- A możecie mi, do cholery, wyjaśnić, jaki powód miałoby Brickman lub Bright, żeby zabić młodego Watsona? - Paco Pedroza stracił dotychczasowe opanowanie.

- Nie wiem, szefie - powiedział Blackpool. - Wiele bym dał, żeby to wiedzieć. Ale myślę, że jeden z pańskich sierżantów wrócił na miejsce zbrodni na krótko zanim odnaleziono zaginionego O.A. Jonesa. O.A. Jones słyszał głos Harry'ego Brighta, prawdopodobnie z kasety magnetofonowej.

- To interesujące - potwierdził Paco - ale jest tu kilka nieścisłości. Po pierwsze, Harry Bright miał wolny dzień tego dnia, kiedy pilot helikoptera wypatrzył Jonesa, i

nie jeździł do Kanionu Solitaire.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- Bo osobiście pożyczalem od niego samochód. Potrzebowaliśmy tego dnia wszystkich dostępnych pojazdów, żeby prowadzić poszukiwania tego pieprzonego lalusia, O.A. Jonesa.

- Czy jego samochód miał na wyposażeniu magnetofon?

- Chyba tak - powiedział Paco. - Harry bardzo lubił muzykę. Wiedziałem, że czasami gra i podśpiewuje sobie. Nie miałem pojęcia, że Coy sprezentował mu ukulele, ale wcale mnie to nie dziwi.

- Kto korzystał z samochodu Brighta?

- Jeden z moich ludzi jeździł po pustyni i szukał Jonesa.

- Kto?

Paco stracił trochę z dotychczasowego rezonu i zaczął pocierać brodę w zamyśleniu. W końcu powiedział:

- To mógł być Coy Brickman. Ale nie jestem pewien. Wysłałem wszystkich tamtego dnia w przeróżne miejsca. Ale czego to właściwie dowodzi?

- To był Coy Brickman! - powiedział Sidney Blackpool. - A oznacza to, że był w miejscu, gdzie pod tamaryskami leżał spalony wrak rolls-royce'a. Potem wrócił na posterunek i nie zdradził się ani słowem, że widział samochód z trupem w środku.

- Może go nie widział.

- Wszystko wskazuje na to, że był dokładnie w tamtym miejscu. Kiedy O.A. Jones usłyszy kasetę z piosenkami w wykonaniu Harry'ego Brighta, na pewno potwierdzi, że to właśnie jego głos słyszał tamtej nocy.

- I to ma być dowód w sprawie o zabójstwo? - powiedział Paco.

- Może to wystarczy, żeby kogoś wsadzić w Los Angeles, ale nie tutaj.

- Jest więcej poszlak - dodał pospiesznie Blackpool. - Billy Hightower, szef lokalnego gangu, osobiście doniósł Brightowi, że w noc morderstwa widział w Kanionie Solitaire niejakiego Terry'ego Kinsale, kumpla młodego Watsona, w jego czarnym porsche. Próbował kupić amfetaminę. Czy Harry Bright kiedykolwiek o tym panu mówił?

- Nie.

- Nie doniósł o tym nawet prowadzącym śledztwo glinom z Palm Springs. Nie powiedział o tym nikomu. Czym to wytłumaczyć? Zanikiem pamięci?

- Musi być jakieś wyjaśnienie. Może zgubili notatkę o tym doniesieniu. Moglibyśmy to łatwo sprawdzić, gdyby dało się pogadać z Harrym. - Paco zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym zapytał: - Poszliście dalej tym tropem?

- Tak - odparł Sidney Blackpool. - Ale do niczego nie doszliśmy. Terry o niczym nie wie. Ale najważniejsze jest to, że Harry Bright wiedział i nikomu nie powiedział ani słówka. Myślę, że chciał, by sądzono, iż Watson rzeczywiście zginął z ręki porywaczy, gangsterów albo przypadkowych włóczęgów. Nie sądzę, żeby Brickmanowi zależało, by gliny z Palm Springs zainteresowały się nimi.

- Ale, dlaczego? Z jakiego powodu Bright i Brickman mieliby załatwić tego chłopaka? Podpowiedz mi jakiś motyw!

- Nie wiem.

Paco Pedroza westchnął z rezygnacją i powiedział:

- To do niczego nie prowadzi. Czego ode mnie teraz oczekujecie?

- Chcę odtworzyć O. A. Jonesowi taśmę. Jeśli potwierdzi, że jest na niej ten sam głos, który słyszał tamtej nocy, to zamierzam zawiadomić Palm Springs i przyjrzeć się, jak dają sobie radę z następnym posunięciem.

- To znaczy?

- Trzeba będzie przeprowadzić próby balistyczne broni Brickmana i Brighta. Pocisk wydobyty z głowy Watsona nadaje się do przeprowadzenia analizy porównawczej. Jest szansa, że to coś rozstrzygnie.

- Jedziemy na posterunek! - powiedział Paco.

- Gdzie jest teraz Coy Brickman? - zapytał Otto.

- Ma dziś nocną zmianę. Powinien stawić się w pracy za czterdzieści pięć minut. Ale teraz będziecie mogli pogadać z O.A. Jonesem.

- Świetnie - rzucił Sidney Blackpool.

Anemiczna Annie wiedziała, że coś się święci, kiedy zobaczyła jak Paco wpada przez frontowe drzwi i woła:

- Annie, przywołaj mi natychmiast przez radio O.A. Jonesa.

W kilka minut później na posterunku pojawili się detektywi z Hollywood z minami równie poważnymi, jak ta na twarzy Paco Pedrozy. Kiedy weszli do pokoju Paco, ten zatrzęsął drzwiami z hukiem, co zdarzało mu się tylko wtedy, gdy zamierzał zdrowo ochrzanić kogoś ze swoich podwładnych. Anemiczna Annie wiedziała, że coś nieuchronnie wisi w powietrzu.

Po skomunikowaniu się z O.A. Jonesem, któremu nakazała natychmiast stawić się na posterunku, odebrała telefon. Dzwoniącemu mężczyźnie powiedziała, że sierżant Coy Brickman będzie obecny za jakieś pół godziny. Mężczyzna zostawił wiadomość dla sierżanta Brickmana, którą Annie skrzętnie zapisała i położyła w specjalnym koszyku na biurku sierżanta. Owym mężczyzną był właściciel lombardu.

O.A. Jones nie wyglądał na uszczęśliwionego, kiedy wszedł do biura szefa. Na biurku Paco Pedrozy stał przenośny magnetofon firmy Sony. Młody glina przeraził się, że chcą by jego zeznanie zostało zarejestrowane na taśmie.

Sidney Blackpool odezwał się pierwszy:

- Siadaj. Chcę, żebyś posłuchał kilku piosenek.

Chłopak wyraźnie odetchnął i powiedział:

- Miał pan rację. To było „Make Believe.” Słyszałem tę piosenkę i jestem pewien.

Nie musi pan...

- Myślę, że mamy na taśmie głos, który może wyda ci się znajomy - powiedział Blackpool.

- Głos mordercy? Jak...

- Siadaj, synu - przerwał mu Sidney. - Posłuchajmy.

Paco wcisnął klawisz magnetofonu i wszyscy trzej zaczęli przyglądać się O.A. Jonesowi. W połowie pierwszej piosenki otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Widać było, że coś go dręczy. Siedział sztywno i nawet nie drgnął. Sidney Blackpool wiedział, że młody glina rozpoznał głos sierżanta.

Kiedy Harry Bright przemówił, zapowiadając „I'll Be Seeing You.” O.A. Jones nawet nie mrugnął. Gdy umilkły dźwięki ostatniej piosenki, Sidney Blackpool powiedział:

- No i...?

O.A. Jones spojrział na detektywa, po czym przerzucił wzrok na Ottona Stringera. W końcu popatrzył na Paco Pedrozę i znowu na Sidneya Blackpoola.

- Nie jestem pewien - powiedział.

- Co?

- Sierżant Bright - powiedział O.A. Jones. - Ja... to znaczy, on śpiewa trochę tak, jak tamten facet. Chciałem powiedzieć, w taki staromodny sposób i w ogóle, ale...

- Czy to możliwe, że właśnie ten głos słyszałeś wtedy w wąwozie?

O.A. Jones spojrział znowu na szefa policji, a Paco powiedział:

- Musisz powiedzieć prawdę, chłopcze. Nie ma tu miejsca na fałszywie rozumianą lojalność. Musisz powiedzieć całą prawdę.

- Okay - powiedział O.A. Jones zwrócony do Sidneya Blackpoola, którego nerwy napięte były do granic.

- To był Harry Bright, prawda?

- Nie. Tego nie mogę powiedzieć.

- Co takiego?

- Nie mogę, sierżancie! Byłem bliski udaru słonecznego Od tamtej pory minęło sporo czasu. Poza tym nasłuchiwałem się tylu piosenek w najróżniejszych wykonaniach, że naprawdę nie mogę być pewien.

- A gdyby śpiewał „Make Believe?” - Sidney Blackpool kontynuował z desperacją. - Czy to zrobiłoby ci jakąś różnicę? A gdybym znalazł nagranie Harry'ego Brighta śpiewającego „Make Believe”, czy wtedy byłbyś w stanie go rozpoznać?

- Nie - odparł O.A. Jones. - Mam dobrą wyobraźnię. Potrafię sobie wyobrazić sierżanta Brighta śpiewającego „Make Believe”. Ale wciąż nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że to on.

- Bo jest sierżantem i twoim przełożonym!

- Ależ, nie - zaprzeczył O.A. Jones. - Bo to jest zbyt... ważne. Musiałbym mieć absolutną pewność. ABSOLUTNĄ. A tak nie jest, więc nie mogę tego potwierdzić.

- Cholera jasna! Przecież wiesz, że to był Harry Bright! - Sidney Blackpool podebrał się z krzesła. Paco Pedroza zrobił krok w jego stronę. Otto Stringer przestał opierać się o ścianę i wyprostował się.

- Spokojnie, Sidney - powiedział Otto.

- To wszystko, Jones - zakomenderował Paco. - Możesz wracać do zajęć służbowych.

- Przepraszam, sierżancie - O.A. Jones zwrócił się do Sidneya Blackpoola, który opadł ponownie na krzesło, błądzący z wściekłości.

Młody policjant pospiesznie opuścił biuro szefa. Kiedy Otto zamknął za nim drzwi, Paco Pedroza podparł się łokciami o blat biurka i odezwał drżącym głosem:

- Co wy sobie właściwie wyobrażacie? Przyjeżdżacie do mojego miasta i usiłujecie zastraszyć moich ludzi? Co wy sobie, kurwa, właściwie wyobrażacie?

- Niech pan posłucha, szefie - zaczął Otto. - Ta sprawa wymknęła się nam spod kontroli. Sidney nie...

- To śledztwo jest w rękach detektywów z Palm Springs - powiedział Paco Pedroza. - To znaczy, zostałyby wznowione, gdybyście byli w stanie dostarczyć dowody zdolne skierować dochodzenie na nowe tory. Ale, jak dotąd, udało wam się jedynie

dowieść, że Harry Bright potrafi śpiewać, o czym doskonale wiedziałem wcześniej. No, odkryliście, że ukulele, które Coy Brickman prawdopodobnie jemu podarował, znalezione zostało w Kanionie Solitaire.

- To jednak jest nieco dziwne, szefie - zauważył Otto, starając się złagodzić napiętą atmosferę.

- Być może dla takich jak wy - twardych gliniarzy z wielkiego miasta, którzy nie liczą się z nikim, jednocześnie nie mają zielonego pojęcia, o czym gadają. Może gdybyście mnie zapytali na samym początku; może gdybyście zachowywali się jak zawodowcy, byłbym w stanie wam to wszystko wyjaśnić.

Wtedy odezwał się Sidney Blackpool. Jego twarz była nadal nienaturalnie blada:

- Proszę bardzo, szefie. Proszę nam to spróbować wyjaśnić - powiedział.

- Wiedziałem, że Harry Bright czasami ucina sobie drzemkę w Kanionie Solitaire podczas nocnego patrolu - powiedział Paco. - W takim małym miasteczku nic się nie ukryje. Nie toleruję pijaństwa na służbie. To znaczy...Harry skończy pięćdziesiąt lat w przyszłym miesiącu. Chciałem wtedy odesłać go na emeryturę. Zamierzałem kupić mu złoty zegarek, wydać wielkie przyjęcie z tej okazji i ucałować go w oba policzki na do widzenia. Niestety, w spełnieniu tego zamiaru przeszkodziła mi jego nagła choroba.

- A co z Kanionem Solitaire? - zapytał cicho Otto.

- Nie dziwi mnie, że Harry mógł tam zgubić swoje ukulele, kiedy uchlał się na służbie. Posłuchajcie, on nie zawsze był pijakiem. Ale... stopniowo było z nim coraz gorzej. To znaczy, chlał coraz więcej. Jednak nie potrafiłem zdecydować się na wyrzucenie Harry'ego z roboty, co na pewno zrobiłbym w przypadku każdego innego z moich ludzi w takiej sytuacji. Nie wątpię, że Harry mógł tam być i wydierać się nocą na pustyni pełnym głosem jak jakiś stary kojot. Być może odłożył ukulele na dach radiowozu, po czym odjechał, zapominając o instrumencie, który spadł po drodze i został przysypany piaskiem. To wydaje się jedynym logicznym wyjaśnieniem.

- Jak wytłumaczyć to, co słyszał O.A. Jones? - zapytał Sidney Blackpool.

- Byliście świadkami jak O.A. Jones powiedział, że nie jest pewien, czy głos który słyszał, należał do Harry'ego Brighta. Przynajmniej ja to tak odebrałem. Ale, żeby was usatysfakcjonować, zamierzam wezwać tu Coya Brickmana i zapytać go, czy był samochodem Harry'ego w Kanionie Solitaire tamtego popołudnia, kiedy odkryto zwłoki Watsona w rollsie.

- Trudno się spodziewać, że się przyzna, jeśli rzeczywiście ma coś na sumieniu - zauważył Sidney.

- Posłuchaj, Blackpool - powiedział Paco, kierując wskazujący palec na detektywa. - Zrobię jeszcze więcej. W waszej obecności poproszę Coya Brickmana, żeby dał mi swój służbowy rewolwer do badań balistycznych. I broń Harry'ego także. Robię to z ciężkim sercem, ale biedny Harry jest w takim stanie, że nie wie, co się wokół niego dzieje, więc nie będzie miał o to do mnie żalu. - Paco urwał, spojrzął na Sidneya Blackpoola i Ottona Stringera, po czym ciągnął dalej. - Kiedy już będziemy mieli to za sobą, wynikną z tego następujące korzyści. Po pierwsze, będę mógł z przyjemnością udowodnić wam, że żaden z moich ludzi nie jest mordercą. Po drugie, osobiście odwiozę was do rogatek miasta.

- To rozsądne postawienie sprawy - powiedział Otto, po czym spojrzął na Sidneya, który tępo wpatrywał się w przeciwległą ścianę, i dodał: - Ma pan pełne prawo, żeby być na nas wściekły, szefie. Źle rozegraliśmy tę sprawę.

Paco wstał i zaczął przechadzać się za biurkiem, drapiąc się po tyłku i mrużąc coś pod nosem. Po chwili znowu usiadł. Nie należał do ludzi, którzy z łatwością potrafią opanować rozdrażnienie.

- Okay, okay - powiedział. - Może nie powinienem na was tak naskakiwać, ale posłuchajcie, powiem wam parę rzeczy o Harrym.

- Chętnie posłucham - odparł Otto, zajmując wolne krzesło, podczas gdy Sidney Blackpool zapalił papierosa.

- Wiecie, że Harry i Coy pracowali razem w San Diego - zaczął Paco. - Harry wprowadził Coya w arkana zawodu. Może nawet nadstawił za niego karku parę razy, wiecie jak to bywa. No i zdarzyło się pewnego dnia, że żonę Harry'ego znudziło robienie zakupów w tanich sklepach. Była szalową blondynką, poznała jakiegoś bogatego bubka i powiedziała „adios” Harry'emu i ich synowi, Danny'emu. Harry robił, co mógł, żeby nie zgłupieć, bo był strasznie zadurzony w tej dupie. Zawsze był optymistą. Wymyślił sobie, że na pewno wkrótce znudzi jej się życie w luksusowym klubie „Thunderbird”, wakacje na Hawajach i świąteczne zakupy w Paryżu. Harry myślał sobie, że Patsy wróci do niego z powodu syna, że nie wolno opuszczać własnego dziecka i ona to zrozumie. Taki był wtedy Harry Bright. Wszyscy z wyjątkiem Harry'ego rozumieli, że ona nie wróci. W międzyczasie Danny wyrósł na wspaniałego młodzieńca i, być może są ludzie, którzy bardziej kochają swoje dzieciaki, niż Harry kochał swojego

chłopaka, ale ja takich nie znam. No więc, Danny był świetnym uczniem i znakomitym piłkarzem, dzięki czemu uzyskał stypendium sportowe na Politechnice Kalifornijskiej. Zaczął studia. Pewnego dnia w 1978 roku Danny wracał z uczelni do San Diego, bo dowiedział się, że jeden z jego szkolnych przyjaciół miał wypadek samochodowy i krucho z nim. Danny był w samolocie linii PSA, który rozbił się wtedy ze stu czterdziestoma czterema pasażerami na pokładzie.

Paco Pedroza urwał, wstał z krzesła i wyjrzał przez okno w czarną pustynną noc. Stał przez chwilę w milczeniu z rękami założonymi do tyłu, po czym powiedział:

- Czasami gliniarze mają takiego pecha, że trafiają do miejsc, w których lepiej by-łoby się nie pojawić. Gdyby Harry nie był gliną, to nigdy nie znalazłby się na miejscu katastrofy. Ale był tam, oczekując na powrót syna z uczelni. Harry przyczepił odznakę policyjną do cywilnej koszuli i był jednym z pierwszych policjantów na scenie tragedii. Tutaj pojawia się Coy. Nigdy nie dowiedziałbym się o tym, co wtedy się zdarzyło, gdyby mi sam o tym nie opowiedział. Był na patrolu, zaledwie o parę kilometrów od miejsca katastrofy, kiedy ogłoszono przez radio alarm dla wszystkich jednostek. To było... niesamowite. W policyjnej robocie widzi się wiele przerażających rzeczy, które przedtem uważało się za niemożliwe. Coy napatrzył się tam na potworności, starając się, wśród kłębow gryzącego dymu, ewakuować okolicznych mieszkańców i przypadkowych świadków katastrofy w bezpieczne miejsce. I wtedy zobaczył dwóch niezna-nych mu gliniarzy. Stali pośrodku miejsca, które musiało wyglądać jak mała Hiroszima i ryczeli ze śmiechu. Coy podszedł bliżej, myśląc, że tamci dwaj postradali zmysły. Zobaczył jakiegoś reportera, który właśnie pstrykał zdjęcia pomylnym gliniarzom. Zapytał, co ich tak rozbawiło, bo nigdy w życiu bardziej nie potrzebował czegoś, co mogło by podtrzymać go na duchu. Wskazali mu faceta po drugiej stronie ulicy. Klę-czał i wpatrywał się w coś leżącego na ziemi. Powiedzieli, że nie potrafią opanować histerycznego śmiechu, bo inaczej chybaby zwariowali. Coy podszedł do tamtego i rozpoznał w nim swojego dawnego partnera z patroli, Harry'ego Brighta. Po chwili zobaczył to, czemu tak uważnie Harry się przyglądał. To była twarz. Nie głowa. Po prostu sama twarz. Ciała ofiar katastrofy były potwornie zdeformowane przez eksplo- zję i płomień. A to była ludzka twarz. Leżała na ziemi jak przewrócony do góry dnem talerz. Coy Brickman powiedział, że była to twarz młodego mężczyzny, ale nie mógł być tego pewien. Powiedział, że trudno być pewnym, kiedy widzi się samą twarz, po- zbawioną reszty czaszki. Była zniekształcona. Leżała na asfalcie, a jej oczy wpatrywały się w niego.

- Mój Boże! – jęknął Otto. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że...

- Tego nie wiemy na pewno - powiedział Paco, patrząc na Sidneya Blackpoola. - Nikt nie ośmielił się Harry'ego o to zapytać. Nawet Coy Brickman nie potrafił zadać mu tego pytania. Ale to przecież był czyjś syn, prawda? Może dla Harry'ego to wcale nie miało znaczenia? Może naprawdę nie ma znaczenia, czy, przy prawdopodobieństwie jak jeden do stu czterdziestu czterech, Harry znalazł właśnie tę twarz. Może to pytanie jest bezzasadne. Przecież to była jakaś twarz. Twarz czyjegoś syna.

- W każdym razie - ciągnął Paco. - Harry pochował Danny'ego, po czym usiłował się jakoś pozbierać, niestety, bez większego powodzenia. Założył się, że nieraz zastanawiał się, czy nie pocałować lufy swojej służbowej trzydziestki ósemki. Wszystko przypominało mu o tragedii: dom, dzielnica, sprzęty i pamiątki po tych, których stracił. Wtedy dowiedział się, że w Mineral Springs zamierzają powołać nowy posterunek. Przeczytał moje ogłoszenie, że poszukuję doświadczonego sierżanta i zadzwonił.

Umówiliśmy się na rozmowę kwalifikacyjną. Przyszedł. Zobaczyłem, że nie ma czerwonego pijackiego nochała, ale wydał mi się trochę za stary jak na rozpoczęcie na nowo, w nowym miejscu. Sprawdziłem jego akta osobowe w San Diego i okazało się, że jest pierwszorzędnym gliniarzem z ogromnym doświadczeniem w służbie patrolowej i dobrym organizatorem. Doskonale wiecie, że te sprawy rzadko idą w parze. Więc zdecydowałem się go zatrudnić, pomimo że wiedziałem, dlaczego zależało mu, aby dokończyć policyjną karierę w tym miasteczku. Dowiedziałem się, że jego była żona mieszka w „Thunderbird”, a Harry wciąż do niej pała uczuciem.

Wiecie, co? Znam ludzi, którzy wiele stracili w życiu, ale Harry Bright utracił wszystko. To prawda, przez ostatnie kilka lat przymykałem oko na jego picie na służbie. Zamierzałem poprosić go o przejście na emeryturę w przyszłym miesiącu. Mówię prawdę.

Paco usiadł i wpatrywał się w swoje dłonie.

- Nie podobało mi się to wszystko. Przecież doskonale wiedziałem, że na nocnej zmianie tankował gorzałę, a potem spał w radiowozie w Kanionie Solitaire, ale udawałem, że nic o tym nie wiem. Wszyscy moi chłopcy wiedzieli o tym i wszyscy go kryli. Wszyscy, nie tylko Coy Brickman. Wiele razy miałem ochotę opieprzyć go, kiedy wracał nad ranem po nocnej zmianie, cały roztrzęsiony i cuchnący wódką. Ale ilekroć przymierzałem się żeby mu wygarnąć, przychodził mi na myśl tamten dzień w San

Diego. Tajemnica kłęczącego mężczyzny, którą zabierze do grobu. Tajemnica, której wyjaśnienie jest w zasadzie nieistotne. Tamta twarz należała do chłopaka, czyjegoś syna, i myślę, że Harry też w ten sposób to odbierał.

Tak czy owak, przynaję, że stawałem w obronie Harry'ego Brighta w sytuacjach, w których inni spotkaliby się z ostrą reprimendą. I mówię wam: załatwimy tę sprawę do końca. Damy do zbadania broń Brickmana i Brighta, choć nie rozumiem jaki mogłoby mieć motyw, żeby zamordować młodego Watsona. Zrobię to, ale jestem absolutnie przekonany, że żaden z nich nie byłby zdolny do zabójstwa.

- Wkrótce przyjdzie - powiedział Otto. - Jak dojedziemy do przyczepy mieszkalnej Harry'ego Brighta? Nie znamy dokładnego adresu.

- Trzeba zjechać z głównej drogi w prawo, o dwie przecznice przed parkingiem w oazie. Później należy skręcić w Jackrabbit Road. To ostatnia przyczepa, na samym końcu ulicy. Jeden klucz ma Coy, a drugi trzymamy tutaj, w biurku. Wszyscy chłopcy z posterunku opiekują się domem Harry'ego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wpadła Anemiczna Annie.

- Szefie - powiedziała. - Radiowóz z patrolu szeryfa prowadzi pościg autostradą! Jeden z naszych wozów też się włączył.

- Kto?

- Maynard Rivas! Wygląda na to, że ścigają podejrzanego o rabunek z bronią w rękę w sklepie „Seven Eleven!”

- Cholera! - Paco wykrzyknął. - Gdzie O.A. Jones?

- Też ruszył za nimi.

- A Gacek? - Paco sięgnął do szuflady biurka po broń i skierował się do drzwi.

- Nie mogę go złapać przez radio!

- Cholera jasna! Wróć tak prędko, jak tylko będę mógł! Annie, jak przyjdzie Coy, powiedz mu, żeby zaczekał w moim biurze!

Paco Pedroza był już za drzwiami, kiedy krzyknęła:

- Coy już wyjechał na służbę! I nie mogę go złapać przez radio!

- Co takiego? - wykrzyknął Sidney Blackpool.

- Był tu przez chwilę, przeczytał wiadomość, którą zrobiłem dla niego i wybiegł do radiowozu. Nie mogę go namierzyć. Nie odpowiada na wezwania.

Kiedy Annie wróciła do radiostacji, Sidney i Otto wymienili spojrzenia, po czym wyszli z pokoju szefa. Usłyszeli jak Maynard Rivas melduje swoją pozycję w pościgu.

Sidney Blackpool zwrócił się do Annie:

- Co sierżant Brickman powiedział przed wyjściem?
- Nic, tylko zapytał mnie, kiedy dzwonił ten mężczyzna, który zostawił dla niego wiadomość.

- Jaki mężczyzna?
- Właściciel lombardu pytał, czy Coyowi zwrócono ukulele, którym interesował się jakiś detektyw. Nie powiedział, o jakiego detektywa chodzi, ale wywnioskowałam, że miał na myśli któregoś z was.

- Cholera, Otto, lecimy! - powiedział Sidney Blackpool, pędząc do drzwi.
- Muszę pożyczyć spluwę! - powiedział Otto do Anemicznej Annie.
- Nie wiem, czy mogę... - zastanawiała się.
- Nie gadaj, tylko dawaj tego pierdolonego gnata! - ryknął Otto, a drżąca ze strachu kobieta otworzyła kluczem szafkę, z której wyjęła colta kaliber 38 i podała go Ottonowi. Otto Stringer wsadził rewolwer za pasek spodni i wybiegł z budynku w ślad za partnerem.

- Nie powinniśmy tego robić! - powiedział Otto, wsiadając do toyoty.
- Nie mamy wyboru! Wie, że go przyskrzyniliśmy. Zamierza pozbyć się broni, swojej lub Brighta. Jeśli to jego spluwa, to nie mamy pojęcia, gdzie jej szukać, lecz jeśli to broń Harry'ego Brighta, to wydaje mi się, że wiem, gdzie jest.

- Brickman może próbować nas sprzątnąć, Sidney!
- Nie mamy wyboru. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Mam cię tu zostawić?
- Nie. Będę cię osłaniał - powiedział bez przekonania.

Sidney Blackpool przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, po czym skręcił w Jackrabbit Road i w chwilę później znaleźli się przy końcu ślepej uliczki, gdzie stał ruchomy dom Harry'ego Brighta. Wyłączył światła toyoty i podjechał w kompletnych ciemnościach do krawężnika. Uliczka znajdowała się na dalekich przedmieściach i pozbawiona była oświetlenia.

- Nie widzę samochodu Brickmana - powiedział Otto, prawie nie poruszając wargami.

Przy ulicze stało tylko sześć dużych przyczep odległych od siebie o jakieś trzydzieści metrów. Za nimi rozciągała się pustynia, aż do podnóża wzgórz. Kiedy zatrzymali samochód, usłyszeli wycie kojotów, które rozpoczęły nocne łowy.

- Jeszcze go tu nie ma - powiedział Sidney.
- Albo zdążył przed nami i już się ulotnił.

- Nie, bo szukałby dwóch rzeczy: broni Harry'ego i jego kasety. Potrzebowałby na to więcej czasu. Myślę, że właśnie pozbywa się swojej spluwy. I wydaje mi się, że przyjdzie tu, żeby przetrząsnąć mieszkanie Brighta w poszukiwaniu taśmy. Nawet gdyby to jego bronią zamordowano chłopaka.

Sidney Blackpool wycofał samochód i wprowadził go za jedną z przyczep, która wyglądała na opuszczoną. U wylotu uliczki usłyszeli szczekanie psa. Zwierzę było prawdopodobnie rozdrażnione ujadaniem kojotów.

Wysiedli z samochodu i podeszli do przyczepy. Wiatr wył przeraźliwie, a wtórowały mu pustynne zwierzęta.

Przez okno domku-przyczepy po drugiej stronie ulicy zauważyli kobietę krzątającą się po kuchni. Dom Harry'ego Brighta był mniejszy i przeznaczony do zamieszkania przez jedną osobę. Do przyczepy dochodziły przewody telefoniczne i kabel telewizyjny, doprowadzone ze stojącego opodal słupa.

- Posłuchaj, Otto, zaczaj się koło domu - wyszeptał Blackpool - i chciałbym, żebyś został przy samochodzie. Jak mnie zauważy albo spłoszy się z innego powodu, chciałbym, żebyś włączył reflektory i narobił hałasu, tak aby myślał, że Paco jest z nami. Nie chcę, żeby domyślił się, iż ma do czynienia tylko z nami. Mógłby stawiać opór.

- Może użyć broni.

- Nie dam mu do tego okazji. Jak tylko znajdzie się w środku, ujawnię się i dam mu do zrozumienia, że zabawa skończona. Wtedy na pewno zaniecha oporu.

- Cudownie! - powiedział Otto, patrząc w dół. - Ten gówniany colt nie jest nawet załadowany!

- Paco powinien pojawić się tu lada chwila - powiedział Sidney Blackpool. - Mam nadzieję, że nie zjawi się w tym samym czasie, co Brickman i go nie wypłoszy.

- To pierdolona sprawa - powiedział Otto, podnosząc latarkę i spluwę z pustym magazynkiem.

Jakiś samochód skręcił w ciemną uliczkę i dojechał do końca. Nie był to policyjny wóz patrolowy. Siedziało w nim dwóch chłopaków. Po chwili zawrócił i ponownie wyjechał na główną drogę. Detektywi usłyszeli, że głosy kojotów powoli nikną w od dali. Polowanie przeniosło się gdzie indziej.

Otaczały ich inne nocne odgłosy: cykanie świerszczy, pohukiwania nocnych ptaków, piski gryzoni i wiele innych, których źródła nie znali. Drzewo tamaryszkowe o poskręcanych konarach skrzypiało w porywach wichru, napędzając Ottonowi potężnego

stracha. Lękliwym wzrokiem spoglądał na tajemnicze kształty czające się w mroku pustyni za jego plecami. Przyszły mu na myśl grzechotniki i inne jadowite węże, które być może czały się gdzieś w pobliżu.

Sidney Blackpool miał wrażenie, że usłyszał jakieś skrobanie. Początkowo zdawało mu się, że to u frontu. Ostrożnie obszedł przyczepę i podpełznął do wejścia. Wyrzwał w stronę ulicy, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Kierując się impulsem, sięgnął do klamki. Drzwi były otwarte!

Jeszcze nie do końca zrozumiał znaczenie tego faktu. Jego mózg potrzebował kolejnej sekundy, żeby zdać sobie sprawę z potencjalnego niebezpieczeństwa. Człowiek wewnątrz przyczepy nie potrzebował pełnej sekundy. Przycisnął się przy drzwiach już kilka minut wcześniej i gotów był do ucieczki. Kopnął drzwi w momencie, gdy Sidney Blackpool nacisnął klamkę. Drzwi uderzyły go w skroń, odrzucając do tyłu. Kiedy wylądował w ogródku, nawet nie poczuł bolesnych ukłuc koleców kaktusa cholla.

Kwaśna ślina nabiegła mu do ust. Zauważył pulsujące światło latarki i zdał sobie sprawę, że nadbiega Otto, po chwili przewraca się i jęczy z bólu.

- Sidney! - Otto krzyczał. - Auuu! Moje ręce!

- Otto! - Blackpool podniósł się do pozycji siedzącej, czując kłujący ból na twarzy i karku. - Co z tobą, Otto?

- Moje ręce! - jęczał Otto. - Wpadłem w kaktusy! Cholerne kaktusy!

- Ja też - odparł Sidney Blackpool. - Czy to był on? Brickman?

Po chwili usłyszeli ryk włączonego silnika samochodu na głównej drodze i pisk opon.

- Nie wiem, Sidney. Miał ciemne ubranie. To mógł być mundur. Ale nie jestem pewien. Uuuuu, kurwa, moje ręce! Ależ to boli!

Obaj mężczyźni podnieśli się, a Sidney Blackpool ruszył do przyczepy. Drzwi były szeroko otwarte. Sięgnął do wyłącznika i zapalił światło.

- Nie ma co zawracać sobie głowy odciskami palców - powiedział - bo jeśli Coy Brickman opiekuje się domem Brighta, to i tak jest tu pełno jego odcisków.

- A może to był jakiś włamywacz - powiedział Otto i zaraz dodał: - Co ja właściwie pieprzę! Sidney, co my właściwie robimy na tej pustyni?

Otto wszedł do łazienki. Usunął kolce z pokłutych rąk, podczas gdy jego partner przeglądał zawartość szaf i szuflad. W sypialni, w pobliżu schowka gospodarczego, gdzie stał rower i pompka samochodowa, znalazł dużą szafę garderobianą, w której

wisiał sześć mundurów z naszywkami sierżanta. Przypomniawszy sobie jak gdzieś słyszał, że policjanci pracujący na pustyni potrzebują tylu zmian mundurów z powodu upałów. W końcu znalazł to, czego szukał. Na haku wisiał pas policyjny z kaburą. Była pusta.

- Cholerny sukinsyn! - krzyknął i z wściekłości kopnął drzwi szafy.

- No, dobra. Spluwy nie ma - odgadł Otto. - Chodź do kuchni i siadaj. Wyciągnę ci te pieprzone kolce.

- Zobacz, czy po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych jest jakiś ślad buta.

Otto westchnął, podszedł do drzwi wejściowych i przyjrzał im się. Po chwili wrócił z pięsetą w dłoni.

- Nie ma żadnego śladu.

- Sukinsyn - powiedział Sidney Blackpool. - Pierdolony...

- Nie ruszaj się! - rzucił Otto, wyciągając kolce kaktusa z twarzy i szyi partnera oraz dezynfekując obolałe miejsca spirytusem.

- Może powinniśmy pojechać z tym do szpitala. Czy jesteś pewien, że te kolce nie zawierają trucizny?

- Nie ma potrzeby. To nieszkodliwe roślinki - powiedział Blackpool kipiąc z wściekłości. Ręce drżały mu tak mocno, że nie mógł zapalić papierosa.

- Uspokój się - powiedział Otto. - Nie możemy nic na to poradzić. A jeśli chodzi o te, jak to nazwałeś, „nieszkodliwe roślinki”, to nie byłbym wcale taki pewien. Na tej cholernej pustyni wszystko jest wrogiem.

- Powinienem być o tym pomyśleć...

- Wyczerpaliśmy nasze możliwości - powiedział spokojnie Otto.

- Nie ma sensu mówić o tym, co powinniśmy zrobić. Siedź spokojnie! Już kończę.

Skończywszy zabieg, Otto odłożył pięsetę i spirytus na miejsce, a jego partner usiadł w kuchni, starając się opanować wściekłość.

- Myślę, że powinniśmy jutro wrócić do domu.

- A ja myślę, że powinniśmy doprowadzić tę sprawę do końca i wsadzić Brickmana za morderstwo! - upierał się Sidney Blackpool.

- Nikogo nie wsadzimy - odparł Otto. - Mamy zaledwie kilka nie sprawdzonych teorii i to wszystko.

- Przeszukajmy to miejsce.

- Po co?

- Musimy znaleźć chociaż kasetę

Otto pochylił się nad partnerem i z twarzą przy jego twarzy powiedział:

- Daj... sobie... spokój! Nie słyszysz co mówię? Taśma nie ma już żadnego znaczenia. Jones nie może lub nie chce zidentyfikować głosu Brighta. Broń zniknęła. Brickman wie, że jesteśmy na jego tropie i pozacierał ślady. Nigdy nie dowiemy się, co się właściwie stało. Rozumiesz? Dlaczego to do ciebie nie dociera? Straciłem już wszelką cierpliwość, cholera jasna!

- Okey. Masz rację. Nawet gdybyśmy mieli tę kasetę, to i tak nie miałyby to większego znaczenia. Po prostu staram się czegoś chwycić.

- Nie ma czego się chwycić. Dookoła jest tylko pustynny piach. Wracajmy do domu, Sidney.

- To nie wina pustyni.

- Niczyja wina - zauważył Otto Stringer.

Ogarnęło ich zrezygnowanie, ale po chwili, kierowani policyjnym instynktem, zaczęli rozglądać się po wnętrzu przyczepy. Otto wszedł do małego salonu.

- Sidney, zobacz to.

Fotografie. Jedne w plastikowych ramkach, inne w drewnianych. Fotografie powtykane w ramy innych, większych zdjęć. W małym pokoju było około trzydziestu fotografii, niektóre z nich powiększone do formatu 25 na 20 centymetrów. Stały na stolikach, półkach, wisiały na ścianach. Ponad połowa zdjęć przedstawiała Danny'ego Brighta. Na pozostałych widniała Patsy Bright. Harry był zaledwie na czterech fotografiach. Otto wziął do ręki oprawiony w ramki rodzinny portret z Dannym. Chłopak który mógł mieć wtedy jakieś dziesięć lat.

- Fajny dzieciak - zauważył Otto. - Podobny do niej. Prawie wcale się nie zmieniła. Oczywiście nie widziałem jej z bliska, ale tak mi się wydaje.

Sidney Blackpool poczuł się staro. Wolnym krokiem wszedł do saloniku i usiadł w fotelu Harry'ego Brighta.

Wziął fotografię z rąk Ottona:

- Zmieniła się. To Patsy Bright. To nie jest Trish Decker. Zmieniła się - powiedział.

- Harry Bright - Otto, wskazał na fotografię uśmiechniętego policjanta w letnim mundurze oddziałów z San Diego. Trzymał na rękach Danny'ego, który miał na głowie czapkę policyjną ojca. Harry Bright na tym zdjęciu był zdrowym i zadowolonym z życia mężczyzną.

- Wygląda jak stary Bright - powiedział Otto. - Nawet uśmiecha się jak Harry Bright. A teraz wynośmy się stąd, Sidney!

- Brickman grzebał w kasetach - zauważył Sidney Blackpool. - Na pewno ją znalazł. Musimy to zgłosić Paco.

Na podłodze obok telewizora leżało kilka kaset magnetofonowych i płyt. Drzwi szafki były otwarte, a wewnątrz znajdował się skromny zestaw stereofoniczny. Dwa małe głośniki wisiały na ścianie nad kanapą.

Otto otworzył drzwi szafki nad telewizorem i znalazł tam magnetowid. Włączył urządzenie i telewizor, po czym przycisnął guzik uruchamiający odtwarzanie. To był stary film. Dźwięk był wyłączony i Sidney Blackpool patrzył na niemy obraz, podczas gdy Otto podszedł do telefonu i zadzwonił na informację, żeby zapytać o numer posterunku policji w Mineral Springs.

Film nazywał się „Zaczarowany domek”. Sidney Blackpool pamiętał, że kiedyś już go widział. Robert Young grał w nim żołnierza o twarzy zdeformowanej wskutek ran odniesionych na wojnie. Dorothy McGuire grała prostą, nieśmiałą dziewczynę. Zakończyli się w sobie i odkryli, że ilekroć wchodzi do swojego małego domku, staje się cud. Ona zmieniała się w młodą piękność, którą była w jego oczach, natomiast on odzyskiwał swoją dawną urodę - stawał się takim, jakim był przed wojną. W skrócie można by powiedzieć, że zmieniali się w Dorothy McGuire i Roberta Younga, dwie wspaniałe hollywoodzkie gwiazdy filmowe. Był to niezmiernie ciekawy film. Niemniej, Sidney Blackpool oglądał go z rosnącym zainteresowaniem. Nastawił głośnik i zaczął nawet słuchać dialogów.

Otto zadzwonił się do Anemicznej Annie, od której dowiedział się, że Paco jest na miejscu wypadku, bowiem okazało się, iż biorący udział w pościgu radiowóz szeryfa zderzył się z samochodem podejrzanego uciekiniera. Maynard Rivas odniósł lekkie obrażenia. Powiedziała, że nie spodziewa się, żeby Paco od razu wrócił.

Otto wyszedł na zewnątrz, uważnie omijając kaktusowy ogródek, a Sidney Blackpool wciąż oglądał „Zaczarowany domek.” W końcu, po dłuższej chwili, Otto wrócił. Był zmęczony. Spojrzał na zegarek i zastanawiał się, czy i tym razem wylądują w hotelu za późno, żeby zjeść porządną kolację. Pomyślał, że wspaniałe byłoby zjeść jeszcze jeden wystawny posiłek w hotelowej restauracji. Postanowił, że nazajutrz wróci do Hollywood, niezależnie od decyzji partnera. Tak, jeszcze jeden posiłek w hotelu byłby czymś bardzo przyjemnym. Pomyślał, że sobie na to zasłużył.

Otto ze zrezygnowaniem usiadł na kanapie. Zwrócił uwagę, że stary, ciekawy melodramat wciągnął Sidneya. Film o ludziach, którzy stworzyli sobie krainę ułudy;

ludziach, którzy przywodzili mu na myśl piosenkę Harry'ego Brighta. A to z kolei nasunęło mu Coya Brickmana. I kiedy myślał o nim, usłyszał odgłos kroków przed domem.

Po chwili otworzyły się drzwi i Otto powiedział:

- Właśnie o panu myślałem.

ROZDZIAŁ XVII

Zabawa w udawanie

- Paco powiedział mi, że bym po was wpał - powiedział Coy Brickman. - Odgadł, że tu będziecie po tym, jak dowiedział się, że pożyczycie od Annie spluwę, aby bronić się przed kojotami. Nocne strzelanie na pustyni bywa niebezpieczne.

- Ty sukinsynu - powiedział Sidney Blackpool podnosząc się z fotela, lecz Otto położył mu rękę na ramieniu. Wyłączył magnetowid, a Coy Brickman, udając, że nic nie słyszał, powiedział:

- Oglądacie „Zaczarowany domek”, tak? To ulubiony film Harry'ego. Widział go chyba ze sto razy. Nawet mnie zmusił do tego ze dwa razy, kiedy był pijany. Co się stało z twoją twarzą, Blackpool?

Szczęka i strona twarzy Sidneya były opuchnięte i pokryte śladami ukłuć kaktusowych kolców.

- Sidney przewrócił się - powiedział Otto. - Ja zresztą też. Faceci z miasta nie sprawdzają się na pustyni.

- Pewnie, że nie - odparł Coy Brickman, wpatrując się w Blackpoola świdrującym spojrzeniem zimnych, szarych oczu.

Otto zerknął na buty Brickmana. Były czyste i lśniące. Miał czas, żeby je oczyścić. Granatowe spodnie munduru też były czyste, a jego przerzedzone kasztanowe włosy świeżo uczesane. Prawdę powiedziawszy, Coy Brickman wyglądał jakby był przygotowany do inspekcji, co w zasadzie odpowiadało prawdzie.

- Skąd się wzięło to pęknięcie w drzwiach? - zapytał Coy Brickman. - I jak się tu w ogóle dostaliście? Paco dał wam klucz?

- Nie przeginaj Brickman - ostrzegł Sidney Blackpool. - Nie posuwaj się za daleko!

- O czym mówisz? - w zasadzie nie zabrzmiało to jak pytanie. - Paco powiedział mi, że macie jakąś obłądną teorię, iż Harry Bright i ja załatwiliśmy młodego Watsona. Powiedział, że żądacie badań balistycznych naszych rewolwerów.

Coy Brickman przestraszył Ottona wyciągając z kabury rewolwer, cały czas wpatrując się prosto w oczy Sidneya Blackpoola. Podał mu broń mówiąc:

- Uważaj, jest naładowany.
- Odpiardol się - powiedział Sidney Blackpool, nie dotykając nawet broni.
- Nie chcesz go? Zmieniłeś zdanie?
- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest rewolwer Harry'ego Brighta? - zapytał Otto.
- Jasne, że wiem - odparł Brickman z wyrazem twarzy, który w jego mniemaniu uchodził za uśmiech. - Jest tutaj - podszedł do szafy garderobianej, otworzył ją i bez cienia emocji powiedział:

- Zniknął.
- No właśnie - powiedział Otto.
- Mówicie, że drzwi były otwarte?
- Tego nie powiedzieliśmy - zauważył Otto.
- Były, czy nie?
- Tak - odparł Otto. - Jak przyszliśmy, to drzwi były otwarte.
- W takim razie ktoś musiał ukraść rewolwer Harry'ego. Mówiłem Paco, żeby nie trzymać klucza na posterunku. Za wiele ludzi tu przyłazi. Ze dwa razy był tu jakiś hydraulik. Sprzątaczką przychodzi dwa razy w tygodniu. Był też facet, żeby umyć okna i...

- Trudno powiedzieć, kto mógł zostawić drzwi otwarte - podsunął Otto.
- Właśnie - powiedział Coy. - Wygląda na to, że nic innego nie zginęło.
- A jednak jeszcze coś zginęło - odezwał się Sidney.
- Co takiego, Blackpool? - zapytał Coy Brickman, kierując na detektywa zimne spojrzenie.

- Kasetą magnetofonowa. Taśma, na której Harry Bright nagrał kilka piosenek w swoim wykonaniu. Jedną z nich jest „Make Believe.”

- Tak, Paco właśnie mówił mi coś o tym. I O.A. Jones też. Widziałem się z nim przed chwilą. Przemierzaliście całą pustynię wzdłuż i w szerz po to, żeby rozszyfrować sprawę ukulele i kasety, a wystarczyło mnie o to zapytać. Rzeczywiście kupiłem to ukulele dla niego i mam tę taśmę. Czasami puszcza ją dla niego.

- Puszcza ją? - zdziwił się Otto.
- Pewnie. Harry uwielbia muzykę, nie mam pewności, czy coś z tego do niego dociera, ale wierzę, że tak. Nie macie pojęcia, co może zrobić z człowieka wylew krwi do mózgu.

- Może powinniśmy zobaczyć to na własne oczy - powiedział Sidney Blackpool. - Teraz obaj patrzeli na siebie z taką wściekłością, że Otto wkroczył pomiędzy nich i zapalił papierosa dla Sidneya.

- Chcecie zobaczyć Harry'ego Brighta? - zapytał Coy Brickman. - Dobrze. Zapytam Paco, czy pozwoli mi pojechać do hospicjum jeszcze dzisiejszego wieczoru. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu. I wtedy będziemy was mieli z głowy.

- Może zatem zaspokoisz naszą ciekawość i odpowiesz na kilka pytań - rzekł Otto. - Czy przypadkiem nie byłeś w Kanionie Solitaire tego dnia, kiedy znaleziono samochód Watsona?

- Na Boga, nie - zaprzeczył Brickman. - Skąd wam przyszło do głowy?

- Przypuszczam też, że nie wiedziałeś o tym, że w parę dni później Harry uzyskał niezwykle ważną dla śledztwa informację od Billy'ego Hightowera?

- Harry? Nie, nie wspominał nic o Billy'm.

- Wolałbym go o to zapytać osobiście - powiedział Sidney Blackpool.

- W takim razie ruszajmy. Możecie pytać go o cokolwiek tylko chcecie. A może teraz wy odpowiecie na parę moich pytań?

- Na przykład...? - rzucił Otto.

- Co było motorem tego zmasowanego śledztwa? To znaczy, przecież ta sprawa jest w gestii Palm Springs. W większości przypadków jakie znam, detektywi starają się wyłączyć śledztwo spod swojej jurysdykcji, a tutaj okazuje się, że dwóch facetów wdziera sprawę z rąk detektywów z Palm Springs. W związku z tym nie mogę się oprzeć podejrzeniu, że chodzi o forszę. Że Watson obiecał wam pięćdziesiąt kawałków nagrody, na wypadek, gdybyście wpadli na jakiś nowy trop. Czy mam rację?

- To wysoce hipotetyczne założenie - powiedział Sidney Blackpool. - Pozwól, że i ja sformułuję podobne.

- Okay - zgodził się Brickman.

- Założmy sytuację, że taki facet jak Harry Bright morduje chłopaka z Palm Springs, który przypadkowo znalazł się tam, gdzie nie powinien. Co mógł zobaczyć ten chłopak? Co popchnęło gliniarza do morderstwa?

- Że tamten pije na służbie?

- Nie zagrywaj sobie z nami w ten sposób, Brickman - ostrzegł Otto. - Wygrałeś, ale nie graj z nami w ten sposób!

- Co miałem do wygrania? - twarz Brickmana poszarzała z gniewu. - To wy macie do wygrania pięćdziesiąt kawałków z rąk taty Watsona, jeśli uda wam się obwinie

jakiegoś biednego faceta w typie Harry'ego Brighta.

- No, dobra - powiedział Otto. - Trzymajmy się hipotetycznego założenia, że chłopak zobaczył coś, co skłoniło Harry'ego Brighta do zamordowania go.

- Chłopak niczego nie zobaczył.

- W takim razie, idąc dalej tym tropem, dlaczego chłopak został zabity i usmażony w swoim samochodzie? - ciągnął Otto. - Sprzedaj nam taką historyjkę, którą Victor Watson mógłby kupić.

- Chcecie historii za pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - zapytał Coy Brickman. - Naprawdę tego chcecie? - Gliniarz usiadł na kanapie dokładnie na przeciw Sidneya Blackpoola: - No, powiedzcie, naprawdę tego chcecie?

- Tak, opowiedz nam tę historię - odparł Sidney sucho. - Taką historię, którą mógłby kupić za masę forsy.

- To co innego - Coy Brickman zmierzył Sidneya Blackpoola zimnym spojrzeniem szarych oczu. - Mam niezłą wyobraźnię. Co powiecie na to: młody Watson wybrał się rolls-roycem tatuśka do kanionu, prawdopodobnie po to, żeby kupić amfetaminę od tamtejszych handlarzy. Jeśli potrzebny wam inny motyw, to nie potrafię go wam dostarczyć. Nic innego nie przychodzi mi do głowy

- Jak dotąd nie zgłaszamy zastrzeżeń - powiedział Otto.

- To bardzo zdradliwa droga. Mało kto zapuszcza się tam inaczej, niż motocyklem lub wozem terenowym. Jak zgubisz drogę, możesz trafić na tę stronę wąwozu, gdzie wiatr wieje jak cholera, a droga praktycznie się kończy. Kiedy tak się stanie, można oczywiście zawrócić, ale kiedy jedzie się potężnym rolls-roycem, to rzecz staje się ryzykowna. Myślę, że manewrując samochodem, niezwykle łatwo można wtedy zjechać z drogi i spaść na skaliste dno wąwozu, leżące o jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów w dole - tam, gdzie rosną drzewa tamaryszkowe. Drzewa, które, nawiasem mówiąc, mogą świetnie ukryć wszelkie ślady wypadku.

- Jak dotąd jest to historia, którą Victor Watson mógłby kupić - zauważył Otto.

- Za pięćdziesiąt tysięcy będzie zmuszony jeszcze bardziej uruchomić wyobraźnię - dodał Coy Brickman. - I tu w naszej historii pojawia się postać starego gliniarza, który regularnie uchlewa się w tym samym kanionie. Być może jest to taki gliniarz, który ma w swoim domu pełno zdjęć bliskich osób, które utracił. Znasz takiego faceta, Blackpool?

- Skróćmy to opowiadanie - wtrącił Otto.

- W porządku - zgodził się Brickman. - No więc, ten glina zbliża się do wieku emerytalnego i często jeździ do wąwozu, żeby pociągnąć z butelki. Tej nocy też upija się, gra na ukulele i śpiewa piosenki, takie jak „Make Believe” i inne stare, zapomniane przeboje. Nagle słyszy huk eksplozji i widzi ogień pożaru. Płomienie początkowo strzelają wysoko w powietrze, lecz po chwili silny wiatr tłamsi je pomiędzy skałami.

Może gliniarzowi wydaje się, że jakimś turyście wybuchła butla z gazem? Rzuca ukulele na ziemię, łapie gaśnicę, która jest na wyposażeniu radiowozu, i biegnie w stronę płomieni, pod skalną ścianę, z nadzieją, że nikomu nic się nie stało. Oczywiście czterdziestodwuletni gliniarz, z głową huczącą od gorzały i zaledwie na parę miesięcy przed wylewem i zawałem serca, nie może być w dobrej kondycji fizycznej. Kiedy dociera przez skały do miejsca wypadku z latarką i gaśnicą w rękę, jest wyczerpany. I wtedy dostrzega płonący samochód.

Początkowo myśli, że to co słyszy jest jedynie wyciem wiatru, ale kiedy podchodzi bliżej, na tyle blisko, na ile pozwalają mu rozszalałe płomienie, zaczyna rozumieć, że to nie wiatr. Ktoś krzyczy.

Podbiega jeszcze bliżej, ale samochód jest już niemal całkiem pograżony w płomieniach, mała gaśnica okazuje się zupełnie bezużyteczna. Wtem dostrzega sylwetkę młodego człowieka uwięzionego w płonącym wraku. Języki ognia liżą jego ciało. Chłopak dostrzega starego i wyciąga doń ramiona, krzycząc jak syn do ojca. Jednak, pomimo że zmienia się kierunek wiatru, ogień wciąż rozprzestrzenia się, a chłopak wciąż krzyczy. Być może jego twarz w płomieniach jawi się staremu glinie na podobieństwo innej, którą kiedyś widział leżącą na asfalcie w San Diego... ale to zupełnie inna historia. Tak czy owak, stary pijak, schorowany, zapijaczony glina wyciąga z kabury rewolwer i...

Z ust Ottona wyrwał się stłumiony jęk. Spojrzał na partnera, ale Sidney Blackpool tępo patrzył przed siebie.

- Mów dalej, Brickman.

- Jak na historię za trzydzieści kawałków, wystarczy powiedzieć, że tamten glina oddał kilka strzałów w stronę uwięzionego we wraku dzieciaka; może nawet opróżnił cały magazynek. Powiedzmy, że nawet nie wiedział, czy trafił, czy też chłopak stracił przytomność. Ale przynajmniej osunął się na siedzenie i przestał krzyczeć. Później stary glina pobiegł z powrotem do radiowozu i odjechał, zapomniawszy o swoim ukulele. Pojechał prosto do innego gliniarza, wyciągnął go z łóżka i opowiedział tę historię.

Powiedzmy, że tamten drugi przemyślał na zimno całą sprawę i podjął pewne decyzje. Powiedzmy, że odwiózł kumpla do domu i usprawiedliwił jego nieobecność przełożonemu, wymyśliwszy historyjkę, że kolega nagle źle się poczuł i musiał jechać do domu. Powiedzmy wreszcie, że przyjaciel starego pijaka długo zastanawiał się nad całą sprawą. Wziął pod uwagę, iż pijakowi pozostało niewiele czasu do emerytury. Pomyślał, że stary kumpel mógłby jeszcze pożyć sobie w spokoju przez jakiś czas. Powiedzmy też, że przyjaciel pijaka dobrze rozejrzał się po wnętrzu jego domu - domu takiego jak ten - który stał się świątynią urojonego świata, przejawem rozpaczliwej i zarazem żenującej zabawy w udawanie. Może po kilku szklaneczkach whisky dla opętanego wspomnieniami i chorobą starego gliniarza jego podupadły dom przeistaczał się w zaczarowany domek. I być może wtedy jego przyjaciel pomyślał: „Kurwa, przecież ten facet dość już przeszedł w życiu!”

- A więc w twojej historii za pięćdziesiąt kawałków wcale nie było morderstwa! - powiedział Otto, patrząc na partnera. - Dlaczego nie mogłeś na to wpaść, Sidney. W ogóle nie było morderstwa!

- Przynajmniej nie ma go w mojej historii - dodał Coy Brickman. - Nie wiem jak to się spodoba Watsonowi, ale niestety nie potrafię wymyślić nic bardziej prawdopodobnego. A jednak, pomimo że morderstwo nie wchodzi w grę, można mówić o... umyślnym zabójstwie? Może nieumyślnym, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Ale jeśli pozbawienie życia z litości nie jest legalne w świecie medycznym, to oznacza, że bohater mojej opowieści znalazłby się w poważnych tarapatkach. Za zabójstwo z litości nie przyznaje się przecież policyjnej emerytury. Mógłbym się założyć, że prokurator okręgowy zarzuciłby mu, że był pijany, a mógłby podjąć inne działania w celu uratowania chłopaka. A więc nawet gdyby nie dostał odsiadki, to wyrzucono by go z policji bez prawa do emerytury. Spędziłby resztę życia na łasce organizacji charytatywnych, żywiąc się konserwami dla psów. Dlatego jego kumpel pomógł mu i starał się zatuszować sprawę.

Tak wygląda moja historia, która ma też swój ciąg dalszy. Przyjaciel pijaczyny oczyścił i załadował jego rewolwer, a następnego dnia pojechał do kanionu, kiedy tylko zdał sobie sprawę ze zniknięcia ukulele. Niestety, nie miał szczęścia go znaleźć. Obejrzał też wrak samochodu i odkrył w szybie dwa otwory po kulach. Wybił szybę w nadziei, że kule pijaka w ogóle nie dosięgnęły chłopaka, którego ciało było zwęglone jak spalona zapalka. Przyjaciel wierzył, że chłopak zginął od płomieni. Choć trzeba

oddać sprawiedliwość, że sposób w jaki tamten dokonał żywota był mu raczej obojętny, bo nie miał w sobie tyle współczucia i litości, co jego kumpel-alkoholik.

Jednak stary pijaczyna nie miał dla siebie litości i kiedy wytrzeźwiał, chciał ujawnić swój udział w tragedii i opowiedzieć jak było. Ale teraz nie było to takie proste. Przecież przyjaciel usprawiedliwił go przed przełożonym i zatarł ślady po kulach. W rzeczywistości więc stał się współnikiem przestępstwa i w razie procesu mógł zostać postawiony w stan oskarżenia o współudział w zabójstwie. Zatem przyjaciel przekonał starego pijaczynę, że teraz musi trzymać gębę na kłódkę, tym razem przez wzgląd na kumpla, jeśli już nie siebie samego. I na tym stanęło.

Niestety okazało się, że wydarzenie to zaciążyło na ich przyjaźni. Stary pijaczyna, który doświadczył wielu życiowych tragedii, nie potrafił poradzić sobie z brzemieniem winy, przytłaczającym go za każdym razem, gdy pomyślał o rodzicach chłopaka, nie mających pojęcia o tym, co właściwie przydarzyło się ich synowi. Dręczyła go myśl o spalonych zwłokach, które pozostawione zostały na pustyni na pastwę dzikich zwierząt.

Może więc przyjaciel starego pijaczyny, kierując się dobrymi intencjami, którymi jak wiecie wybrukowana jest droga do piekła, nieświadomie dodał jeszcze jeden ciężar do trosk trapiących kumpla. To doprowadziło go do potwornego bólu głowy, paraliżu prawej strony ciała i skończył w szpitalnym łóżku, śliniąc się jak niemowlę i nie potrafiąc opanować czynności fizjologicznych

W tym momencie oczy Coya Brickmana straciły dotychczasowy zimny wyraz i po raz pierwszy zauważyli, że mruga, nie mogąc powstrzymać cisnących się pod powieki łez.

- Taką historię mógłbym opowiedzieć, gdyby zależało mi na tych pięćdziesięciu kawałkach tak bardzo, jak wam. Ale przecież to tylko dalszy ciąg zabawy w udawanie, więc mogło by się okazać, że dla Watsona nie jest ona warta nawet pięćdziesięciu centów. Może nawet nie powinniście nikomu powtarzać tej głupiej historii, bo i tak wyszlibyście na głupków, próbując udowodnić jej prawdziwość, nieprawdaż?

- Nie ma szansy na to, żeby zaginiony rewolwer Harry'ego Brighta kiedykolwiek ujrzał światło dzienne, prawda? - zapytał Otto, zwracając Brickmanowi broń, którą pożyczył od Anemicznej Annie.

- Pustynny wiatr nie odsłania rewolweru tak łatwo jak ukulele - powiedział Coy Brickman, patrząc na Sidneya Blackpoola.

Sierżant podniósł się i podszedł do magnetowidu. Włączył odtwarzanie i uruchomił telewizor.

- Obejrzyjcie zakończenie filmu. Znajdziecie mnie na posterunku u szefa. Mogę powtórzyć mu całą tę historię za pięćdziesiąt kawałków, jeśli wam na tym zależy, ale może lepiej byłoby, gdybyście po prostu pożegnali się z Paco i wyjechali z miasta. A może jeszcze lepiej byłoby wyjechać bez pożegnania? Wracajcie, chłopaki, do Hollywood. Tam jest wasze miejsce.

- Jak się kończy ta historia? - zapytał Otto. - Mam na myśli „Zaczarowany domek”?

- Szczęśliwie - odparł Coy Brickman. - Młodzi pobierają się i prawdopodobnie po jakimś czasie mają syna, jeśli zabawić się w dopowiedzenie dalszego ciągu. Może ich syn bardzo przypomina Danny'ego Brighta. Wszyscy troje żyją długo i szczęśliwie. Myślę, że tak właśnie powinno wyglądać zakończenie filmu dla kogoś, kto żyje w świecie marzeń i ułud.

- W porządku, Brickman - odezwał się Sidney Blackpool. - Nie mogę powiedzieć, że twoje opowiadanie przypadło mi do gustu. Mam już dość ciebie, Patsy Bright, Harry'ego Brighta i świata fantazji, w którym on żył tutaj. Mam dość przygnębiających historii o utraconych dzieciach i ich skołowanych ojcach. Koniec z zabawą w udawanie. Teraz chcę na własne oczy zobaczyć Harry'ego Brighta.

- Jedźmy więc. Nawet nie będę zawiadamiał Paco. On to zrozumie.
- Pojedziemy za tobą - powiedział Blackpool.
- Na wypadek, gdybyście mieli się zgubić...
- Wiemy dokładnie, gdzie to jest - przerwał mu Sidney Blackpool.

Nie obawiali się, że zgubią po drodze Coya Brickmana. Ani razu nie przekroczył dozwolonej szybkości na autostradzie do Indio. Sidney Blackpool palił papierosa za papierosem. Otto Stringer czuł, że go mdli, ale wiedział, że to wcale nie z powodu papierosowego dymu.

Byli na autostradzie numer 10, kiedy Otto wreszcie odezwał się.

- To główniana sprawa, Sidney. Nie da się przemienić gówna w złoto, choćby nie wiadomo jak się starać. Właśnie tutaj to zrozumiałem. A ty?
- Myślę, że Harry Bright może mówić. Chociaż w jakiś sposób zdolny jest do komunikowania się z otoczeniem. Przecież to nam wystarczy.
- Nawet jeśli tak jest, nie chcę być tym, który oskarży go o zabójstwo. I wcale nie

uśmiecha mi się pakowanie Brickmana za kratki.

- Szukam wyjścia - powiedział Sidney Blackpool. - Szukam wyjścia, które byłoby do przyjęcia przez Watsona. Czy to aż takie niewłaściwe, że chcę z tego coś dla siebie?

- To główniana sprawa - powtórzył Otto. - To jedno wiem na pewno.

Na parkingu przed hospicjum stało zaledwie kilka samochodów. Coy Brickman wysiadł pierwszy i wszedł do środka, zamieniwszy kilka słów z dyżurną pielęgniarką. Kobieta skinęła głową, a Brickman dał ręką znak detektywom. Wnętrze hospicjum było całkiem przyzwoite. Wyposażenie było skromne i ubogie, ale obsługę pensjonariuszy nadzorował lekarz. Budynek prawdopodobnie pomyślany był jako motel, gdyż pokoje, początkowo wyposażone w osobne wejścia z zewnątrz, dopiero w trakcie późniejszej przebudowy zostały połączone wspólnym korytarzem.

Pokój Harry'ego Brighta znajdował się przy końcu korytarza. Był to pokój jednoosobowy. Przy łóżku stał stolik, a na nim lampka i radio z wbudowanym magnetofonem kasetowym. Na stojaku wisiała kroplówka odżywiająca pacjenta, a obok leżała w pogotowiu maska tlenowa. Otto popatrzył na postać na łóżku. Jedyne stopy odznaczały się wypukłością pod pościelą.

- Odzie jest Harry Bright? - zapytał Otto.

- Przyjrzyj się uważniej - odparł Brickman.

Otto zbliżył się do łóżka. Skóra na twarzy mężczyzny była nienaturalnie żółta, zdeformowana siatką fioletowych żył na nosie i policzkach. Worki pod oczami były żółto-brązowe jak plamy od nikotyny na rękach palacza. Włosy miał przerzedzone, pozlepiane w siwe kosmyki, a paznokcie trupio sine. Sztywno wyciągnięty na łóżku mężczyzna mógł mieć jakieś sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Otto szacował jego wagę na niespełna pięćdziesiąt kilogramów i to jedynie dzięki grubokościstej budowie ciała. Białka oczu też były żółte, natomiast tęczęwki pięknie niebieskie.

Mężczyzna leżał z rozdziawioną szczęką i wpatrywał się nieobecny w sufit. W kącikach ust zbierała mu się ślina, a oczy lekko łzawiły. Nie mrugał powiekami, zupełnie jak Coy Brickman. Otto nachylił się nad leżącym, szukając w jego oczach śladu reakcji. Dostrzegł tylko lekkie drzenie języka.

- Ten człowiek powinien być w szpitalu na oddziale intensywnej terapii - powiedział Otto.

- Mam wrażenie, że wolałby umrzeć tutaj - rzekł Coy Brickman. - Wydaje mi

się, że Harry'emu tu się podoba. Sidney Blackpool nawet nie podszedł do łóżka.

- Czy to on, Otto? - zapytał.

- To Harry Bright, a raczej to, co po nim pozostało po tym jak życie go wypierdoliło.

I wtedy Sidney Blackpool powiedział coś, co zdumiało Ottona bardziej niż wszystko inne tego dnia. Zrobił trzy kroki w kierunku umierającego mężczyzny i powiedział:

- Brickman, powiedz mi, gdzie ukryłeś broń. Jeśli badania balistyczne wykażą, że kula w głowie młodego Watsona pochodziła z tego rewolweru, będziemy to mieli za sobą. Tak udokumentujemy śledztwo, że twój udział nigdy nie wyjdzie na jaw. Możemy to tak urządzić, prawda, Otto? Daję ci na to moje słowo. Moglibyśmy zupełnie pominąć fakt, że wiedziałeś o tym, iż Harry Bright upił się na służbie i zastrzelił chłopaka po tym jak zauważył płonący samochód. Moglibyśmy opowiedzieć tę historię tak, jak naprawdę przebiegła i po otrzymaniu ekspertyzy oprzeć ją na dowodach. A potem mógłbym powiedzieć Victorowi Watsonowi, że nagroda należy się tobie, za to, że wydedukowałeś jak to wszystko się stało, i że bardzo nam pomogłeś w śledztwie. Mógłbyś zyskać pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Coy Brickman, nie odrywając oczu od twarzy Sidneya Blackpoola, obszedł łóżko dookoła i zajrzał pod boczną barierkę, po czym znów spojrzął na detektywa i powiedział:

- Cholera, pusty.

- Co jest puste? - spytał Sidney Blackpool.

- Worek od cewnika. Chciałem ci go rzucić w twarz. Ode mnie i od Harry'ego.

Potem zwrócił się do leżącej postaci i powiedział:

- Cholera, Harry, dlaczego nie możesz nawet się zsiakać, kiedy ja tego potrzebuję?

- Idziemy, Sidney - powiedział Otto. - Wracajmy do domu.

- Zanim pójdziecie, mam coś czego szukaliście - powiedział Coy Brickman i, włożywszy wyjętą z kieszeni munduru kasetę, włączył magnetofon stojący obok łóżka chorego. Patrząc na twarz Harry'ego Brighta, uruchomił odtwarzanie. Najpierw usłyszeeli kilka fałszywych akordów granych na ukulele, które po chwili przybrały postać melodii. Potem odezwał się głos Harry'ego Brighta zapowiadającego swoją piosenkę:

- „Panie i Panowie! Mówi do was wesoły Harry Bright z Mineral Springs Palladium przy Jackrabbit Road, skąd za chwilę usłyszycie w jego wykonaniu znakomity, niezapomniany przebój! Jest on zatytułowany „Make Believe” i chciałbym go zadedykować Patsy. Otto odwrócił twarz, nie mogąc patrzeć na nieruchomą postać na łóżku. Harry Bright śpiewał:

„Możemy udawać, że kocham cię,
I ty możesz udawać, że kochasz mnie,
Inni świetnie to potrafią,
Dlaczego my nie?”

Sidney Blackpool wyglądał jak lunatyk. Zmusił się, żeby podejść do posłania żywego trupa. Oparł się o barierkę łóżka po jednej stronie, podczas gdy Coy Brickman stał po przeciwnej, obserwując go. Twarz Sidneya Blackpoola pobladła. Wpatrywał się w piękne, błękitne oczy Harry'ego Brighta. Czego w nich szukał?

„Udajemy, że nasze usta łączą się
W namiętych pocałunków serii,
Mógłbym nawet udawać, że cię kocham szczerze,
Bo naprawdę w to wierzę!”

Kiedy piosenka skończyła się, Coy Brickman wyjął kasetę, pochylił się nad łóżkiem i włożył ją do kieszeni koszuli Sidneya Blackpoola.

- Masz - powiedział. - Przecież tak bardzo ci na niej zależało. Możesz ją zatrzymać.

- Chodźmy już, Sidney - powiedział Otto. - No już! Chodźmy stąd wreszcie!

Kiedy wychodzili, słyszeli jak Coy Brickman dostraja radio do lokalnej stacji radiowej z Palm Springs, nadającej stare przeboje. Rozległy się dźwięki „Puttin' on the Ritz” w wykonaniu Freda Astaire.

- Hej, to przecież Fred - usłyszeli jak Coy Brickman przemawia łagodnie do Harry'ego Brighta. - Nie brzmi może tak dobrze jak stary Harry Bright, ale też nie najgorzej.

Otto Stringer rzucił ostatnie spojrzenie na chorego i zauważył, że Coy Brickman delikatnie ociera ślinę wyciekającą z kącików ust umierającego mężczyzny.

- Świat nigdy już nie będzie taki sam, gdy zabraknie starego Freda, czyż nie Harry? - Coy Brickman zapytał Harry'ego Brighta, a w tle Fred Astaire śpiewał tak, jak to tylko on potrafi.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozwiane nadzieje

Podczas drogi powrotnej do hotelu nie zamienili z sobą ani słowa. Kiedy dotarli do apartamentu, Otto natychmiast poszedł do swojego pokoju, by po chwili wrócić z pieniędzmi, które dostali od Victora Watsona. Rzucił je na stolik i zapytał:

- Wracasz ze mną jutro do domu, Sidney?

Sidney Blackpool sięgnął po słuchawkę telefonu i odparł:

- Dzwonię do Watsona. Zrobię to, czego on sobie będzie życzył.

W rezydencji Watsonów w Bel-Air telefon odebrał służący. Po chwili zgłosił się Victor Watson i powiedział:

- Sidney? I co? Odkryłeś coś istotnego?

- Panie Watson, wiem jak zginął pański syn. Ale niestety nigdy, nie uda mi się tego dowieść w sądzie.

Victor Watson powiedział jedynie:

- Spotkamy się w moim domu w Palm Springs jutro o trzeciej. Dziękuję, Sidney. Bardzo dziękuję!

Kiedy Sidney Blackpool odłożył słuchawkę, Otto powiedział:

- Zwróć mu moje wizerunki McKinleya albo zatrzymaj dla siebie. Ja łapię pierwszy poranny autobus do Los Angeles. Odbiorę od ciebie moje kije golfowe w poniedziałek, kiedy zobaczymy się w robocie.

- Dlaczego nie chcesz zostać, Otto? Po co jedziesz do domu? Jaki to ma sens? Co chcesz przez to udowodnić?

- Nie ma nic do udowodnienia. Po prostu nie chcę być świadkiem jak będziesz mu opowiadał o Harrym Brightcie. Nie chcę jeszcze bardziej przesiąknąć smrodem, jaki roztacza ta sprawa.

- Zależy mi na tej pracy u Watsona, Otto. Chcę rozpocząć nowe życie. Przykro mi, że tego nie potrafisz zrozumieć.

- Mam nadzieję, że ci się uda - uciął Otto.

Otto poszedł spać bez kolacji. Sidney Blackpool też nie miał ochoty na jedzenie. Spędził resztę wieczoru obmyślając najlepszy sposób opowiadania Watsonowi, że jego syn został zastrzelony przez pijanego gliniarza, Harry'ego Brighta, w akcie miłosierdzia. Miał nadzieję, że uda mu się wyłączyć z tego Coya Brickmana.

Prześladował go głos Harry'ego Brighta z taśmy. Po śmierci Tommy'ego zdarzało się, że bardzo pragnął usłyszeć jego głos. Ale wszystkie amatorskie filmy, które zrobił w lepszych czasach, były nieme. Kiedyś nawet próbował je oglądać, ale zaprzestał po pierwszej rolce.

Pamiętał, że kiedyś bardzo pragnął, by jego syn był do niego podobny. Teraz oddałby duszę, żeby po prostu był.

Zdołał zasnąć dopiero po dwóch godzinach i wypiciu sporej ilości Johnnie Walkera. Jednak zanim to się w końcu stało, nawiedziło go wspomnienie o Tommym, tak silne jak nigdy dotąd. Kiedy po raz ostatni ojciec widział syna przy życiu.

Sidney Blackpool zasłonił oczy dłońmi, ale nie potrafił powstrzymać fali cisnących się wspomnień. Nic nie było w stanie zawrócić tego konkretnego obrazu. Wiedział, że jeśli kiedyś strzelił sobie w łeb, to właśnie by oddalił to wspomnienie.

Lorie przyjechała do domu, żeby zabrać oboje dzieci. Tommy w owym czasie siedział po uszy w narkotykach. Sidney Blackpool właśnie znalazł w pokoju chłopaka haszysz i na oczach byłej żony urządził awanturę. Podczas kłótni Tommy obrzucił rodziców wyzwiskami. Sidney nie wytrzymał. Złapał syna za koszulę i powiedział: „Ty cholerny sukinsynu! Ty gnojku! Zabiję cię!”, po czym uderzył go pięścią tak silnie, że chłopak upadł na kuchenny stół. Roztrzaskało się jakieś szkło, a z nosa Tommy'ego trysnęła krew na białe linoleum.

Lorie zaczęła krzyczeć. Rzuciła się, by rozdzielić ojca i syna. Tommy wykrzykiwał wulgarne przekleństwa i biegał po pokojach rozsiewając strużkę krwi na dywanach. W chwilę później już go nie było.

Później dowiedzieli się, że spędził noc u kolegi z sąsiedztwa. Następnego dnia nie pojawił się w szkole. Tego chłodnego, zimowego poranka utonął w oceanie zmieciony potężną falą podczas pływania na desce surfingowej.

Kiedy widmo zakrwawionego Tommy'ego opuściło go, Sidney Blackpool wyszeptał:

- Och, Tommy! - To było wszystko na co potrafił się zdobyć. To była jego tajemnica. Victor Watson na pewno miał swoją, tak samo jak Harry Bright.

Tej nocy przyśnił mu się Tommy, gdy miał dwanaście lat i oglądał w telewizji transmisję z meczu futbolowego. Uśmiechał się w sobie właściwy sposób. We śnie Sidney Blackpool wciąż był z żoną. Wziął ją na bok i zdradził swoją najnowszą tajemnicę; wysiłkiem woli spowodował cudowny powrót Tommy'ego! Ale nikt inny nie mógł się o tym dowiedzieć, tylko oni dwoje.

Jak zawsze sen kończył się z chwilą, gdy żona mówiła: „Sid, będziemy mogli teraz cieszyć się nim na zawsze! Ale, proszę cię, nie mów mu, że umrze, kiedy będzie miał osiemnaście lat! Błagam cię, nie mów!” A on wtedy odpowiedział Lorie: „Nie! Nigdy mu o tym nie powiem! Bo on teraz mnie kocha! I... przebacza mi. Mój chłopiec mi przebacza!”

Jak zwykle obudził się na mokrej od łez poduszce, z trudem tłumiąc szloch.

Tym razem jego partner obudził się wcześniej. Gdy Sidney Blackpool zwlekł się z łóżka, czując ból głowy na tyle silny, że sam zaczął obawiać się wylewu krwi do mózgu, zauważył ze zdziwieniem, że Ottona już nie było. Zerknął na zegarek. Była dziesiąta. Od czasu przyjazdu do Palm Springs nie zdarzyło mu się wstać tak późno. Wziął prysznic, ogolił się i przez chwilę przyglądał się swojej twarzy, na której wykwitł kolorowy siniec. Zjadł lekkie śniadanie w apartamencie, lecz niemal natychmiast zwymiotował je do klozetu.

O pierwszej wymeldował się z hotelu i spacerował po bulwarach Palm Springs aż do pół do trzeciej. Potem pojechał do rezydencji Watsonów.

W drzwiach powitał go Harlan Penrod i natychmiast zauważył siniec na twarzy.

- Wielkie nieba! Co się stało? Pan Watson zawiadomił mnie, że przyjeżdża, żeby się z tobą zobaczyć. Czy złapaliście Terry'ego? Czy to on...

- Nie, to nie on, Harlan. Może zrobiłbyś mi kawę?

- Jasne, ale proszę mi tylko powiedzieć...

- Nie pytaj, Harlan. Pozwól, że powiem to panu Watsonowi. Jack był jego synem.

Jak chcesz, to go potem zapytaj.

- Ale...

- Żadnych pytań.

- No, dobrze. Ale muszę o coś zapytać. Jak podać kawę?

Victor Watson przyjechał taksówką prosto z lotniska. Jeszcze nie zdążył przywitać się z Sidneyem Blackpoolem, kiedy rzucił do służącego:

- Harlan, jedź na stację zatankować paliwo do mojego wozu.

- Bak jest pełen, proszę pana - odparł Harlan. - Czy mogę panu podać...?

- Idź do kina, Harlan. Chcę, żebyś wrócił do domu o szóstej. Proszę.
- Oczywiście, panie Watson - powiedział służący, patrząc na zaciśnięte usta Sidneya Blackpoola.
- Co się stało z twoją twarzą, Sidney?
- Kaktus - odparł krótko. - Pustynia jest niebezpiecznym miejscem dla takich jak ja.
- Opowiadaj, Sid. Zacznij od początku.

Przeszli do gabinetu, gdzie Watson rozsiadł się za biurkiem, a detektyw usiadł na kanapie po przeciwnej stronie pokoju.

Sidney Blackpool opowiedział niemal wszystko. Wiedział, że nic nie zyska wymieniając nazwisko Brickmana. Powiedział Watsonowi o Terry'm Kinsale: o tym, że chłopak jeździł porsche'm Jacka: o zaginionej broni, z której schorowany pijany gliniarz zastrzelił Jacka w akcie miłosierdzia. Nie wspomniał o Brickmanie, mówiąc, że Harry Bright prawdopodobnie sam pozbył się broni.

Na dworze było prawie ciemno, kiedy skończył. Victor Watson nie zadawał zbyt wielu pytań w czasie relacji detektywa. Wpatrywał się w niego i chciwie chłonał każde słowo. W zapadającym mroku jego oczy wydawały się cofać coraz bardziej w głąb oczodołów. Sidney Blackpool miał wrażenie, że Watson postarzał się od czasu, kiedy ostatnio się widzieli. Detektyw wypił podczas opowiadania trzy szklanki wody. Nigdy dotąd nie czuł takiej suchości w gardle. Miał lekkie zawroty głowy i nudności. Bolała go szczeka i policzki, ale nie miał ochoty na Johnnie Walkera. Chciał zakończyć ten wieczór na trzeźwo.

Kiedy skończył, oczy Victora Watsona ukryte były w głębokich cieniach. Sidney Blackpool wpatrywał się w puste oczodoły i mógł jedynie wyobrazić sobie stalowoszarą tęczęwki rozmówcy.

Harry Bright miał niezapomniane oczy. Gdy podszedł do jego łóżka, ujrzał je w całej okazałości: piękne błękitne oczy. Victor wcale nie miał oczu. Sidney Blackpool wpatrywał się w swoją szklankę z wodą i czekał.

Kiedy Victor Watson wreszcie przerwał milczenie, powiedział:

- Przyjmuję pełną odpowiedzialność za tę tragedię.

Sidney Blackpool właśnie zamierzał go pocieszyć, powiedzieć, że nie może obarczyć się winą za śmierć syna, ale Victor Watson rzekł:

- Nie powinienem zlecić tobie tego śledztwa. Nie tobie, Sidney. Wierzyłem, że być może jesteśmy połączeni szczególnymi więzami. Kiedy usłyszałem o tobie, wierzyłem, że to...

- Omen! - dokończył za niego detektyw.
- Tak. Ale teraz wiem, że popełniłem błąd. Głupi, tragiczny błąd.
- Nie rozumiem, panie Watson. Jaki błąd?
- Może czas jaki poświęciłem na psychoterapię nie jest do końca stracony - powiedział. - Widzę w tobie swoje własne odbicie. Byłem taki sam. Wściekłość. Bezsilność. Poczucie winy.
- Nie rozumiem, panie Watson.
- Wiem, że nie rozumiesz, Sidney. Wiem. Nazwij to formą psychicznej projekcji, zresztą nazewnictwo jest nieistotne. Zaangażowałaś swoje uczucia związane z twoją osobistą tragedią w to śledztwo. Nie dostrzegasz tego?
- Ależ, panie Watson...
- To moja wina. To wyłącznie moja wina. Widziałem w tobie zagubionego ojca, który stracił syna i wydawało mi się, że nikt inny nie nadaje się lepiej do przeprowadzenia takiego dochodzenia. Miałem wrażenie, że ty masz szansę rozwikłać to, czego nie udało się nikomu innemu. Miałem rację, ale jednocześnie popełniłem tragiczną omyłkę. Przepraszam. Nie chciałem ci tego zrobić, Sidney.
- Proszę, panie Watson, naprawdę nic z tego nie rozumiem! - Sidney Blackpool przesunął się na krawędź kanapy, lecz nadal nie mógł zająrzeć w głąb oczu Victora Watsona. Gdyby tylko mógł zająrzeć mu w oczy! Detektyw musi mieć kontakt wzrokowy z rozmówcą.
- Mój syn, Jack - zaczął Watson - był najwspanialszym, najinteligentniejszym i najbardziej kochającym dzieckiem jakie kiedykolwiek spotkałeś.
- Nie wątpię w to, panie Watson.
- Nasze stosunki układały się poprawnie, choć nie były wolne od drobnych nieporozumień, jakie zazwyczaj istnieją między ojcami i synami, i wydaje mi się, że dawałem sobie z tym radę.
- Nie wątpię w to, panie Watson - powtórzył Sidney Blackpool przewracając szklankę z wodą, gdy sięgał po papierosa.
- Nikt, ale to nikt, kto znał Jacka Watsona, nie ośmieliłby się podejrzewać go o homoseksualizm.
- Nie powiedziałem...
- I nikt, absolutnie nikt nie uwierzyłby, że mógłby być tak głupi, żeby z jakiegokolwiek powodu pojechać w środku nocy do tego parszywego wąwozu. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że nie pojechał tam z własnej woli, że ktoś przyłożył mu pistolet do głowy i zmusił go do tego. - Victor Watson wstał, ale jego oczy wciąż znajdowały

się w cieniu. - Potwierdza to kula, która przeszła jego głowę.

- Proszę, panie Watson, proszę...

Victor Watson ponownie usiadł na krześle:

- To ciekawe, co mi powiedziałeś. Ciekawe, że istnieje pewien glina nazwiskiem Bright, który zwierzył się komuś, że po pijanemu zastrzelił mojego syna.

- Podam panu jego nazwisko! - wykrzyknął Sidney Blackpool. - To sierżant Coy Brickman! Powiedział o tym swojemu przyjacielowi Coyowi...

- Uspokój się! - uciął Victor Watson. - To ciekawe, że policjant-alkoholik miał halucynacje w pijanym widzie, kiedy dowiedział się o śmierci mojego syna w kanionie, gdzie przesypiał większą część czasu przypadającą na służbę. Szczególnie ironiczny wymiar ma fakt, że ów policjant sam utracił syna w tragicznych okolicznościach. To rzeczywiście szczególne i bardzo smutne podobieństwo. Ale na tym kończy się prawda...

- Ale Coy Brickman, panie Watson! Coy Brickman był w wąwozie nazajutrz po wypadku. Widział...

- Czy ten Coy Brickman przyznał ci się do tego, Sidney? Czy złożył stosowne oświadczenie w mojej obecności?

- Nie, panie Watson. Ale ja wiem, że to prawda.

- Czy przyznał się?

- Nie, ale...

- Czy jest nadzieja, że się przyzna?

- Nie przyzna się, panie Watson. Ale ja wiem...

- Siadaj i uspokój się, Sidney - powiedział Watson. - Spróbuj zrozumieć to, co usiłuję ci powiedzieć.

- Mój Boże! - jęknął detektyw - Mój Boże!

- Żałuję, że cię do tego wciągnąłem, Sidney. Będę tego żałował do końca życia. Nie wiedziałem, że wciąż obsesyjnie rozpatrujesz śmierć swego syna. Usiłowałem posłużyć się tobą, sądząc, że tylko ty będziesz potrafił mnie zrozumieć, ale wiem, że tym sposobem wyrządziłem ci ogromną krzywdę.

- Mój Boże, panie Watson! To...

- Wierzę, że Jack przyjaźnił się z tym chłopakiem, Terrym Kinsale. Skoro tak twierdzisz. Ale przecież nawet on nie przyznał, że w ich przyjaźni było coś... niezdrowego. Wierzę, że Jack pożyczył mu porsche'a. Wierzę, że sam był narkomanem, oraz że Jack to odkrył i nie pochwałał tego. Wierzę w niektóre twoje ustalenia. Twoja sprawność zawodowa imponuje mi. Ale nikt, kto znał mojego syna, nigdy nie uwierzyłby w

to, że był rozhisteryzowanym ...pedałem! Pedałem, który... - urwał, nerwowym gestem potarł czoło i potrząsnął głową. - A ta cała reszta, to tylko twoje hipotezy, teorie, których nie potwierdzą żadne niezależne źródła. A może się myłę?

- Mój partner, Otto Stringer - powiedział cicho Sidney Blackpool. - Myślę... to znaczy, chciałem powiedzieć, że on zgadza się z moją teorią.

- Widzę jednak, że nie przyszedł tu z tobą, Sidney. Prawdopodobnie wiedział, że poczuje się niezręcznie, kiedy zaczniesz wyklądać mi... swoje niefortunne wnioski na temat chłopca, którego nigdy nie znałeś i nie masz pojęcia, jaki był.

- Czego pan właściwie ode mnie oczekuje, panie Watson? - Sidney Blackpool odezwał się błagalnym tonem.

- Już teraz niczego, Sidney. - Odwaliłeś kawał cholernie dobrej policyjnej roboty.

- A praca, panie Watson? Praca!

- Jaka praca?

- Dyrektora straży przemysłowej w Watson Industries! Przecież udało mi się doprowadzić śledztwo do końca, prawda? Sam pan przyznał, że jestem dobrym policjantem, choć może moje wnioski końcowe są niestuszne!

- Mamy wielu dobrych śledczych do dyspozycji. I zdecydowaliśmy się powierzyć tę posadę jednemu z nich. To dobrze wpływa na umocnienie lojalności pozostałych pracowników, kiedy awansuje się kogoś spośród nich. Przecież nawet w komisariatach policji szefem zazwyczaj nie zostaje osoba z zewnątrz.

- Ale to nie w porządku, panie Watson!

- Wiem, że jestem starym głupcem, przez którego wiele w ostatnich dniach przeżyłem. A muszę ci powiedzieć, że nigdy dotąd nie czułem się tak staro jak dzisiaj.

- To niesprawiedliwie, panie Watson. To nie jest w porządku!

- Sidney, przecież spośród wszystkich ludzi ty najlepiej powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, że życie nie gra z nami fair.

- No, dobrze. Proszę mnie wysłuchać, panie Watson. Ta cała sprawa... może jest w tym wszystkim jakiś niecny spisek! Pan, ja, Harry Bright? Rzeczywiście myślałem, że to tylko parszywy zbieg okoliczności.

- Co takiego?!

- To wszystko! Ale może się myliłem! Muszę mieć więcej czasu, żeby to przemyśleć!

- Co mianowicie?

- Tę sprawę. Może naprawdę śmierć pańskiego syna jest dziełem spisku. Dopiero teraz mi to przyszło do głowy!

W tym momencie Victor Watson ukazał swoje oczy. Zapalił stojącą na biurku lampę i wyjął z szuflady książeczkę czekową.

- Chcę zapłacić za twoje usługi.

Sidney Blackpool wstał i krokiem lunatyka podszedł do biurka.

- Mam przy sobie większość pieniędzy z tych, które dał pan na wydatki związane ze śledztwem. Nie mogę ich już wykorzystać.

- Chcę, żebyś je zatrzymał. A ponadto wypiszę ci czek.

- Nie teraz - Sidney Blackpool rzucił kopertę na biurko. - Nie teraz.

- Sidney, wydaje mi się, że powinieneś niezwłocznie zgłosić się do policyjnego psychiatry.

- Ależ nie...

- Proszę, wysłuchaj mnie - powiedział Victor Watson. - Podzielę się z tobą pewną tajemnicą. Mam nadzieję, że to pomoże. Widzisz, czasami ojciec zmarłego tragicznie syna musi być bardzo ostrożny, żeby jego gwałtowna wściekłość nie obróciła się przeciwko dziecku. Czasami ojcu może się wydawać, że syn zawiódł ojca w tym sensie, że odszedł wcześniej z tego świata. Nie chciałbym, żebyś odniósł wrażenie, że moja męka jest podobna do twojej, Sidney. Mój syn mnie nie zawiódł. Mój syn został zamordowany. A teraz błagam cię, przyjmij te pieniądze.

Sidney Blackpool popatrzył na niego oczami roziskrzonymi jak pustynne klejnoty.

- Nie mogę. Teraz nie przyniosłyby już żadnego pożytku. Jest na to za późno.

EPILOG

Tajemnica

Była już prawie dziesiąta wieczorem, kiedy Sidney Blackpool dojeżdżał do Mineral Springs. Jechał samochodem bez celu i nagle zdał sobie sprawę, że zmierza w stronę pustynnego miasteczka. Zdziwiło go to, ale tylko trochę. Uczepił się pewnej nie sprecyzowanej jeszcze myśli. Kołatała mu w głowie od dłuższego czasu - niejasne świetliste wyobrażenie, które pojawiło się w jego umyśle, by po chwili rozpułnąć się w mroku. To było coś znajomego, ale wciąż umykało mu.

Przejeżdżając główną ulicą miasteczka, zauważył Bobrowego Ogona Bigelowa jak, zataczając się, zmierzał w stronę „Klubu 11-99.” Dojechał na przeciwległy skraj Mineral Springs i skręcił w Jackrabbit Road. Dojechał do końca ślepej uliczki i zatrzymał samochód. Wysiadł i ruszył w kierunku domu Harry'ego Brighta. Zauważył, że drzwi wejściowe są tylko prowizorycznie zabite gwoździami. Skaleczył się w palec, usiłując odgiąć jeden z nich. W końcu wrócił do toyoty po wkrętak. Podważył po kolei wszystkie gwoździe, po czym mocno szarpnął drzwi. Ustąpiły. Wszedł do środka zapalił światło.

Rozparł się wygodnie w fotelu Harry'ego Brighta. Zauważył, że skaleczony palec krwawi na oparcie fotela. Wytrzeł krew o koszulę. Spojrzał na otwartą szafę garderobianą, na pustą kaburę rewolweru, który już nigdy nie wróci na swoje miejsce. Bezwolnie uśmiechnął się. Takim rodzajem uśmiechu, jaki dostrzegł na twarzy Patsy Bright. To dobrze, że broń Harry'ego Brighta nie była na swoim miejscu. Bardzo dobrze.

Poszedł do kuchni i w lodówce znalazł napoczętą butelkę whisky. Pomyślał, że to wystarczy. Nalał pełną szklanekę, po czym wrócił na fotel. Usiadł. Popijając alkohol, śledził ulotne świetliste błyski, które wciąż pojawiały się w jego umyśle.

Wstał i podszedł do magnetofonu. Włączył go i przewinał taśmę na początek. Po chwili otworzył drugie drzwiczki szafki i uruchomił skromny zestaw stereofoniczny Harry'ego Brighta. Wyjął kasetę, którą Coy Brickman wsunął mu do kieszeni. Włożył ją do magnetofonu i przewinał na początek. Kiedy wszystko było już gotowe, włączył telewizor, rezygnując z fonii. Uruchomił oba urządzenia i wrócił na fotel Harry'ego Brighta, sadowiąc się w nim wygodnie.

Siedząc w fotelu Harry'ego Brighta i popijając jego whisky, oglądał „Zaczarowany domek.” Ponieważ znał fabułę filmu, nie musiał słuchać dialogów. Zamiast tego, słuchał głosu Harry'ego Brighta: „Mówi do was wesoly Harry Bright z Mineral Springs Palladium przy Jackrabbit Road...”

Gdy Sidney Blackpool słuchał „Make Believe” w wykonaniu Harry'ego Brighta, jednocześnie oglądając „Zaczarowany domek”, nieuchwytna dotąd myśl przybrała formę. Migotliwe błyski zniknęły jak świetliki w mroku nocy. Nagle poczuł się jak ktoś trapiący gorączką podczas przesilenia ciężkiej choroby; ktoś, kto wie, że wkrótce nastąpi poprawa. Był wyczerpany, rozdygotany, lecz dziwnie odprężony. Wkrótce też doznał uczucia spokoju, które przeraziło go i zarazem podekscytowało.

Piasek pustyni, który dotąd wirował, miotany wichrem w jego zbolącej głowie, teraz opadł. Żałował, że nie może dzielić tego uczucia z Victorem Watsonem, ale zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu o tym nikomu wspominać. Nigdy. Wreszcie pojął to. Sen o Tommym. Ten, w którym udawało mu się przywrócić syna do życia.

Z radości serce waliło mu jak młot. Wszystko stało się jasne. Tak czyste i nie skałane, jak niebo nad pustynią o brzasku. Był tak szczęśliwy, że nie potrafił powstrzymać łez. Teraz stała się jego udziałem. Należała wyłącznie do niego: miłosierna, magiczna tajemnica Harry'ego Brighta.

Spis treści

PROLOG - Tajemnica	5
ROZDZIAŁ I - Odważna jaszczurka	8
ROZDZIAŁ II - Rachunek do wyrównania	17
ROZDZIAŁ III - Muzykant	29
ROZDZIAŁ IV - Prezydent McKinley	42
ROZDZIAŁ V - Piosenka	53
ROZDZIAŁ VI - Dryfujące trumny	72
ROZDZIAŁ VII - Broń	87
ROZDZIAŁ VIII - Requiem	98
ROZDZIAŁ IX - Bismarck	116
ROZDZIAŁ X - Mur	129
ROZDZIAŁ XI - Gorgony	142
ROZDZIAŁ XII - Wyjęty spod prawa	161
ROZDZIAŁ XIII - Omen	185
ROZDZIAŁ XIV - Szarada	198
ROZDZIAŁ XV - Patsy	217
ROZDZIAŁ XVI - Zaczarowany domek	237
ROZDZIAŁ XVII - Zabawa w udawanie	142
ROZDZIAŁ XVIII - Rozwiane nadzieje	270
EPILOG - Tajemnica	278